



Miłość i zdrada.
I szaleństwo,
które ogarnia
wszystkie światy elfów...

ŻELAZNA CÓRKA

JULIE KAGAWA



Julie Kagawa
Żelazny Dwór 02
Żelazna Córka

Spis treści:

1. Zimowy Dwór.....	3
2. Deklaracja.....	12
3. Berło Pór Roku.....	19
4. Kradzież.....	27
5. Bracia.....	32
6. Targowisko goblinów.....	38
7. Pierścień.....	45
8. Rozstania i wspomnienia.....	53
9. Przywołanie.....	57
10. Prawda i kłamstwa.....	62
11. Głogi.....	66
12. Leanansidhe.....	71
13. Charles i czerwone kapturki.....	80
14. Królewskie przyjęcie.....	86
15. Akcja „Berło”.....	96
16. Zdrajca.....	102
17. Wybory.....	105
18. Blisko lodu.....	110
19. Choroba.....	113
20. Uzdrowicielka.....	120
21. Bal karnawałowy.....	129
22. Wybór Żelaznego Konia.....	137
23. Żniwne Pola.....	147
Epilog. Drugi powrót do domu.....	156

1. Zimowy Dwór.

Przede mną stał Żelazny Król, piękny i potężny, na ramiona spływały mu kaskady srebrzystych włosów. Jego długi czarny płaszcz powiewał na wietrze, podkreślając bladą, kościstą twarz i półprzezroczystą skórę, spod której błyszcząły niebieskozielone żyłki. W jego czarnych jak smoła oczach zamigotała błyskawica, a stalowe macki biegnące wzdłuż jego kręgosłupa i ramion otoczyły go niczym olbrzymie skrzydła błyszczące w świetle. Podleciał do mnie jak anioł zemsty, z wyciągniętą przed siebie ręką i smutnym, czułym uśmiechem na ustach.

Wysłał mu na spotkanie; żelazne kable oploty mnie delikatnie i przyciągnęły do niego.

- Meghan Chase - wyszeptał Machina, przeciągając dłonią po moich włosach.

Zadrżałam. Ramiona trzymałam wyciągnięte wzdłuż boków, a jego macki gładziły moją skórę.

- Przybyłaś. Czego pragniesz?

Zmarszczyłam lekko brwi. Czego chciałam? Po co tu przyszłam?

- Mojego brata - odpowiedziałam, nagle sobie przypominając. - Porwałś mojego brata, Ethana, by mnie tu ściągnąć. Chcę go odzyskać.

- Nie. - Machina pokręcił głową i podszedł bliżej. - Nie przyszłaś tu po swojego brata, Meghan Chase. Ani po księcia Mrocznego Dworu, którego podobno kochasz. Przybyłaś tu w poszukiwaniu jednego. Potęgi.

Głowa mnie bolała, próbowałam się cofnąć, ale kable trzymały mocno.

- Nie - wymamrotałam, mocując się z żelazną siecią. - To. to nie tak. To nie tak miało być.

- Więc mi pokaż. - Machina rozłożył szeroko ręce. - To jak „miało” być? Po co tu przyszłaś? Pokaż mi, Meghan Chase.

- Nie!

- Pokaż!

Coś drgnęło w mojej dłoni - puls bijący w strzale z czarownego drewna. Uniosłam z krzykiem rękę nad głowę i wbiłam zaostrzony koniec w pierś Machiny, zatapiając strzałę w jego sercu.

Machina zatoczył się do tyłu i zaskoczony spojrzał na mnie z przerażeniem. Tyle że to już nie był Machina, ale elfi książę o czarnych jak noc włosach i błyszczących srebrnych oczach. Smukły i niebezpieczny, cały w czerni, sięgnął po wiszący u pasa miecz, nim dotarło do niego, że już za późno. Zachwiał się, próbując utrzymać się na nogach, a ja zdusiłam krzyk.

- Meghan - wyszeptał Ash, a z jego ust pociekła wąska strużka krwi. Zacisnął dłonie na wbitej w pierś strzale i padając na kolana, spojrzał mi głęboko w oczy. - Dlaczego?

Roztrzęsiona uniosłam dłonie i zobaczyłam, że są całe w błyszczącej krwi, która spływa po moich rękach i kapie na ziemię. A pod tą lepką powłoką, pod moją skórą, coś się poruszało, przebijając się na powierzchnię jak czerwie. Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że powinnam być przerażona, zszokowana, zniesmaczona tą obrzydliwością. Ale nie byłam. Czułam się potężna, potężna i silna, jakby to prąd płynął pod moją skórą, jakbym mogła zrobić wszystko, czego tylko zapragnę i nikt nie był w stanie mnie powstrzymać.

Spojrzałam z góry na księcia Zimowego Dworu i prychnęłam na widok tej żalostnej istoty. Czy naprawdę mogłam się kiedyś kochać w kimś tak słabym?

- Meghan. - Ash klęczał tam, a życie powoli go opuszczało, mimo że starał się trzymać. Podziwiałam jego upór, ale i on nie mógł mu pomóc. - A co z twoim bratem? - jęknął. - I twoją rodziną? Czekają na ciebie w domu.

Z moich pleców i ramion wysunęły się żelazne kable i otoczyły mnie jak błyszczące skrzydła. Patrząc na bezbronного zimowego księcia, uśmiechnęłam się do niego cierpliwie. - Jestem w domu.

Kable wystrzeliły srebrną smugą i wbiły się w pierś elfa, przyszpilając go do ziemi.

Ash szarpnął się, otworzył usta w bezgłośnym okrzyku, głowa opadła mu do tyłu i rozprysnął się jak kryształ, który spada na beton.

Otoczona błyszczącymi szczątkami zimowego księcia odchyliłam głowę i zaczęłam się śmiać, a mój śmiech zamienił się w zduszony krzyk, gdy udało mi się obudzić ze snu.

Nazywam się Meghan Chase.

Od jakiegoś czasu przebywam w pałacu zimowych elfów. Jak długo dokładnie? Nie wiem. W tym miejscu czas nie płynie normalnie. Od kiedy utknęłam w krainie Nigdynigdy, życie w świecie zewnętrznym, świecie śmiertelników, płynie beze mnie. Jeśli kiedykolwiek się stąd wydostanę, jeśli uda mi się wrócić do domu, może się okazać, że od mojego zniknięcia minęło sto lat, a cała moja rodzina i przyjaciele od dawna nie żyją.

Staralam się nie myśleć o tym za często, ale czasami nie mogłam się po prostu powstrzymać.

W moim pokoju było zimno. Zawsze było zimno. I mnie też zawsze było zimno. Nawet szafirowe płomienie na kominku nie mogły powstrzymać nieustannego chłodu. Ściany i sufit były zrobione z matowego przydymionego lodu. Nawet żyrandol mienił się tysiącami sopli. Tego wieczoru miałam na sobie spodnie od dresu, rękawiczki, gruby sweter i wełnianą czapkę, ale to nie wystarczało. Za moim oknem podziemne miasto Zimowego Dworu błyszczało zachęcająco. Ciemne kształty podskakiwały i trzepotały wśród cieni, błyskały pazury, zęby i drżałam i spojrzałam w niebo. Sklepienie potężnej jaskini było zbyt odległe, by ujrzeć je w ciemnościach, ale tysiące małych światełek, kule magicznego ognia albo same magiczne istoty, błyszczały jak kobierzec gwiazd. Ktoś zastukał do moich drzwi

Nie zawołałam: „Wejść!” Już dawno nauczyłam się, by tego nie robić. To był Mroczny Dwór a zapraszanie dworzan do swojego pokoju to bardzo, ale to bardzo zły pomysł. Nie mogłam całkiem się ich pozbyć, ale magiczne stworzenia ponad wszystko przestrzegają zasad, a z rozkazu królowej nie wolno było mi przeszkadzać, chyba że zażyczę sobie inaczej. A zgoda na wejście do mojego pokoju mogła zostać uznana właśnie za takie życzenie.

W kłębie pary wydobywającej się z moich ust pomaszero wałam do drzwi i je uchyliłam. Na podłodze siedział piękny czarny kot, otoczył ogonem łapki i wpatrywał się we mnie żółtymi oczami. Zanim zdążyłam coś powiedzieć, syknął i wsunął się przez szparę do środka.

- Hej!

Odwrociłam się gwałtownie, ale kot nie był już kotem. Za mną stała Tiaothin, opolda, uśmiechając się od ucha do ucha i ukazując błyszczące kły. No jasne. To musiała być opolda. one nie przestrzegają zasad społecznych. Właściwie to nawet wydają się czerpać olbrzymią satysfakcję z ich łamania.

Opolda poruszała od czasu do czasu wystającymi spomiędzy dredów kudłatymi uszami. Miała pstrokatą kurtkę wyszywaną świecidełkami i nabijaną ćwiekami, podarte džinsy i glany.

W odróżnieniu od Jasnego Dworu, Mroczny Dwór preferował ubrania „śmiertelników”. Nie byłam pewna, czy to dlatego, że otwarcie przeciwstawiali się Jasnemu Dworowi, czy też chcieli się łatwiej wtopić w społeczność ludzką.

- Czego chcesz? - zapytałam ostrożnie.

Tiaothin zainteresowała się mną, gdy tylko dotarłam na dwór, podejrzewałam, że to po prostu nienasycona ciekawość opoldy. Kilka razy rozmawiałyśmy, ale nie nazwałabym jej swoją przyjaciółką. Sposób, w jaki na mnie patrzyła, bez jednego mrugnięcia, zupełnie jakby rozważała, czy nadaje się na najbliższy posiłek, zawsze wyprowadzał mnie z równowagi. Opolda syknęła i przejechała językiem po zębach.

- Nie jesteś gotowa - odezwała się z sykiem i przyglądając mi się sceptycznie. - Szybko. Przebieraj się. Musimy iść, niedługo.

Zmarszczyłam brwi. Tiaothin zawsze było trudno zrozumieć, bo tak szybko zmieniała tematy, że nie mogłam za nią nadążyć.

- Dokąd? - zapytałam, a ona zachichotała.

- Królowa - zamruczała Tiaothin i zaczęła machać uszami. - Królowa cię wzywa.

Żołądek skręcił mi się w supel. Bałam się tej chwili, od kiedy dotarłam z Ashem na Zimowy Dwór. Kiedy przybyliśmy do pałacu, królowa przyjrzała mi się z drapieżnym uśmiechem, po czym odprawiła mnie, mówiąc, że chce porozmawiać z synem w cztery oczy i niedługo mnie wezwie. Oczywiście „niedługo” to pojęcie względne w magicznym świecie i od tamtej pory czekałam jak na szpilkach na moment, aż Mab sobie o mnie przypomni. Wtedy też po raz ostatni widziałam Asha. Na myśl o Ashu poczułam niepokój w żołądku, przypominając sobie, jak wiele się zmieniło.

Kiedy przybyłam do Krainy Magii w poszukiwaniu mojego porwanego brata, Ash był wrogiem, zimnym, niebezpiecznym synem Mab, królowej Mrocznego Dworu. Gdy dwory przygotowywały się do wojny, Mab wysłała Asha, by mnie schwycił; chciała wykorzystać mnie jako kartę przetargową, negocjując z moim ojcem, królem Oberonem. Pragnęłam za wszelką cenę ocalić brata i zawarłam z

zimowym księciem umowę - obiecałam, że jeśli on pomoże mnie, to ja z własnej woli pójdę z nim na Mroczny Dwór. W tamtym momencie postawiłam wszystko na jedną kartę. Potrzebowałam wszelkiej możliwej pomocy, by zmierzyć się z Żelaznym Królem i uratować brata. Ale gdzieś tam, pośród upiornego pustkowią pyłu i żelaza, obserwując, jak Ash walczy z królestwem, które niszczy jego istotę, uświadomiłam sobie, że się w nim zakochałam. Księżę doprowadził mnie tam. ale mało brakowało, a nie przetrwałby starcia z Machiną. Król żelaznych elfów był niesamowicie potężny, prawie niepokonany. Mimo wszystko udało mi się zwyciężyć Machinę i zabrać brata do domu.

Tamtej nocy, zgodnie z naszą umową, przyszedł po mnie Ash. Nadeszła pora, bym dopełniła mojej części zobowiązania. Znowu zostawiłam rodzinę, by podążyć za księciem do Tir Na Nog, krainy Zimy.

Podróż przez Tir Na Nog była zimna, ciemna i przerażająca. Nawet z zimowym księciem u boku Kraina Magii była dzika i niegościnna, zwłaszcza dla ludzi. Ash był idealnym osobistym strażnikiem, niebezpiecznym, czujnym i opiekuńczym, ale zdawał się czasem nieobecny duchem, rozkojarzony. A im dalej zagłębialiśmy się w zimowe tereny, tym bardziej się oddalał, zamykając się przede mną i przed światem. I nie zamierzał mi tego wyjaśnić.

Ostatniej nocy naszej podróży zostaliśmy zaatakowani. Wytropił nas potężny wilk, wysłany przez samego Oberona. Miał za zadanie zabić Asha i odprowadzić mnie z powrotem na Letni Dwór. Udało nam się uciec, ale księżę został ranny podczas walki, ukryliśmy się więc w pustej lodowej grocie, żeby odpocząć i go opatrzyć.

Kiedy bandażowałam mu ramię, milczał, ale czułam, że mnie obserwuje. Puściłam jego rękę, uniosłam wzrok i spojrzałam w srebrzyste oczy. Ash zamrugał powoli, patrząc na mnie, jakby próbował rozszyfrować, o czym myślę. Czekałam, z nadzieją, że wreszcie dowiem się, skąd ta jego nagła rezerwa.

- Czemu nie uciekałeś? - zapytał cicho. - Gdyby ten zwierz mnie zabił, nie musiałabyś iść do Tir Na Nog. Byłabyś wolna.

Spojrzałam na niego spod zmarszczonych brwi.

- Zawarłam umowę, tak jak i ty - wymamrotałam i ostro szarpnęłam, zawiązując bandaż, ale Ash nawet się nie skrzywił.

Zła, spojrzałam mu prosto w oczy.

- Co ty sobie myślisz? Czy tylko dlatego, że jestem człowiekiem, mam stchórzyć? Wiedziałam, na co się decyduję, i dotrzymam swojej części umowy, bez względu na to, co się wydarzy. A jeśli myślisz, że zostawiłabym ciebie, bo nie chcę stawać przed obliczem Mab, to wcale mnie nie znasz.

- Właśnie dlatego, że jesteś człowiekiem - kontynuował tym samym tonem Ash, nie spuszczać ze mnie wzroku - nie wykorzystałaś taktycznej okazji. Zimowe stworzenia w takiej sytuacji nie zawahałyby się ani chwili. Nie pozwoliłyby, aby emocje wzięły górę. Jeśli masz przetrwać na Mrocznym Dworze, to musisz zacząć myśleć jak one.

- Ale ja nie jestem jak one. - Wstałam i odsunęłam się od niego, próbując nie zwracać uwagi na ból i poczucie zdrady, hamując głupie łzy złości, które napływały mi do oczu. - Nie jestem zimowym elfem. Jestem człowiekiem, z ludzkimi uczuciami i emocjami. A jeśli uważasz, że powinnam za to przeproszać, to trudno. Nie mogę ot tak odgradzić swoich uczuć, jak ty to robisz.

Odwrociłam się na pięcie, by odejść, ale Ash w mgnieniu oka poderwał się z ziemi i złapał mnie za ramiona. Zesztywniałam cała, ale nie było sensu mu się wyrwać. Nawet ranny i krwawiący był znacznie silniejszy ode mnie.

- Nie jestem niewdzięczny - wyszeptał do mojego ucha, sprawiając, że wbrew woli zrobiło mi się ciepło na duszy. - Chcę tylko, abyś zrozumiała. Zimowy Dwór żeruje na słabszych. To leży w ich naturze. Będą próbowali rozerwać cię na strzępy, zarówno dosłownie, jak i w przenośni, a ja nie zawsze będę blisko, by cię chronić.

Zadrzałam. Gniew gdzieś zniknął, a moje wątpliwości i lęki nagle wróciły. Ash westchnął i poczułam, jak dotyka czołem moich włosów, a jego oddech poślaskotał mnie w kark.

- Nie chcę tego robić - przyznał udręczonym głosem. - Nie chcę patrzeć na to, co spróbują ci zrobić. Letnia istota na Zimowym Dworze ma niewiele szans. Ale przysiągłem, że cię przyprowadzę, i jestem tą przysięgą związany.

Uniósł głowę, ścisnął moje ramiona tak, że aż zaboląły, a jego głos opadł o kilka oktaf, zrobił się ponury i zimny.

- Dlatego musisz być silniejsza niż oni. Nieustannie musisz się mieć na baczności, bez względu na wszystko. Będą cię próbowali zmylić, podstępem lub pięknymi słowami, i będą czerpali przyjemność z

twojego cierpienia. Nie pozwól im się ranić. Nikomu nie ufaj. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał jeszcze ciszej: - Nawet mnie.

- Zawsze będę ci ufać - wyszeptalam bez zastanowienia, a on zwiększył uścisk i odwrócił mnie do siebie.

- Nie. - Zmrużył oczy. - Nie możesz. Jestem twoim wrogiem, Meghan. Nigdy o tym nie zapominaj. Jeśli Mab powie, że mam cię zabić przed całym dworem, to moim obowiązkiem jest spełnić jej rozkaz. Jeśli nakaże Rowanowi albo Sage'owi pociąć cię powoli na kawałki, tak, by każda sekunda była okrutnym cierpieniem, to powinienem stać tam i im na to pozwolić. Rozumiesz? Moje uczucia wobec ciebie nie mają znaczenia na Zimowym Dworze. Lato i Zima zawsze będą po przeciwnych stronach i nic tego nie zmieni.

Wiedziałam, że powinnam się go bać. Był w końcu mrocznym księciem i powiedział wprost, że jeśli Mab mu nakaże, to mnie zabije. Ale przyznał też, że darzy mnie uczuciami... które co prawda nie mają znaczenia, ale mimo to moje serce aż podskoczyło, gdy to usłyszałam. I może byłam naiwna, ale nie mogłam uwierzyć, że Ash z rozmysłem zrobiłby mi krzywdę, nawet na Zimowym Dworze. Nie, kiedy tak na mnie teraz patrzył, gdy w jego srebrnych oczach widziałam zmagania i złość.

Po chwili odwrócił wzrok i westchnął.

- Nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałem, prawda? - wymruczał, zamykając oczy.

- Nie boję się - odparłam, ale było to kłamstwo. Byłam przerażona wizją Mab i Mrocznego Dworu, czekających u kresu naszej wyprawy. Ale jeśli będzie tam Ash, to nie może być źle.

- Jesteś irytująco uparta - wyszeptał, przeciągając ręką po włosach. - Nie wiem, jak mam cię chronić, skoro ty sama ani trochę nie chcesz chronić siebie.

Podeszłam do niego i położyłam mu rękę na klatce piersiowej. Czułam przez koszulę bicie jego serca.

- Ufam ci - szepnęłam, unosząc twarz ku niemu, przesuwając palcami po jego brzuchu. - Wiem, że coś wymyślisz.

Nabrał gwałtownie powietrza i spojrzał na mnie wygłodniałym wzrokiem.

- Wiesz, że igrasz z ogniem?

- To dziwne, biorąc pod uwagę, że jesteś lodowym księciem... - Nie dokończyłam, bo Ash schylił się i mnie pocałował.

Oplotłam jego szyję ramionami, a on objął mnie w talii i przez kilka chwil zimno nie miało do mnie dostępu.

Następnego ranka znów był odległy i zamyślony. Prawie się do mnie nie odzywał bez względu na to, jak bardzo naciskałam. Tej nocy dotarliśmy do podziemnego pałacu Zimowego Dworu, a Mab odeszła mnie prawie natychmiast. Służący wskazał mi moją kwatery i tak siedziałam w małym zimnym pokoiku, czekając, aż przyjdzie po mnie Ash.

Nie pojawił się po spotkaniu z królową i po kilku godzinach czekania w końcu ruszyłam na poszukiwania korytarzami Zimowego Dworu. I wtedy właśnie znalazłam Tiaothin, a raczej to ona mnie znalazła w bibliotece, gdzie bawiłam się w ciuciubabkę z niezdarnym, zakutym w łańcuchy olbrzymem, który gonił mnie między regałami. Opolda, gdy już pozbyła się tego stwora, poinformowała mnie, że książkę Ash opuścił pałac i nikt nie wie, kiedy wróci.

- To typowe dla naszego księcia - stwierdziła, szczerząc się do mnie z półki z książkami. - Prawie nigdy nie ma go na dworze. Ledwo go zauważysz, a on puff! I znika na kolejnych kilka miesięcy.

Czemu Ash tak mnie zostawił? - zastanawiałam się po raz setny. Mógł przynajmniej powiedzieć, dokąd się udaje i kiedy wróci. Nie musiał odchodzić bez słowa. Chyba że z rozmysłem mnie unikał. Chyba że wszystko, co mówił, ten pocałunek, emocje w jego oczach i głosie nic tak naprawdę dla niego nie znaczyły. Może zrobił to wszystko po to, by dostarczyć mi na Zimowy Dwór.

- Spóźnisz się - zamruczała Tiaothin, przywracając mnie do rzeczywistości. Przyglądała mi się błyszczącymi kocimi oczami. - Mab nie lubi czekać.

- Jasne - odezwałam się słabo, wytrącona z równowagi Oj. racja. Mam spotkanie z elfią Królową Zimy.

- Daj mi tylko chwilę na przebranie się. - Czekałam, ale opolda ani drgnęła, więc odwróciłam się do niej ze zmarszczonymi brwiami. - Może tak odrobinę prywatności, co?

W odpowiedzi zachichotała i w mgnieniu oka zamieniła się w kudłatą czarną kozę, która brykając, wyskoczyła na czterech kopytkach z pokoju. Zatrzasnęłam drzwi i oparłam się o nie, czując, jak wali mi serce. Mab chciała się ze mną widzieć. Królowa Mrocznego Dworu wreszcie mnie wezwała. Zadrżałam, odepchnęłam się od drzwi i podeszłam do toaletki z lodowym lustrem.

Moje odbicie, lekko zniekształcone przez rysy w lodzie przyglądało mi się uważnie. Nadal miewałam problemy z rozpoznaniem siebie. Moje proste blond włosy były prawie srebrne w ciemnym pokoju, a oczy zdawały się zdecydowanie za duże jak na moją twarz. Były też inne zmiany, tysiące malutkich szczegółów, których nie potrafiłam nawet wskazać, a które mówiły, że nie jestem człowiekiem, ale czymś, czego należy się bać. No i oczywiście podstawowa różnica. Z boków głowy sterczały mi spiczaste uszy. okrutnie przypominając, że nie jestem już normalną dziewczyną.

Przestałam wpatrywać się w oczy mojemu odbiciu i spojrzałam na swoje ubrania. Były ciepłe i wygodne, ale wiedziałam, że spotkanie się z królową Mrocznego Dworu w spodniach od dresu i rozciągniętym swetrze to raczej kiepski pomysł.

Świetnie. Za pięć minut mam się spotkać z królową zimowych stworzeń. W co się ubrać? Zamknęłam oczy, spróbowałam skupić urok wokół siebie i stworzyć z niego ubranie. Nic. Potężna moc, którą zaczerpnęłam podczas potyczki z Żelaznym Królem, jakby się ulotniła i nie byłam w stanie stworzyć nawet najsłabszej iluzji. Ale starałam się. Przypominając sobie lekcje z Grimalkinem, magicznym kotem, którego poznałam podczas pierwszej wyprawy do krainy Nigdynigdy, próbowałam stać się niewidzialna, sprawić, aby buty lewitowały, albo stworzyć magiczny ogień. Same porażki. Nie byłam nawet w stanie wyczuć uroku, chociaż wiedziałam, że jest wszędzie wokół mnie. Urok jest podsycany przez emocje, a im silniejsze i dziksze, jak wściekłość, żądza czy miłość, tym łatwiej z nich czerpać. Ale ja nie potrafiłam do niego sięgnąć. Wyglądało na to, że znów byłam zwykłą, niemagiczną Meghan Chase. Ze spiczastymi uszami.

To dziwne. Całe lata nie wiedziałam nawet, że jestem w połowie magiczną istotą. Dopiero kilka miesięcy temu, w moje szesnaste urodziny, mój najlepszy przyjaciel Robbie okazał się Robinem Koleżką, niesławnym Pukiem ze Snu Nocy Letniej. Mój młodszy braciszek Ethan został porwany przez elfy, a ja musiałam go uratować. A tak przy okazji, to byłam córką króla Oberona, władcy Letniego Dworu, i śmiertelniczki. Trochę to trwało, nim przyzwyczaiłam się do tej wiedzy, do tego, że jestem na wpół elfem i mogę używać ich magii - magicznego uroku - by tworzyć własne czary. Wcale nie byłam w tym dobra, raczej beznadziejna, ku irytacji Grimalkina, ale nie o to chodziło. Wtedy nawet nie wierzyłam w elfy, ale teraz, gdy ta magia zniknęła, czułam się niepełna, jakby czegoś mi brakowało. Westchnęłam, otworzyłam szafę, wyciągnęłam dżinsy, białą koszulę oraz długi czarny płaszcz i ubrałam się najszybciej, jak tylko mogłam, próbując nie zamarznąć na śmierć. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie powinnam włożyć czegoś eleganckiego, na przykład wieczorowej sukni. Ale szybko zrezygnowałam z tego pomysłu. Mroczne istoty gardziły elegancją. Będę miała większe szanse przeżycia, jeśli się do nich dostosuję.

Gdy otworzyłam drzwi, Tiaothin, już nie w kształcie kozy ani kota, przyjrzała mi się i ukazała kły w złośliwym uśmiechu.

- Tędy - wyszczała, cofając się do lodowego korytarza. Jej żółte oczy zdawały się unosić w ciemnościach. - Królowa czeka.

Ruszyłam za Tiaothin ciemnymi, krętymi korytarzami starając się patrzeć wprost przed siebie. Mimo to kątem oka dostrzegałam koszmary czające się w komnatach Mrocznego Dworu.

Patykowaty bogiń kryjący się za drzwiami jak olbrzymi pająk, o bladej wychudzonej twarzy spoglądał na mnie przez szparę w deskach. Olbrzymi czarny pies o świecących oczach podążył za nami bezgłośnie, aż wreszcie Tiaothin syknęła na niego i uciekł. W kącie skryły się dwa gobliny i czerwony kapturek o ostrych jak brzytwa zębach, by grać w kości zrobione z zębów i malutkich kostek. Akurat gdy przechodziłam obok, rozpętała się kłótnia. Gobliny zaczęły celować w kapturek palcami i krzyczeć piskliwie: „Oszust, oszust!” Nie odwróciłam się, słysząc za plecami wrzask, a potem młaśniecie łamanych kości. Zadrżałam i poszłam dalej za Tiaothin.

Na końcu korytarza znajdowało się wejście do olbrzymiej sali, z której sufitu zwisały niczym błyszczące żyrandole sople. Załamywały się w nich światełka unoszących się wokół błędnych ogników i magicznych ogni. Podłogę pokrywały lód i mgła, a gdy weszliśmy, mój oddech zamienił się w obłoczek pary. Sufit podtrzymywały lodowe kolumny, błyszczące jak przezroczysty kryształ i podkreślające jeszcze oszołamiające wrażenie mieszaniny światła i koloru wypełniających salę. Od ścian odbijała się ponura, dzika muzyka, którą grali zebrani na scenie w kącie ludzie. Oczy grajków zaszyły mgłą, gdy tak szarpali i piłowali struny, a ich ciała były niepokojąco chude. Długie włosy zwisały im prawie do ziemi, zupełnie jakby przez lata ich nie obcinali. A mimo to nie wyglądali na

zaniepokojonych czy nieszczęśliwych, gdy tak grali z trupim zapachem, najwyraźniej ślepi na to, jak nieludzką mają widownię.

Po sali krążyły dziesiątki mrocznych magicznych stworzeń, a każde wyglądało tak, jakby wyciągnięto je prosto z koszmaru. Ogry i czerwone kapturki, gobliny i strzygi, koboldy, opoldy, hobgobliny i stwory, których nazw nawet nie znałam, kręciły się w tę i z powrotem w ciemnościach.

Szybko zlustrowałam salę w poszukiwaniu potarganych czarnych włosów i błyszczących srebrnych oczu. Zrobiło mi się ciężko na sercu. Jego nie było.

Po drugiej stronie sali w powietrzu unosił się świecący zimnym blaskiem lodowy tron. Siedziała na nim, promieniująca mocą niczym potężny lodowiec Mab, królowa Mrocznego Dworu. Zimowa królowa była po prostu oszałamiająca. Gdy byłam na dworze Oberona, widziałam ją obok swojej rywalki Tytanii, która też miała do mnie pretensje o to, że jestem córką Oberona, i raz próbowała mnie przemienić w łanię, więc nie darzyłam jej wielką sympatią. Chociaż stanowiły zupełnie przeciwieństwo, obie królowe były niesamowicie potężne. Tytania - zimowa burza, piękna i śmiertcionośna, gotowa w każdej chwili usmażyć coś błyskawicą, jeśli tylko ją wkurzy. I Mab - najzimniejszy dzień zimy, kiedy wszystko leży nieruchomo i martwo, przerażone bezlitosnym lodem, który zabił już kiedyś świat i może to zrobić ponownie.

Królowa siedziała rozparta na swoim tronie. Otaczała ją grupka szlachetnie urodzonych - elfów - ubranych w drogie współczesne stroje, idealnie białe i prążkowane garnitury od Armaniego. Ostatnim razem, gdy ją widziałam, na dworze Oberona, Mab miała na sobie czarną suknię, która wiła się, jakby była z żywych cieni. Dziś przywdziała biel - białe spodnium, szpilki w kolorze kości słoniowej i opalizujące paznokcie. Ciemne włosy miała elegancko upięte w kok.

Niezglębione czarne oczy, jak noc bez gwiazd, uniosły się i mnie namierzyły, a blade usta w kolorze morwy rozciągnęły się w leniwym uśmiechu.

Po plecach przeszedł mnie dreszcz. Magiczne stworzenia nie dbają o śmiertelników. Ludzie to dla nich tylko zabawki, chwilowa rozrywka, którą porzuca się, gdy znudzi. Dotyczy to zarówno Jasnego, jak i Mrocznego Dworu. Mimo że byłam półelfką i córką Oberona, to trafiłam samotnie na dwór odwiecznych wrogów mojego ojca. Jeśli rozzłoszczę Mab, nie da się przewidzieć, co postanowi zrobić. Może zamieni mnie w białego królika i poszczuje goblinami, choć to chyba bardziej w stylu Tytanii. Podejrzywałam, że Mab mogła wymyślić coś znacznie bardziej okropnego i nienaturalnego, i to napawało mnie olbrzymim lękiem.

Tiaothin przemykała przez tłum, który prawie nie zwracał na nią uwagi. Prawie wszyscy skupili wzrok na mnie, gdy tak szłam za nią, a serce waliło mi jak oszalałe. Czułam na sobie głodne spojrzenia, zaciekawione uśmiechy i wzrok wkręcający mi się w kark, ale skupiłam się na tym, by trzymać dumnie uniesioną głowę i iść stanowczym krokiem. Nic nie przyciąga magicznych stworzeń bardziej niż strach. Jeden z elfów o ostrych rysach twarzy złowił moje spojrzenie i uśmiechnął się, a mnie serce ścisnęło się boleśnie. Przypominał mi Asha, którego tu nie było, zostawił mnie samą na tym dworze potworów.

Im bliżej podchodziłyśmy, tym wyraźniej czuło się chłód zimowej królowej. Szybko zrobiło się tak zimno, że trudno było oddychać. Tiaothin dotarła do stóp tronu i się ukloniła. Poszłam jej śladem, chociaż trudno mi było nie szczełkać przy tym zębami. Mroczne stworzenia stłoczyły się za nami, a ich oddechy i szepty przyprawiły mnie o gęsią skórę.

- Meghan Chase. - Głos królowej zazgrzytał nad tłumem, a mnie włosy stanęły dęba.

Tiaothin umknęła w tłum i pozostałam całkiem sama.

- Jak miło, że do nas dołączyłaś.

- Być tutaj to zaszczyt, wasza wysokość - odpowiedziałam, całą siłą woli starając się panować nad głosem. Mimo to zadrżał mi lekko, i to nie tylko z zimna. Mab uśmiechnęła się rozbawiona i odchyliła na tronie, obserwując mnie pozbawionymi emocji czarnymi oczami. Na kilka uderzeń serca zapadła cisza.

- A więc... - Królowa zastukała rytmicznie paznokciami, aż podskoczyłam. - Oto jesteśmy. Pewnie myślisz, że jesteś niezwykle sprytna, córko Oberona.

- Przykro mi, ale... - wyjąkałam, a na moim sercu zacisnęła się lodowa pięść. Rozmowa nie zaczynała się dobrze, wcale a wcale.

- Nieprawda - mówiła dalej Mab, posyłając mi cierpliwy uśmiech. - Ale jeszcze będzie ci przykro. Nie miej co do tego złudzeń.

Nachyliła się. Wyglądała zupełnie nieludzko, a ja z trudem opanowałam chęć ucieczki z krzykiem z sali tronowej.

- Słyszałam o twoich wyczynach. Meghan Chase - wychrypiąta królowa, mrużąc oczy. - Myślałaś, że się nie dowiem? Podstępem skłoniłaś księcia Mrocznego Dworu, by towarzyszył ci do Żelaznego Królestwa. Sprawiałaś, że walczył dla ciebie z twoimi wrogami. Zmusiłaś go do zawarcia umowy, która go prawie zabiła. Mój drogi chłopiec, prawie stracony na zawsze, przez ciebie. Jak sądzisz, jak się z tym czuję?

Uśmiech Mab zrobił się bardziej krwiożerczy, a mnie żołądek skręcił się w kulkę ze strachu. Co mi mogła zrobić? Zatopić mnie w lodzie? Zamrozić od wewnątrz? Schłodzić moją krew tak, aby nigdy więcej nie było mi ciepło, bez względu na to, w co się ubiorę albo jak gorąco będzie wokół? Zadrżałam, ale potem zauważyłam wokół siebie delikatne drganie, jakby gorącego powietrza, i uświadomiłam sobie nagle, że Mab przesyciła powietrze urokiem, manipulując moimi emocjami i pozwalając na to, by przychodziły mi do głowy najgorsze możliwe scenariusze. Nie musiała mi grozić ani nic mówić - sama przerażałam się wystarczająco skutecznie. W przebiegu świadomości zaczęłam się zastanawiać, czy Ash też tak wpływał na moje emocje, manipulował mną, bym się w nim zakochała. Jeśli Mab mogła tak robić, to byłam pewna, że jej synowie również mieli tę umiejętność. Czy moje uczucia do Asha były prawdziwe, czy też wynikały z rzuconego na mnie uroku? Nie pora na takie rozważania. Meghan! Mab wpatrywała się we mnie, oceniając moje zachowanie. Wciąż trzęsłam się ze strachu, ale wiedziałam już, co robi królowa. Jeśli się temu poddam i zacznę błagać o litość, to nim się obejrzę, zostanę związana magiczną umową. Obietnice wśród magicznych stworzeń traktowane są śmiertelnie poważnie, a ja nie zamierzałam pozwolić na to, by Mab zmusiła mnie do zobowiązania się do czegoś, czego natychmiast będę żałować.

Nabrałam powoli powietrza, by zebrać myśli, aby gdy wreszcie odpowiem królowej zimowych elfów, nie dukać jak dwulatek.

- Wybacz mi, królowo Mab - odezwałam się, ostrożnie dobierając słowa. - Nie chciałam szkodzić tobie ani twoim bliskim. Potrzebowałam pomocy Asha, by uratować mojego brata z rąk Żelaznego Króla.

Na wspomnienie Żelaznego Króla stojące za mną mroczne stworzenia zaczęły się kręcić i powarkiwac, rozglądając się z niepokojem wokół. Czulałam, jak sierść się jeży, zęby obnażają i wysuwają szpony. Dla zwykłych magicznych stworzeń żelazo było śmiertelną trucizną, pozbawiającą ich magii i palącą ciało. Wizja całego królestwa stworzonego z żelaza była dla nich okropna i przerażająca, a magiczny władca zwany Żelaznym Królem - bluźnierstwem. Naszła mnie myśl, że żelazne stworzenia stały się boginami i zmorami świata magii, i pohamowałam mściwy uśmiech.

- Nazwałabym cię kłamcą, dziewczyno - odezwała się spokojnie Mab, gdy ucichły szepty i powarkiwania. - Gdybym nie słyszała tego samego z ust mojego własnego syna. Bez obaw, podwładni Żelaznego Króla nie są dla nas zagrożeniem. Nawet w tej chwili Ash i jego bracia przeczesują nasze tereny w poszukiwaniu tych żelaznych stworzeń. Jeśli te obrzydlistwa są w naszych granicach, odnajdziemy je i zniszczymy.

Odczułam ulgę, ale nie z powodu spokoju Mab. Ash był gdzieś tam. Był powód, dla którego nie było go na dworze.

- A mimo to... - Mab przyjrzała mi się w taki sposób, że aż żołądek zwinął mi się w kulkę. - Nie wiem, jak to się mogło stać, że przetrwałaś. Może Lato zawarło przymierze z żelaznymi stworzeniami, knując z nimi przeciwko Zimowemu Dworowi. To by było okropnie zabawne, prawda, Meghan Chase?

- Nie - odpowiedziałam cicho.

Przed oczami ujrzałam Żelaznego Króla, jak zatacza się, gdy wbiłam mu w pierś strzałę, i aż musiałam zacisnąć pięści, by powstrzymać drżenie rąk.

- Żelazny Król chciał zniszczyć zarówno Lato, jak i Zimę. Ale już nie żyje. Zabiłam go.

Mab zmrużyła oczy tak, że zostały tylko czarne szparki.

- I uważasz, że uwierzę, że półczłowiek właściwie bez jakichkolwiek mocy zdołał zabić Żelaznego Króla?

- Uwierz jej - rozległ się nowy głos, a mi serce podskoczyło do gardła. - Byłem tam. Widziałem, co się wydarzyło.

Wokół mnie podniosły się głosy, a rzesze mrocznych stworzeń rozplynęły się na boki jak fale. Nie mogłam się ruszyć. Byłam jak przykuta do miejsca, a serce waliło mi jak oszalałe, podczas gdy smukła, groźna postać księcia Asha wkroczyła do sali.

Zadrżałam, znowu czując łomotanie w piersi. Ash wyglądał prawie tak jak zawsze, mrocznie i pięknie w czerniach i szarościach, o bladej cerze odcinającej się ostro od włosów i stroju. U pasa miał miecz w jarzącej się mroźną aurą, czarnej jak smoła pochwie.

Tak się ucieszyłam na jego widok. Ruszyłam do niego z uśmiechem, ale zamarłam, widząc jego lodowate spojrzenie. Zaskoczona stanęłam. Może mnie nie poznał. Spojrzałam mu w oczy, czekając, aż wzrok mu odtaje, a na ustach pojawi się ten ledwo widoczny uśmiech, który tak uwielbiałam. Ale nic takiego się nie stało. Lodowatym wzrokiem przemknął po mnie lekceważąco, po czym ominął mnie i skierował się do królowej. Poczułam ukłucie żalu i rozczarowania. Może i zgrywał twardego przed królową, ale mógł przynajmniej się ze mną przywitać.

Zapamiętałam sobie, by go zwymyślać, gdy zostaniemy sami.

- Księżę Ash - wymruczała Mab, gdy Ash ukląkł przed nią u stóp tronu. - Wróciłeś. Czy twoi bracia są z tobą?

Uniósł głowę, ale nim zdążył odpowiedzieć, odezwał się inny głos, wysoki i czysty:

- Nasz najmłodszy brat wręcz uciekł od nas, tak się spieszył, by do ciebie dotrzeć, królowo Mab. Można by pomyśleć, że nie chciał z tobą rozmawiać w naszej obecności.

Ash, z kamienną twarzą podniósł się z klęczek, gdy do sali wkroczyły jeszcze dwie postacie, z ich drogi pierzchały magiczne stworzenia.

Podobnie jak on, mieli u pasów długie, cienkie miecze i nosili się z niewymuszoną dumą typową dla królewskiej rodziny.

Pierwszy, ten, który zabrał głos, przypominał Asha z budowy i wzrostu - szczupły, pełen gracji i groźny. Miał chudą, spiczastą twarz i czarne włosy, które sterczały mu z głowy jak kolce. Na ramionach łopotała mu biała peleryna, a w jednym ze spiczastych uszu miał złoty kolczyk. Gdy mnie mijał, napotkałam jego niebieski jak lód, skrzący się niczym diamenty wzrok, a jego wargi wykrzywiły się w leniwym uśmiešku.

Drugi brat był wyższy od pozostałych, bardziej smukły, wręcz chudy, o długich kruczoczarnych włosach związanych w kucyk, który opadał mu aż do pasa. Za nim kroczył wielki szary wilk o czujnych, przymrużonych bursztynowych oczach.

- Rowan. - Mab uśmiechnęła się do pierwszego księcia, gdy skłonili jej się, jak poprzednio Ash. - Sage. Wszyscy moi chłopcy wreszcie w domu. Jakie przynosicie nowiny? Czy znaleźliście te żelazne stworzenia w naszych granicach? Czy przynieśliście mi ich trujące serduszka?

- Moja królowo - odezwał się najwyższy z nich, najstarszy brat, Sage. - Przeszukaliśmy Tir Na Nog z jednego do drugiego krańca, od Lodowych Równin przez Zamarznięte Bagno po Skruszone Morze. I nie znaleźliśmy ani śladu po żelaznych stworzeniach, o których mówił nasz brat.

- Nasuwa się pytanie, czy nasz drogi braciszek Ash odrobinę nie ubarwił swoich opowieści - zabrał głos Rowan, a jego ton odpowiadał jego kpiącemu uśmieszkowi. - Te „rzesze żelaznych stworzeń” pewnie jakoś rozplynęły się w powietrzu.

Ash zmierzył Rowana wzrokiem, przybierając znudzoną minę, ale we mnie się aż zagotowało.

- On mówi prawdę - wypaliłam i poczułam, jak skupiają się na mnie wszystkie spojrzenia. - Żelazne stworzenia są prawdziwe i gdzieś tam się czają. A jeśli nie weźmiecie sobie tego do serca, zginiecie, nim się obejrzyicie.

Rowan uśmiechnął się do mnie groźnie, mierząc mnie przymrużonymi oczami.

- A czemu to półkrwi córka Oberona martwi się o to, czy Zimowy Dwór przetrwa, czy zginie?

- Dość tego! - Głos Mab zazgrzytał w sali. Wstała i machnęła ręką na zebrane wokół stworzenia. - Wynosić się. Wszyscy. Sama porozmawiam z synami.

Tłum się rozproszył, wymykając się, wytaczając i wypelzając z sali tronowej. Zawahałam się, próbując ściągnąć na siebie wzrok Asha, i zastanawiając się, czy ja też mam uczestniczyć w rozmowie. W końcu skupił na mnie uwagę, ale posłał mi tylko znudzone, niechętne spojrzenie i zmarszczył brwi.

- Nie słyszałaś królowej, mieszańcu? - zapytał zimno, a mnie serce ścisnęło się boleśnie. Spojrzałam na niego z otwartymi ustami, nie chcąc uwierzyć, że to Ash do mnie mówi, ale on kontynuował z bezwzględną pogardą: - Nikt cię tu nie chce. Wyjdź.

Poczułam, jak łzy złości napływają mi do oczu, i zrobiłam krok w jego stronę.

- Ash...

Oczy mu rozbłyły, gdy posłał mi spojrzenie przepelnione nienawiścią.

- Dla ciebie, mieszańcu, to „pan Ash” albo „wasza wysokość”. I nie przypominam sobie, abym pozwolił ci mówić. Pamiętaj o tym, bo jeśli zapomnisz się ponownie, to przypomnę ci, gdzie twoje miejsce, moją klingą. - Odwrócił się, odprawiając mnie tym zimnym, okrutnym gestem.

Rowan zachichotał, a Mab obserwowała mnie z wysokości swego tronu z rozbawieniem. Gardło mi się ścisnęło, a do oczu napłynął potok łez, gotowy w każdej chwili zamienić się w wodospad. Zadrżałam i zagryzłam wargę, nie będę płakać. Nie teraz, przed obliczem Mab, Rowana i Sage'a. Tylko na to czekali. Widziałam to w ich twarzach, gdy tak przyglądali mi się z wyczekiwaniem. Jeśli chciałam przetrwać, nie mogłam okazać żadnej słabości na Mrocznym Dworze. Zwłaszcza teraz, gdy Ash dołączył do potworów.

Z największą godnością, na jaką mnie było stać, ukloniłam się królowej Mab.

- Wasza wysokość wybaczy - odezwałam się tylko lekko drżącym głosem. - Pozostawię ciebie i twoich synów samych.

Mab skinęła głową, a Rowan posłał mi złośliwy, przesadnie głęboki ukłon. Ash i Sage całkiem mnie zignorowali.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam z sali tronowej z wysoko podniesioną głową, a moje serce z każdym krokiem bardziej krwawiło.

2. Deklaracja.

Gdy się obudziłam, w pokoju było jasno, a przez okno wpadały zimne promienie. Twarz miałam lepką i gorącą, a poduszkę moką. Przez cudowną chwilę nie pamiętałam wydarzeń z poprzedniego wieczoru. A potem, jak czarna fala, wróciły wspomnienia.

Znów poczułam napływające łzy i schowałam głowę pod kołdrę. Większość nocy spędziłam, płacząc w poduszkę, dusząc nią szloch, by żaden stwór nie usłyszał go na korytarzu. Okrutne słowa Asha ugodziły mnie prosto w serce. Nawet teraz trudno było mi uwierzyć, że potraktował mnie w sali tronowej jak coś paskudnego, co mu się przykleiło do podeszwy, jakby mnie naprawdę nienawidził. Czekałam na niego, tęskniłam za nim, by wrócił, a teraz wszystkie te uczucia zamieniły się w cierni, który kłuł mnie w środku. Czułam się zdradzona, zupełnie jakby to, co dzieliliśmy podczas naszej wyprawy przeciw Żelaznemu Królowi, było tylko farsą, taktyką, którą sprytny lodowy książę zastosował, by ściągnąć mnie na Mroczny Dwór. A może po prostu się mną znudził i postanowił skupić na jakiejś nowej atrakcji. Ot, kolejne przypomnienie tego, jak kapryśne i nieczułe bywają elfy.

W tej chwili kompletnej samotności i zagubienia pożałowałam, że nie ma ze mną Puka. Puka z jego beztróskim podejściem i zaraźliwym uśmiechem, który zawsze wiedział, co powiedzieć, by mnie rozśmieszyć. Jako człowiek Robbie Collier był moim sąsiadem i najlepszym przyjacielem - wszystkim się dzieliliśmy, wszystko robiliśmy razem. Oczywiście Robbie Collier okazał się Robinem Koleżką, niesławnym Pukiem ze Snu nocy letniej, i zgodnie z rozkazami Oberona miał mnie chronić przed światem magii. Ale sprzeniewierzył się królowi, przyprawiając mnie w poszukiwaniu Ethana do Krainy Nigdy, a potem po raz kolejny, gdy uciekałam z Jasnego Dworu, a Oberon posłał za mną Puka, by mnie przyprowadził z powrotem. Jego przyjaźń drogo go kosztowała, gdyż podczas bitwy z jedną z poruczników Machiny, Wirus, został postrzelony i prawie zginął. Musieliśmy go zostawić, głęboko ukrytego w drzewie driady, by wyleczył się z ran, a poczucie winy z tego powodu wciąż mnie dręczyło.

Na to wspomnienie oczy znów wypełniły mi się łzami. Robbie nie mógł umrzeć. Za bardzo za nim tęskniłam. Stukanie do drzwi wyrwało mnie z zamyślenia.

- Meghaan! - rozległ się śpiewny głos opolda Tiaothin. - Wstawaj! Wiem, że tam jesteś. Otwórz drzwi.

- Odejdź! - krzyknęłam, ocierając łzy. - Nie wyjdę, jasne? Nie czuję się dobrze.

Oczywiście to ją tylko zachęciło. Stukanie zamieniło się w drapanie, przyprawiając mnie o zgrzytanie zębów, a wołania były coraz głośniejsze i bardziej marudne. Wiedząc, że inaczej spędzi cały dzień, drapiąc i jęcząc, zeskoczyłam z łóżka, przeszłam przez pokój i gwałtownie otworzyłam drzwi.

- Czego? - prychnęłam.

Opolda zamrugła na widok mojej zapłakanej twarzy i spuchniętego, ciekącego nosa. Na jej ustach pojawił się znaczący uśmiech, a we mnie się zagotowało. Nie byłam w nastroju do wysłuchiwanie tego, jak się ze mnie naśmiewa. Cofnęłam się i już miałam jej zatrzaskać drzwi przed nosem, gdy wpadła do pokoju i wskoczyła z gracją na moje łóżko.

- Hej! Do cholery, Tiaothin! Wynocha stąd! - Ale moje protesty zostały zignorowane, a opolda podskakiwała radośnie na materacu, dziurawiąc przy tym koce ostrymi szponami.

- Meghan się zakochała... - zanuciła opolda, a mnie serce zamarło. - Meghan się zakochała. Zakochana para, Meghan i Ash...

- Tiaothin, zamilknij! - Zatrzaskałam drzwi i podeszłam do niej wściekła.

Opolda zachichotała, podskoczyła po raz ostatni i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na poduszce. Jej złotozielone oczy lśniły szelmowsko.

- Nie jestem zakochana w Ashu - oświadczyłam, splatając ręce na piersi. - Nie widziałas, jak się do mnie odezwał? Jakbym była śmieciem? Ash jest nieczułym, aroganckim draniem. Nienawidzę go.

- Kłamczucha! - odparła opolda. - Kłamczucha, kłamczucha, kłamiesz! Widziałam, jak się na niego gapiałas, gdy przyszedł. Znam to spojrzenie. Jesteś zakochana.

Tiaothin zachichotała, a gdy się skrzywiłam, zaczęła strzyc uchem.

- To właściwie nie twoja wina. Ash tak po prostu działa na ludzi. Żadna głupia śmiertelniczka nie może na niego spojrzeć i nie zakochać się na zabój. Jak sądzisz, ilu już złamał serce? - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

Poczułam się jeszcze gorzej. Myślałam, że jestem wyjątkowa. Myślałam, że Ashowi na mnie zależy, przynajmniej trochę. A teraz uświadomiłam sobie, że pewnie jestem po prostu kolejną dziewczyną na długiej liście tych, które były na tyle nierozsądne, by się w nim zakochać.

Tiaothin ziewnęła i rozsiała się na moich poduszkach.

- Mówię ci to, żebyś nie traciła czasu na uganianie się za nieosiągalnym - zamruczała, mrużąc oczy. - Poza tym... - kontynuowała - Ash jest już zakochany w kimś innym. I to od bardzo, bardzo dawna. Nigdy jej nie zapomniał.

- Ariella - wyszeptalam.

Spojrzała zaskoczona.

- Powiedział ci o niej? No cóż, to powinnaś już wiedzieć, że nigdy nie zakochałby się w prostej dziewczynie, półczłowieku, skoro Ariella była najpiękniejszą elfką na Zimowym Dworze. Nie zdradziłby jej pamięci, nawet gdyby prawo tego nie zabraniało. Znasz prawo, prawda?

Nie wiedziałam nic o żadnym prawie i nic mnie to nie obchodziło. Czułam, że opolda tylko czeka, aż ją o to zapytam, ale nie zamierzałam jej ulegać. Ale Tiaothin najwyraźniej i tak chciała mi o tym koniecznie powiedzieć, bo pociągając nosem, odezwała się pogardliwym tonem:

- Jesteś Latem, a my Zimą. Mieszanie się tych dwóch światów jest wbrew prawu. Nie żeby to się często zdarzało, ale czasami jakaś szalona letnia istota zakochuje się w zimowej albo na odwrót. Wynika z tego mnóstwo problemów; Lato i Zima nie powinny być razem. Jeśli taka para zostanie odkryta, Szlachetnie Urodzeni zażądają, aby kochankowie wyrzekli się natychmiast swego uczucia. A jeśli odmówią, zostaną na zawsze wygnani do świata ludzi, by kontynuować ten bluźnierczy związek z dala od dworów... o ile nie zostaną natychmiast zgładzeni. A więc sama widzisz... - Przeszyła mnie wzrokiem. - Ash nigdy nie zdradziłby swojej królowej i dworu dla człowieka. Najlepiej będzie o nim zapomnieć. Może znajdziesz jakiegoś głupiego człowieczego chłopca w świecie śmiertelników, o ile Mab kiedykolwiek cię wypuści.

W tym momencie byłam już tak przybita, że nie potrafiłabym powiedzieć choć słowa inaczej, niż szlochając. Żółć paliła mi gardło, a oczy wypełniały łzy. Musiałam stąd wyjść, uciec przed brutalną prawdą, jaką pokazała mi Tiaothin, nim się zupełnie rozsypię.

Przygryzłam wargę, by pohamować łzy, odwróciłam się na pięcie i uciekłam w korytarze Mrocznego Dworu. Prawie potknęłam się o goblina, który syknął i wyszczerzył na mnie zęby, krzywe kły zaślinyły w ciemności. Wyszeptalam przeprosiny i pobiegłam dalej. Wysoka kobieta w upiornie białej sukni przepłynęła obok korytarzem. Miała czerwone, opuchnięte oczy, a ja umknęłam przed nią w kolejny korytarz.

Musiałam stąd wyjść. Wydostać się na zewnątrz, na czyste zimne powietrze. Pobyć przez chwilę sama, nim oszaleję. Ciemne korytarze i zatłoczone sale przyprawiły mnie o klaustrofobię. Tiaothin pokazała mi raz drogę na zewnątrz - potężne odrzwia, z których jedno skrzydło było wyrzeźbione tak, że przypominało roześmianą twarz, a drugie wykrzywioną w upiornym grymasie. Szukałam ich sama, ale nigdy nie udało mi się do nich trafić. Podejrzywałam, że Mab rzuciła na nie czar, bym nie mogła ich odnaleźć, albo same drzwi bawiły się ze mną w upiornego chowanego - to się zdarzało drzwiom w Krainie Magii. Wkurzające - z okna sypialni widziałam błyszczące, zaśniewane miasto, ale nie mogłam się do niego dostać.

Usłyszałam za sobą stukot, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam wędrującą przez salę grupę czerwonych kapturków o szalonych żółtych oczach błyszczących z głodu i chciwości. Jeszcze mnie nie zobaczyły, ale jeśli to nastąpi, to będę sama i bez ochrony, z dala od bezpiecznego pokoju, a czerwone kapturki były zawsze głodne. Strach ścisnął mnie za serce. Wybiegłam za róg...

Wreszcie je dostrzegłam, po drugiej stronie błyszczącego lodem holu. Dwuskrzydłowe drzwi o uśmiechniętej i ponurej twarzy, jakby zarazem kpity ze mnie i mi groziły. Teraz, gdy wreszcie je znalazłam, zawahałam się. Czy jeśli wyjdę, będę mogła powrócić? Poza pałacem rozciągało się przerażające miasto magicznych zimowych stworzeń. Jeśli nie będę w stanie wrócić, zamarznę na śmierć, albo i gorzej.

Usłyszałam podniecony okrzyk. Czerwone kapturki mnie zauważyły.

Pobiegłam do drzwi, próbując się nie poślizgnąć, bo podłoga wydawała się zrobiona z kolorowego lodu. Cienki jak patyk kamerdyner w czarnej liberii, o ulizanych siwych włosach sięgających do ramion, patrzył obojętnie, jak się zbliżam. Wielkie okrągłe oczy, jak błyszczące lustra, wpatrywały się we mnie bez mrugnięcia. Zignorowałam go, złapałam skrzydło o uśmiechniętej twarzy i pociągnęłam, ale ani drgnęło.

- Wychodzi pani, panno Chase? - zapytał kamerdyner, przekrzywiając gładką, jajowatą głowę.

- Tylko na chwilę - warknęłam, ciągnąc drzwi, które ku mojej irytacji, zaczęły się ze mnie śmiać. Nie odskoczyłam ani nie krzyknęłam, bo miałam za sobą już dziwniejsze przeżycia, ale się wkurzyłam. - Wróć, obiecuję.

Dotarł do mnie szyderczy śmiech czerwonych kapturków, który zmieszał się z wyciem drzwi, i aż je kopnęłam.

- Otwórz się, ty paskudo!

Kamerdyner westchnął.

- Obraża pani nieodpowiednie drzwi, panno Chase. - Sięgnął i pociągnął za rozszoszczone drzwi, które skrzywiły się do mnie i otworzyły ze zgrzytem. - Proszę o ostrożność podczas przechadzki na zewnątrz - odezwał się sztywno kamerdyner. - Jej wysokość byłaby niezmiernie niezadowolona, gdyby panienka... ehm... uciekła. Nie podejrzewam, żeby panienka planowała coś takiego, oczywiście. Tylko dzięki ochronie jej wysokości jeszcze panienka nie zamarzyła ani nie została pożarta.

Do holu wpadł podmuch lodowatego powietrza. Za drzwiami rozciągał się zimny, ponury świat. Spojrzałam przez ramię na czerwone kapturki, które obserwowały mnie z cienia, szczerząc w uśmiechach ostre kły, zadrżałam i wyszłam na śnieg.

Było tak zimno, że prawie zawróciłam. Mój oddech zawisł w powietrzu, a igielki lodu kłuły odsłoniętą skórę, aż piekła. Przedemną rozciągał się nieskazitelny, zamrożony podwórzec - drzewa, kwiaty, posągi i fontanny pokryte najczystszy lodem. Wielkie, poszczerbione kryształy, niektóre wyższe ode mnie, sterczały miejscami z ziemi i celowały w niebo. Grupa elfów ubranych w błyszczącą biel siedziała na brzegu fontanny, a po plecach spływały im długie błękitne włosy. Zobaczyły mnie, zachichotały w dłonie i się podniosły. Paznokcie lśniły im niebiesko w półmroku.

Ruszyłam w przeciwną stronę. Buty skrzypiały mi na śniegu, zostawiając głębokie ślady. Jakiś czas temu zastanawiałabym się pewnie, jak to możliwe, że pod ziemią może padać śnieg, ale już dawno zaakceptowałam fakt, że w Krainie Magii logika nie obowiązuje. Nie wiedziałam, dokąd właściwie idę, ale ruch był lepszy niż stanie w miejscu.

- Co ty sobie wyobrażasz, mieszańcu?

Śnieg zawirował, kłując mnie w twarz i oślepiając. Gdy opadł, byłam otoczona przez cztery elfki, które siedziały wcześniej przy fontannie. Wysokie, wytworne i piękne, o bladej skórze, skrzących się kobaltowych włosach, dopadły mnie jak sfora wilków, a ich pełne blade usta wykrzywiały się w brzydkich uśmieszkach.

- Och, Śnieguliczko, miałaś rację - odezwała się jedna, marszcząc nos, jakby poczuła coś okropnego. - Ona rzeczywiście cuchnie jak padła świnia w środku lata. Nie wiem, jak Mab może to znosić.

Zacisnęłam pięści, starając się opanować. Nie byłam w nastroju na takie gierki. Boże, zupełnie jakbym znów była w szkole. Czy to się nigdy nie skończy? Toż to przedwieczne istoty, a zachowują się jak banda nabzdyczonych nastolatków.

Najwyższa z nich, zwiewna elfka o jadowicie zielonych pasemkach w lazurowych włosach, przyjrzała mi się zimnymi błękitnymi oczami i zbliżyła, napierając na mnie. Nie cofnęłam się, na co ona zmrużyła oczy. Rok temu uśmiechnęłabym się pewnie prosząco, skinęła głową i zgodziła na wszystko, co by powiedziały, byle tylko zostawiły mnie w spokoju. Ale teraz sprawa miała się inaczej. Te dziewczyny wcale nie były najstraszniejszą rzeczą, jaką widziałam. Daleko im do tego.

- Mogę jakoś pomóc? - zapytałam najspokojniejszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

Uśmiechnęła się. I nie był to miły uśmiech.

- Zastanawiam się po prostu, jak taki mieszaniec jak ty mógł bez szwanku odezwać się do księcia Asha jak do równego. - Pociągnęła nosem i skrzywiła się z niesmakiem. - Na miejscu Mab zamroziłabym ci gardło na kość za samo spojrzenie w jego stronę.

- No ale nią nie jesteś. - Spojrzałam jej w oczy. - A ponieważ ja jestem tu gościem, nie sądzę, aby była zadowolona z tego, co planujecie mi zrobić. Więc może zrobimy sobie wzajemnie przysługę i udajmy, że nie istniejemy? To by rozwiązało wiele problemów.

- Ty chyba nie rozumiesz, mieszańcu. - Śnieguliczka wyprostowała się i zmierzyła mnie spojrzeniem. - Spojrzenie na mojego księcia oznacza wypowiedzenie wojny. A to, że w ogóle się do niego odezwałaś, przyprawia mnie o mdłości. Nie dociera do ciebie, że budzisz w nim obrzydzenie swoją skażoną letnią krwią i ludzkim smrodem. Musimy coś z tym zrobić, prawda?

„Mój” książę? Czy ona mówiła o Ashu? Spojrzałam na nią, mając ochotę powiedzieć coś głupiego, jak na przykład: „to zabawne, ale jakoś nigdy mi o tobie nie wspominał”. Może i zachowywała się jak

rozpieszczona, bogata wredna dziewczyna z mojej starej szkoły, ale sposób, w jaki jej oczy pociemniały, aż w ogóle nie było widać źrenic, przypomniał mi, że mam do czynienia z elfem.

- A więc... - Śnieguliczka odsunęła się i posłała mi protekcyjny uśmiech. - Zrobimy tak. Ty, mieszańcu, obiecasz że nigdy więcej nawet nie spojrzysz na mojego słodkiego Asha A złamanie tej obietnicy będzie oznaczało, że wydlubię ci te wścibskie oczka i zrobię z nich naszyjnik, Uważam, że to uczciwy układ, prawda?

Pozostałe dziewczęta zachichotały, ale w tym śmiechu słychać było głód, zupełnie jakby chciały mnie pożreć żywcem. Mogłam jej powiedzieć, że nie ma się czym niepokoić. Mogłam powiedzieć, że Ash mnie nienawidzi i że ona nie musi mi grozić, bym trzymała się od niego z daleka. Ale tego nie zrobiłam. Wyprostowałam się, spojrzałam jej w oczy i zapytałam:

- A jeśli nie, to co?

Zapadła cisza. Czułam, jak powietrze wokół mnie robi się zimniejsze, i przygotowałam się na atak. Jakaś część mnie wiedziała, że zadzieranie z elfką było głupie. Pewnie dostanę niezłe manto, rzuci na mnie klątwę albo co. Nic mnie to nie obchodziło. Miałam już dość bycia terroryzowaną, dość uciekania do łazienki, by tam się wyplakać. Jeśli ta elficka suka zamierzała się ze mną bić, to proszę. Ja też umiałam wydrapywać oczy.

- Och, jak wesoło. - Na moment przed rozpętnaniem się piekła ciszę przerwał gładki, pewny siebie głos.

Podskoczyłyśmy, gdy ubrana w biel szczupła postać wyłoniła się ze śniegu. Z ramion spływał mu płaszcz. Na jego spiczastej twarzy rysowało się wyniosłe rozbawienie.

- Książę Rowan!

Książę uśmiechnął się szeroko, aż błękitne jak lód oczy zamieniły się w szparki.

- Wybaczcie, panienki - odezwał się, stając obok mnie i zmuszając je do cofnięcia się o kilka kroków. - Nie chcę wam psuć zabawy, ale muszę na chwilę pożyczyć mieszańca.

Śnieguliczka uśmiechnęła się do Rowana, a nienawiść natychmiast zniknęła jej z twarzy.

- Oczywiście, wasza wysokość - zagruchała, zupełnie jakby zaproponowano jej właśnie cudowny podarunek. - Jak sobie życzysz. Po prostu dotrzyśmy jej towarzystwa.

Chciałam prychnąć, ale Rowan uśmiechnął się w odpowiedzi tak, jakby jej uwierzył, i elfki oddaliły się bez słowa.

Gdy tylko zniknęły, uśmiech księcia przybrał złośliwy wyraz; czując na sobie krzywe spojrzenie, natychmiast zaczęłam się mieć na bacności. Może i ocalił mnie przed Śnieguliczką oraz jej harpiami, ale nie wyglądało na to, by zrobił to z dobroci serca.

- A więc jesteś mieszańcem Oberona - wymruczał, potwierdzając moje podejrzenia. Dalej mnie obserwował i poczułam się strasznie odsłonięta, zupełnie jakby rozbierał mnie wzrokiem. - Widziałem cię na Elizjum zeszłej wiosny. Wydawało mi się, że jesteś... wyższa.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam - odparłam lodowato.

Znów zachichotał, ruszył przed siebie i skinął, bym mu towarzyszyła.

- Chodź księżniczko. Przespacerujmy się. Chcę ci coś pokazać.

Naprawdę nie miałam na to ochoty, ale nie wiedziałam, jak mogłabym grzecznie odmówić księciu Mrocznego Dworu, zwłaszcza po tym, jak wyświadczył mi przysługę, ratując mnie przed elfkami. Poszłam z nim więc do innej części ogrodu, gdzie śnieżny krajobraz zakłócały zamrożone posągi, sprawiając, że zdawał się surrealistyczny i upiorny. Niektóre postacie stały prosto i dumnie, inne wykrzywione z przerażenia, zasłaniając się rękami i nogami. Przyglądając się ich rysom, tak realistycznym, jakby żyły, zadrżałam. Królowa Zimy miała upiorny zmysł smaku.

Rowan zatrzymał się przed jednym z posągów, pokrytym przydymionym lodem, którego rysy ledwo dało się dostrzec zza mętnej powierzchni. Nagle uświadomiłam sobie, że to wcale nie jest posąg. Z lodowego więzienia patrzył na mnie człowiek o otwartych z przerażenia ustach i wyciągniętej w obronny geście ręce. Szeroko otwarte niebieskie oczy wpatrywały się we mnie.

A potem mrugnął.

Cofnęłam się, tłumiąc okrzyk. Człowiek znów mrugnął, a jego przerażone spojrzenie błagało o pomoc. Widziałam, jak trzęsą mu się wargi, zupełnie jakby chciał coś powiedzieć, ale lód go unieruchamiał. Zaczęłam się zastanawiać, jak w ogóle może oddychać.

- Genialne, prawda? - odezwał się Rowan, wpatrując się z podziwem w posąg. - To sposób, w jaki Mab karze tych, którzy ją zawiodą. Widzą, czują i słyszą wszystko, co się wokół nich dzieje, więc są w

pełni świadomi tego, co im się przydarzyło. Ich serca biją, umysły działają, ale oni się nie starzeją. Są na zawsze zawieszeni w czasie.

- Jak oddychają? - wyszeptalam, wpatrując się w krzyczącą postać.

- Nie oddychają. - Rowan zachichotał. - Nie mają jak. Ich nosy i usta są pełne lodu. Ale mimo to próbują. Zupełnie jakby dusili się przez wieczność.

- To okropne!

Elfi ksiązę wzruszył ramionami.

- Po prostu nie wkurzaj Mab, tyle ci powiem. - Skupił na mnie swoje lodowate spojrzenie. - A więc, księżniczko - mówić dalej, sadowiąc się na cokole posągu. - Powiedz mi coś.

Wyciągnął skądś jabłko i wciąż się do mnie uśmiechając, wgryzł się w owoc.

- Słyszałem, że ty i Ash wyprawiliście się aż na ziemie Żelaznego Króla i z powrotem. A przynajmniej Ash tak twierdzi. To co sądzisz o moim drogim braciszku?

Podjeżdżałam, że nie rozmawia ze mną o tak, i skrzyżowałam ramiona na piersi.

- A czemu chcesz to wiedzieć?

- Och, po prostu prowadzę rozmowę. - Rowan wyciągnął drugie jabłko i mi rzucił. A gdy złapałam je z trudem, uśmiechnął się szeroko. - Nie bądź taka sztywna. Nawet skrzat by się załamał przy tobie. No to jak, mój brat zachowywał się jak skończony troll czy może pamiętał o manierach?

Byłam głodna. W brzuchu mi zaburczało, a jabłko w mojej dłoni zdawało się takie chłodne i soczyste. Nim się zastanowiłam, ugryzłam je. Słodki, winny sok wypełnił mi usta, tylko z odrobiną goryczy.

- Był dżentelmenem w każdym calu - odezwałam się z pełnymi ustami, a mój głos dziwnie zabrzmiał. - Pomógł mi uwolnić brata z rąk Żelaznego Króla. Nie dałabym sobie bez niego rady.

Rowan rozparł się wygodniej i posłał mi leniwy uśmiech.

- Co ty powiesz?

Skrzywiłam się na jego minę. Coś było nie tak. Czemu w ogóle mu to mówiłam? Próbowałam zamilknąć, przygryźć sobie język, ale usta mi się otworzyły, a słowa popłynęły same z siebie.

- Mój brat Ethan został porwany przez Żelaznego Króla - powiedziałam, słuchając z przerażeniem swojej paplaniny. - Przybyłam do krainy Nigdy, żeby go odzyskać. Gdy Ash został wysłany przez Mab, by mnie złapać, podstępem zmusiłam go do zawarcia ze mną umowy. Miał mi pomóc uratować Ethana, a w zamian ja miałam z nim przybyć na Mroczny Dwór. Zgodził się mi pomóc, ale gdy dotarliśmy do Żelaznego Królestwa, sprawiło ono, że Ash straszliwie się rozchorował i został złapany przez żelaznych rycerzy Machiny. Wślizgnęłam się do wieży Żelaznego Króla, użyłam magicznej strzały, by zabić Machinę, uratowałam mojego brata i Asha, a potem przybyliśmy tutaj.

Zacisnęłam obie ręce na ustach, by powstrzymać ten potok słów, ale zło już się stało. Rowan wyglądał jak kot, który właśnie zjadł kanarka.

- A więc - zanucił, patrząc na mnie przymrużonymi oczami - mój młodszy brat pozwolił się oszukać przez słabiutkiego mieszańca, by uratować śmiertelne dziecko i prawie dał się przy tym zabić. To zupełnie nie w jego stylu. Powiedz mi coś więcej, księżniczko.

Zaciskałam ręce na ustach, próbując zdusić słowa, które zaczęły płynąć. Rowan roześmiał się, zeskoczył z cokołu posągu i zaczął się do mnie podkradać ze złowieszczym uśmiechem.

- Ależ księżniczko, wiesz, że nie ma co się przed tym bronić. Po co sobie utrudniać?

Chciałam go uderzyć, ale bałam się, że jeśli przestanę zaciskać usta, zdradzę coś więcej.

Rowan zbliżał się dalej, a jego uśmiech stawał się coraz bardziej drapieżny. Cofałam się, ale uderzyła mnie fala zawrotów głowy i mdłości, i potknęłam się, z trudem utrzymując się w pionie. Ksiązę pstryknął palcami, a śnieg wokół moich stóp zamienił się w lód, pokrywając moje buty i przykuwając mnie do miejsca. Przerażona obserwowałam, jak lód wspina się powyżej moich kolan, do talii, trzeszcząc ostro. Jak zimno! Zadrżałam, gdy szpileczki bólu wbiły mi się przez ubranie w ciało. Jęknęłam, próbując się wyrwać, ale nie mogłam się ruszyć. Żołądek ścisnął mi się boleśnie, a kolejna fala mdłości przyprawiła mnie o zawrót głowy. Rowan uśmiechnął się, obserwując, jak się szarpie bezskutecznie.

- Mogę to zatrzymać, wiesz? - stwierdził, dojadając jabłko. - Musisz tylko odpowiedzieć mi na kilka niewinnych pytań. To wszystko. Nie wiem, czemu tak utrudniasz, no chyba że masz coś do ukrycia. Kogo próbujesz chronić, mieszańcu?

Temperatura robiła się nie do zniesienia. Mięśnie zaczęły mi się kurczyć od okropnego, przeszywającego zimna. Ręce mi się trzęsły, aż zsunęły się z ust.

- Ash - wyszeptalam, ale w tym momencie trzymający mnie lód się rozpadł. Z odgłosem tłuczonej porcelany rozsypał się na tysiące kryształowych drobinek, błyszczących w słabym świetle. Jęknęłam i zachwiałam się, uwolniona z lodowego uścisku, gdy z cienia wynurzyła się inna smukła, ciemna postać.

- Ash. - Rowan uśmiechnął się do idącego do nas brata, a mnie serce aż podskoczyło z radości. Przez chwilę wydawało mi się, że szare oczy Asha są zmrużone z wściekłości, ale gdy się zbliżył, wyglądał tak samo, jak poprzedniej nocy: zimno, obco, jakby był trochę znudzony.

- Cóż za przypadek - mówił dalej Rowan. a na jego twarzy wciąż widniał ten obrzydliwy uśmiezek zadowolenia z siebie. - Przyłącz się do nas, braciszku. Właśnie o tobie rozmawialiśmy

- Co ty robisz, Rowan? - Ash westchnął, jakby był okropnie poirytowany. - Mab kazała nie dokuczać mieszkańcowi.

- Ja? Dokuczać? - Rowan spojrzał zaskoczony, robiąc minę niewiniątka. - Ja nigdy nikomu nie dokuczam. Prowadziliśmy po prostu pasjonującą rozmowę. Prawda księżniczko? Może powtórzysz mi, co powiedziałaś przed chwilą?

Srebrne spojrzenie Asha spoczęło na mnie, a przez twarz przebiegł wyraz niepewności. Mnie usta otworzyły się wbrew woli i znów zacisnęłam na nich dłonie, nim zdążyłam coś powiedzieć. Spojrzałam mu prosząco w oczy i pokręciłam głową.

- Och, doprawdy, księżniczko, nie ma się czego wstydzić - zamruczał Rowan. - Zdaje się, że masz mnóstwo do powiedzenia na temat naszego drogiego Asha. Ależ się nie krępuj.

Rzuciłam Rowanowi wściekle spojrzenie, mając ochotę wygarnąć mu, co sędzę o nim samym, ale było mi już tak słabo i niedobrze, że ledwo mogłam ustać. Spojrzenie Asha stwardniało. Odszedł ode mnie długimi krokami, nachylił się i podniósł coś ze śniegu. To był owoc, który upuściłam po odgryzieniu jednego kęsa, zupełnie jak zatrute jabłko Królowy Śnieżki. Tyle że teraz to nie było jabłko, tylko cętkowany duży muchomor, którego wnętrze było białe jak kość. Żołądek podszedł mi do gardła, skręcił się okropnie i prawie zwróciłam ten kęs.

Ash nic nie powiedział. Spojrzał groźnie na Rowana podniósł grzyb i uniósł brew. Rowan westchnął.

- Mab me powiedziała wprost, że nie wolno nam używać grzybka prawdy. - Rowan wzruszył szczupłymi ramionami. - Poza tym uważam, że powinienes być ciekaw tego. co letnia księżniczka ma do powiedzenia na twój temat.

- A niby czemu? - Ash odrzucił grzyb i znów zrobił znudzoną minę. - To mało istotne. Poszedłem na układ, by ją tu przyprowadzić, i już. Wszystko, co mówiłem i robiłem, miało tylko na celu dostarczenie jej na dwór.

Jęknęłam, ręce opadły mi z ust i zagapiłam się na niego. A więc to prawda. Pogrywał ze mną od początku. To, co mówił w Żelaznym Królestwie, wszystko, co dzieliliśmy, nic z tego nie było prawdą. Poczułam, jak lód rozplywa mi się po żołądku, i pokręciłam głową, próbując usunąć to, co przed chwilą usłyszałam.

- Nie - wyszeptalam zbyt cicho, by ktokolwiek mógł usłyszeć. - To nieprawda. To niemożliwe. Ash, powiedz mi, że kłamiesz.

- Mab nie obchodzi, jak to zrobiłem. Istotne było tylko, że osiągnąłem cel - mówił dalej Ash, nieświadom moich cierpień. - A to więcej niż można powiedzieć o tobie.

Splótł ręce na piersi i wzruszył ramionami, kompletnie obojętny.

- A teraz, jeśli już skończyłeś, to mieszaniec powinien wrócić do środka. Jeśli zamarznie na śmierć, królowa nie będzie zadowolona.

- Ash - wyszeptalam, gdy się odwrócił. - Poczekaaj!

Nawet nie spojrzał na mnie.

Łzy napływały mi do oczu, a ja walcząc z zawrotami głowy, ruszyłam w jego stronę.

- Ash! Kocham cię! - wyrwało mi się.

Nie chciałam tego mówić, ale gdy się odezwałam, żołądek ścisnął mi się z zaskoczenia i przerażenia. Gwałtownie zasłoniłam usta rękami, ale było już za późno. Rowan uśmiechnął się szerzej niż kiedykolwiek, zupełnie jakby dostał najwspanialszy prezent na świecie.

Ash zamarł, wciąż odwrócony do mnie plecami. Przez moment widziałam, jak zaciska pięści.

- To dość pechowo, nie sądzisz? - odezwał się głosem pozbawionym emocji. - Ale Letni Dwór zawsze był słaby. Czemu miałbym w ogóle tknąć półkrwi córkę Oberona? Nie przyprowadzaj mnie o mdłości, człowieku.

Na te słowa jakby lodowata ręka wbiła mi się w ciało i wyrwała mi z piersi serce. Naprawdę czułam fizyczny ból. Nogi się przede mną ugięły i upadłam w śnieg, a lodowe kryształki zaczęły mnie kłuć w dłonie. Nie mogłam oddychać. Nie mogłam nawet płakać. Mogłam tylko klęczeć tam, zimno przenikało przez moje dzinsy, a ja wciąż słyszałam słowa Asha.

- Jesteś okrutny, Ash - odezwał się uszczęśliwionym tonem Rowan. - Wygląda na to, że złamałeś serce naszej biednej księżniczce.

Ash powiedział coś jeszcze, ale nie zdołałam tego usłyszeć, bo ziemia zaczęła się przede mną obracać wraz z kolejną falą zawrotów głowy. Mogłam z tym walczyć, ale byłam zbyt otępiła i nic mnie to nie obchodziło. Niech nadejdą ciemności, pomyślałam, niech mnie zabiorą, po czym ciężka zasłona opadła mi na oczy i zapadłam się w nicość.

3. Berło Pór Roku.

Przez jakiś czas unosiłam się gdzieś pomiędzy snem a jawą. Przed oczami przepływały mi mgliste sny, które ledwo pamiętałam, mieszając się z rzeczywistością tak, że już nie wiedziałam, które są które. Śniłam o swojej rodzinie, o Ethanie, mamie i moim ojczymie Luke'u. Śniłam, jak żyją sobie beze mnie. powoli zapominając o tym, kim byłam, że w ogóle istniałam. Do mojej świadomości co jakiś czas docierały jakieś głosy - Tiaothin mówiła mi, że mam się obudzić, bo już ją to nudzi, Rowan tłumaczył się królowej Mab, że nie miał pojęcia, że tak zareaguję na kawałek zwykłego grzyba, kolejny głos informował królową, że mogę się nigdy nie obudzić. Czasami śniło mi się, że w pokoju jest Ash, stoi w kącie albo przy moim łóżku, po prostu patrząc na mnie tymi błyszczącymi srebrnymi oczami. W malinie zdawało mi się, że szeptał przeprosiny.

- Ludzie to takie słabe istoty, prawda? - usłyszałam pewnej nocy głos, gdy ocknęłam się z otępienia. - Kawałek grzybka prawdy i od razu zapadają w śpiączkę. Żalotne - prychnął. - Podobno ta zakochała się w księciu Ashu. Ciekawe, co Mab jej zrobi, gdy ta się wreszcie obudzi. Królowa na pewno nie jest zachwycona tym, że w jej ulubionym synu zakochał się letni bękart.

- Na pewno wybrała nieodpowiedni moment na zabawę w Śpiącą Królową - dodał inny głos. - Akurat jak się zbliża wymiana. - Parsknął. - Jeśli się obudzi, to Mab zabije ją pewnie za samo sprawianie kłopotów. Tak czy inaczej będzie wesoło.

Ich śmiech ucichł, a ja znów pogrążyłam się w ciemnościach. Wieczność mijała z nielicznymi przerwami. Jakieś głosy obok, nieistotne. Tiaothin dziobiąca mnie w żebra tak, że aż płynęła krew, ale ból należał do kogoś innego. Wizje mojej rodziny - mama na ganku z policjantem wyjaśniająca, że wcale nie zaginęła jej córka. Ethan bawiący się w moim pokoju, który teraz został przemaalowany i przemeblowany na gabinet, a wszystkie moje rzeczy zostały oddane. Gdy na niego patrzyłam, w środku czułam tępy ból, w innym życiu byłby to pewnie żal. tęsknota, ale teraz znajdowałam się poza zasięgiem jakichkolwiek uczuć i obserwowałam go z obojętnym zainteresowaniem. Rozmawiał ze znajomo wyglądającym królikiem, a to sprawiło, że się zastanowiłam. Czy ten królik nie został zabity...?

- Zapomnieli o tobie - wyszeptał w ciemnościach głos.

Głęboki, znajomy głos. Odwróciłam się i zobaczyłam Machineę, ze splecionymi za plecami kablami, jak patrzy na mnie i lekko się uśmiecha. Jego srebrne włosy błyszcząły w ciemnościach.

Zmarszczyłam brwi.

- Nie ma cię tutaj - wymamrotałam, cofając się. - Zabiłam cię. Nie jesteś prawdziwy.

- Nie, kochanie. - Machina pokręcił głową, a jego włosy cicho zaszumiały. - Zabiłaś mnie, ale wciąż z tobą jestem. Teraz już zawsze z tobą będę. Nie możesz przed tym uciec. Jesteśmy jednym.

Odsunęłam się z drżeniem.

- Odejdź - sapnęłam, wycofując się w ciemność.

Żelazny Król przyglądał mi się, ale nie poszedł za mną.

- Nie ma cię tutaj - powtórzyłam. - To tylko sen, a ty nie żyjesz. Zostaw mnie.

Odwróciłam się i uciekłam w ciemność, aż delikatny blask Żelaznego Króla zniknął w otchłani.

Minęła kolejna wieczność, a może tylko kilka sekund, gdy poprzez zamęt i ciemności poczułam przy łóżku czyjąś obecność. Mama? - zastanawiałam się, znów jako mała dziewczynka. A może to Tiaothin przyszła mnie znowu męczyć. Odejdźcie powiedziałam im, ponownie uciekając w sny. Nie chcę was widzieć. Nikogo nie chcę widzieć. Zostawcie mnie samą.

- Meghan - wyszeptał rozdzierająco znajomy głos, wrywając mnie z pustki.

Natychmiast go rozpoznałam, tak samo jak natychmiast zorientowałam się, że to twór mojej zropanzonej wyobraźni, bo prawdziwy właściciel tego głosu nigdy by tu nie przyszedł ani ze mną nie rozmawiał.

Ash?

- Obudź się - wyszeptał, a jego głęboki głos przebił się przez warstwy ciemności. - Nie rób tego. Jeśli szybko z tego nie wyjdiesz, znikniesz i już na zawsze będziesz tak płynąć. Walcz z tym. Wróć do nas.

Nie chciałam się obudzić. W prawdziwym świecie nie czekało mnie nic poza bólem. Gdy spałam, nic nie czułam. Gdy spałam, nie widziałam Asha i zimnej pogardy na jego twarzy, kiedy na mnie

patrzył. Ciemności były moją kryjówką, moim schronieniem. Odsunęłam się od głosu Asha, głębiej w bezpieczne ciemności. I wtedy przez warstwę snów i maligny usłyszałam cichy szloch.

- Proszę. - Złapała mnie dłoń, prawdziwa, materialna, przykuwając do teraźniejszości. - Wiem, co musisz o mnie myśleć, ale... - Głos się załamał, nabrał gwałtownie powietrza. - Nie odchodź - wyszeptał. - Meghan, nie odchodź. Wróć do mnie.

Też zatkałam i otworzyłam oczy.

W pokoju było ciemno i pusto. Przez okno wpadało magiczne światło, nadając wszystkiemu niebieskosrebrny odcień. Jak zawsze powietrze było lodowate. A jednak sen, pomyślałam, gdy mgła tak długo zalegająca w mojej głowie wreszcie się rozpięchła, pozostawiając mnie okropnie przytomną. To był jednak sen.

Poczułam się zdradzona. Wydobyłam się z mojej cudownej ciemności po nic. Chciałam uciec, powrócić do tej nicości, gdzie nic nie mogło mnie skrzywdzić, ale teraz, gdy byłam przytomna, nie mogłam wrócić. Moją kłatkę piersiową wypełnił ból ostry, że aż głośno jęknęłam. Czy tak właśnie czuło się złamane serce? Czy można umrzeć z tego bólu? Zawsze myślałam, że dziewczyny w szkole strasznie przesadzają, gdy zrywały ze swoimi chłopakami, płakały i lamentowały całymi tygodniami. Myślałam, że nie było o co robić tyle hałasu. Ale nigdy wcześniej nie byłam zakochana.

Co mam teraz robić? Ash mnie nienawidził. Wszystko co mówił i robił, miało na celu przyprowadzenie mnie przed oblicze królowej. Oszukał mnie. Wykorzystał mnie dla własnych korzyści. A najgorsze było to, że wciąż go kochałam.

Przestań! - powiedziałam sobie, gdy znów zebrало mi się na płacz. Starczy tego! Ash na to nie zasługuje. Na nic nie zasługuje. Jest bezdusznym elfem, który pogrywał z tobą, a ty się na to dałaś nabrać jak idiotka. Wzięłam głęboki oddech i powstrzymałam łzy, pragnąc, by zamarły w moim wnętrzu, by wszystko we mnie zamarzło. Emocje, łzy, wspomnienia, wszystko, co sprawiało, że byłam słaba. Bo jeśli miałam przetrwać na Mrocznym Dworze, musiałam być z lodu. Nie, nie z lodu. Musiałam być jak żelazo. Nic mnie więcej nie skrzywdzi, pomyślałam, gdy łzy obeschły, a emocje prawie opadły. Jeśli te przeklęte elfy chcą grać ostro, to proszę. Ja też tak mogę.

Odrzuciłam kołdrę i stanęłam dumnie, a zimne powietrze szczypało moją skórę. Niech mnie zamrozi, nic mnie to nie obchodzi. Włosy miałam w okropnym nieładzie, potargane i matowe, a ubrania pogniecione i obrzydliwe. Zrzuciłam je z siebie i poszłam do łazienki, by porządnie wymoczyć się w wannie - jedynym ciepłym miejscu na całym dworze - po czym ubrałam się w czarne dżinsy, czarną koszulkę na ramiączkach i długi czarny płaszcz. Akurat jak kończyłam zawiązywać czarne buty, do pokoju weszła Tiaothin.

Zamrugnęła, najwyraźniej zaskoczona tym, że jestem na nogach, po czym uśmiechnęła się szeroko, a jej kły zaśniły w księżycowym świetle.

- Wstałaś! - krzyknęła, podskakując i lądując na moim łóżku. - Obudziłaś się! Co za ulga. Mab była niezadowolona i zrzędliva, od kiedy na to zapadłaś. Obawiała się, że będziesz tak spać już zawsze, a wtedy miałyby niezły problem z wyjaśnieniem twojego stanu jasnym dworzanom, gdy zjawią się na wymianę.

Zmarszczyłam brwi i przez chwilę rozbłysła we mnie iskierka nadziei.

- Jaką wymianę? - zapytałam.

Czyżby mieli po mnie przyjść? Czy Oberon wreszcie wysłał kogoś, żeby mnie uratował z tej dziury?

Tiaothin, w swojej prostocie, zdawała się doskonale wiedzieć, o czym myślę.

- Nie bój się, mieszańcu. - Pociągnęła nosem, patrząc na mnie zmrużonymi oczami. - Nie przyjadą po ciebie. Tylko żeby przekazać Berło Pór Roku. W końcu skończyło się lato i nadchodzi zima.

Poczułam ukłucie zawodu i natychmiast je zdusiłam. Żadnych słabości. Niczego przy niej nie okazuj. Wzruszyłam ramionami i zapytałam od niechcienia:

- Co to za berło?

Tiaothin ziewnęła i usadowiła się wygodniej na łóżku.

- To magiczny talizman, który dwory przekazują sobie wraz ze zmianami pór roku. - powiedziała, szarpiąc za jakąś nitkę wyłazającą z mojej kołdry. - Przez sześć miesięcy w roku ma je Oberon, gdy wiosna i lato są w rozkwicie, a zima prawie zanika. A potem, w zrównanie jesienne, jest przekazywane królowej Mab, by zaznaczyć przesunięcie sił pomiędzy dworami. Niedługo przybędą letni dworzanie i będzie wielkie przyjęcie na uczczenie nadejścia zimy. Wszyscy w Tir Na Nog są zaproszeni, a zabawa będzie trwała całe dni.

Uśmiechnęła się szeroko i zaczęła podskakiwać w miejscu, aż jej dredy fruwały.

- Dobrze, że się teraz obudziłaś, mieszańcu. Tego przyjęcia na pewno nie chcesz przegapić!
 - Czy Oberon i Tytania przybędą?
 - Pan Spiczastouchy? - Tiaothin znów pociągnęła nosem. - Jest zdecydowanie zbyt ważny, by zadawać się z mrocznymi szumowinami. Nie, Oberon i jego wkurzająca królowa Tytania zostaną w Arkadii, gdzie im wygodnie. I dobrze. Tych dwoje sztywniaków potrafi popsuć każdą zabawę.
- A więc jednak będę zdana na siebie. I dobrze.

Letni Dwór przybył cały w muzyce i kwiatach, pewnie w opozycji do Zimowego, którego tradycji zaczynałam szczerze nienawidzić. Stałam po kostki w śniegu, z kołnierzem futra postawionym dla ochrony przed zimnem i obserwowałam kręcące się po dziedzińcu mroczne stworzenia. Ceremonia miała się odbywać na zewnątrz, na podwórku pełnym lodu i zamrożonych posągów. Błędne ogniki i świece unosiły się w powietrzu, sprawiając, że wszystko było w wiecznym zmierzchu. Dlaczego zimowe elfy nie mogły raz wyprawić przyjęcia nad ziemią? Tak strasznie tęskniłam za światłem słonecznym, że aż bolało.

Poczułam za sobą czyjąś obecność, a potem ktoś zachichotał mi przy uchu.

- Tak się cieszę, że udało ci się dotrzeć na przyjęcie, księżniczko. Bez ciebie byłoby strasznie nudno.

Skóra mi ścierpła i zduśliłam strach, gdy oddech Rowana załaskotał mnie w kark.

- Za nic bym tego nie przegapiła - odpowiedziałam obojętnym tonem.

Jego oczy wwiercały mi się w czaszkę, ale się nie odwróciłam.

- Co mogę dla ciebie zrobić, wasza wysokość?

- Och, to teraz gramy królową lodu? Brawo, księżniczko, brawo. Jaki pokaz odwagi po sklejeniu złamanego serca. Zupełnie nie spodziewałam się czegoś takiego po Lecie. - Obszedł mnie i stanął tak, że dzieliły nas ledwie centymetry, tak blisko, że widziałam swoje odbicie w jego niebieskich jak lód oczach. - Wiesz... - odezwał się, aż poczułam jego zimny oddech na policzku. - Mogę ci pomóc o nim zapomnieć.

Całą sobą pragnęłam się cofnąć, ale ani drgnęłam. Jesteś żelazem, przypomniałam sobie. On nie może cię skrzywdzić. Jesteś ze stali.

- Doceniam propozycję - odparłam, patrząc elfiemu księciu w oczy. - Ale nie potrzebuję twojej pomocy. Już mi przeszło.

- Doprawdy? - Rowan nie był przekonany. - A wiesz, że on stoi o tam, prawda? Udając, że na nas nie patrzy?

Zaśmiał się okropnie i uniosł moją dłoń do ust. Nim zdolałam się powstrzymać, w żołądku mi się zakotłowało.

- Pokażmy drogiemu Ashowi, jak bardzo ci przeszło. No księżniczko, wiesz, że tego chcesz.

Bardzo chciałam. Pragnęłam skrzywdzić Asha, sprawić, by był zazdrosny, zadać mu ten sam ból, jaki czułam ja. A Rowan był tuż obok, i to chętny. Wystarczyło się nachylić do tych krzywo uśmiechniętych ust. Zawahałam się. Rowan był piękny. Naprawdę mogłam gorzej trafić, jeśli chodzi o miłośćkę na pocieszenie.

- Pocałuj mnie - wyszeptał.

Zagrała trąbka, odbijając się echem po dziedzińcu, a powietrze wypełnił zapach róż. Nadciągał Jasny Dwór, a towarzyszyły mu ryki i piski zimowych stworzeń.

Podskoczyłam, wyrrywając się spod uroku.

- Cholera, przestań! - prychnęłam, wyrrywając mu rękę i się cofając.

Serce waliło mi jak oszalałe. Boże, prawie się na to nabrałam. Jeszcze pół sekundy i bym na niego poleciała. Zarumieniłam się ze wstydu.

Rowan się roześmiał.

- Gdy się rumienisz, jesteś prawie pociągająca - zachichotał, odsuwając się tak, bym nie mogła go uderzyć. - Do następnego razu, księżniczko. - Ukłonił mi się kpiąco i odszedł.

Rozejrzałam się ukradkiem, zastanawiając, czy Ash rzeczywiście nas obserwował, jak twierdził jego brat.

Ale chociaż dostrzegłam Sage'a i jego olbrzymiego wilka przy filarze nieopodal tronu Mab, to Asha nie było w zasięgu wzroku.

Przez oplecioną dziką różą bramę przeszło dwóch satyrów, ściskających blade trąbki z czegoś, co wyglądało jak kość. Uniosły rogi do ust i zadęły w nie, a dziedziniec wypełniło żałobne wycie, które wywołało wrzaski Mrocznego Dworu. Siedząca na lodowym tronie Mab obserwowała to wszystko z lekkim uśmiechem.

- Mam cię! - zasyczał głos i coś uszczypnęło mnie boleśnie w pośladek.

Krzyknęłam, odwróciłam się na pięcie do Tiaothin. która roześmiała się i odbiegła z rozwianymi dredami.

- Jesteś idiotką, mieszańcu - zadrwiła, gdy kopnęłam w nią śniegiem. Zrobiła unik. - Rowan jest dla ciebie za dobry i jest doświadczony. Prawie wszyscy, z magicznymi i śmiertelnymi chłopakami łącznie, oddaliby zęby, by mieć go dla siebie na jedną noc. Wypróbuj go. Zapewniam, że ci się spodoba.

- Nie jestem zainteresowana - odwarknęłam, patrząc na nią groźnie. Pośladek wciąż mnie bolał, więc odezwałam się ostro: - Mam dość gierki z elfimi książętami. Jak dla mnie. mogą iść do diabła. Już chyba wolę zrobić striptiz dla goblinów.

- Och! Będę mogła popatrzeć?

Zgromiłam ją wzrokiem i odwróciłam się do niej plecami, gdy pojawił się wreszcie Letni Dwór.

Na dziedziniec wpłynął rząd białych koni. Ich kopyta unosiły się nad ziemią, a oczy miały niebieskie jak letnie niebo. Na siodłach z kory, gałązek i ukwieconej winorośli siedzieli dumnie wyprostowani elficcy rycerze, wytworzeni w liściastych zbrojach. Za nimi satyry i krasnoludy w liberach Letniego Dworu niosły sztandary. A na końcu wjechał elegancki powóz opleciony cierniami i różami, po obu stronach szły ponure trolle, powarkując i szczerząc kły na tłumy zimowych stworzeń. Tiaothin pociągnęła nosem.

- W tym roku są strasznie przewrażliwieni - wyszeptwała, gdy troll przyłożył goblinowi, który zbliżył się za bardzo do powozu. - Ciekawe, co to za wysoka figura, że ma aż taką ochronę.

Nie odpowiedziałam, bo włoski na rękach zjeżyły mi się ostrzegawczo, chociaż jeszcze przez chwilę nie wiedziałam czemu. Powóz zatrzymał się, otwarty się drzwi...

I król Oberon, pan Jasnego Dworu, wyszedł na śnieg.

Mrocznym stworzeniom zaparło dech, prychnęły i odsunęły się od powozu, gdy król elfów powiódł beznamiętnym spojrzeniem po tłumie. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe.

Oberon wyglądał tak imponująco jak nigdy: szczupły, przedwieczny i potężny, o srebrnych włosach sięgających pasa i oczach jak blade liście. Miał na sobie szaty w kolorze lasu, brązowe, złote i zielone, a na czole pyszniła mu się rogata korona.

Obok mnie Tiaothin wpatrywała się w niego z otwartymi ustami i strzygła uszami.

- Oberon? - prychnęła, gdy obserwowałam, jak król elfów lustruje tłum, jakby kogoś poszukiwał. - Co tu robi ten Spiczastouchy?

Nie odpowiedziałam, bo w tym momencie Oberon wreszcie mnie dojrzał. Zmrużył oczy, a ja zdrząłam pod jego spojrzeniem. Ostatnim razem, gdy widziałam króla elfów, związałam z Jasnego Dworu, by odnaleźć brata. Posłał za mną Puka, ale ja przekonałam go, żeby pomógł mi. Po naszej ucieczce i oczywistym nieposłuszeństwie podejrzewałam, że Jasny Król nie był zadowolony z żadnego z nas.

Żołądek mi się ścisnął, a w gardle uwięzła gęba, gdy pomyślałam o Puku. Udało mi się przełknąć, nim jakiś mroczny stwór zauważył moją słabość, ale te wspomnienia wciąż mnie nękały. Jakże pragnęłam, aby był tu Puk. Zapatrzyłam się na powóz z nadzieją, że wyskoczy z niego chudy, rudowłosy elf z bezczelnym uśmiechem, ale tam go nie było.

- Pan Oberon - odezwała się neutralnym tonem Mab, ale było oczywiste, że i ona jest zaskoczona widokiem swojego odwiecznego przeciwnika. - Cóż za niespodzianka. Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

Oberon w otoczeniu trolli podszedł do tronu. Tłum mrocznych stworzeń rozstąpił się przed nim, aż dotarł przed sam tron.

- Pani Mab - odezwał się król, a jego potężny głos odbił się echem po dziedzińcu. - Przybyłem z żądaniem zwrotu mojej córki, Meghan Chase, na Letni Dwór.

Wśród mrocznych stworzeń zaczęto szeptać i wszystkie oczy skierowały się na mnie. Żelazo, przypomniałam sobie. Jesteś jak żelazo. Nie pozwól się przestraszyć. Wysłałam zza Tiaothin i ruszyłam na spotkanie zaskoczonych i rozłoszczonych spojrzeń.

Oberon skinął w stronę powozu, a trolle sięgnęły do środka i wyciągnęły dwóch bladych zimowych elfów, którzy mieli ręce związane za plecami za pomocą żywej winorośli.

- Przeprowadziłem jeńców na wymianę, zgodnie z zasadami - mówił dalej Oberon, gdy trolle pchnęły na przód więźniów. - Oddam ci twoich w zamian za wolność mojej córki...

- Obawiam się, że nastąpiło nieporozumienie. Oberonie - przerwała z delikatnym uśmiechem Mab. - Twoja córka nie jest więźniem Mrocznego Dworu, lecz gościem. Przybyła do nas z własnej woli po tym, jak zawarła z moim synem umowę. Jest związana umową z księciem Ashem i nie masz żadnego prawa żądać jej powrotu. Gdy zawrze się umowę, wszyscy mają obowiązek ją uszanować.

Oberon zeszywniał, po czym powoli spojrzął na mnie. Z trudem przetknęłam ślinę, gdy te stare jak czas oczy spoczęły na mnie.

- Czy to prawda, córko? - zapytał, a choć mówił cicho, jego głos zadudnił mi w uszach i sprawił, że ziemia się zatrzęsała.

Przygryzłam wargę i skinęłam głową.

- To prawda - wyszeptalam. - Zdaje się, że twój wilczy poddany nie powrócił, by ci przekazać tę informację.

Król elfów pokręcił głową.

- W takim razie nie mogę ci pomóc, szalona dziewczyno. Sama skazałaś się na ten los. Więc niech tak będzie.

Odrzucił się ode mnie, a gest ten był jaśniejszy niż jakiegokolwiek słowa i poczułam się tak, jakbym dostała cios w brzuch.

- Moja córka dokonała wyboru - ogłosił. - Więc zakończmy to.

I już? - pomyślałam, gdy Oberon zawrócił do powozu. Nie będziesz o mnie walczył, nie zawrzesz umowy z Mab, bym odzyskała wolność? Tylko dlatego, że weszłam w głupi układ, tak mnie tutaj zostawisz?

Najwyraźniej. Król elfów nie spojrzął na mnie więcej. Ruszył do powozu i skinął na trolle. Jeden z nich wrzucił mrocznych więźniów z powrotem do środka, a drugi otworzył ze stęknieniem drzwi z przeciwnej strony.

Na śnieg wyszła wysoka elfka o królewskich rysach. Mimo swojego wzrostu zdawała się tak delikatna, że mogłaby złamać się przy najmniejszym podmuchu powietrza. Jej kończyny były z patyczków, związanych razem trawą. Delikatne białe pączki wyrastały jej z głowy zamiast włosów. Z ramion spływała wspaniała peleryna stworzona ze wszystkich kwiatów pod słońcem - lilii, róż, tulipanów, żonkili i roślin, których nazw nawet nie znałam. Wokół niej latały pszczoły i motyle, a zapach róż był oszałamiający.

Ruszyła naprzód, a tłumy zimowych stworzeń odskoczyły od niej, jakby roznosiła zarazę. Ale to nie na tę kwietną kobietę wszyscy patrzyli, ale na to, co trzymała w dłoniach.

Berło, takie jak zwykli mieć królowie i królowe, tyle że to nie był tylko zwykły ozdobny przedmiot. Pulsowało delikatną bursztynową poświatą, jakby promienie słońca przyssały się do żywego drzewa, topiąc przy dotknięciu śnieg i lód. Długi trzonek opleciony był winoroślą, a z rzeźbionej głowicy nieustannie wysypywały się kwiaty, pączki i malutkie roślinki. Za kwietną panią pozostawał szlak z liści i płatków, a zimowe stworzenia trzymały się z dala, sycząc i powarkując.

U stóp tronu pani uklękła i uniosła berło w obu rękach, schylając głowę. Przez chwilę Mab nie robiła nic, po prostu obserwując kobietę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Reszta Zimowego Dworu jakby wstrzymała oddech. A potem, z wypracowaną powolnością, Mab wstała i wyrwała z rąk kobiety berło. Trzymając je przed sobą, przyjrzała mu się, a potem uniosła, by wszyscy mogli je zobaczyć.

Berło rozświetliło się, a złoty blask został zastąpiony przez lodowatoniebieski. Liście i kwiaty uschły i odpadły. Pszczoły i motyle posypały się martwe na ziemię, a ich delikatne skrzydełka pokrył szron. Berło jeszcze raz rozbłysło i zamieniło się w lód, rozświetlając cały dziedziniec.

Kwietna pani klęcząca przed królową zadrzała, a potem ona także zwiędła. Jej piękna szata uschła, kwiaty szczerniały i opadły na ziemię. Jej włosy skręciły się, obeschły i się pokruszyły. Usłyszałam pęknięcie gałązek i jej nogi złamały się w kolanach, nie mogąc już dłużej utrzymać wiotkiego ciała. Padła na śnieg, zadrzała i znieruchomiała. Gdy patrzyłam przerażona, zastanawiając się, czemu nikt nie ruszył jej na pomoc, zapach róż zniknął, zastąpiony przez smród gnijących roślin.

- Stało się - odezwał się zmęczonym głosem Oberon. Uniósł głowę i spojrzał w oczy Mab. - Wymiana się dokonała, aż do letniej równonocy. A teraz, jeśli pozwolisz, królowo Mab, musimy wracać do Arkadii.

Mab posłała mu drapieżne spojrzenie.

- Nie zostaniesz, panie Oberonie? - wychrypiała. - Nie będziesz z nami świętował?

- Raczej nie, pani. - Jeśli Oberona zaniepokoił sposób, w jaki patrzyła na niego Mab, to nie dał tego po sobie poznać. - Koniec lata to nie coś, czego wypatrujemy z radością. Obawiam się, że muszę odmówić. Ale ostrzegam, królowo Mab, to nie koniec. Tak czy inaczej odzyskam córkę.

Na te słowa poderwała głowę. Może jednak Oberon po mnie wróci. Ale Mab zmarszczyła brwi, głaszcząc drzewce berła.

- To brzmi niepokojąco podobnie do groźby, królu elfów.

- To tylko obietnica, pani. - I gdy Mab wciąż świdrowała go spojrzeniem, Oberon odwrócił się do niej plecami i pomaszerował do powozu. Troll otworzył przed nim drzwi, a król wsiadł do środka, nie spojrzawszy za siebie. Woźnica strzelił lejcami i letnia świta ruszyła, coraz mniejsza i mniejsza, aż zniknęła w ciemnościach.

Mab się uśmiechnęła.

- Lato się skończyło - ogłosiła swoim ochryplym głosem, unosząc drugą rękę tak, jakby chciała objąć swoich poddanych. - Nadeszła zima. A teraz niech się rozpocznie hulanka!

Mroczne stworzenia oszalały. Zaczęły ryczeć, wrzeszczeć i wyć w ciemnościach. Rozległa się skądś dzika, mroczna muzyka, a bębny zaczęły wybijać szybki, szalony rytm. Stwory zbiły się w chaotyczną, poskręcaną masę, podskakując, skowycząc i kręcąc się jak oszalałe, radując się z nadchodzącej zimy.

Nie poszłam na przyjęcie. Po pierwsze, nie byłam w nastroju, a po drugie, tańce z mrocznymi stworzeniami nie wydawały mi się najlepszym pomysłem. Zwłaszcza po tym, gdy zobaczyłam, jak grupa pijanych, podnieconych urokiem czerwonych kapturków zaatakowała bogina i rozerwała go na strzępy. To było jak pod sceną na jakimś piekielnym koncercie. Przez większość czasu kryłam się w cieniu, starając się unikać czyjegokolwiek wzroku i zastanawiając, czy Mab uznałaby, że to niegrzeczne, gdybym wróciła do swojego pokoju. Patrząc na zamrożone posągi ludzi i elfów porozstawiane po dziedzińcu, uznałam, że nie będę ryzykować.

Przynajmniej Rowana nie było na zabawie albo krył się gdzieś, gdzie go nie widziałam. A szykowałam się na całą noc odtrącania jego zalotów. Asha też z jakiś przyczyn nie było, co przyjąłam z ulgą, ale i zawodem. Uświadomiłam sobie, że go szukam, wpatruję się w cienie i tłumy tańczących, rozglądając się za znajomą potarganą głową albo błyskiem srebrnego oka.

Przestań, pomyślałam, gdy uświadomiłam sobie, co robię. Jego tu nie ma. A nawet gdyby był, to co byś zrobiła? Poprosiła go do tańca? Jasno dał do zrozumienia, co o tobie sądzi.

- Przepraszam, księżniczko.

Przez moment serce mi zamrło na dźwięk tego delikatnego, głębokiego głosu. Mógł należeć zarówno do Rowana, jak i do Asha, tak podobnie brzmiały ich głosy. Zebrałam się w sobie i odwróciłam, ale to nie Ash tam stał. Na szczęście nie był to też Rowan. To był trzeci brat, najstarszy. Sage.

Do licha, on też był piękny. Co jest z tą rodziną, że wszyscy synowie są tak niesamowicie przystojni, że aż boli, gdy się na nich patrzy? Sage miał bladą twarz i wysokie kości policzkowe swoich braci, a oczy jak odłamki zielonego lodu, wyglądające spod wąskich brwi. Długie czarne włosy spływały mu z ramion jak wodospad atramentu. Jego wilk siedział kilka kroków dalej, obserwując mnie inteligentnymi złotymi oczami.

- Księżę Sage - przywitałam się ostrożnie, przygotowana bronić się przed kolejnym atakiem. - Czy mogę ci w czymś pomóc, wasza wysokość?

Czy po prostu postanowiłeś się do mnie przystawiać jak Rowan albo kpić ze mnie jak Ash?

- Chcę z tobą porozmawiać - odparł bez ceregieli księżę. - Sam na sam. Przejdziesz się ze mną kawalek?

Tego się akurat nie spodziewałam, ale mimo to zawahałam się zaniepokojona.

- Dokąd idziemy?

- Do sali tronowej - odparł Sage, spoglądając na pałac. - Moim obowiązkiem tej nocy jest strzeżenie berła, jako że tylko ci królewskiej krwi mają prawo go dotykać. A przy całym chaosie hulanki najlepiej trzymać je z dala od tłumów. Inaczej mogłoby się to źle skończyć.

Gdy zatrzymałam się, aby to przemyśleć, wzruszył szczupłym ramieniem.

- Nie będę cię zmuszać, księżniczko. Pójdiesz ze mną albo nie, to bez różnicy. Chciałem po prostu porozmawiać z tobą gdzieś, gdzie Rowan, Ash ani żadna opolda nie będą próbowali nas podsłuchiwać.

Czekał cierpliwie, gdy rozważałam opcje. Mogłam odmówić, ale nie byłam pewna, czy tego chcę. Sage zdawał się szczery, wręcz rzeczowy. Inny niż jego bracia. Nie próbował być uroczy, ale też nie był protekcyjny. I w odróżnieniu od Rowana, który aż ociekał wdziękiem i złośliwością, nie używał magicznego uroku i chyba to mnie ostatecznie przekonało.

- Dobrze - stwierdziłam, machając ręką. - Porozmawiam z tobą. Prowadź.

Podał mi ramię, czym znów mnie zaskoczył. Po chwili wahania wzięłam je i ruszyliśmy, a za nami szedł bezgłośnie wilk.

Sage zaprowadził mnie z powrotem do pałacu, pustymi korytarzami spowitymi lodem i cieniem. Wszystkie mroczne stworzenia bawiły się na zewnątrz. Moje kroki głośno odbijały się od twardych podłóg. Jego i wilka nie wydawały żadnego dźwięku

- Widziałem ciebie - wyszeptał Sage, nie patrząc na mnie. Minął róg tak gładko, że aż potknęłam się, próbując dotrzymać mu kroku. - Obserwowałem cię razem z moim bratem. I chcę cię ostrzec, że nie powinnaś mu ufać.

Prawie się roześmiałam na tę oczywistość.

- Któremu? - zapytałam gorzko.

- Żadnemu.

Pociągnął mnie do kolejnego korytarza. Ten rozpoznałam. Byliśmy teraz nieopodal sali tronowej. Sage, nie zwalniając kroku, kontynuował:

- Nie wiesz, jaka wrogość panuje pomiędzy Ashem i Rowanem, jak głęboko sięga ich rywalizacja. Zwłaszcza ze strony Rowana. Zazdrość, jaką czuje wobec swojego najmłodszego brata, jest jak trucizna, zjadająca go od środka, sprawiająca, że jest zgorzkniały i mściwy. Nigdy nie wybaczył Ashowi śmierci Arielli.

Weszliśmy do sali tronowej, pięknej na swój oziębły, lodowy sposób. Sage puścił moją rękę i podszedł do tronu, a jego wilk poczłapał za nim. Zadrżałam, otulając się mocniej płaszczem. Tutaj było zimniej niż na zewnątrz.

- Ale to nie Ash był odpowiedzialny za śmierć Arielli - odezwałam się, rozcierając ramiona. - To... - Zamilkłam, nie chcąc powiedzieć tego głośno.

To Puk zaprowadził ich prosto w paszczę niebezpieczeństwa. To on był odpowiedzialny za śmierć ukochanej Asha.

Sage nie odpowiedział. Stał kilka kroków przed lodowym tronem Mab i wpatrywał się w coś na ołtarzu obok. Chwilę później uświadomiłam sobie, że to właśnie jest źródło potwornego zimna wypełniającego salę. Berło Pór Roku unosiło się kilkanaście centymetrów nad ołtarzem, zalewając twarz księcia lodowato niebieskim światłem.

- Piękne, prawda? - wyszeptał, przesuwając palcami po zamrożonym trzonku. - Widzę je co roku i nigdy nie przestaje mnie zadziwiać.

Oczy mu rozbłyły. Zdawało się, że jest w jakimś transie.

- Któregoś dnia, o ile Mab znudzi się kiedyś bycie królową, to mnie ono przypadnie, to ja nim będę władała. A gdy to nastąpi...

Nie usłyszałam reszty, bo w tym momencie wilk warknął głęboko i nisko, obnażając kły.

Sage odwrócił się na pięcie. Jednym zgrabnym ruchem wyciągnął miecz z pochwy u pasa. Zagapiłam się na nań. Był bardzo podobny do miecza Asha, prosty i wąski, o świecącej zimno klindze. Zadrżałam, przypominając sobie, jakie to uczucie dotknąć rękojeści miecza, gdy okropne zimno wgryza się w skórę. I przez chwilę byłam przerażona. On mnie zabije. To dlatego zwabił mnie tu samą. Od początku zamierzał mnie zabić.

- Jak się tu dostaliście? - wysyczał Sage.

Odwróciłam się. A tam, spod czarnej ściany z cienia wychynęło kilka ciemnych postaci. Cztery były chude, wręcz patykowate, a ich ciała były zrobione z poskręcanych w kształt kończyn i tułowia kabli. Przypominały wielkie marionetki, gdy tak biegły po ziemi na czterech łapach. Powarkiwania wilka zamieniły się w groźny charkot.

Serce mi się ścisnęło, gdy kolejna postać wkroczyła w snop światła, ubrana w metalową zbroję płytową ozdobioną koroną z drutu kolczastego. Miał hełm, ale przyłbica była podniesiona, ukazując twarz tak mi znaną, jak moja własna. Nie dało się pomylić tej bladej skóry, tych głębokich szarych oczu.

Spod przyłbicy spojrzała na mnie twarz Asha, o oczach ponurych jak zimowe niebo.

4. Kradzież.

- Ash? - wymamrotał niedowierzająco Sage.

Pokręciłam głową, ale księżę nie patrzył w moją stronę. Rycerz zamrugał, posyłając Sage'owi poważne spojrzenie.

- Obawiam się, że nie, księżę Sage - odezwał się i zadrżałam, słysząc, jak bardzo podobnie brzmi do prawdziwego Asha. - Twój brat był tylko wzorem użytym do stworzenia mnie.

- Tercjusz - wyszeptałam, a sobowtór Asha posłał mi zboląły uśmiech.

Ostatnim razem widziałam tego żelaznego rycerza na wieży Machiny, na chwilę przed tym, jak się zawaliła. Nie miałam pojęcia, jak mógł się uratować.

- Co ty tu robisz?

Tercjusz spojrział mi w oczy, jego były puste i martwe, i tak bardzo przypominały te Asha, że aż ścisnęło mi serce.

- Wybacz, księżniczko - wyszeptał i machnął ręką.

Żelazne stwory rzuciły się na mnie z krzykiem przypominającym dźwięk tartych o siebie noży. Były zaskakująco szybkie, gnając jak szare plamy po podłodze. Nim mnie dopadły, odniosłam głupie wrażenie, że atakuje mnie stado metalowych pajaków, Pierwszy z nich skoczył i zamachnął się zakrzywionym drucianym szponem prosto w moją twarz. Ale zamiast niej natknął się na błyszczący niebiesko miecz, krzesząc o ostrze snopy iskier, aż łzy napłynęły mi do oczu. Zimowy księżę wyciągnął dłoń, z której wystrzeliła lodowa włócznia i poleciała w stronę żelaznych stworzeń. Te z niesamowitą prędkością zrobiły unik i odskoczyły, dając nam czas na ucieczkę. Sage złapał mnie za nadgarstek i pociągnął za tron.

- Nie wchodź pod nogi! - zawołał w chwili, gdy stwory przelazły przez tron, pozostawiając w lodzie głębokie bruzdy i rzuciły się znów na nas.

Sage zamachnął się na jednego, ale ten odskoczył. Z tyłu wyskoczył kolejny i zaatakował stalowymi szponami. Księżę zrobił unik, ale nie był dość szybki i posadzkę skropiła krew.

Ścisnęło mnie w żołądku na widok chwiejącego się księcia, który zataczał mieczem koła w desperackiej próbie odparcia atakujących. Ale było ich za dużo i byli zbyt szybcy. Gorączkowo rozglądałam się za jakąś bronią, ale jedyne, co spostrzegłam, to berło leżące u stóp tronu. Wiedząc, że najprawdopodobniej łamię całe mnóstwo różnych uświęconych zasad, rzuciłam się w jego stronę i złapałam za zmrożony trzonek.

Zimno przeszło mi ręce, pałac jak kwas. Jęknęłam i prawie je upuściłam, zaciskając z bólu zęby. Sage stał w środku grupy kołujących się stworów, za wszelką cenę próbując utrzymać je na dystans. Na jego twarzy i klatce piersiowej dostrzegłam czerwone smugi. Próbując zignorować przeszywający ból, podbiegłam do odwróconego plecami do mnie drucianego pająka, uniosłam nad głowę berło i z całej siły uderzyłam nim w patykowate ciało stwora.

Obrócił się z zatrważającą szybkością. Nawet nie zauważyłam zbliżającego się ciosu, póki nie dostałam w twarz, aż gwiazdy pojawiły mi się przed oczami. Poleciałam do kąta, walnęłam głową w coś twardego i padłam na ziemię. Berło wysunęło mi się z ręki i potoczyło po posadzce. Oszołomiona patrzyłam, jak stwór nadbiega, po czym nagle gwałtownie się zatrzymuje, jakby pociągnięty niewidzialnymi sznurkami. Zaczął pokrywać go lód, wspinając się po przewodach, podczas gdy przerażony stwór rył pazurami własne ciało. Cienkie druciane odnóża odpadły, a stwór szarpał się coraz słabiej, aż wreszcie zwinął się w kulkę jak olbrzymi owad i znieruchomiał.

Brakowało mi powietrza, by krzyknąć. Próbowałam odsunąć się od ściany, ale wszystko kręciło się okropnie, a żołądek podchodził mi do gardła. Usłyszałam zbliżające się kroki i otworzyłam oczy. Zobaczyłam, jak Tercjusz nachyla się, by podnieść Berło Pór Roku.

- Nie - wydusiłam, próbując podnieść się na nogi. Podłoga zakolysała się pode mną i znów się zachwiałam. - Co ty robisz?

Żelazny elf popatrzył na mnie poważnymi szarymi oczami.

- Wypełniam rozkazy mojego króla.

- Króla? - Próbowałam się skupić.

Wszystko zdawało się poruszać w zwolnionym tempie. Kilka kroków dalej Sage wciąż walczył z zamachowcami. Wilk zaciskał szczęki na nodze jakiegoś stwora, a księżę bezlitośnie dźgał go mieczem.

- Nie masz już króla - odpowiedziałam Tercjuszowi, czując zawroty głowy i odrętwienie. - Machina nie żyje.

- Tak, ale nasze królestwo przetrwało. Spełniam rozkazy nowego Żelaznego Króla - wyszeptał Tercjusz, wyciągając miecz.

Spojrzałam na stalową klingę z nadzieją, że pójdzie szybko.

- Nie żywię do ciebie urazy, tym razem. Moje rozkazy nie nakazują mi zabicia ciebie. Ale muszę służyć mojemu panu.

I z tymi słowami odwrócił się na pięcie i odszedł, wciąż ściskając Berło Pór Roku, które w jego dłoni pulsowało na niebiesko i biało, pokrywając jego rękawicę szronem, ale nie upuścił go. Miał ponurą minę, gdy podchodził do wciąż walczącego z przeciwnikami Sage'a. Wilk padł w kałuży krwi, a księżę z trudem łapał oddech w tej nierównej walce. Z przerażeniem uświadomiłam sobie, co zamierzał zrobić Tercjusz, i krzyknęłam ostrzegawczo.

Za późno. Gdy Sage zadał cios jednemu ze stworów, nie widział, jak żelazny rycerz skrada się za nim, aż do ostatniej chwili. Uświadamiając sobie w końcu niebezpieczeństwo, Sage obrócił się gwałtownie i zamachnął mieczem, celując w głowę Tercjusza. Rycerz odrzucił klingę i gdy Sage zatoczył się do tyłu, postąpił krok naprzód, zatapiając swój miecz w pierś zimowego księcia.

Czas jakby się zatrzymał. Sage stał tak przez chwilę, wpatrując się we wbite ostrze z wyrazem zaskoczenia na twarzy, jego własny miecz padł z brzękiem na posadzkę.

A potem Tercjusz wyrwał mu z piersi broń. Jęknęłam. Sage osunął się na podłogę, a z rany pociekła na lód krew. Żelazne stwory spięły się do skoku, ale Tercjusz zagroził im drogę mieczem.

- Starczy. Mamy to, po co przybyliśmy. Chodźmy. - Strząsnął krew z klingi i wsunął miecz do pochwy. Spojrzał w stronę zamrożonego stwora. - Weźcie swojego kompana, szybko. Nie możemy zostawić po sobie żadnych śladów.

Żelazne stwory ruszyły wykonać zadanie, podniosły na ramiona martwe ciało, uważając, by nie dotknąć lodu, który przeszywał mu skórę. Zebrały nawet kawałki z posadzki. Tercjusz odwrócił się do mnie z ponurą miną, w chwili gdy mnie zaczynało ciemnieć przed oczami.

- Żegnaj, Meghan Chase. Mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy.

Odwrócił się i ruszył za stworami, znikając mi z oczu. Odwróciłam głowę, by popatrzeć, dokąd idą, ale już ich nie było.

Głowa mnie bolała, a przed oczami wciąż robiło mi się ciemno. Kilka razy odetchnęłam głęboko, by rozjaśnić obraz. Nie mogłam teraz zemdleć. Powoli ciemności znikwały, a ja wyprostowałam się i rozejrzałam wokół. W sali tronowej znów było cicho, jeśli nie liczyć walenia mojego serca, które zdawało mi się nienaturalnie głośne. Krew upstrzyła ściany i zebrała się na podłodze, obrzydliwie jaskrawa na tle białego lodu. Ołtarz, na którym spoczywało do tej pory berło, był pusty.

Powiodłam wzrokiem w stronę dwóch ciał, które pozostały ze mną w sali. Sage leżał na plecach, wpatrując się w sufit i z trudem łapiąc powietrze. Kilkanaście centymetrów od jego dłoni spoczywał jego miecz. Kawałek dalej kudłate cielsko wilka, którego szare futro splamione było krwią, leżało zwinięte na lodzie.

Kulejąc, podbiegłam do Sage'a, mijając zwłoki biednego wilka. Szczęki zwierzęcia były rozwarłe, a pomiędzy zakrwawionych kłów wysunął się język. Zwierz zginął, broniąc swojego pana, a mnie na tę myśl zrobiło się przykro.

Gdy dotarłam do Sage'a, przez ciało księcia przeszedł dreszcz. Jego głowa odchyliła się do tyłu. usta otwarły, a na wargi wpełzł lód, który zaczął się rozprzestrzeniać po jego twarzy, klatce piersiowej, aż do stóp. Księżę zeszywniał, a powietrze wokół nas się ochłodziło. Lód skrzypiał, otaczając go kryształowym kokonem.

Nie. Przyjrzałam się uważniej i uświadomiłam sobie, że to ciało Sage'a zamienia się w lód. Jego zacisnięte palce zdrzały, straciły kolor i stały się nagle twarde i przejrzyste. Kciuk odpadł i potoczył się po podłodze. Zacisnęłam na twarzy obie ręce, by powstrzymać krzyk. Albo wymioty. Sage po raz ostatni drgnął i znieruchomiał jako zimny, twardy posąg w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było żywe ciało.

Najstarszy syn Zimowego Dworu był martwy. I właśnie w takim stanie odnalazła nas chwilę potem Tiaothin.

Później niewiele mogłam sobie przypomnieć z tamtej chwili, ale pamiętałam zszokowany i wściekły wrzask opoldy, która pobiegła, by powiadomić o tym resztę dworu. Słyszałam, jak jej piskliwy głos odbija się od ścian korytarza. Wiedziałam, że powinnam się pewnie ruszyć, ale byłam jakby zmrożona, pozbawiona wszelkich uczuć. Nie odeszłam od boku księcia, dopóki nie pojawił się Rowan z zastępem strażników, którzy rzucili się na mnie z wściekłością. Szorstkie ręce złapały mnie za ramiona i włosy, odciągając od ciała Sage'a i zupełnie nie zwracając uwagi na moje okrzyki protestu i bólu. Próbowałam krzyczeć, by Rowan wysłuchał, co się stało, ale nie patrzył na mnie.

Za nim do sali weszły tłumy mrocznych stworzeń, a na widok martwego księcia zaczęły ryczeć z oburzenia i wściekłości Elfy krzyczały i płakały, rwąc włosy i atakując innych, żądają zemsty i krwi. Oszołomiona uświadomiłam sobie, że mroczne stworzenia są oburzone tym, że ktoś zabił zimowego księcia na ich własnym terytorium. Że ktoś ważył się wedrzeć i zabić jedno z nich tuż pod ich nosem. Nie było żalu ani smutku po samym księciu, tylko wściekłość i żądanie zemsty za taką zuchwałość. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek będzie szczerze tęsknił za najstarszym księciem Zimy.

Rowan stał nad ciałem Sage'a i przyglądał się swojemu bratu z przerażająco pustą miną. Pośród tych ryków i zawodzeń zebranych wokół stworzeń patrzył na swojego brata z zaciekawieniem, jakie można by okazać leżącemu na chodniku martwemu ptakowi. Aż mi skóra ścierpła.

W sali zapadła cisza, a chłód ogarnął wszystko jak lodowy koc. Obróciłam się w uścisku strażnika i ujrzałam stojącą w drzwiach Mab, wpatrzoną w ciało Sage'a. Gdy wkroczyła do sali, wszyscy się odsunęli. Gdy szła do jego ciała, można by było usłyszeć dźwięk spadającej szpilki. Nachyliła się nad nim i dotknęła jego lodowatego, zamrożonego policzka. Zadrżałam, bo temperatura wciąż spadała. Nawet niektóre zimowe stworzenia wyglądały nieswojo, gdy na suficie zaczęły się pojawiać nowe sople, a na ich skórę i futra wpełzł szron. Mab wciąż nachylała się nad Sage'em z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale jej usta koloru morwy rozchyliły się i wyszeptała jedno słowo:

- Oberon.

A potem krzyknęła i świat rozsypał się na kawałki. Sople eksplodowały, rozlatując się na wszystkie strony jak lodowe odłamki, obsypując wszystkich wokół. Ściany i podłoga popękały, a wszystkie stworzenia z piskiem uciekły w korytarze.

- Oberon - Mab zawyła wściekle, obracając się z przerażającą, szaloną miną. - On to zrobił! To jego zemsta! Och, Lato zapłaci! Będą płacić, aż będą krzyczeć o litość, ale nie znajdą współczucia na Zimowym Dworze! Ale odpłacimy im za tę okrutną zbrodnię sownie, moi poddani! Szykujcie się do wojny!

- Nie! - Mój głos utonął w ryku mrocznych stworzeń.

Wyrwałam się z uścisku strażnika i chwiejnie podeszłam na środek sali.

- Królowo Mab - wyjąkałam, gdy Mab odwróciła się do mnie i spojrzała tym przerażającym wzrokiem, przepełnionym wściekłością i szaleństwem. - Proszę, wysłuchaj mnie! Oberon tego nie zrobił! Letni Dwór nie zabił Sage'a. To był Żelazny Król. Żelazne stwory go zabiły!

- Zamilcz! - wysyczała królowa przez zaciśnięte zęby. - Nie będę słuchać tych żalosnych prób ochrony twojej przeklętej rodziny, nie teraz, gdy Letni Król groził mi na moim własnym dworze. Twój ojciec zamordował mojego syna, więc zamilcz, bo się zapomnę i oddam oko za oko!

- Ale to prawda! - drążyłam dalej, chociaż mój mózg krzyczał, żebym się wreszcie zamknęła.

Rozejrzałam się rozpaczliwie wokół i spostrzegłam Rowana, który przyglądał mi się z bladym uśmiechem. Ash by mnie poparł, ale najmłodszego księcia, jak zwykle, nie było wtedy, gdy go potrzebowałam.

- Rowan, proszę. Pomóż mi. Nie kłamie. Wiesz o tym.

Spojrzał na mnie poważnie i przez moment naprawdę myślałam, że mi pomoże, gdy nagle uniósł kącik ust w paskudnym uśmiechu.

- To nieładnie zwodzić królową, księżniczko - odezwał się z ponurą miną i tylko w jego oczach widziałam kpinę. - Gdyby te żelazne stworzenia stanowiły zagrożenie, już dawno byśmy je odkryli, nie sądzisz?

- Ale one istnieją! - zawołałam, będąc na skraju paniki. - Widziałam je; naprawdę są groźne!

Odróciłam się z powrotem do Mab.

- A co z tym wielkim, ziejącym ogniem koniem z żelaza, który prawie zabił twojego syna? Nie sądzisz, że to jest zagrożenie? Wezwij Asha. Był przy tym, jak walczyliśmy z Żelaznym Koniem i Machiną. On mnie poprze.

- Starczy tego! - zaskrzeczała Mab, zwracając się do mnie. - Mieszkańcu, posunęłaś się za daleko! Twoja krew pozbawiła mnie już jednego syna i nie pozwolę ci tknąć drugiego! Wiem, że próbujesz go nastawić przeciwko mnie, twierdząc bluźnierczo, że go kochasz, ale nie dopuszczę do tego! - Wycelowała we mnie swój wymanikiurowany paznokieć, z którego wystrzeliła niebieskobiała smuga, gdy się cofnęłam. - Zamilknieś raz na zawsze!

Coś złapało mnie za stopy i przytrzymało mocno. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, jak lód otacza moje nogi i z zatrważającą szybkością wspina się wyżej. W mgnieniu oka dotarł do pasa i przesuwając się dalej, na brzuch i klatkę piersiową. Lodowe igiełki kłuły moją skórę, oplotłam się ramionami na moment przed tym, jak przymarzyły do mojej klatki piersiowej. A lód dalej przesuwając się w górę, na szyję, piekł w podbródek. Wpadłam w panikę, gdy pokrył moją dolną szczękę, i krzyknęłam, gdy zalał mi usta. Nim zdołałam nabrać kolejny haust powietrza, zakrył mi nos, policzki, oczy, aż wreszcie dotarł do czubka głowy. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam oddychać. Płuca piekły mnie z braku powietrza, ale usta i nos były wypełnione lodem. Tonęłam, dusiłam się, a skóra bolała tak, jakby odpadała z zimna. Chciałam zemdleć, pragnęłam, by pochłonęła mnie ciemność, ale mimo że nie mogłam oddychać i płuca żądały powietrza, nie umarłam.

Po drugiej stronie lodu wszystko ucichło. Mab stała przede mną, obserwując mnie z triumfem i nienawiścią. Odwróciła się do swoich poddanych i przyjrzała im nieufnie, zupełnie jakby ich też zamierzała zaatakować.

- Szykujcie się, moi poddani! - zawyła, unosząc ręce. - Wojna z Latem właśnie się rozpoczyna!

Rozległ się kolejny ryk, po czym mroczne stworzenia rozbiegły się, wyrzaskując wojenne okrzyki. Mab rzuciła mi przez ramię ostatnie spojrzenie, uśmiechając się krzywo, po czym wyszła z sali. Rowan wpatrywał się we mnie jeszcze przez chwilę, zachichotał i podążył za swoją królową.

Zapadła cisza, a ja zostałam sama, konając, ale nie mogąc umrzeć.

Gdy nie da się odetchnąć, każda sekunda zdaje się wiecznością. Całe moje życie ograniczyło się do próby nabrania oddechu. Chociaż głowa wiedziała, że to niewykonalne, ciało nie chciało tego zrozumieć. Czułam, jak serce wali mi ciężko w piersi. Czułam okropne zimno przeszywające skórę. Moje ciało wiedziało, że wciąż żyje, i toczyło o to życie bój.

Nie wiem, jak długo tak stałam, całe godziny czy tyli kilka minut, gdy do sali wślizgnęła się jakaś postać. Chociaż widziałam, co się dzieje wokół, lód sprawiał, że wszystko było niewyraźne i nie wiedziałam, kto nadchodzi. Cień zawahał się przy drzwiach, przyglądając mi się długo. A potem szybka przemknął przez salę i stanął obok mojego więzienia, kładąc bladą rękę na lodzie.

- Meghan - wyszeptał głos. - To ja.

Mimo wywołanej brakiem tlenu maligny serce aż mi podskoczyło z radości. Srebrzyste oczy Asha spojrzwały przez dzielącą nas ścianę, tak jasne i smutne jak nigdy. Ból na jego twarzy mnie zaskoczył, zupełnie jakby to on był uwięziony i nie mógł oddychać.

- Poczekaj - wyszeptał, dotykając przez lód swoim czołem do mojego. - Wyciągnę cię stąd.

Odsunął się, położył obie ręce na lodzie i zamknął oczy. Powietrze zaczęło drżeć. Otaczające mnie ściany zadrżały a w lodzie pojawiły się cieniutkie pęknięcia. Moje więzienie rozpadło się z dźwiękiem tłuczonego szkła, odłamki rozsypały się wokół, ale jakoś żaden mnie nie skaleczył. Nogi ugięły się pod mną i upadłam, dławiąc się i kaszląc, wymiotując wodą i odłamkami lodu. Ash ukląkł przy mnie, a ja przytuliłam się do niego, z trudem łapiąc powietrze, czując, jak wszystko kręci się wokół. Jakimś cudem, mimo oszałamiającego przypiływu powietrza i ulgi, że wreszcie mogę oddychać, zauważyłam, że Ash też mnie przytula. Otoczył mnie mocno ramionami, przyciskał do piersi, położył policzek na moich mokrych włosach. Słyszałam szybkie bicie jego serca i o dziwo to mnie trochę uspokoiło.

Ale chwila ta zbyt szybko się skończyła. Książę odsunął się i zarzucił mi swój czarny płaszcz na ramiona. Owinęłam się nim z wdzięcznością. Dygotałam.

- Dasz radę iść? - szepnął nagle. - Musimy się stąd wynosić, natychmiast.

- D... dokąd idziemy? - zapytałam, szczękając zębami.

Nie odpowiedział, tylko pomógł mi wstać i rozejrzał się ostrożnie. Złapał mnie za nadgarstek i zaczął prowadzić do wyjścia z sali.

- Ash - wyjąkałam. - Czeka!

Nie zwolnił. Rozzłościłam się. Z całej siły zaparłam się pośrodku sali i wyrwałam mu rękę. Odwrócił się gwałtownie i zmrużył oczy, a ja przypomniałam sobie wszystko, co mówił Rowanowi, że to, co robił, było dla jego królowej. Odsunęłam się od niego.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytałam ostro.

Spojrzał na mnie zniecierpliwiony i przeczesał palcami włosy w nietypowym dla niego nerwowym geście.

- Z powrotem na tereny Jasnego Dworu - warknął, sięgając po moją rękę. - Nie możesz tu być, skoro zaraz zacznie się wojna. Bezpiecznie przeprowadzę cię na twoją stronę i skończę z tym.

Poczułam się tak, jakby mnie uderzył. Strach i złość zagotowały się we mnie, sprawiając, że zaczęłam się głupio zachowywać, że znów miałam ochotę go skrzywdzić.

- Czemu miałabym ci zaufać? - parsknęłam, zarzucając go gradem słów jak kamieniami.

Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że zachowuję się jak idiotka, że musimy się stąd wynosić, nim ktoś nas zauważy, ale czułam się tak, jakbym znów zjadła grzybek prawdy, i słowa po prostu wylewały się ze mnie.

- Od początku mnie zwodziłeś. Wszystko co mówiłeś, co robiłeś, miało na celu sprowadzenie mnie tutaj. Wrabiałeś mnie od samego początku!

- Meghan...

- Zamknij się! Nienawidzę cię! - Nakręciłam się i czułam mściwą satysfakcję z tego, jak Ash skrzywił się, jakbym go ugodziła prawdziwym ostrzem. - Niezłe z ciebie ziółko, wiesz? Lubisz się tak bawić? Rozkocharać w sobie głupią śmiertelniczkę, a potem śmiać się, jak wrywasz jej serce? Widziałeś, co robił Rowan i nie kiwnąłeś palcem, by go powstrzymać!

- Oczywiście, że nie! - prychnął Ash, a jego gwałtowność mnie uciszyła. - Wiesz, co by zrobił Rowan, gdyby dowiedział się... co jest między nami? Wiesz, co zrobiłaby Mab? Musiałem sprawić, by uwierzyli, że mi na tobie nie zależy, bo inaczej rozszarpałby cię na sztuki.

Westchnął ciężko i popatrzył na mnie ponuro.

- Emocje to tutaj słabość, Meghan. A Zimowy Dwór żeruje na słabszych. Zraniliby cię po to, by dostać się do mnie. A teraz chodź. - Znów wyciągnął do mnie rękę, a ja podałam mu ją bez słowa. - Wynośmy się stąd, nim będzie za późno.

- Obawiam się, że już jest za późno - rozległ się złośliwy, znajomy głos, a mnie serce zamarło.

Ash zatrzymał się gwałtownie i pociągnął mnie za siebie gdy Rowan wynurzył się z korytarza, uśmiechając się jak kot do upolowanej myszy.

- Obawiam się, że wasz czas właśnie się skończył.

5. Bracia.

- Witaj, Ash. - Starszy książę uśmiechnął się triumfalnie, wchodząc powoli do sali. Spojrzał mi w oczy i uniósł sardonicznie brew. - I co, jeśli mogę spytać, robisz z tym mieszkańcem? Czyżbyś pomagał jej uciec? Ojej, cóż za okropny, zdradziecki pomysł. Jestem pewien, że matka będzie bardzo zawiedziona twoją postawą.

Ash nic nie powiedział, tylko zacisnął mocno dłoń na mojej ręce. Rowan zachichotał, krążąc wokół nas jak głodny rekin.

Ash obracał się wraz z nim, wciąż odgradzając go ode mnie swoim ciałem.

- A więc, braciszku... - odezwał się w zadumie starszy książę. - Tak się zastanawiam. Cóż cię skłoniło do tego, by zaryzykować wszystko dla naszej krnąbrnej księżniczki?

Ash nic nie powiedział, a Rowan syknął:

- Nie bądź uparty, braciszku. Możesz mi przecież powiedzieć, nim królowa rozerwie cię na strzępy i wygna z Tir Na Nog. Jaka jest cena tej niezwyklej wierności? Umowa? Obietnica? Co ta ladacznica daje ci w zamian za to, że zdradzasz swój dwór?

- Nic. - Głos Asha był zimny, ale usłyszałam w nim delikatne drżenie.

Najwyraźniej Rowan też to zauważył, bo uniósł wysoko brwi i spojrzał zaskoczony na brata, po czym odchylił głowę do tyłu i wybuchnął dzikim śmiechem.

- Nie wierzę - sapnął, wpatrując się niedowierzająco w Asha. - Zakochałeś się w letnim bękarcie!

Zamilkł, a gdy Ash nie zaprzeczył, znów zaczął się zataczać ze śmiechu.

- Och, no nieźle. Aż za dobrze. Ja myślałem, że mieszaniec ludzi się, marząc o nieosiągalnym lodowym księciu, a wychodzi na to, że się myliłem. Ash, jak mogłeś to przed nami ukrywać?

Ash zadrżał, ale nie wypuścił mnie z uścisku.

- Odprowadzę ją do Arkadii. Zejdź mi z drogi, Rowanie.

Rowan natychmiast spoważniał.

- Oj, nie wydaje mi się, braciszku. - Uśmiechnął się, ale to był okrutny uśmiech, ostry jak brzytwa. - Gdy królowa się o tym dowie, obydwójecie przyozdobicie dziedziniec. A jeśli będzie łaskawa, to może zamrozi was razem. To byłby wspaniały tragiczny koniec, nie sądzisz?

Zadrżałam. Myśl o tym, że mogłabym powrócić do tej zimnej beztlenowej śmierci za życia, przerastała mnie. Nie byłabym w stanie tego znieść. Już raczej wołałam umrzeć. A myśl o tym, że Ash musiałby to znosić ze mną przez setki lat, była jeszcze bardziej przerażająca. Ścisnęłam rękę Asha i przycisnęłam twarz do jego ramienia, posyłając Rowanowi najbardziej jadowite spojrzenie, na jakie mnie było stać.

- Oczywiście - mówił dalej starszy książę, drapiąc się w policzek. - Możesz jeszcze prosić o wybaczenie, przyprowadzić mieszkańca do królowej i dalej być w łaskach Mab. Właściwie... - pstryknąwszy palcami, mówił dalej - jeśli pójdziesz natychmiast do Mab i przekażesz jej księżniczkę, to nie powiem jej nic o tym, co tu zobaczyłem. Przysięgam, że słowa na ten temat ode mnie nie usłyszysz.

Ash zamarł. Czulałam, jak pod skórą drgają mu mięśnie, sztywnieją z napięcia plecy.

- No już, braciszku. - Rowan oparł się o odrzwia i splótł ramiona na piersi. - Wiesz, że tak będzie najlepiej. Masz tylko dwa wyjścia. Oddać księżniczkę albo zginąć wraz z nią.

Ash drgnął w końcu, jakby ocknął się z transu.

- Nie - wyszeptał, a w jego głosie usłyszałam ból wywołany podjęciem jakiejś strasznej decyzji. - Jest jeszcze jedno.

Puścił moją rękę, postąpił krok naprzód i wyciągnął miecz. Rowan zaskoczony uniósł brwi, gdy Ash skierował w jego stronę klingę, wokół której unosiła się zimna mgła. Na moment zapadła głucha cisza.

- Zejdź mi z drogi, Rowanie - warknął Ash. - Odsuń się albo cię zabiję.

Twarz Rowana zmieniła wyraz. W jednej chwili z aroganckiej i protekcjonalnej o złośliwym uśmiechu stała się zupełnie obca i przerażająca. Odepchnął się od drzwi. Oczy rozblęły mu drapieźnie i powoli sięgnął po miecz. Wyciągnął ze zgrzytem cienką, ząbkowaną jak zęby rekina klingę.

- Jesteś tego pewien, braciszku? - zapytał, zataczając mieczem łuk i postępując w stronę Asha. - Zdradzisz wszystko: swój dwór, królową, własną krew, dla niej? Nie będziesz mógł zmienić zdania, gdy wyruszysz tą drogą.

- Meghan - Ash odezwał się tak cicho, że ledwie go usłyszałam. - Odsuń się i nie próbuj mi pomagać.

- Ash... - Chciałam coś powiedzieć.

Wiedziałam, że powinnam powstrzymać tę bratobójczą walkę, ale wiedziałam też, że Rowan nigdy nas nie puści wolno. Ash też zdawał sobie z tego sprawę i widziałam w jego oczach niechęć, gdy przygotowywał się do tej potyczki. Nie chciał walczyć z bratem, ale był na to gotów... dla mnie.

Stanęli naprzeciw siebie w lodowatej sali jak dwa posągi, obaj czekali na pierwszy ruch przeciwnika. Ash ustawił się w szermierczej pozycji, z uniesionym przed siebie mieczem, z miną niechętną, ale stanowczą. Rowan trzymał miecz od niechcenia, przy boku, skierowany w ziemię, uśmiechając się złośliwie do przeciwnika. Zdawało się, że żaden z nich nie oddycha.

A potem Rowan uśmiechnął się szeroko jak drapieźnik odsłaniający kły.

- A więc dobrze - wyszeptał, zamachując się ostrzem w osłepiająco szybkim ruchu. - Myślę, że mi się to spodoba.

Rzucił się na Asha, a jego miecz przeciął powietrze jak zębata błyskawica. Ash uniósł klingę i gdy ostrza zderzyły się, posypały się wokół lodowe skry. Prychając, Rowan zaatakował brutalnie brata, wyprowadzając serię cięć w głowę. Ash blokował, robił uniki i nagle pchnął, celując w gardło Rowana. Ale ten z gracją usunął się i machnął mieczem. Ash zawirował z nieludzka prędkością i przeciąłby brata na pół, gdyby ten się nie cofnął, Rowan uniósł z uśmiechem broń, a ja jęknęłam. Błyszcząc czubek pokryty był szkarłatem.

- Pierwsza krew dla mnie, braciszku - zadrwił, gdy z ramienia Asha dzierżącego miecz zaczęła kapać strużka krwi. - Wciąż jeszcze możesz to przerwać. Oddaj księżniczkę i proś Mab o litość. I mnie także.

- Ty nie masz litości, Rowan - warknął Ash i znów zaatakował.

Tym razem obaj poruszali się tak szybko, robiąc zwroty, podskakując, wirując i wymieniając ciosy, że trudno było cokolwiek dojrzeć poza niesamowitym pięknym tańcem. I to w przyspieszonym tempie. Tryskwały iskry, a od ścian odbijały się dźwięki krzyżujących się kling. Na obu mieczach pojawiła się krew, a posadzka wokół walczących poczerwieniała, ale nie mogłam dostrzec, kto wygrywa.

Nagle Rowan odtrącił klingę Asha i wyciągnął gwałtownie rękę, posyłając w twarz brata lodową włócznię. Ash rzucił się do tyłu, by jej uniknąć, padł na podłogę i przeturlał się na kolana. Gdy Rowan opuścił miecz na swojego klęczącego przeciwnika, krzyknęłam z przerażenia, ale Ash zrobił unik i klinga przeleciała tuż obok niego. Złapał Rowana za rękę i wykorzystując jego impet, okręcił się i powalił go na podłogę. Starszy książę uderzył głową w lód i usłyszałam, jak traci z rżeniem oddech. Odwrócił się jednak szybko jak wąż, z mieczem w dłoni, ale w międzyczasie Ash przyłożył mu ostrze do gardła.

Rowan spojrzał z wściekłością na przeciwnika. Twarz miał wykrzywioną złością i bólem. Obaj z dyszeli, krwawiąc z wielu ran, ale ręka Asha nie drżała, gdy przyciskał klingę do szyi brata.

Starszy książę zaśmiał się, uniósł głowę i splunął krwią w twarz Asha.

- No dalej, braciszku! - zawołał, gdy Ash skrzywił się, ale nie odsunął. - Zrób to. Zdradziłeś swoją królową, skumałeś się z wrogiem, wyciągnąłeś miecz przeciwko własnemu bratu... Równie dobrze możesz jeszcze dodać do tej listy zarżnięcie członka rodziny. A potem uciec z tym mieszańcem i pędzić wasz ohydny żywot. Ciekaw jestem, jak Ariella by się czuła, gdyby wiedziała, jak łatwo udało ci się ją zastąpić.

- Nie mów o niej! - Ash prychnął, unosząc rękę tak, jakby rzeczywiście zamierzał przebić gardło Rowana. - Arielli nie ma. Co dzień o niej myślę, ale jej już nie ma i nic nie mogę na to poradzić.

Wziął głęboki oddech, by się uspokoić, a na jego twarzy odmalował się wyraz tęsknoty. W gardle utkwiła mi gula i odwróciłam się, hamując łzy. Bez względu na to, jak bardzo kochałam tego mrocznego, pięknego księcia, nigdy nie będę w stanie zastąpić mu tego, co już stracił.

Rowan prychnął i zmarszczył brwi.

- Ariella była dla ciebie za dobra - wysyczał, unosząc się na łokciach. - Zawiodłeś ją. Gdybyś naprawdę ją kochał, wciąż by tu była.

Ash skrzywił się, jakby zadano mu cios, a Rowan dalej wykorzystywał przewagę.

- Nie potrafisz dostrzec tego, co miałeś - mówił dalej, siadając, gdy Ash trochę się odsunął. - Ona nie żyje przez ciebie, bo nie potrafisz jej ochronić! A teraz jeszcze bezczęścisz jej pamięć z tym ohydny mieszkańcem.

Poblady Ash spojrzał na mnie, a ja zauważyłam ruch ręki Rowana o sekundę za późno.

- Ash! - krzyknęłam, gdy starszy książę poderwał się i zaatakował z przerażającą prędkością. - Uwważaj!

Ash już się poruszał, wypracowane odruchy wojownika włączyły się, gdy jego umysł wciąż jeszcze błądził gdzie indziej. Oskoczył i uniósł miecz w chwili, gdy brat wyprowadził cięcie wyciągniętym znikąd sztyletem, a ruch ten nadział Rowana na ostrze Asha.

Obaj zamarli, a ja zdusiłam krzyk. Na moment wszystko zastygło, jakby zamrożone w czasie. Rowan zamrugał, spojrzał w dół, na wbita w brzuch klingę, zaskoczony i dezorientowany Ash wpatrywał się z przerażeniem w swoją dłoń.

A potem Rowan cofnął się, upuścił sztylet, oparł się o ścianę i objął rękami brzuch. Spomiędzy palców popłynęła krew, barwiąc biel jego stroju na szkarłatno.

- Brawo... braciszku - odezwał się zduszonym tonem chociaż oczy miał przejrzyste, gdy skinął na wciąż zamartwego w szoku Asha. - Wreszcie udało ci się... mnie zabić.

W korytarzu rozległy się szybkie kroki i doszły do nas ciche okrzyki. Oderwałam wzrok od krwawego ciała Rowana i podbiegłam do Asha, który wciąż wpatrywał się z przerażeniem w brata.

- Ash! - Złapałam go za ramię, by wyrwać z tego transu. - Ktoś się zbliża!

- Tak, uciekaj... z tym mieszkańcem, Ash. - Rowan zakaszał a z ust pociekła mu krew. - Nim przyjdzie Mab... i zobaczy, że straciła ostatniego syna. Nie sądzę, abyś mógł zrobić coś więcej, by... zdradzić swój dwór.

Głosy stawały się wyraźniejsze. Ash posłał Rowanowi ostatnie udręczone, przepelnione winą spojrzenie, złapał mnie za nadgarstek i pobiegliśmy do drzwi.

Nie pamiętam, jak udało nam się wydostać. Mroczny książę ciągnął mnie za sobą jak szaleniec, biegnąc przez korytarze, których nie rozpoznawałam. Jakimś cudem na nikogo nie wpadliśmy, chociaż słyszeliśmy wciąż kroki i odgłosy pościgu. Może to wcale nie był przypadek, bo Ash zdawał się doskonale wiedzieć, dokąd zmierzamy. Dwa razy zaciągnął mnie do kąta i przycisnął do siebie, szepcząc, bym milczała i ani drgnęła. Zamarłam, słysząc, jak przebiegła obok nas grupa czerwonych kapturków, pychając i wymachując do siebie nożami, ale nas nie zauważyła. Za drugim razem przeleciała obok nas blada kobieta w krwawej sukni, a mnie serce zabiło tak mocno byłam pewna, iż nas usłyszy, ale odplynęła, nie odwracając się.

Uciekaliśmy zimnym, pustym korytarzem, z którego sklepienia sople zwisały jak żyrandole, migocąc delikatnym błękitnym światłem. W końcu Ash wprowadził mnie przez drzwi, na których widniało białe jak kość drzewo. Pokój za nimi był dość mały i skąpo umeblowany wysokim regałem na książki, komodą z czarnego polerowanego drewna i robiącą wrażenie kolekcją noży na przeciwległej ścianie. W kącie stało proste łóżko, z zaciągniętymi gładko kocami, które robiły wrażenie, jakby od wieków nikt ich nie używał. Wszystko wyglądało idealnie czysto, porządnie i spartańsko, zupełnie nie jak sypialnia księcia. Ash westchnął i w końcu mnie puścił. Oparł się głową o ścianę. Przez koszulę przesiąkała krew, pozostawiając ciemne plamy na czarnym materiale, a mnie aż skręciło w żołądku.

- Musimy je oczyścić - stwierdziłam. - Gdzie trzymasz bandaż?

Ash spojrzał na mnie niewidzącym, pustym wzrokiem. Szok zbierał swoje żniwo. Przygryzłam wargi, hamując strach i spojrzałam na niego; próbowałam mówić spokojnie i rozsądnie:

- Ash, czy masz jakieś szmaty albo ręczniki? Coś, czym można by zatamować krwawienie?

Zagapił się na mnie, a potem pokręcił głową i skinął w stronę kąta.

- Komoda - wyszeptał. Nigdy nie słyszałam go tak wykończonego. - W górnej szufladzie jest słoik balsamu. Trzymała go... na wszelki wypadek...

Nie wiedziałam, co miał na myśli, ale podeszłam do komody i wyciągnęłam górną szufladę.

Był w niej zbiór dziwnych przedmiotów - suche kwiaty, niebieska jedwabna wstążka, szklany sztylet o misternie rzeźbionej kościanej rękojeści. Pośród rzeczy znalazłam słoik pachnącego ziołami kremu, prawie pusty, na starej, poplamionej krwią chusteczce. W kącie leżało coś, co przypominało bandaż zrobiony z pajęczyny.

Gdy je wyciągałam, do bandaża przyczepił się cienki srebrny łańcuszek i zsunął na podłogę. Schyliłam się, by go podnieść i zobaczyłam, że do ogniw ma przyczepione dwa pierścienie - jeden mały, drugi duży - i wreszcie dotarło do mnie, co powiedział Ash.

Ta szuflada pełna staroci należała do Arielli, to tu Ash trzymał związane z nią pamiątki. Ten sztylet należał do niej, tak samo jak i wstążka. Pierścionki, misternie wykonane z malutkimi listkami wytrawionymi w srebrze i złocie, były kompletem.

Odłożyłam łańcuszek i zamknęłam szufladę, a w żołądku czułam bryłę lodu. Jeśli potrzebowałam dowodu na to, że Ash wciąż kocha Ariellę, to właśnie go znalazłam. Oczy mnie zapiekły i zamrugałam ze złością. To nie pora na wybuchy zazdrości. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Ash patrzy na mnie smętnym wzrokiem. Nabrałam głęboko powietrza.

- Hm. Chyba musisz zdjąć koszulę - wyszeptalam.

Posłuchał mnie. Odepchnął się od ściany, zostawiając na niej czerwoną smugę. Zdjął zniszczoną koszulę, rzucił ją na podłogę i odwrócił się do mnie. Starłam się nie gapić na piękną muskularną pierś, ale w ustach mi zaschło i poczerwieniałam.

- Mam usiąść? - wyszeptał, chcąc mi pomóc.

Z ulgą skinęłam głową. Podeszedł do łóżka i usiadł ostrożnie, odwracając się do mnie plecami. Rany na ramieniu i żebrach odcinały się ostro od bladej skóry.

Dasz radę, Meghan. Ostrożnie podeszłam do niego, a na widok długiego, poszarpanego cięcia, przeszedł mnie dreszcz. Tyle krwi... Zaczęłam je ostrożnie ocierać, nie chcąc go urazić, ale nawet nie jęknął. Gdy usunęłam krew, zamoczyłam dwa palce w balsamie i ostrożnie dotknęłam nimi cięcia na ramieniu.

Jęknął cicho, jakby wypuszczał powietrze i pochylił się, opuszczając głowę, a włosy opadły mu na twarz.

- Nie przejmuj się, że mi sprawisz ból - wyszeptał, nie podnosząc wzroku. - Jestem... przyzwyczajony.

Skinęłam głową i tym razem nałożyłam na ranę obfitą ilość balsamu. Nie skrzywił się, ale pod palcami czułam, że ramiona miał napięte. Czułam jego twarde mięśnie. Zastanawiałam się czy Ariella też to robiła, czy w tej właśnie sypialni opatrywała go, gdy się zranił. Sądząc z bladych blizn na plecach, nie był to pierwszy przypadek, gdy został ranny w śmiertelnym boju. Czy czuła to co ja? Złość i przerażenie za każdym razem, gdy Ash narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo? Oczy zaszyły mi mgłą. Próbowałam mrugać, ale to nic nie dało. Wyciągnęłam bandaż i owinęłam mu wokół ramion, przygryzając wargę, by zachować ciszę, gdy łzy płynęły mi po policzkach.

- Przepraszam.

Nie poruszył się, a jego głos był tak cichy, że ledwo go usłyszałam, ale mimo to prawie upuściłam bandaż. Zawiązując go, nie odpowiedziałam, tylko zajęłam się ranami na żebrach, owijając mu bandaż wokół pasa.

Ash siedział nieruchomo. Prawie nie oddychał. Z podbródka kapnęła mi na jego plecy łza i wtedy drgnął.

- Meghan?

- Dlaczego przepraszasz? - Mój głos był bardziej drżący, niż tego chciałam i przełknęłam z trudem. - Już powiedziałaś, dlaczego zachowywałaś się tak podle. Musiałaś mnie chronić przed swoją rodziną i Mrocznym Dworem. To był całkiem rozsądny powód. - Nie... wcale nie byłam zgorzkniała.

- Nie chciałem cię skrzywdzić. - Głos Asha wciąż był cichy, niepewny. - Pomyślałem, że jeśli mnie znienawidzisz, łatwiej ci będzie, kiedy wrócisz do swojego świata.

Zamilkł na moment, a potem dodał ledwie słyszalnym szeptem:

- To, co powiedziałem na dziedzińcu... Gdyby Rowan wiedział, znęcałby się nad tobą jeszcze bardziej.

Skończyłam bandażować mu zebra i mocno je obwiązałam. Z oczu wciąż ciekły mi łzy, ale teraz były inne. Nie uszły mojej uwagi słowa - „kiedy wrócisz do swojego świata”. Nie „jeśli”, ale „kiedy”. Zupełnie jakby wiedział, że któregoś dnia tam wrócić i już nigdy się nie zobaczymy. Wciąż milcząc, wzięłam słoik i schowałam z powrotem do szuflady. Nie chciałam teraz na niego patrzeć. Nie chciałam myśleć, że mógłby odejść z mojego życia na zawsze, zniknąć w świecie, do którego nie mogłabym za nim pójść.

- Meghan... - Ash odwrócił się i złapał mnie za rękę, a mnie aż ciarki przeszły. Wbrew swojej woli spojrzałam na niego. Miał beznadziejnie smutną minę, a z oczu wзираła mu prośba, że. bym go zrozumiała.

- Nie mogę... żywić do ciebie uczuć - wyszeptał, wydzierając dziurę w moim sercu. - Nie w sposób, jakiego pragniesz Cokolwiek się stanie, Mab wciąż jest moją królową, a Zimowy Dwór moim domem.

To, co stało się w królestwie Machiny... - Zmarszczył brwi, a jego twarz pociemniała z bólu. - Musimy o tym zapomnieć i żyć dalej. Gdy odprowadzę cię do granic Arkadii i będziesz bezpieczna u Oberona, już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Ból w sercu zaczął piec wściekle. Spojrzałam na Asha, licząc, że odwoła swoje słowa, powie, że żartował. Ale on zabrał rękę i wstał, patrząc na mnie z przemożnym smutkiem.

- Przepraszam - wyszeptał znowu, nie patrząc mi w oczy. - Tak... będzie lepiej.

- Nie. - Pokręciłam głową, gdy mnie minął.

Odwrociłam się gwałtownie i spróbowałam złapać go za rękę.

- Ash, zaczekaj.

- Nie utrudniaj tego... - Otworzył szafę i wyciągnął obcisłą szarą koszulę, którą włożył na siebie, prawie się nie krzywiąc.

- Zabiłem... Rowana. - Zaciął oczy, mierząc się z tym wspomnieniem. - Jestem bratobójcą. Nic mnie już dobrego nie czeka, więc ciesz się, że nie będziesz blisko, by zobaczyć, co się stanie.

- Co zrobisz?

Skrzywił się.

- Powrócę na dwór. Spróbuję zapomnieć. - Sięgnął do szafy, wyciągnął długi czarny płaszcz ze srebrnymi łańcuchami i narzucił go na ramiona. - Zdam się na łaskę Mab z nadzieją, że mnie nie zabije.

Spojrzał wprost na mnie, a płaszcz załopotał za nim. Ot tak, stał się kimś zimnym i odległym, śmiercionośnym przepięknym elfem, niezemskim i nieosiągalnym.

- Nie mieszaj się do polityki elfów, Meghan - odezwał się ponuro, zatraskując drzwi do szafy. - Królowa odnajdzie mnie, bez względu na to, co zrobię i jak daleko ucieknę. A teraz, gdy zbliża się wojna, Zima będzie potrzebowała wszystkich swoich żołnierzy. Dopóki Lato nie odda berła, Mab będzie nieugięta.

Odwrocił się, ale te słowa przypomniały mi coś innego.

- Berło. Ash, poczekaj! - Złapałam go za rękaw, ignorując to, jak znieruchomiał. - To nie był Letni Dwór! - wykrzyknęłam, nim zdołał cokolwiek powiedzieć. - To były żelazne stwory. Widziałam je. - Skrzywił się, a ja nachyliłam się do niego, pragnąc, by mi uwierzył. - To był Tercjusz, Ash. Tercjusz zabił Sage'a.

Ash popatrzył na mnie nieprzytomnie, a ja wstrzymałam oddech, wpatrując się w jego oczy. Na Zimowym Dworze tylko Ash tak naprawdę widział żelazne stworzenia. Jeśli on mi nie uwierzy, nie miałam szans przekonać kogokolwiek.

- Jesteś pewna? - zapytał po kilku sekundach. Poczulałam przyływ ulgi i skinęłam gwałtownie głową. - Czemu? Czemu żelazne elfy miałyby skraść berło? Jak w ogóle się tu dostały?

- Nie wiem. Może pragną jego mocy? A może ukradły je, by wywołać wojnę pomiędzy dworami... Tego ostatniego udało im się dopiąć.

- Muszę powiedzieć królowej.

- Nie! - Odsunęłam się od niego, a on spojrzał groźnie. - Ash, ona ci nie uwierzy! - zawołałam w desperacji. - Próbowałam jej powiedzieć, ale zamieniła mnie w sopol. Jest przekonana, że to sprawka Oberona.

- Mnie wysłucha.

- Jesteś pewien? Po tym wszystkim, co zrobiłeś? Naprawdę wysłucha ciebie po tym, jak mnie uratowałeś i zabiłeś Rowana?

Twarz mu stężała, a ja zignorowałam ogarniające mnie poczucie winy.

- Musimy za nimi podążyć - wyszeptałam, nagle pewna tego, co muszę zrobić. - Musimy odnaleźć Tercjusza i odzyskać berło. To jedyny sposób, by zapobiec wojnie. Wtedy Mab będzie musiała nam uwierzyć, prawda?

Ash się zawahał. Przez chwilę wyglądał tak niepewnie, rozdarty pomiędzy obowiązkiem wobec swojej królowej a mną. Przeczesał palcami włosy, a ja ujrzałam w jego oczach niezdecydowanie. Ale nim zdążył odpowiedzieć, nagle skrobanie do drzwi sprawiło, że oboje podskoczyliśmy.

Wymieniliśmy spojrzenia. Ash wyciągnął miecz, wskazał mi, bym się odsunęła i ostrożnie uchylił drzwi. Mignęło ciemne futro i przez szparę wpadł do środka kot. Krzyknęłam zaskoczona. Ash schował miecz do pochwy.

- Tiaothin - wymamrotał, a opolda przybrała znów bardziej ludzki wygląd. - Co tam się dzieje?

Opolda uśmiechnęła się do niego szeroko, a jej skośne oczy błyszczały ochoczo.

- Wszędzie są żołnierze - ogłosiła, machając ogonem. - Zamknęli wszystkie wejścia i wyjścia z pałacu; wszyscy szukają ciebie i mieszańca.

Zerknęła na mnie i zachichotała.

- Mab jest wkurzona. Jeśli zamierzacie się ulotnić, to teraz. Gwardia przyboczna już po was idzie.

Spojrzałam błagalnie na Asha. On rzucił okiem na mnie, a potem na drzwi. Widziałam, że jest rozdarty. Pokręcił głową, jakby nie wierzył w to, co zaraz uczyni.

- Tędy - warknął, otwierając drzwi do szafy. - Do środka, już. Weszłam do tej ciemnej kłitki i patrzyłam na Asha. Zatrzymał się w drzwiach i zwrócił do tańczącej pośrodku pokoju opoldy.

- Nie rzucaj się na razie w oczy, Tiaothin - ostrzegł ją. - Trzymaj się przez jakiś czas z dala od Mab. Jasne?

Opolda uśmiechnęła się szelmowsko.

- A co to by była za zabawa! - zawołała, wystawiając język.

Nim Ash zdołał zaprotestować, zastrzygła uszami i uniosła głowę.

- Już prawie tu są. Idźcie, a ja ich odciągnę. Nikt tak nie odciąga uwagi jak opolda.

I nim zdołaliśmy ją powstrzymać, podbiegła do drzwi, otworzyła je i wychyliła się na korytarz.

- Książę! - zaskrzeczała, a jej piskliwy głos odbił się echem od ścian. - Książę i mieszaniec! Widziałam ich! Za mną!

Skryliśmy się w szafie, gdy za drzwiami rozległ się tupot ciężko obutych nóg, biegnących za Tiaothin. Ash westchnął i przeczesał ręką włosy.

- Głupia opolda - wymamrotał.

- Da sobie radę?

Prychnął.

- Tiaothin radzi sobie lepiej niż ktokolwiek, kogo znam. To właśnie dlatego poprosiłem ją, by miała na ciebie oko.

A więc to dlatego opolda była mną tak zainteresowana.

- Nie potrzebuję niańki - stwierdziłam zarówno wkurzona, jak i szczęśliwa, że pomyślał o tym, by ktoś zajął się mną podczas jego nieobecności.

Ash nie zareagował. Przyłożył dłoń do ściany, zamknął oczy i wypowiedział pod nosem kilka dziwnych, niezrozumiałych słów. Pojawił się cienki prostokąt światła i Ash otworzył kolejne drzwi. Do pokoju wpadło słabe światło i dostrzegłam niknące w ciemnościach lodowe schody.

- Chodź. - Odwrócił się do mnie i wyciągnął rękę. - Tędy wyjdziemy z pałacu, ale musimy się spieszyć, nim przejście zniknie.

Za nami korytarz wypełnił zadowolony ryk, gdy coś zajrzało do pokoju i zaczęło wołać swoich towarzyszy. Złapałam dłoń Asha i pobiegliśmy w ciemność.

6. Targowisko goblinów.

Szłam za Ashem błyszczącymi schodami przez wąski korytarz, z którego ścian łypały gargulce i błyskały błękitne pochodnie. Nie rozmawialiśmy. Słysząc było tylko odgłos naszych kroków i mój nierówny oddech. Tunel rozwidlał się niekiedy, ale Ash zawsze bez wahania wybierał kierunek. Cieszyłam się, że mam na sobie długi zimowy płaszcz. Powietrze było lodowate, a z moich ust wydobywała się para. Przez cały czas nasłuchiwałam, czy nie nadciąga pościg.

Nagle korytarz zakończył się potężną lodową ścianą. Zastanawiałam się, czy źle skręciliśmy, gdy Ash puścił moją rękę, podszedł do blokady i położył na niej dłoń. Dał się słyszeć ostry zgrzyt pękającego pod jego palcami lodu i ukazał się kolejny tunel, wychodzący na świeże powietrze. Ash odwrócił się do mnie.

- Trzymaj się blisko - wyszeptał i wykonał szybki ruch ręką. Poczułam, jak urok owija mnie niczym peleryna. - Z nikim nie rozmawiaj, nie nawiązuj kontaktu wzrokowego i nie zwracaj na siebie uwagi. Pod wpływem tego uroku nikt cię nie zauważy, ale on pryśnie, jeśli się odezwiesz albo spojrzysz komuś w oczy. Po prostu trzymaj głowę opuszczoną i idź za mną.

Próbowałam. Problem w tym, że trudno było nie zwracać uwagi na nic poza murami pałacu. Przede mną wznosiło się piękne, szalone miasto mrocznych stworzeń, o potężnych, spiczastych wieżach z lodu i kamienia, domach ze skamieniałego drewna i jaskiniach, z których wejść zwisały niczym zęby sople. Szłam za Ashem wąskimi uliczkami, gdzie spod kamieni i z cieni łypały na nas oczy, tunelami, które lśniły tysiącami małych kryształów, ulicami obsadzonymi białymi jak kość młodo świecącymi drzewami.

No i oczywiście wszędzie tłoczyły się mroczne stworzenia. Ulice rozświetlone były błędnymi ognikami i świecami, tłumy stworzeń tańczyły, piły i wydierały się na całe gardło, a ich głosy odbijały się echem od ścian. Przypomniałam sobie dziką hulankę na dziedzińcu i uświadomiłam, że mroczne stworzenia wciąż świętują oficjalne nadejście zimy.

Posuwaliśmy się bokami, próbując nie zwracać na siebie uwagi, gdy wokół nas wirowały i brykały różne stwory, wszędzie rozbrzmiewała mroczna, uwodzicielska muzyka, porywając do szalonego tańca. Niejednokrotnie taniec zamieniał się w rzeź, gdy jakiś pechowy stwór padał ofiarą i był rozszarpywany żywcem. Trzęsąc się, trzymałam nisko głowę i wpatrywałam się w ramiona Asha, gdy przedzieraliśmy się przez ten dziki tłum. Ash złapał mnie i pociągnął w boczną uliczkę, uciszając spojrzeniem. Chwilę później w tłum wpadło cwałem dwóch rycerzy na potężnych czarnych koniach o błyszczących niebiesko oczach i rozproszyło zimowe stwory jak stado ptaków. Tancerze prychali i syczeli, odskakując, a jakiś goblin zaczął piszczeć, gdy stratował go koń, ale szybko ucichł, z rozbitą kopytem głową. Rycerze ściągnęli konie i spojrzeli w tłum, ignorując warkoty i obelgi. Nosili czarne skórzane zbroje, z ich naramienników sterczały ciernie, a twarze pod uniesionymi przyłbicami mieli zacięte i okrutne. Ash poruszył się lekko.

- To rycerze Rowana - wyszeptał. - Jego doborowa Cierniowa Gwardia. Podlegają tylko jemu i królowej.

- Z rozkazu jej królewskiej mości, królowej Mab! - zawołał jeden z rycerzy, a jego głos w jakiś sposób przedarł się przez ogólny hałas. - Zimowy Dwór oficjalnie ogłosił wojnę przeciwko Oberonowi i Letniemu Dworowi! W odpowiedzi za zabójstwo następcy tronu, księcia Sage'a i kradzież Berła Pór Roku wszystkie letnie stworzenia zostaną bezwzględnie wytropione i zgładzone.

Zimowe stwory zaczęły wyć, wrzeszczeć i ryć. Nie był to ryk oburzenia, ale raczej radości. Zobaczyłam, jak śmieją się czerwone kapturki, gobliny płasają z radości, a strzygi chichoczą jak szalone. Żołądek mi się ścisnął. Pragnęły krwi. Zimowy Dwór żył dla przemocy, dla okazji, by wypruć flaki swoim przeciwnikom. Rycerz pozwolił im chwilę się nacieszyć, po czym uniósł dłoń, by je uciszyć.

- A także! - zawołał, przekrzykując tłum. Wiedźcie, że książę Ash jest teraz uznany za zdrajcę i zbiega. Zaatakował swojego brata, księcia Rowana, ciężko go raniąc i uciekł z pałacu wraz z półkwiórką córki Oberona. Oboje są uważani za niezmiernie niebezpiecznych, więc bądźcie ostrożni.

Ash wciągnął gwałtownie powietrze. Widziałam, jak na jego twarzy pojawiła się ulga, a także poczucie winy i niepokój. Rowan wciąż żył, ale nasza ucieczka przez miasto stała się znacznie niebezpieczniejsza.

- Jeśli ich zobaczycie, to z rozkazu królowej Mab nie wolno wam ich skrzywdzić! - ryknął rycerz. - Złapcie ich albo powiadomcie o ich miejscu pobytu któregośkolwiek strażnika, a zostaniecie bogato

wynagrodzeni. Jeśli jednak tego nie zrobicie, skażecie się na gniew królowej. Roześlijcie wici, bo jutro wyruszamy na wojnę!

Rycerze spięli konie ostrogami i pogalopowali wśród ryków mrocznego tłumu. Ash zamyslił się, mrużąc oczy.

- Rowan nie umarł - wydyszał i nie wiedziałam, czy cieszy się z tego, czy nie. - A przynajmniej jeszcze nie. To bardzo nam utrudni zadanie.

- Jak się stąd wydostaniemy? - szepnęłam.

Ash zmarszczył brwi.

- Bramy będą strzeżone - rzucił cicho, patrząc na ulicę. - I nie możemy wykorzystać zwykłych ścieżek, skoro Rowan wie, że tu jesteśmy.

Zamilkł, rozmyślając, po czym westchnął.

- Jest pewne miejsce, do którego moglibyśmy się udać.

- Gdzie?

Spojrzał na mnie i nagle uświadomiłam sobie, jak blisko siebie stoimy. Nasze twarze dzieliły ledwie centymetry i poczułam, jak jego serce przyspiesza, zupełnie jak moje. Odwrócił się szybko, a ja schyliłam głowę, kryjąc palący rumieniec

- Chodź - wyszeptał i zdawało mi się, że słyszę drzenie w jego głosie. - Nie idziemy daleko, ale musimy się pospieszyć. Targowisko działa, gdy chce i jeśli nie dotrzemy na czas. zniknie.

W ciemnościach rozległo się dzikie wycie. Spojrzeliśmy znów na zebrany tłum. Zimowe stworzenia świętowały dalej, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło, tyle że teraz w ich zabawie dało się wyczuć złośliwszą, groźniejszą nutę, zupełnie jakby wizja wojny wzmogła ich apetyt na krew. Kilka czerwonych kapturków i wiedźma posprzeczały się nad ciałem martwego goblina, a ja odwróciłam głowę, czując mdłości. Ash wziął mnie za rękę i pociągnął w cień.

Uciekaliśmy przez miasto, kryjąc się w ciemnościach, w jakiś sposób unikając tłumów na ulicach. W pewnej chwili prawie potknęłam się o czerwonego kapturka, który gramolił się z dziury w ścianie. Stwór prychnął obraźliwie, ale po chwili jego świdrujące oczka rozszerzyły się na nasz widok i odwrócił się, by krzyknąć ostrzegawczo. Ash skinął gwałtownie ręką i lodowy sztylet wbił się w otwarte usta stwora, uciszając go na zawsze.

Dotarliśmy na okrągły rynek u brzegu dużego podziemnego jeziora, z którego mgły rozprzestrzeniły się na okoliczne uliczki. Wokół rozstawione były kolorowe stragany i namioty, wszystkie puste, łopocząc na wietrze jak pozostałości po jakimś wesołym miasteczku. Na samym środku rosnęło potężne białe drzewo, o owocach przypominających ludzkie głowy. W grubym pniu osadzone były wąskie drzwi, na których widok Ash przyspieszył kroku.

- Do targowiska dostaje się tędy - wyjaśnił, pociągając mnie drzewo, by ukryć nas przed krocącym ciężko ogrem. - A teraz słuchaj. Cokolwiek byś zobaczyła, nic nie kupuj, niczego nie proponuj ani nie przyjmuj, bez względu na to, jak bardzo byś tego pragnęła. Handlarze będą próbowali się z tobą dogadać, zignoruj ich. Milcz i patrz na mnie. Jasne?

Skinęłam głowę. Ash otworzył ze zgrzytem wąskie drzwi i wprowadził mnie do środka, a potem zatrzasnął je za sobą. Wnętrze pnia lśniło lekko i wydzielalo słodkawy zapach rozkładu, jakby gnijących kwiatów. Rozejrzałam się wokół, szukając drugich drzwi, ale w pniu były tylko te, którymi weszliśmy.

- Trzymaj się blisko - wyszeptał Ash i znów otworzył drzwi. Do wnętrza wpadł hałas. Teraz okrągły rynek aż kipiał życiem. Na straganach piętrzyły się towary. Wszędzie rozbrzmiewała muzyka i unosiły się magiczne światła, a wszelkiej maści magiczne stworzenia kręciły się wokół, kupując, rozmawiając i targując się ze sprzedawcami. Skurczyłam się przy pniu, ale Ash posłał mi uspokajający uśmiech.

- W porządku - odezwał się i pociągnął mnie za sobą. - Na targowisku nikt nie zadaje pytań, co tu robisz i skąd przybywasz. Jedyne, co ich interesuje, to ubicie interesu.

- To znaczy, że jest bezpiecznie? - zapytałam, gdy jakiś stwór o głowie wilka przecisnął się przez tłum z naręczem obciążonych dłoni.

Ash zachichotał groźnie. ci

- Tego nie byłbym aż taki pewny.

Wmieszaliśmy się w tłum, który co prawda popychał nas, trącał i prycał obraźliwie, ale nie zwracał na nas specjalnej uwagi.

Nieziemscy handlarze stali przy swoich straganach i namiotach, wykrzykując ceny, machając na przechodniów długimi palcami i szponami. Parchaty goblin przyciągnął mój wzrok i uśmiechnął się szeroko, wskazując wybór naszyjników z palców, zębów i kości. Wiedźma zamachała mi przed nosem skurczoną głową świni, a ociężały troll próbował mi wcisnąć coś w rodzaju szaszłyka, który pachniał cudownie, dopóki nie zauważyłam wśród innych tajemniczych kawałków mięsa, pieczonych główek ptaka i szczura. Prędko pognałam za Ashem.

Dalej też nie brakowało osobliwości. Łapacze snów zrobione z pajęczych nici i dziecięcych kości. Łapy małp i ręce glorii. Na jednym ze straganów wystawiono sporą kolekcję wciąż jeszcze bijących serc, a w namiocie obok oferowano kruche kwiaty ze szkła. Gdziekolwiek spojrzalam, widziałam cuda. upiorności i po prostu przedziwne rzeczy. Handlarze byli niesamowicie natarczywi. Gdy nawiązali kontakt wzrokowy, wyskakiwali do przechodnia, zachwalając, jakie cudowne są ich wyroby i krzycząc, że to niebywała okazja.

- Daj kilka pukli twoich włosów! - zawołał chochlik o szczurzej twarzy, unosząc złote jabłko. - W zamian bądź piękna i młoda na zawsze!

Pokręciłam głową i poszłam dalej.

- Wspomnienie - zaskrzeczała kobieta o sarnich oczach, machając błyszczącym amuletem. - Jedno małe wspomnienie, a twoje największe pragnienie się spełni.

Phi, i co jeszcze? Już raz się w to bawiłam. I wcale nie było przyjemne.

- Twoje pierwotne dziecko. - Tego pragnęło kilku. - Twoje imię. Fiolka twoich łez. Kropla krwi.

Kręciłam raz za razem głową i biegłam za Ashem, przepychając się przez tłum. Czasami ostre spojrzenie lodowego księcia było potrzebne, by powstrzymać ciągnących za nami nazbyt upartych kramarzy, ale zwykle po prostu parliśmy naprzód.

Nad jeziorem rząd drewnianych doków unosił się nad czarną jak atrament wodą. Stara, zniszczona tawerna chyliła się nad brzegiem jak rozdęta ropucha. Jakiś goblin wytoczył się z niej, zwymiotował na chodnik i padł tam twarzą do góry. Ash przeszedł nad pojękującym ciałem i wsunął się do środka. Krzywiąc się na widok zapitego stwora, ruszyłam w ślady księcia.

W środku było ciemno i kłębił się dym. Stare drewniane stoły porozstawiane po sali obsiadły najróżniejsze podejrzane typy, poczynawszy od bandy czerwonych kapturków w kącie, a skończywszy na samotnej opoldzie o głowie kozy, która wpatrywała się we mnie błyszczącymi żółtymi oczami.

Ash przeszedł przez salę do baru, gdzie potężny krasnolud o potarganej czarnej brodzie zmierzył go wzrokiem i napluł szklanki.

- Nie powinieneś tu przychodzić, książę - burknął cicho krasnolud, wycierając szynkwę brudną szmatą. - Na rozkaz Rowana szuka cię pół miasta. Prędzej czy później Cierniowa Gwardia tu dotrze i jeśli będą podejrzewali, że cię ukrywamy rozniosą to miejsce w drzazgi.

- Szukam Złotopalcego - odezwał się równie cicho Ash. a ja wdrapałam się na barowy stółek. - Muszę się wydostać z Tir Na Nog. I to dzisiejszej nocy. Wiesz, gdzie on jest?

Krasnolud posłał mi ukradkowe spojrzenie i się skrzywił.

- Gdybym nie znał cię lepiej, książę - wymamrotał, znów polerując szklankę - powiedziałbym, że tajasz. Krążą pogłoski, że zdradziłeś Zimowy Dwór, ale nic mi do tego.

Odstawił kufel i nachylił się nad szynkwą.

- Powiedz mi tylko jedno. Czy ona jest tego warta?

Twarz Asha straciła wszelki wyraz, zupełnie jakby zatrzasnął drzwi.

- Czy to będzie zapłata za odnalezienie Złotopalcego? - odpowiedział głosem pozbawionym emocji.

Krasnolud prychnął.

- Ech, nieważne, niech tam. Ale chcę szczerzej odpowiedzi, książę.

Ash zamarł na chwilę.

- Tak - wyszeptał tak cicho, że ledwie to dosłyszałam. - Jest tego warta.

- Wiesz, że królowa rozerwie cię za to na strzępy.

- Wiem.

Krasnolud pokręcił głową, patrząc na Asha z politowaniem

- Ty i te twoje problemy z niewiastami - westchnął i odstawił szklankę na kontuar. - Gorzej niż z satyrami, naprawdę. One przynajmniej są na tyle mądre, że się nie przywiązują.

Ash odezwał się lodowato:

- Odnajdziesz dla mnie Złotopalcego czy nie?

- Tak. wiem gdzie jest. - Krasnolud podrapał się po nosie i strącił coś. - Poślę kogoś, by go znalazł. A ty i letni pomiot możecie zostać na górze, aż przyjdzie.

Ash odepchnął się od szynkwasu. Wciąż miał tę nieprzeniknioną minę, gdy odwrócił się do mnie.

- Chodźmy.

Zeskoczyłam ze stołka.

- Kim jest Złotopalcy? - zaryzykowałam pytanie, gdy szliśmy przez salę.

Nikt nas nie zatrzymał. Inni klienci albo nas ignorowali, albo odsuwali się gwałtownie. Co mnie nie dziwiło - zimno promieniujące od zimowego księcia było wręcz namacalne.

- Jest przemytnikiem - odparł Ash, wskazując mi schody w kącie. - A dokładniej goblinem. Zamiast przemycać towary, przemyca żywe stworzenia. Możliwe, że tylko on będzie mógł wywieźć nas z miasta. O ile będziemy w stanie zapłacić jego cenę.

Gobliny. Przeszedł mnie dreszcz. Moje doświadczenia z tymi istotami nie należały do najprzyjemniejszych. Kiedyś, gdy po raz pierwszy przybyłam do krainy Nigdyngidy, grupa goblinów próbowała mnie zjeść.

Na górze Ash poprowadził mnie skrzypiącym korytarzem. Minęliśmy kilka drewnianych drzwi, zza których dobiegały dziwne odgłosy, aż dotarliśmy do ostatnich. Za nimi był mały pokój z ustawionymi pod ścianami dwoma prostymi łóżkami i migającą lampką w rogu. Uświadomiłam sobie, że lampka była tak naprawdę okrągłą klatką na złoczonej podstawie, a światelko wydawało rozpaczliwe piski, latając w kółko.

Ash zatrzęsł drzwi i usłyszałam, jak zasuwa zamek, nim oparł się o nie, zupełnie wyczerpany.

Pragnęłam go objąć. Chciałam wtulić się w niego, poczuć, jak mnie obejmuje, ale jego ostatnie słowa wciąż wisiały między nami jak płot z drutu kolczastego.

- Dobrze się czujesz? - wyszeptalam.

Skinął głową i przeczesał palcami włosy.

- Prześpij się - wymamrotał. - Nie wiem, czy uda nam się potem gdzieś zatrzymać. Powinnaś wypocząć, póki możesz.

- Nie jestem zmęczona.

Nie namawiał mnie dalej, tylko stał tak, obserwując mnie zmęczonym, przepelnionym bólem wzrokiem. Spojrzałam na niego, pragnąc jakoś do niego dotrzeć, ale nie wiedziałam jak.

Zapadła krępująca cisza. Słowa pchały mi się na usta, ale wiedziałam, że Ash nie chce ich słyszeć. Wahałam się pomiędzy zachowaniem ciszy a wyznaniem, wiedząc, że on mnie odrzuci, ale mimo to pragnąc spróbować. Ash stał cicho, rozglądając się po pokoju. Też kilka razy próbował coś powiedzieć, ale za każdym razem milkł i tylko przeczesywał palcami włosy.

Gdy wreszcie odnaleźliśmy odpowiednie słowa, zaczęliśmy mówić jednocześnie:

- Ash...

- Meghan, ja...

Ktoś załomotał do drzwi, aż oboje podskoczyliśmy.

- Książę Ash! - odezwał się z drugiej strony piskliwy głos. - Jesteś tam? Złotopalcy jest na dole i czeka.

- Powiedz, że już idę - odpowiedział Ash i odsunął się od wejścia. - Zostań tutaj - zwrócił się do mnie. - Powinno być bezpiecznie. Zamknij pokój na klucz i spróbuj wypocząć.

Otworzył drzwi, za którymi ujrzałam typiącego chytrze goblina, i zamknął je cicho za sobą.

Usiadłam na jednym z łóżek, które śmierdziało piwem i starą słomą. Długo patrzyłam w drzwi.

A potem ktoś potrząsał mną, bym się obudziła. Zamrugalam w ciemnościach. Ktoś przykrył świecącą klatkę ciemnym materiałem. Sen sprawił, że moje powieki były ciężkie, ale zmusiłam się do ich otwarcia i spróbowałam skupić wzrok na postaci przede mną. Ash siedział na brzegu materaca, trzymał mnie delikatnie za ramiona, a srebrne oczy jarzyły się lekko.

- Megan - wyszeptał. - Obudź się. Już pora.

Wyczerpanie brało górę. Nie sądziłam, że jestem aż tak zmęczona, myśli kłębiły mi się niemrawo w głowie.

Widząc, że się ocknęłam, Ash zaczął wstawać z łóżka, ale ja przesunęłam się do przodu i objęłam go w pasie.

- Nie - wymamrotałam półprzymtomnie. - Zostań.

Zadrżał i położył dłonie na moich rękach.

- Nie ułatwiasz mi tego - szepnął w ciemności.

- No to co? - burknęłam i przytuliłam go mocniej.

Westchnął, obrócił się w moich objęciach i odgarnął mi włosy z policzka.

- Dlaczego coś mnie tak do ciebie ciągnie? - odezwał się jakby do siebie. - Dlaczego tak trudno mi się uwolnić? Myślałem... na początku... że to chodzi o Ariellę, że tak bardzo mi ją przypominasz. Ale nie.

Chociaż nie uśmiechnął się, jego oczy zrobiły się odrobinę jaśniejsze.

- Jesteś od niej znacznie bardziej uparta.

Pociągnęłam nosem.

- Przyganiał kociół garnkowi - mruknęłam, a na jego ustach wreszcie pojawił się słaby uśmiech, po czym znów spochmurniał i dotknął czołem mojego.

- Czego ode mnie chcesz, Meghan? - zapytał, a w jego głosie usłyszałam cierpienie.

Oczy zaszyły mi łzami, gdy cały strach i ból z ostatnich dni wypłynął na powierzchnię.

- Tylko ciebie - wyszeptałam. - Chcę tylko ciebie.

Zamknął oczy.

- Nie mogę.

- Czemu nie? - rzuciłam gwałtownie.

Łzy sprawiały, że widziałam jego twarz niewyraźnie, ale nie chciałam go puścić, by je obetrzeć. Rozpacz we mnie narastała.

- Kogo obchodzi to, co myślą dwory? - zawołałam. - Możemy się spotykać w sekrecie. Możesz przychodzić do mojego świata i nikt nas tam nie zobaczy.

Pokręcił głową.

- Mab już wie. Myślisz, że puści nam to płazem? Widziałaś, jak zareagowała w sali tronowej.

Pociągnęłam nosem, kryjąc twarz w jego boku, a on delikatnie pogłaskał mnie po głowie. Nie chciałam go puścić. Chciałam wtulić się w niego i zostać tak na zawsze.

- Proszę - wyszeptałam błagalnie, nie dbając już o dumę. - Nie rób tego. Znajdziemy jakiś sposób na dwory. Proszę. - Zagryzłam wargę, gdy przeszedł go dreszcz i przytuliłam się mocniej. - Kocham cię, Ash.

- Meghan - odezwał się udręczonym tonem. - Ty mnie... wcale nie znasz. Nie wiesz, co zrobiłem... Mam krew na rękach, magiczną i śmiertelników.

Zamilkł i odetchnął głęboko, by się opanować.

- Gdy Ariella zginęła, wszystko we mnie zamarzło. Tylko poprzez łowy... zabijanie... byłem w stanie cokolwiek poczuć. Na niczym mi nie zależało, nawet na sobie. Rzuciłem się do walki, nawet wtedy gdy myślałem, że zginę, po to, by poczuć choćby ból ciosu mieczem czy rozdzierających mnie szponów.

Zadrżałam i przycisnęłam go do siebie, przypominając sobie blizny na jego plecach i ramionach. Mogłam sobie wyobrazić te zimne, martwe oczy, gdy walczył, licząc na to, że w końcu przeciwnikowi się poszczęści i go zabije.

- A potem pojawiłaś się ty - wyszeptał, dotykając mojego mokrego policzka. - I nagle... nie wiem. Zupełnie jakbym widział wszystko po raz pierwszy. Gdy zobaczyłem cię wtedy z Pukiem, gdy przybyłaś do Nigdyningdy...

- W dniu, w którym próbowałeś nas zabić - przypomniałam mu.

Skrzywił się i skinął głową.

- Myślałem, że los spletał mi okrutnego figła. Że dziewczyna, która mogłaby być lustrzanym odbiciem Arielli, dotrzymywała towarzystwa mojemu zaprzysięgiemu wrogowi... Tego było za wiele. Chciałem zabić was oboje.

Westchnął.

- Ale potem spotkałem cię na Elizjum i... - Zamknął oczy. -I wszystko, co uznałem za stracone na zawsze, zaczęło powracać. To było nie do wytrzymania. Podczas Elizjum kilka razy rozważałem, czy cię nie zabić, po to tylko, by powstrzymać to, co będzie moim upadkiem. Nie chciałem tego, nie chciałem nic czuć, zwłaszcza do dziewczyny, półczłowieka, i to córki Letniego Króla. - Westchnął smutno. - Od kiedy wkroczyłaś do krainy Nigdy-nigdy, stałaś się moją zgubą. Nie powinienem był przyjmować tamtej umowy.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze.

- Czemu?

Odgarnął mi kosmyk włosów z twarzy i odezwał się delikatniej niż do tej pory:

- Bo bez względu na to, co czuję, nie uda mi się pokonać setek lat zasad i tradycji. I tobie też nie.

- Moglibyśmy spróbować...

- Nie znasz dworów - kontynuował łagodnie. - Nie byłaś dość długo w Krainie Magii, by wiedzieć, co może się zdarzyć, ale ja tak. Widziałem to, całe wieki. Nawet jeśli odzyskamy berło, nawet jeśli uda nam się powstrzymać wojnę, wciąż pozostaniemy po przeciwnych stronach. Nic tego nie zmieni, bez względu na to, jak bardzo pragnęłabyś, by było inaczej. Bez względu na to, jak bardzo ja bym tego pragnął.

Nie odpowiedziałam, zbyt zrozpaczona, by coś powiedzieć. Jego głos, co prawda przepełniony żalem, był pewny siebie. Ash podjął decyzję, a ja nie będę w stanie jej zmienić.

Ogarnął mnie dziwny spokój albo moja rozpacz zamieniła się w końcu w rezygnację. A więc to tak, pomyślałam, gdy moje ciało ogarniało odrętwienie, zmniejszając ból w piersi. Tak wygląda zerwanie. Chociaż byłam przekonana, że określenie „zerwać” nie było odpowiednie. Było zbyt banalne i zwykle na to, co się działo.

- Chodź - Ash oderwał moje dłonie od swojej talii i wstał. - Musimy ruszać. Złotopalcy i ja dogadaliśmy się wreszcie. Wyprowadzi nas z miasta przez biegnące pod nim tunele goblinów. Musimy się spieszyć; Cierniowa Gwardia Rowana przeczesuje ulice.

- Ash - odezwałam się, z trudem wstając. - Poczekaj. Jeszcze jedna rzecz, nim ruszymy.

Zmarszczył ze zmęczeniem brwi.

- Czego chcesz?

Wstałam z łóżka, a serce waliło mi jak oszalałe.

- Pocałuj mnie - wyszeptalam i zobaczyłam, jak zaskoczony unosi brwi. - Tylko ten jeden raz - błagałam. - I obiecuję że ostatni. Potem będę mogła o tobie zapomnieć.

Cóż za kłamstwo. Nawet jak skończę dziewięćdziesiątkę zapadnę na starczą demencję i zapomnę wszystko, to wspomnienie zimowego księcia będzie jak świecąca latarnia morska, która nigdy nie gaśnie.

Zawahał się, niepewny, a ja spróbowałam nadać głosowi lekki ton.

- Ostatni raz, przysięgam. - Spojrzałam mu w oczy i spróbowałam się uśmiechnąć. - Przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić. To jest bardzo odpowiednia okazja.

Ash wciąż się wahał. Był rozdarty. Spojrzał na drzwi i przez moment byłam pewna, że wyjdzie z pokoju, zostawiając mnie, bym rozsypała się ze wstydu. Ale potem westchnął cicho i opuścił zrezygnowany rękę.

Spojrzał mi w oczy, postąpił o krok naprzód, wziął mnie w ramiona i dotknął ustami moich ust.

Nasz ostatni pocałunek miał być krótki, ale po tym pierwszym dotyku warg zapłonął we mnie ogień. Wbiłam mu palce w plecy, przyciągając go do siebie, a on prawie rozgniół mnie w uścisku, jakby pragnął, byśmy stali się jednością. Zatopiłam palce w jego włosach i przygryzłam jego dolną wargę, aż jęknął. Rozchylił usta i nasze języki rozpoczęły taniec. W tym ostatnim pocałunku nie było nic słodkiego ani delikatnego - był przepełniony bólem i rozpaczą, gorzką świadomością tego, że mogliśmy stworzyć coś idealnego, ale nie było nam to dane.

I skończył się zdecydowanie zbyt szybko. Ash odsunął się z błyszczącym, oczami. Trząśnięcie z pożądania i namiętności. Nasze serca łomotały dziko. Wbił palce w moje ramiona i wychrypiął:

- Nie prosz mnie o to więcej.

A mnie zabrakło tchu, by mu odpowiedzieć.

Puścił mnie i nie odwracając się, ruszył do drzwi. Wzięłam głęboki oddech i hamując duszące mnie łzy, poszłam za nim.

U dołu schodów czekał na nas goblin. Szcherzył się w uśmiechu, pokazując dziury po kłach i złote zęby. Cały był obwieszony biżuterią - pierścieniami, kolczykami, naszyjnikami, miał nawet złoty kolczyk w nosie. Gdy się do mnie odwrócił, zabłysło szklane oko. Zatarł szpony, uśmiechając się jak radosny rekin.

- Ach, więc to jest księżniczka, która doprowadziła do zdrady księcia - zasyczał, mierząc mnie wzrokiem. - A teraz potrzebują tuneli goblinów, by wydostać się z miasta. Dobrze, dobrze.

Machnął przyozdobioną pierścieniami ręką.

- Nie ma czasu na rozmowy. Ruszamy teraz, zanim pojawią się strażę i zaczną zadawać pytania. Potrzebujesz czegoś, nim ruszymy, zdradziecki książę?

Ash spojrzał na niego z bólem, ale pokręcił głową. Goblin zachichotał, w słabym świetle znów błysnęły złote zęby.

- Dobrze, dobrze! Za mną.

7. Pierścień.

Złotopalcy wyprowadził nas z tawerny przez tylne drzwi i dale wzdłuż jeziora. Za dokami brzeg był urwisty i kamienisty. Przytrzymując się falochronu, zesłiliśmy za Złotopalcym nad wodę. gdzie dwa potężniejsze gobliny czekały przy małej drewnianej łódce.

- Szybko, szybko - Złotopalcy zagonił nas do niej.

Usiedliśmy ostrożnie pomiędzy dwoma goblinami. które złapały za wiosła, a Złotopalcy zepchnął łódkę na wodę. Gdy pomocnicy odwiosłowali trochę od brzegu, przywódca odwrócił się do nas z przepraszającym uśmiechem.

- Tunele goblinów są nieopodal - stwierdził, bawiąc się jednym z pierścieni. - Tylko gobliny wiedzą, gdzie one są, i tylko gobliny mogą je oglądać i pozostać przy życiu. Kiedyś ceną byłyby wasze piękne oczka, ale czasy się zmieniają. Rzecz w tym, że nie jesteście goblinami. Nie możecie zobaczyć tajnych tuneli. Zasady. No wiecie. Przykro mi.

- Rozumiem - rzucił Ash, gdy goblin przesunął się za niego i zawiązał mu oczy.

Podskoczyłam, gdy zarzucono mi na twarz czarny materiał i świat pograżył się w ciemności.

Płynęliśmy dość długo, a jedynymi dochodzącymi do mnie dźwiękami były rytmiczne uderzenia wiosel o wodę i nieliczne odzywki Złotopalcego do kamratów. Ash siedział cały spięty.

Powietrze robiło się chłodniejsze, gdzieś z góry usłyszałam pisk nietoperzy. Łódka uderzyła o coś i zaczęła trzeć o skały, a powietrze wypełnił smród łąjna i zepsutego mięsa. W ciemnościach rozbrzmiewały prychnięcia i rechotanie, a po skałach drapały pazury. A potem wszystkie odgłosy i zapachy zniknęły, przez jakiś czas płynęliśmy w zupełnej ciszy. Słyszałam, jak Złotopalcy i jego załoga szepczą coś między sobą i to bardzo mnie niepokoiło. W końcu łódź uderzyła o ziemię i ktoś wyciągnął ją na brzeg.

Ściągnęłam opaskę i zamrugałam w słabym świetle. Byliśmy w niewielkiej jaskini o podłożu z kamyków, na którym poniewierały się śmiecie i kości. W pewnej odległości widać było zachęcający krąg światła. Odetchnęłam z ulgą. Udało się.

Złotopalcy przyglądał się nam złośliwie, gdy Ash pomagał mi wyjść z łódki.

- Jak obiecano.- Machnął w stronę wyjścia z jaskini. - Bezpieczna droga z miasta. A teraz zdradziecki książę jest mi coś winien, prawda?

Wyciągnął przed siebie ozdobiony pierścieniami szpon, a Ash upuścił w jego dłoń skórzaną sakiewkę.

- Nie mów nikomu, że nas widziałeś - polecił Ash, gdy dwaj pomocnicy Złotopalcego zaczęli spychać łódkę do wody.

- Obawiam się, że na to już za późno, wasza wysokość - odezwał się chropawy głos po drugiej stronie jaskini.

Odwróciliśmy się gwałtownie; Ash z ręką na rękojeści miecza Naszym oczom ukazali się czterej rycerze Cierniowej Gwardii, buty zgrzytały im na kamieniach.

- Bardzo sprytnie nie korzystać z tradycyjnych ścieżek, Ash - odezwał się jeden z gwardzistów.

Jego zbroja miała więcej cierni niż inne, a szpikulce na ramionach sterczały jak wielkie kolce jeżozwierza.

- Mab kazała wszystkim strzec, ale wiedziałeś o tym, prawda? Niestety Rowan zdążył już przekupić wszystkich przemytników w mieście, nim dotarłeś do tego. Gobliny są obrzydliwie chytre, prawda?

Wściekła spojrzałam na Złotopalcego, ale łódka była już daleko poza naszym zasięgiem, a goblin szczyrzył się do nas z tylnej ławeczki.

- Przykro mi, księżniczko - zachichotał. - Oferta księcia była dobra. Ale oferta tego drugiego lepsza. To nic osobistego, prawda?

Machał, aż łódź zniknęła w ciemnościach. Poczułam w żołądku lodowatą bryłę i odwróciłam się znów do gwardzistów.

Jak na zawołanie sięgnęli po broń. Ich miecze były kolczaste i czarne, o długich cierniach biegnących wzdłuż klingi, ostryg jak brzytwa.

- Odsuń się, Kolcolście - zażądał Ash. Nie wyciągnął jeszcze broni, ale przyjął postawę. - Nie chcę z tobą walczyć. Możesz odejść, a Rowan o niczym się nie dowie. Nie wracamy do miasta.

- Obawiam się, że nie nakazano nam odprowadzić cię do miasta ani do królowej Mab - odpowiedział Kolcolist, uśmiechając się lekko. - Widzisz, Rowan wie, że zamierzasz podążyć za

berłem, i nie może na to pozwolić. Nowy król chce mieszańca żywego, ale niestety ciebie będziemy musieli zabić, książę. Jak to powiedział Złotopalczy: „to nic osobistego”.

Przez moment nie wiedziałam, o kim mówi. A potem uderzyło mnie jak cios w żołądek: „Nowy król”. Nowy Żelazny Król. Oni służyli Żelaznemu Królestwu. To Rowan musiał wpuścić Tercjusza i te druciane stwory do pałacu. Pozwolił im zabić Sage'a i porwać berło, a potem przekonał Mab, że żelazne stworzenia nie stanowią zagrożenia!

Ash pobał zszokowany.

- Nie! - zawołał, a krew odpłynęła mu z twarzy. - Nie, Rowan by nas nie sprzedał. Nie im. Coście zrobili?

- Nie możemy powstrzymać Żelaznego Królestwa - stwierdził poważnie Kolcolist. - Dawne metody są przestarzałe. Mab nie może nas już chronić. Nadszedł czas, by zbratać się z potężniejszą siłą, stać się lepszymi, niż jesteśmy. Rowan poprowadzi nas do nowej ery, w której nie będziemy się bali niczego. Ani dotyku żelaza, ani słabnącej wyobraźni ludzi, niczego! Niech stara krew pławi się w swoich przestarzałych tradycjach. Niedługo upadną, a my powstaniami, by zająć ich miejsce.

- Rowan nas zniszczy - odezwał się ponuro Ash. - Wojna tylko przyspieszy naszą zglubę. Gdyby Lato i Zima zjednały się, moglibyśmy razem pokonać Żelazne Królestwo.

- A na jak długo? - zapytał Kolcolist, podkreślając każde słowo cięciem miecza. - Ludzie śnią o technologii, marzą o wynalazkach i zapominają o nas. Nie możemy cofnąć czasu, ale możemy ewoluować i przetrwać. Pokażę ci, co mam na myśli. Zerwał rękawicę i uniósł nagą dłoń. Na środkowym palcu zaśnił w świetle żelazny pierścień.

- Patrz! - zażądał. - Spójrz na mnie! Nie boję się dotyku żelaza, postępu. Teraz mnie pali, ale niedługo będę mógł go używać tak jak ludzie. Niedługo będę jak oni.

- Kolcolist, ty umierasz. - Głos Asha był przepełniony szokiem i współczuciem. - To cię powoli zabija, a ty nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

- Nie! Po wojnie, gdy obie strony będą słabe, żelazne stworzenia wpadną między nich i zniszczą wszelkie pozostałości przeszłości. Nie będzie już Lata i Zimy. Nie będzie dworów. Zostaną tylko Żelazne Królestwo i ci, którzy są dość silni, by się do niego przyłączyć.

Popatrzyłam na niego uważnie.

- To Rowan wpuścił żelazne stwory do pałacu, prawda? - wyszeptalam, a on skupił na mnie rozgorączkowane spojrzenie. - Przysłał je, by ukradły berło, i pozwolił im zabić jego własnego brata. Jak możesz pracować dla takiego zwyrodnialca? Nie widzisz, że on cię wykorzystuje?

- Zamilcz, mieszańcu! - Kolcolist zmierzył mnie wzrokiem. - Jeśli jeszcze raz obrazisz mojego księcia, to wytnę ci język i rzucę moim psom. Tylko Rowan dba o przyszłość Tir Na Nog.

Ash pokręcił głową.

- Rowan pragnie władzy i poświęci cały dwór, by ją zdobyć. Nie musisz być odpowiedzialny za jego szaleństwo, Kolcolist. Przepuść nas. Możemy zakończyć tę wojnę, a jeśli Lato się z nami sprzymierzy, to także znajdzie sposób na Żelazne Królestwo.

Wyraz twarzy Kolcolista nie zmienił się ani trochę.

- Mamy rozkazy, książę. Weźmiemy ze sobą mieszańca, ale obawiam się, że twoja podróż kończy się tutaj. Rowan jasno dał do zrozumienia, że nie życzy sobie, abyś wracał przed oblicze Mab, bez względu na powód. - Skinął na stojących za nim rycerzy, a ci zaczęli zacieśniać krąg. - Przepraszam za to miejsce. Grób księcia powinien być w lepszym.

Cofnęłam się, wiedząc, że teraz pora na przemoc. Po raz setny bezradnie usiłowałam zrobić coś z moim urokiem - wyciągnąć spod ziemi korzeń, by przewrócić rycerzy, rzucić błyszczącą kulę światła, by ich rozproszyć, cokolwiek. Ale to było jak odbijanie się od szklanej ściany. Wiedziałam, że moja moc jest po drugiej stronie, ale nie mogłam do niej sięgnąć.

Ash stał naprzeciwko zbliżających się rycerzy spokojnie, ale widziałam, jak mięśnie grają mu pod skórą.

- Rowan nie zna mnie tak dobrze, jak mu się wydaje - wyszeptał, najwyraźniej niezbyt przejęty naciągającymi zębatymi ostrzami. - Inaczej nigdy nie popełniłby takiego błędu.

Kolcolist uśmiechnął się, obserwując Asha zza pleców trzech rycerzy, zadowolony, że to oni zetrą się z zimowym księciem.

- A jaki to niby błąd?

- Jest was tylko czterech.

Machnął ręką i zbliżających się rycerzy obsypał grad lodowych odłamków. Wzdrygnęli się, unosząc ramiona, by ochronić twarze, a Ash rzucił się do ataku.

Pierwszy nie miał szans. Klinga Asha przecięła jego zbroję i elf zwinął się, nim zdążył unieść miecz. A tam, gdzie upadł, jego kolczasta zbroja rozpadła się, zamieniając w gęsty czarny krzak o ostrych cierniach. W kilka sekund ciało elfa przemieniło się w potężny głóg wyrastający wprost z kamieni. Na jednej z gałązek błyszczał metalowy pierścień.

Zgrzyt kling skupił moją uwagę na bitwie. Nie widziałam Kolcolista, ale pozostali dwaj gwardziści zapędzili Asha w kąt i bezlitośnie okładali ciosami. Książę parował, wirował i blokował ich ataki, a jego miecz błyskał jak białoniebieska smuga. Rozejrzałam się wokół i z brzegu uniosłam kamień wielkości pięści. Może nie mogłam rzucać kulami ognia, ale wciąż potrafiłam zrobić komuś krzywdę.

Proszę, nie traf w Asha, pomyślałam, rzucając kamieniem. Pierwszy uderzył rycerza w plecy, bez jakiegokolwiek efektu, ale drugi trafił go w bok głowy, sprawiając, że drgnął. To wystarczyło. Ash wyprowadził pchnięcie, zatapiając klingę w piersi przeciwnika. Rycerz osunął się bezgłośnie, a z jego zbroi wykwił krzak jeżyn, pokrywając ciało cierniami.

Krzyknęłam triumfalnie, ale jakiś ciemny kształt pojawił się przede mną. Kolcolist wysunął się z ukrycia i sięgnął po mnie szponami. Próbowalam mu uciec, ale złapał mnie za rękę i wykręcił mi ją za plecami. Jęknęłam z bólu, a wtedy chwycił mnie za gardło. Wiłam się i kopałam, ale tylko pokłułam się o jego kolczastą zbroję, a on zacisnął mocniej pięść i odciął mi dopływ powietrza.

Pojawienie się kolejnego jeżynowego krzaka obwieściło koniec ostatniego rycerza, a Ash podszedł do nas z zimnym, morderczym spojrzeniem.

- Nie ruszaj się, książę - warknął Kolcolist i przycisnął zimny czarny sztylet do mojego policzka. - Ani kroku albo wydlubię jej te śliczne oczka. Żelaznemu Królowi nie zależy na tym, by dotarła nietknięta.

Ash stanął i opuścił miecz, nie spuszczając Kolcolista z oczu. Dławiący uścisk na moim gardle odrobinę zelżał, a ja z trudem nabrałam powietrza, próbując zachować spokój. Z tak bliska rycerza czuć było potem i skórą, a także czymś ostrzejszym, metalicznym. Pierścień na jego ręku błyszczał na tle poczerńiałego palca, gdy tak trzymał sztylet przy moim policzku.

- A teraz - wydyszał Kolcolist, patrząc w oczy Ashowi - odłóż miecz i obiecaj, że nie będziesz za nami podążał.

Gdy książę ani drgnął, Kolcolist wbił czubek noża w mój policzek, akurat na tyle, by pociekła krew. Syknęłam z bólu, a Ash zamarł.

- Nie będę prosił ponownie, wasza wysokość - wycedził Kolcolist. - Przegrałeś tę bitwę. Odłóż miecz i przysięgnij, że nie będziesz za nami podążał.

- Kolcolist. - Głos Asha był zimny jak zmrożona stal. - Rowan zatrął ci umysł, tak jak ta zmrożona żelazo zatrąca ci wnętrze. Nadal możesz to zmienić. Pozwól mi odprowadzić księżniczkę do Arkadii, a potem możemy ostrzec Mab przed Żelaznym Królem i Rowanem.

- Już za późno. - Kolcolist pokręcił dziko głową. - Już nadchodzą. Nie możesz ich zatrzymać. Ash. Nikt nie może. - Zaśmiał się, jego szaleństwo wreszcie wypłynęło na wierzch. Zwiększył uścisk na moim gardle.

- Wszystkie armie króla i żołnierze - recytował, wymachując mi nożem przed oczami - sprawia, że zaklęta kraina w drobiazg się rozpadnie.

Dosyć tego! Kolcolist zwariował. Zupełnie mu odbiło. Musiałam coś zrobić. Ale co, tak bez broni i uroku?

Krew ściekała mi po twarzy, spływając jak wielka czerwona łza. Policzek mnie piekł, a ból sprawił, że wszystko stało się wyraźniejsze. W umyśle ujrzałam, jak metalowy pierścień jarzy się na białą, pulsującą energią. Wyczułam wokół niego urok, ale inny niż cokolwiek, co poznałam wcześniej - zimny i bezbarwny.

Czyżby to... żelazny urok? Czy mogłam go użyć tak, jak magiczne stworzenia wykorzystywały dziką magię marzeń i emocji? Pierścień zaśnił, żywy i płynny, chętny, by nad nim pracować. By stworzyć z niego coś nowego. Zaciśnij się, pomyślałam, a metalowa obręcz natychmiast zareagowała, wznosząc się w skórę. Kolcolist szarpnął się zaskoczony, a ja ścisnęłam mocniej, kręcąc pierścieniem tak, by wgrzyzał się w jego ciało, aż pociekła krew. Zasyczał w miejscu, gdzie go dotykał, a Kolcolist zawył, zabierając gwałtownie rękę z mojej szyi, jakby się poparzył. Wyrwałam się z uścisku i go odepchnęłam.

Ash rzucił się na rycerza. Kolcolist zobaczył, że się zbliża, i w ostatniej chwili sięgnął po miecz, ale za późno. Księżę wyprowadził pchnięcie i wbił klingę głęboko w pierś rycerza, tak mocno, że aż wyszła z drugiej strony.

Kolcolist zachwiał się i upadł z rozpryskiem w wodę. Spojrzał na krew na swojej piersi, a potem spojrzał na nas zaskoczony.

- Wy... nie rozumiecie - wychrypiał, a Ash obserwował go ze smutkiem. - Mieliśmy stać się tacy... jak oni. Rowan obiecał. Obiecał...

A potem wywróci! oczami, a jego ciało oplotły kolczaste gałęzie.

Zadrzałam, rozdarta pomiędzy chęcią zwymiotowania i wybuchnięcia płaczem. Dziwne, jak mimo całego tego czasu na Zimowym Dworze nie znieczuliłam się na widok śmierci. Poczułam na sobie spojrzenie Asha, zaciekawione i zaniepokojone, jakby był kimś obcym.

- Co mu zrobiłaś?

Wzdrygnęłam się. Dziwny urok zanikał już. Jakby nigdy go nie było. Zaczęłam się trząść z szoku i wcześniejszego uderzenia adrenaliny.

- Nie wiem.

Ash jeszcze raz spojrzał na krzak kolcolistu oraz zwisający z gałązki żelazny pierścień i zadrzał.

- Chodź - westchnął, wskazując duży kamień. - Usiądź. Pokaż twarz.

Cięcie nie było głębokie, właściwie raczej ułkucie, ale mimo to bolało okropnie. Ash ukląkł i przyjrzał mu się. Po czym oderwał pas materiału z rękawa i zamoczył w kałuży. Gdy podniósł go do mojego policzka, odruchowo skrzywiłam się i odsunęłam. Pokręcił głową i zadrzał mu kącik warg.

- Nawet cię jeszcze nie dotknąłem. Nie ruszaj się.

Uniósł materiał, a nasze spojrzenia się spotkały. Ash zamarł. Widziałam na jego twarzy tuzin różnych emocji, nim odetchnął cicho i bardzo ostrożnie przycisnął materiał do policzka.

Chciałam zamknąć oczy, ale nie zrobiłam tego, przyglądając się jego twarzy. Mieć go tutaj, tak blisko, było warte bólu. Patrzyłam na jego oczy, usta, malutki srebrny kolczyk w uchu, prawie niewidoczny pod ciemnymi włosami. Zapamiętywałam drobne szczegóły, zapisując sobie jego obraz w pamięci, pragnąc zachować tę chwilę. Chociaż po tym pierwszym spojrzeniu przybrał obojętny wyraz twarzy, opatrywał mnie delikatnie.

- Czemu mi się przyglądasz?

Jego głos sprawił, że aż podskoczyłam.

- Co? Nieprawda.

- Kłamczucha. - Ash wziął mnie za rękę i przycisnął ją do szmatki, do mojego policzka. - Trzymaj. Krwawienie ustało, ale dla pewności uciskaj jeszcze przez chwilę.

Nie zabierał ręki, chłodnej i gładkiej, ale nie mógł mi spojrzeć w oczy.

- Przepraszam. Meghan.

- Za co?

- Za Rowana. Za wszystko. - Podniósł się i podszedł do miejsca, gdzie padł Kolcolist. Teraz tylko krzew zaznaczał punkt, w którym zginął, a Ash spojrzał na niego tak, jakby mógł powrócić do życia. - Rowan... - usłyszałam, jak szepcze. - Co ty sobie myślisz?

Odrzuciłam szmatkę i podeszłam do niego.

- To co teraz?

Milczał przez chwilę, rozmyślając. Szok wywołany odkryciem, że to jego brat był winny zdrady całej Krainy Magii, wciąż był świeży jak niezasklepiona rana. Wiedziałam, że nie chciał w to uwierzyć.

- Nic się nie zmieniło - odezwał się w końcu zimnym, pewnym tonem. - Berło nadal jest gdzieś tam, a jeśli nawet mój brat wie gdzie, to nam nie powie. Kiedy to wszystko się skończy, Mab zadecyduje, co z Rowanem, ale teraz najważniejsze jest berło.

Dotknęłam lekko jego ramienia.

- Przykro mi. Jest dupkiem, ale naprawdę przykro mi, że to on.

Ash skinął głową.

- Chodźmy stąd.

Przy wejściu do jaskini stały cztery konie - magiczne rumaki o czarnej jak smoła sierści, grzywach koloru błyskawicy i błyszczących jasnoniebieskich oczach. Ich smukłe kopyta nie dotykały ziemi, gdy drobiły w miejscu, przyglądając nam się z niepokojącą inteligencją.

Ash pomógł mi dosiąść jednego, a magiczny rumak machnął ogonem i przewrócił oczami, jakby wyczuwał mój niepokój. Posłałam mu groźne spojrzenie.

- Nie próbuj niczego, koniu - wyszeptalam, a ten położył uszy po sobie, co nie wróżyło za dobrze.

Ash podszedł do drugiego wierzchowca i wskoczył lekko na siodło, jakby robił to tysiące razy.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam, bawiąc się wodzami, co sprawiło, że koń bryknął w bok.

Cholera, nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- Wiemy, że Tercjusz skradł berło, Rowan pomógł mu dostać się do pałacu i obaj pracują dla nowego Żelaznego Króla. - Skrzywiłam się na myśl o tym, co to oznacza. - Ash, myślisz, że będziemy musieli wrócić do Żelaznego Króla...

Mój koń zarżał nagle przenikliwie i poderwał się na tylne nogi, prawie mnie zrzucając. Gdy krzyknęłam i złapałam go za grzywę, drugi rumak próbował uciec, ale Ash ściągnął mu wodze i zwierzę zataczało dzikie koła, póki się nie uspokoiło. Gdy nasze wierzchowce ucichły, wciąż brykając i zarzucając głowami, rozejrzeliśmy się w poszukiwaniu źródła strachu. Nie musieliśmy patrzeć daleko.

Spomiędzy drzew, odcinając się wyraźnie na tle chmurnego nieba, samotna postać na koniu obserwowała nas z zaśnieżonego pagórka. Drzewo, które rosło obok, próbowało odsunąć poskręcane gałęzie jak najdalej od jeźdźcy, ale ten zdawał się nie zwracać na to uwagi. Gdy tak wpatrywaliśmy się w siebie wzajemnie, słońce wychynęło zza chmur i rozświetliło jego stalową zbroję.

Z wiatrem nadleciało metaliczne zgrzytanie, jakby tysiące noży ocierały się o siebie, a mnie zrobiło się słabo. Gdy tak żelazny rycerz stał bez ruchu na wzgórzu, za nim ukazało się olbrzymie stado patykowatych istot. Błyskały szpony, a kończyny drgały, gdy druciane stwory zebrały się na szczycie pagórka jak wielkie pająki błyszczące w słońcu.

Ash pobladł, a mnie serce ścisnęło się z przerażenia, gdy rycerz wskazał nas ręką, szczując na nas stado swoich podwładnych.

Zaczęliśmy uciekać.

Magiczne rumaki gnały przez las, prawie bezgłośnie galopując po śniegu. Drzewa migwały z zawrotną prędkością, gdy konie nurkowały między pniami i przeskakiwały przez zwałone kłody, przypominając moją pierwszą jazdę przez Krainę Magii, gdy, o ironio, uciekałam przed Ashem. Przynajmniej tym razem miałam siodło. Trzymałam się z całych sił końskiej grzywy, niezdolna do niczego innego. Na szczęście Ash zdawał wiedzieć, dokąd jedziemy, a mój wierzchowiec podążał za nim. Za nami metaliczne zgrzyty biegnących drucianych stworem niosły się na wietrze, nie cichnąc ani na chwilę.

Drzewa pozostawiliśmy za sobą, a przed nami wyrosło gwałtownie wzniesienie poszarpanych skał pokrytych lodem gładkim jak szkło. Żołądek mi się skręcił, gdy wyobraziłam sobie jak mój koń się potyka i pada na mnie, ale kopyta zimowych rumaków bez trudu zaczęły wspinać się pod górę. Czułam się tak, jakby biegły po ścianie, i ścisnęłam mojego wierzchowca tak mocno, że ręce paliły mnie żywym ogniem.

Na szczycie wzniesienia Ash ściągnął konia. Mój też się zatrzymał, drobiąc w miejscu.

Ręce trzęsły mi się od utrzymywania się w siodle, więc wyprostowałam się ostrożnie. Ash wpatrywał się zmrużonymi oczami w dół z boku. Podążyłam za jego wzrokiem i serce skoczyło mi do gardła. Brzeg wzniesienia opadał pionowo w dół, a poniżej ostre skały jeżyły się jak włócznie. Nagle pożałowałam, że nie potrafię powodować swoim koniem, choćby po to, by odsunąć go od urwiska.

- Nadchodzą - wyszeptał Ash.

Druciane stwory wychynęły spośród drzew błyszczącą masą. Popędziły do wzniesienia i zaczęły się wspinać, wbijając szpony w lód i prac w górę. Migając stalowymi kończynami, wchodziły jak mrówki coraz wyżej, prawie nie zwalniając.

- Co to za stwory? - wyszeptał Ash. Uniósł rękę, a powietrze wokół niego zamigotało, gdy nad głową pojawiła mu się błyszcząca lodowa włócznia. Rzucił ją w dół stoku, prosto w zastępy nadchodzących stworów, włócznia uderzyła jednego prosto w twarz, przebijając druty i odrywając go od podłoża. Spadł, rozkładając szeroko kończyny, ale inne tylko przeskoczyły nad ciałem towarzysza albo je ominęły i dalej parły w górę.

Mój koń prychnął i się cofnął. Złapałam go za grzywę, a Ash obrócił swojego rumaka i spojrzał na mnie ponuro.

- Nie uciekniemy im - stwierdził, a ja dosłyszałam w jego głosie nutę strachu, co tylko bardziej mnie przeraziło. - Są szybsze od nas i wyprzedzą konie na długo przed tym, nim dotrzemy do ścieżki. Musimy się im przeciwstawić.

Spojrzałam na nadciągające stado i zapytałam zduszonym z przerażenia głosem:

- Tu? Teraz?

- Nie tutaj. - Ash pokręcił głową i wskazał drugą stronę wzgórze. - Na brzegu Losoboru jest opuszczony fort, kiedyś służył jako chatka myśliwska mnie i Arielli. Jeśli uda nam się tam dotrzeć, to mamy szansę.

Druga strona wzgórze opadała w dół równie ostro. Daleko, daleko w oddali widziałam punkt, w którym zaśnieżone czubki drzew stykały się z przewalającą się szarą mgłą Losoboru.

Nad nami przeleciał kruk. Zaskrzeczał ostro, gdy pierwszy z drucianych stworów wdrapał się na szczyt. Ash spał konia, a mój ruszył za nim galopem ku urwisku. Wrzasnęłam, gdy koń zebrał kopyta pod siebie i skoczył w przestrzeń. Zdawało mi się, że spadamy przez całą wieczność. Kiedy wreszcie dotarliśmy na dół, rumaki wylądowały lekko jak piórka i pognały w las.

Za nami druciane stwory ruszyły w dół zbocza jak błyszczący wodospad.

Całe ciało mnie bolało, a ręce paliły od tak długiego trzymania się konia. Każdy wybór sprawiał, że bok przeszywał mi ból i z trudem łapałam oddech. W końcu wypadliśmy z lasu na zaśnieżoną polanę. Na jej środku wznosiła się rozsypująca się wieża w kształcie odwróconego L, która wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła się zawalić.

- Chodź! - Ash zeskoczył z konia i nie zwrócił uwagi na to, że wierzchowiec umknął w las. Mój próbował za nim pogonić, ale księżę złapał wodze i ściągnął je ostro. Na wpół zsunęłam się, a na wpół spadałam z siodła i ledwo zdążyłam złapać oddech, gdy Ash pociągnął mnie za sobą przez śnieg.

Pobiegliśmy do fortu, słysząc za sobą zgrzytanie szponów. Nie miałam odwagi spojrzeć za siebie. Przed sobą, za wielkimi drewnianymi wrotami, ujrzałam zaciemniony pokój. Słońce wpadało przez dziury w dachu, rozświetlając zaskakująco połyskliwą podłogę. Gdy się zbliżyliśmy, aż zaparło mi dech. Cała posadzka pokryta była białymi przypominającymi dzwoneczki kwiatkami, które lśniły delikatnie w bladym świetle. Rosły na ścianach, a nawet na starych meblach porzeczonych po kątach - drewnianym stole, szafie i kilku prostych łóżkach.

Wszystko było też pokryte śniegiem i lodem, bo dach był pełen dziur, ale podejrzewałam, że nie przeszkadzało to Ashowi i Arielli. Niskie temperatury nigdy nie były problemem dla zimowych elfów.

Ash wciągnął nas do środka, rozdeptując kwiaty i oparł się całym ciężarem o wrota. Zazgrzytały, nie chcąc drgnąć. Przyłączyłam się do niego i razem napaarliśmy na odporne drzwi. Zamykały się wolno, skrzypiąc ze starości. I zatrzasnęły się dopiero, gdy druciane stwory były nie więcej niż dwadzieścia metrów od nas. Ash opuścił sztabę, przycisnął do niej dłoń i całą bramę pokrył lodem. Gdy tylko skończył, na wrota spadły pierwsze ciosy. Lód drżał, a wraz z kolejnymi atakami na powierzchni zaczęły się pojawiać małe pęknięcia. Wyglądało na to, że drzwi nie wytrzymają zbyt długo. Księżę wyciągnął miecz.

- Cofnij się - powiedział, gdy drzwi znów się zatrzęsły. Na lodzie pojawiły się kolejne pęknięcia. - Znajdź jakieś miejsce, by się ukryć. Za tamtym posągami jest alkowa, powinnaś się tam zmieścić.

Pokręciłam rozpaczliwie głową na wspomnienie Sage'a otoczonego przez obrzydliwe druciane stwory, konającego na posadzce w sali tronowej. Nie mogłam patrzeć, jak Ash ginie tak samo. Spojrzałam na mnie i zmarszczył brwi.

- Meghan, nic nie możesz zrobić. Idź! Będę je powstrzymywał jak najdłużej. No już!

Od drzwi odpadł wielki kawał drewna, a w szparze ukazał się druciany szpon. Pazury szarpały drewno, powiększając otwór. Ogarnął mnie strach. Pobiegłam do rozsypującego się posągu jakiegoś zapomnianego bohatera i schroniłam się za nim, w chwili gdy pierwszy wielki druciany pajak zaczął się przeciskać przez dziurę.

Błyskając szponami, rzucił się na Asha, który tylko na to czekał: zamachnął się mieczem i przeciął pątkowate ciało na pół. Za nim wyskoczył kolejny, Ash ciął go przez ramię. Żelazny stwór padł w drgawkach na kwiaty, szatkując delikatne pąki jak papier. Przygryzłam policzek, próbując opanować mdłości. Kolejni napastnicy wpadali przez otwór, rozszarpuje wrota. Ash musiał się cofnąć, oddając im pole, by nie mogli go otoczyć. W końcu stanął oparty o złamany filar, plecami do kamieni, a żelazne stwory okrążyły go, wymachując pazurami.

Usłyszałam nad nami jakiś hałas i na ziemię spadł deszcz kamieni i lodu. Nagle przez dziurę w dachu wpadło coś metalowego, a mnie aż zmroziło.

- Ash, nad tobą! - krzyknęłam, gdy do środka wdzierały się kolejne stwory. - Przełazą przez dach!

Druciane pajaki zaczęły się kłębić wokół Asha. Ledwo mogłam go dostrzec w płątaniu błyskawicznych szponów. Nagle wyskoczył w górę, ponad głowy stworów i wylądował na pionowym

kawałku zwalonego filaru. Płaszcz miał w strzępach, połowę twarzy pokrywał szkarłat, a z licznych ran krew ciekła na kwiaty poniżej.

Druciane stwory ponowiły atak, wspinając się na filar i zeskakując z dachu. Strach ścisnął mi serce. Próbowałam sięgnąć po ten dziwny zimny urok, który poczułam wcześniej przy Kolcolście. ale nic nie znalazłam. Spróbowałam odnaleźć zwykły, ale znów trafiłam na szklaną ścianę. Miałam ochotę krzyknąć. Co ze mną nie tak? Przecież pokonałam Żelaznego Króla. Gdzie się podziała ta moc? Ash zaraz zginie na moich oczach, a ja nie mogę nic na to poradzić.

Coś wielkiego i czarnego wpadło przez rozwalone drzwi i rzuciło się w grupę walczących. Zaskrzeczało, uderzając w jednego stwora i zwalając go z filaru, a pozostałe spojrzały w górę zaskoczone tym atakiem. Stworzenie zatoczyło koło i wylądowało na filarze naprzeciw Asha - wielki czarny kruk o zielony jak szmaragdy oczach. Serce podskoczyło mi w piersi.

Ptaka zaskrzeczało ostro i zniknęło w czarnej chmurze. Z kłębow dymu wyłoniła się inna postać, strzepując pióra z ogniście rudych włosów, ze znajomym szerokim uśmiechem na twarzy.

- Cześć, księżniczko! - zawołał Puk, strzepując z ubrania pióra i rozglądając się wokół. - Wygląda na to, że przybyłem w samą porę.

Druciane stwory zamarły na moment, przyglądając się nowo przybyłemu, a potem znów zaatakowały. Puk wyciągnął z kieszeni kudłatą kulkę, puścił do mnie oko i rzucił ją pomiędzy kłębiące się poniżej stwory. Kulka odbiła się raz od ziemi i przemieniła w dużego czarnego dzika, który z ogłuszającym kwikiem zaszarżował na wrogów.

Robin posłał Ashowi drwiący uśmiech.

- Księżę, wyglądasz okropnie. Tęskniłeś?

Ash zmarszczył brwi i dźgnął wspinającego się do niego stwora.

- Co tu robisz, Koleżko? - zapytał zimno, a to sprawiło tylko, że Puk uśmiechnął się szerzej.

- Ratuję księżniczkę z Zimowego Dworu, oczywiście. - Robin spojrzął w dół, gdzie druciane stwory oblaży dzika i atakowały go szponami. Zawirowała chmura liści, kiedy zerwał się, by odstraszyć przeciwników. - Ale wygląda na to, że tobie też ratuję tyłek.

- Dałbym sobie radę.

- Och, na pewno... - Puk wyciągnął dwa zakrzywione sztylety o przejrzystych jak szkło ostrzach. Jego uśmiech zrobił się krwiożerczy. - No to co, ruszamy? Nie zostawaj w tyle wasza wysokość.

- Po prostu nie włącz mi pod nogi.

Zeskoczyli z filarów pomiędzy stada drucianych stworów, a te natychmiast ich otoczyły. Stojąc plecami do siebie, zaatakowali przeciwników ze zdwojoną energią, żaden nie ustępował ani na krok, świadom obecności drugiego. Tłum żelaznych stworzeń rzedł szybko. Pośród szamoczących się kończyn od czasu do czasu mogłam dostrzec skupioną twarz Asha i dziki uśmiech Puka.

Niedobitki po cichu uciekły z pokrytego złomem pobojuwiska i nie patrząc za siebie, wdrapały się na ściany, wylazły przez dach i zniknęły.

Robin, którego koszula zwiślała teraz w drobnych strzępach, schował sztylety i rozejrzał się wokół z zadowolonym uśmiechem.

- No, była zabawa. - Spojrzął na mnie, wciąż stojącą nieruchomo za posągiem i pokręcił głową. - No nieźle, coś za lodowate przyjęcie. I pomyśleć, że po to wróciłem z za grobu.

Wysunęłam się ze swojej kryjówki i z walącym sercem podbiegłam do niego. Rozłożył ramiona, a ja rzuciłam mu się na szyję i uściślałam go dziko. To prawda. Był tutaj, żywy, a nie konał gdzieś w jakimś drzewie, pozostawiony sam sobie i zapomniany.

- Tęskniłam - wyszeptalam wtulona w niego.

Uściśnął mnie mocniej.

- Zawsze po ciebie wrócę - wyszeptał, głosem tak zmienionym, że aż się odsunęłam i spojrzałam na niego. Przez moment patrzył na mnie poważnie, a mnie aż zaparło dech na widok emocji, które się w nim gotowały. Ale potem uśmiechnął się kpiąco i popsuł cały efekt.

Nagle uświadomiłam sobie, że Ash stoi obok, oparty o filar i przygląda nam się nieprzeniknionym wzrokiem. Twarz miał uwalaną krwią, która kapłała na rosnące na ziemi białe kwiaty, a miecz zwiślał mu bezwładnie w ręku.

Puk podążył za moim wzrokiem i uśmiechnął się szerzej.

- Hej, książę! - zawołał. - Podobno jesteś zdrajcą Zimowego Dworu. Cały Losobór jest oburzony, mówią, że próbowałaś zabić Rowana po tym, jak przydybał cię, gdy pomagałeś uciec księżniczce. Widzę, że trochę mnie ominęło.

- Wieści szybko się rozchodzą - odpowiedział zmęczonym głosem Ash. Sięgnął, by przeczesać okrwawioną ręką włosy, ale zrezygnował i ją opuścił. - To był ciekawy poranek.

- Co najmniej. - Puk rozejrzał się po ciałach drucianych stworów i zmarszczył nos. - Co to takiego?

- Żelazne stworzenia - wyjaśniłam. - Już je wcześniej widziałam. Były w sali tronowej, z Tercjuszem, gdy kradł berło.

- Berło Pór Roku? - Puk spojrzał na mnie zdumiony. - O rany. To stąd te pogłoski o nadchodzącej wojnie. Cudownie. Zaoszczędzimy czasu i pozabijamy się nawzajem teraz, czy wolisz to odłożyć na później?

- Nie zaczynaj, Koleżko. - Ash popatrzył ponuro na Robina - Nie chciałem tego. I nie mam czasu na pojedynki.

Westchnął, rozmyślnie nie patrząc mi w oczy.

- Właściwie skoro już tu jesteś, to możesz nam obu wyświadczyć przysługę. Chcę, żebyś zabrał Meghan na Letni Dwór.

8. Rozstania i wspomnienia.

- Tak po prostu? - zapytał Puk, a ja zagapiłam się na Asha. nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie powiedział. Wciąż nie patrzył na mnie. Puk niczego nie zauważył! i zaczął nadawać: - Zabrać ją na dwór? Jasne. I tak zamierzałem to zrobić, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie. To właśnie znaczy ratować kogoś, wiesz?

- O czym ty mówisz?! - wrzasnęłam, aż Puk podskoczył. - Ołać teraz wracanie na Letni Dwór! Musimy odzyskać berło z rąk żelaznych stworzeń! Tylko tak uda nam się powstrzymać wojnę.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Ash w końcu spojrzał mi w oczy, zimno. - Ale to problem Zimy. Odzyskanie berła to mój obowiązek. Chcę, żebyś wróciła na własny dwór, Meghan. Będziesz tam bezpieczniejsza. Tym razem nie możesz mi pomóc. Wracaj do domu.

Ból i poczucie zdrady ścisnęły mi serce.

- Od początku chciałeś mnie odstawić do Oberona, prawda? - Splunęłam na niego. - Kłamca. Myślałam, że razem pójdziemy po berło.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem.

Robin spoglądał to na mnie, to na Asha, zdezorientowany.

- Ehm... To mówisz, że nie chcesz wracać do domu? - zapytał mnie. Spojrzałam na niego wściekle, a on wzruszył ramionami. - No nieźle, to jakby psuje cały plan ratowania ciebie. Dasz mi jakąś wskazówkę, księżniczko? Czuję się trochę zagubiony.

- Musimy odzyskać berło - powiedziałam Robbiemu, licząc że mnie poprze. - Ash nie da sam rady. Możemy mu pomóc...

- Nie, nie możecie - przerwał mi Ash. - Nie tym razem. Na nic mi się nie przydasz. Meghan, nie teraz, gdy cała twoja magia jest związana... - Zamilkł z miną winowajcy, a Puk zmarszczył brwi.

- Związana? - Ruszył na zimowego księcia. - Rzuciłeś na nią urok związania?

- Nie ja. - Ash spojrzał na Puka wyzywająco. - To Mab. Gdy tylko Meghan przybyła do Zimowego Dworu. Mab bała się, że jej moc będzie zbyt wielka, i związała jej magię, by chronić nasz dwór.

Przypomniałam sobie ścianę, w którą trafiałam za każdym razem, gdy próbowałam użyć uroku, i aż się we mnie zagotowało, jak ona śmiała!

- A ty wiedziałeś! - wybuchnęłam. - Wiedziałeś o pieczęci i nawet nie raczyłeś mi powiedzieć?

Ash wzruszył bez skruchy ramionami.

- Mab nam zakazała. Poza tym co to za różnica? Nie mogę z tym nic zrobić.

Odwrociłam się do Puka, który patrzył na księcia tak, jakby zamierzał go zaraz zaatakować.

- Możesz złamać pieczęć?

Puk pokręcił głową.

- Przykro mi, księżniczko. Tylko Mab, albo ktoś o równej jej mocy, może zdjąć ziązanie, gdy zostało nałożone. To pozostawia ci wybór pomiędzy Oberonem a samą królową.

- Tym bardziej powinnaś powrócić do Lata. - Ash, krzywiąc się, odepchnął się od filaru. Pozostawił krwawy ślad.

- Dokąd idziesz? - zapytałam nagle przerażona, że mógłby po prostu wyjść z fortu i więcej nie wrócić.

Nie patrząc na mnie, wsunął miecz do pochwy.

- Niedaleko za wieżą jest strumień - odpowiedział, idąc po woli do drzwi. Wyczułam, że bardzo stara się nie kuleć. - Jeśli nie macie nic przeciwko, to pójdę się wykąpać.

- Ale wrócisz, prawda?

Westchnął.

- Dziś już nigdzie się nie wybieram - obiecał i machnął ręką w stronę przeciwnej ściany. - W tamtym kącie jest kufer z kocami i zapasami. Urządźcie się jakoś. Wygląda na to, że spędzimy tu razem noc.

W kufrze było kilka pledów, menażek, kołczan strzał i butelka ciemnego wina, którego nie znałam, i natychmiast odstawiłam na bok. Puk wybrał się do lasu po drewno na opał i wrócił z naręczem oraz gałęzią jakiś dziwnych niebieskich owoców; przysiągł, że można je bezpiecznie zjeść. Wspólnie oczyściliśmy posadzkę z kwiatów, by zrobić miejsce na palenisko, ale miałam poczucie winy za każdym razem, gdy je wrywałam. Były takie piękne, o płatkach tak cienkich i delikatnych, że prawie przezroczyście.

- Strasznie jesteś milcząca, księżniczko - odezwał się Puk, układając drwa w kształt szałas. Posłał mi poważne spojrzenie skośnych zielonych oczu. - Prawdę mówiąc, nie odezwałaś się ani słowem, od kiedy jego lodowa wysokość wyszedł. Co się dzieje?

- Och - rzuciłam niejasno. Za nic nie mogłam powiedzieć Robbiemu o moich uczuciach do Asha. Pewnie wyzwałby go na pojedynek, w chwili gdy tamten wróciłby do wieży. - Ja... Ehm... Po prostu jestem wytrącona z równowagi. No wiesz, te wszystkie druciane zwłoki wokół... To trochę straszne, zupełnie jakby nagle mogły znów ożyć i zaatakować nas we śnie.

Puk przewrócił oczami.

- Ty i ta twoja obsesja zombie. Nigdy nie rozumiałem twojej fascynacji horrorami, zwłaszcza że tak cię przerażają.

- Nieprawda - odparłam wdzięczna za zmianę tematu.

- No jasne, a z włączonym światłem śpisz tylko po to, żeby odstraszać karaluchy?

To mnie rozbawiło. Nie dlatego, że miał rację, ale dlatego, że przypomniał mi o innych czasach, prostszych, kiedy jedyne, czym musiałam się martwić, to praca domowa, szkoła i najnowsze trendy filmowe. Gdy Robbie Coller i ja siadywaliśmy na kanapie z wielką miską popcornu i oglądaliśmy maraton Piątku trzynastego do białego rana.

Ciekawe, ile straciłam od czasu, kiedy zniknęłam.

Gdy nie odpowiedziałam. Puk prychnął i pokręcił głową.

- Dobra. Patrz. - Skinął ręką. Powietrze zadrżało, a leżące wokół poskręcane szczątki zamieniły się w sterty gałęzi. - Lepiej?

Skinęłam głową, mimo że wiedziałam, że to tylko iluzja. Martwe stwory wciąż tam były, ukryte pod elfim urokiem. Przynajmniej Robbie przestał zadawać trudne pytania. Chociaż na chwilę.

- No to księżniczko... - zaczął, gdy pośrodku pokoju trzaskał wesoło ogień. Nie wiedziałam, jak mu się udało go rozpalić, ale nauczyłam się już nie zadawać takich pytań na wypadek gdyby to też była iluzja i tylko zdawało mi się, że jest ciepły. - Wygląda na to, że wiele mnie ominęło podczas nieobecności. Opowiedz mi wszystko.

- Wszystko? - Przełknęłam z trudem ślinę.

- Pewnie! - Usiadł na kocu i rozciągnął się wygodnie. - Na przykład czy odnaleźliście Machinę? Czy odzyskałaś brata?

- Och... - Rozluźniłam się trochę i usiadłam obok niego. - Tak. Ethan jest bezpieczny. Jest w domu, a ten głupi odmieniec zniknął na dobre.

- A co z Machiną?

Przygryzłam wargę.

- Nie żyje.

Puk musiał zauważyć zmianę w moim głosie, bo usiadł prosto, położył mi ręce na ramionach i przyciągnął mnie do siebie. Wtuliłam się w niego, czując jego ciepło i czerpiąc pociechę z bliskości przyjaciela.

- Mam już dość tego miejsca - wyszeptałam, czując się jak małe dziecko. Oczy zaczęły mnie piec, a wzrok się zamglił. - Chcę do domu.

Milczał przez chwilę, tylko mnie obejmując, a ja opierałam się o niego i walczyłam z napływającymi łzami.

- Wiesz... odezwał się w końcu. - Nie muszę cię zabierać na Letni Dwór. Jak chcesz, to mogę cię zabrać i powrócić do twojego świata. Jeśli naprawdę chcesz wrócić do domu.

- Oberon mnie puści?

- A czemu nie? Twoja magia została zapieczętowana. Byłabyś znów zwykłą uczennicą. Mab nie uważałaby cię za zagrożenie, więc mroczni pewnie zostawiliby cię w spokoju.

Serce mi podskoczyło. Dom. Naprawdę mogłam wrócić do domu? Do mamy, Luke'a i Ethana, do szkoły i letniej pracy, do normalnego życia? Tęskniłam za tym bardziej, niż myślałam. Miałam lekkie poczucie winy, że porzucam plan odzyskania berła, ale co tam. Ash nie chciał mnie brać ze sobą. Moja umowa z nim została zrealizowana i spełniłam obowiązek wobec Mrocznego Dworu. Nasza umowa nie mówiła nic o tym, że mam zostać w Zimie.

- A co z tobą? - zapytałam, patrząc na Puka. - Chyba miałeś mnie przyprowadzić na Letni Dwór? Nie wpadniesz w kłopoty?

- Och, już i tak jestem w tarapatkach. - Uśmiechnął się wesoło. - Przecież miałem nie dopuścić nawet do tego, byś wyruszyła do Żelaznego Króla, pamiętasz? Oberon obędzie mnie za tamto żywcem ze skóry, czyli nic gorszego nie może mi się przydarzyć.

Mówił lekko, ale zamknęłam oczy w poczuciu winy. Wyglądało na to, że wszyscy, na których mi zależało, cierpieli, ryzykując za wiele tylko po to, by mnie ochronić. Miałam tego dość. Chciałam odzyskać swoją magię, żebym to ja mogła ich wreszcie chronić.

- Czemu? - wyszeptałam. - Dlaczego trzymacie się obok? Ty i Ash mogliście dziś zginąć.

Poczułam pod palcami, jak serce Puka zaczyna bić szybciej. Gdy się odezwał, mówił cicho, właściwie szeptał:

- Sądziłem, że do tej pory już się domyślił.

Spojrzałam na niego i uświadomiłam sobie, że nasze twarze dzieli zaledwie parę centymetrów. Zmrok pograżył salę w ciemnościach, ale dywan z kwiatów świecił mocniej niż kiedykolwiek. W oczach Robina tańczyły ogniki. Mimo że wciąż uśmiechał się delikatnie, nie dało się błędnie odczytać wypisanych na jego twarzy emocji. Zaparło mi dech. Jakaś część mnie gdzieś tam głęboko, cieszyła się na tę nową wieść, ale myślę że w głębi zawsze to podejrzewałam. Puk mnie kocha. Jest we mnie zakochany. Wiedziałam. Od dawna o tym wiedziałam.

- Jesteś trochę ślepa, wiesz? - wyszeptał, uśmiechając się, by złagodzić te słowa. - Nie przeciwstawiłbym się Oberonowi dla każdego. Ale dla ciebie... - Nachylił się, dotykając czołem mojego. - Dla ciebie powróciłbym z martwych.

Serce waliło mi jak oszałałe. Ta mała częśćka mnie pragnęła tego. Robbie zawsze był przy mnie, pewny, niezawodny, opiekuńczy. Należał do mojego dworu, więc żadne głupie prawo nie stało nam na drodze. Ash odszedł. Już się zdecydował. Czemu by nie spróbować z Pukiem?

Robbie przysunął się bliżej, a jego usta znalazły się tuż przy moich. Ale jedyne, co widziałam, to Ash, namiętność na jego twarzy, jego spojrzenie, gdy mnie całował. Poczucie winy skręciło mi wnętrzności. Nie, wyszeptał mój umysł, gdy poczułam na policzku oddech Puka. Teraz nie mogę. Przykro mi...

Odsunęłam się lekko, gotowa przeprosić, powiedzieć mu, że teraz nie mogę, gdy w drzwiach pojawił się cień i do środka wszedł Ash.

Zamarł na tle nocnego nieba, a kwiaty oświetlały blado jego rysy. Miał wilgotne włosy i naprawione ubranie, ale nie wiedziałam, czy za pomocą magii, czy w inny sposób.

Przez chwilę widziałam na jego twarzy szok i ból. Zaciśnął pięści. A potem przybrał obojętną minę, a jego oczy zrobiły się puste i kamienne.

Puk zamrugał, widząc mój wyraz twarzy, a potem odwrócił się do wchodzącego Asha.

- Och, część, książę - odezwał się zupełnie niezmięszany. - Zapomniałem, że tu jesteś. Wybacz.

Próbowałam spojrzeć Ashowi w oczy, pokazać mu, że to nie to, co myśli, ale ostentacyjnie mnie ignorował.

- Chcę, abyście do rana odeszli - odezwał się zimnym głosem, przechadzając się obok ogniska. - Macie się wynieść z mojego terytorium, oboje, ty i księżniczka Zgodnie z prawem, mógłbym cię zabić tu i teraz za wtargnięcie. Jeśli jeszcze raz zobaczę któreś z was w Tir Na Nog, nie będę taki pobłażliwy.

- Rany. wyluzuj. wasza wysokość. - Puk pociągnął nosem. - Z chęcią się wyniesiemy, prawda, księżniczko?

W końcu udało mi się spotkać spojrzenie Asha i serce mi się ścisnęło. Patrzył na mnie zimno, jego oczy nie były ani ciepłe, ani przyjazne.

- Tak - wyszeptalam przez ściśnięte gardło.

To było to, ostatnia kropla. Już dość długo byłam w Krainie Magii. Nadszedł czas na powrót do domu.

Ash zaczął wygarniać sterty gałęzi, a tak naprawdę martwe żelazne stwory, na zewnątrz. Pracował szybko i cicho, nie patrząc na nas, jakby wręcz gorączkowo chciał się ich pozbyć. Gdy usunął zwłoki, wyciągnął z kufra butlę wina i schował się z nią w najdalszym kącie, ponuro wpatrując się w szklanicę. Całym sobą mówił, żeby zostawić go samego, i chociaż chciałam do niego podejść, nie zrobiłam tego. Na szczęście Robin nie próbował mnie więcej całować, ale wciąż trzymał się blisko, posyłając mi uśmiechy, dając do zrozumienia, że wciąż jest zainteresowany. Nie wiedziałam, co zrobić. W głowie mi wirowało, nie mogłam się skupić na jednej myśli.

Później tego wieczoru Ash poderwał się gwałtownie i ogłosił, że idzie się „rozejrzeć” za żelaznymi stworami. Patrząc, jak wyskakuje na zewnątrz, nie posyłając mi nawet jednego spojrzenia, czułam się rozdarta pomiędzy chęcią pobiegnięcia za nim a rozplakania się na ramieniu Puka. Zamiast tego powiedziałam, że jestem zmęczona, i położyłam się na jednym z posłań, przykrywając głowę kocem, żebym nie musiała oglądać żadnego z nich.

Trudno było spać tamtej nocy. Zawinięta w koce słuchałam chrapania Puka i walczyłam ze łzami. Nie wiedziałam, czemu było mi tak źle. Następnego dnia miałam wreszcie wrócić do domu. Zobaczę wreszcie mamę, Luke’a i Ethana, tak bardzo za nimi tęskniłam, nawet za Lukiem. Chociaż nie wiedziałam, ile czasu upłynęło w prawdziwym świecie, to sama myśl o powrocie do domu powinna mi poprawić nastrój. Nawet jeśli mama i Luke byłiby starzy i pomarszczeni, a mój czteroletni braciszek był starszy ode mnie, nawet jeśli minęło sto lat i wszyscy, których znałam, byli...

Odetchnęłam głęboko i zmieniłam tok rozumowania, nic chcąc o tym myśleć. W domu będzie tak jak zawsze. W końcu wrócę do szkoły, nauczę się prowadzić samochód, a może nawet pójdę w tym roku na studniówkę. Puk mógłby mnie zabrać. Ta myśl była tak szalona, że prawie się roześmiałam, dławiąc się hamowanymi łzami. Bez względu na to, jak bardzo pragnęłam normalnego życia, to zawsze będzie jakaś część mnie, która będzie tęskniła za tym światem, za magią i jego niesamowitością. Wsączył się w moją duszę i ukazał rzeczy, o których istnieniu nie miałam nawet pojęcia. Wiedząc, co tu zostawiam, nie mogłam już być normalna i nieświadoma. Kraina Magii stała się częścią mnie. Do końca życia będę wypatrywać ukrytych drzwi i postaci widocznych kątem oka. I pewnego mrocznego księcia, który nigdy nie będzie mój.

Musiałam zasnąć, bo gdy otworzyłam oczy, pokój wypełniało mgliste światło gwiazd. Kwiaty rozwinęły się całkiem i świeciły tak, jakby pomiędzy płatkami usadowiły się malutkie księżycy, odpychając ciemność. Eteryczne ćmy i upiorne motyle latały nad dywanem, a ich delikatne skrzydełka odbijały światło, gdy przemykały pomiędzy pąkami.

Wstałam ostrożnie, by nie obudzić Puka, i ruszyłam między kwiaty, wdychając ich odurzający zapach i podziwiając kudłatą niebieską ćmę, która wylądowała na moim palcu jak piórko. Odetchnęłam, a ona odleciała w stronę ciemnej postaci pośrodku kwietnego kobierca.

Ash stał na środku pokoju, otoczony błyszczącymi białymi kwiatami. Miał zamknięte oczy, a wokół niego tańczyły malutkie światełka. Pobłyskując, sfrunęły w jedno, tworząc świetlistą postać elfki o długich srebrnych włosach i rysach tak pięknych i doskonałych, że aż ścisnęło mi się gardło. Ash otworzył oczy gdy wyciągnęła do niego ręce, zatrzymując je tuż przed jego twarzą. W jego oczach ujrzałam tęsknotę i zadrzałam, gdy widmowa elfka przeszła przez niego i rozsypała się z powrotem w światełka.

- Czy to... Ariella? - wyszeptałam, podchodząc do niego. Ash odwrócił się gwałtownie, rozglądając się z niepokojem.

Na mój widok na jego twarzy pojawiły się szok, złość, potem wstyd, wreszcie westchnął zrezygnowany i się odwrócił.

- Nie - wyszeptał, gdy znów pojawiła się widmowa elfka i zaczęła tańczyć pośród kwiatów. - To nie ona, nie tak, jak myślisz.

- Jej duch?

Pokręcił głową, nie odrywając oczu od widma, które tańczyło nad lśniącem dywanem, w otoczeniu motyli.

- Nawet nie to. Nas nie czeka życie po śmierci. Nie mamy dusz, którymi moglibyśmy nawiedzać. To tylko... wspomnienie. - Westchnął i odezwał się delikatnie: - Była tu zawsze szczęśliwa. A kwiaty... pamiętają.

Nagle zrozumiałam. To było wspomnienie Asha o Arielli, idealne, szczęśliwe, pełne życia, tak silne, że przybrało formę materialną, chociaż tylko na chwilę. Elfiej księżniczki tu nie było. Pozostało tylko marzenie, echo istoty, która dawno temu odeszła.

Do oczu napłynęły mi łzy i pociekły po twarzy. Rozcięcie na policzku zaczęło piec od soli, ale nie zwracałam na to uwagi. Widziałam tylko cierpienie Asha, jego samotność, tęsknotę za kimś, kto nie był mną. Choć rozdzierało mi to serce, nie mogłam nic powiedzieć. Bo w jakiś sposób wiedziałam, że Ash żegna się z nami obiema.

Przez chwilę staliśmy w ciszy, patrząc, jak wspomnienie Arielli tańczy pośród kwiatów, jej delikatne włosy unoszą się wietrze, a kolorowe ćmy latają wokół. Zastanawiałam się, czy naprawdę była tak idealna, czy też tak zapamiętał ją Ash.

- Odchodzę - odezwał się cicho Książę, tak jak myślałam. W końcu odwrócił się do mnie, smutny, piękny i tak odległy jak gwiazdy. - Niech Koleżka zabierze cię do domu. Tutaj nie jest bezpiecznie.

Coś ścisnęło mnie za gardło, oczy mnie piekły i musiałam odetchnąć głęboko, by odzyskać głos. I mimo że znałam już odpowiedź i wiedziałam, że robię głupio, wymamrotałam:

- Nie zobaczę cię więcej, prawda?

Pokręcił krótko głową.

- Nie byłem wobec ciebie uczciwy - wyszeptał. - Znałem prawa lepiej niż ktokolwiek. Wiedziałem, że to się tak skończy. Ale zignorowałem rozsądek i za to przepraszam.

Głos mu się nie zmienił. Dalej mówił spokojnie i uprzejmie, ale mnie serce ścisnęła lodowata pięść.

- Ale gdy minie ta noc, staniemy się wrogami. Twój ojciec i moja królowa będą w stanie wojny. Kiedy zobaczę cię znowu, będę mógł cię zabić. - Zmrużone oczy, lodowaty głos. - Tym razem naprawdę, Meghan.

Odwrócił się, jakby zamierzał w końcu odejść. Blask kwiatów tworzył wokół niego poświatę, podkreślając jeszcze jego j niezmierną urodę. W oddali tańczyła Ariella, wolna od smutku. I bólu i wyborów żywych.

- Wracaj do domu, księżniczko - wyszeptał mroczny książę. - Wróć do domu i zapomnij. Nie należysz do tego miejsca.

Nie pamiętałam wiele z reszty nocy, ale pewnie minęła mi na łkaniu w poduszkę.

Rano, gdy się obudziłam, przez dach wpadał śnieg, pokrywając podłogę ciężkim puchem.

Kwiaty zwiędły, a księcia już nie było.

9. Przywołanie.

Wieczorem tego dnia, kiedy opuścił nas Ash, dotarliśmy z Pukiem do brzegu Losoboru.

- Już niedaleko, księżniczko - odezwał się Puk, uśmiechając się do mnie zachęcająco.

Kilkanaście kroków od miejsca, gdzie staliśmy, śnieg i lód po prostu... się kończyły. Za nimi rozciągał się Losobór, ciemny, poskręcany i wiecznie pogrążony w półmroku.

- Musimy tylko przejść przez Losobór i będziesz w domu. Powrócisz do swojego nudnego życia szybciej, niż zdążysz powiedzieć: „szkoła”.

Próbowałam odpowiedzieć mu uśmiechem, ale nie mogłam się na to zdobyć. Mimo że serce podskakiwało mi z radości na myśl o domu, rodzinie, a nawet letnich zajęciach w szkole, czułam, że zostawiam tutaj jakąś część siebie. Przez całą naszą wędrówkę odwracałam się, licząc na to, że ujrzę sylwetkę Asha przedzierającego się przez śnieg, małowównego i ponurego. Ale tak się jednak nie stało. Tir Na Nog pozostawało niesamowicie puste i ciche, a Puk i ja szliśmy dalej we dwójkę. A gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a cienie się wydłużały, zaczęłam sobie uświadamiać, że księżę nie wróci. Naprawdę odszedł.

Zadrżałam, bliska też, ale je powstrzymałam. Nie chciałam wyjaśniać Robbiemu, czemu płaczę. I tak wiedział, że jestem zdenerwowana, i wciąż próbował mnie rozbawić dowcipami i nieustannymi pytaniami. Co się stało po tym, jak go zostawiliśmy by przeciwstawić się Machinie. Jak udało nam się odnaleźć Żelazne Królestwo? Jak tam było? Odpowiadałam najlepiej jak mogłam, omijając oczywiście kwestię mnie i Asha. Puk nie potrzebował kolejnego powodu, by nienawidzić zimowego księcia, a przy odrobinie szczęścia nigdy się o tym nie dowie.

Gdy zbliżyliśmy się do bezbarwnego mroku Losoboru, coś poruszyło się w cieniu na lewo od nas. Puk odwrócił się z zatrważającą prędkością, wyciągając sztylet, gdy spośród drzew wyłoniła się zwiewna postać i upadła kilka kroków od nas. To była dziewczyna, szczupła i zgrabna, o zielonej jak mech skórze i włosach jak uschnięta winorośl. Driada.

Zadrżała i jęknęła, próbując się podnieść. Dłoń o smukłych palcach zaciskała na gardle, jakby coś ją dusiło.

- Po... pomóżcie - wyjęczała, a jej brązowe oczy rozszerzyły się z przerażenia. - Moje drzewo...

- Co się z nim stało? - zapytał Puk i złapał ją, nim się przewróciła.

Oparła się o niego, a głowa opadła jej na ramię.

- Hej! - zawołał, potrząsając nią lekko. - Skup się. Gdzie jest twoje drzewo? Ktoś je ścinał?

Driada z trudem łapała powietrze.

- Za... zatrute - wyszeptwała, a potem zamknęła oczy i jej ciało zdrewniało w jego ramionach.

Z odgłosem łamanych gałązek driada zwinęła się w sobie, aż pozostało po niej tylko kilka suchych patyczków. Patrzałam, jak uchodzi z niej życie, i przypominałam sobie, co Ash mówił o magicznych stworzeniach i śmierci. Poczułam się bardzo smutna. A więc to by było dla niej na tyle. Po prostu przestała istnieć.

Puk westchnął, schylił głowę i wziął w ramiona martwą driadę. Była teraz chudziutka i krucha, delikatna jak szklana przędza, ale gdy ją niósł, nie odłamała się nawet gałązka. Ostrożnie położył jej ciało u stóp potężnego drzewa, wyszeptał kilka słów i się odsunął.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem z ziemi wynurzyły się potężne korzenie, owinęły się wokół driady i wciągnęły ją, pełznąc z powrotem. Zniknęła w kilka sekund.

Staliśmy cicho przez chwilę, nie odważając się przerwać nastroju grozy.

- Co miała na myśli, mówiąc o zatruciu? - wyszeptaliśmy w końcu.

Puk pokręcił głową i uśmiechnął się ponuro.

- Chodźmy sprawdzić.

Nie musieliśmy daleko szukać. Po kilku minutach marszu w głąb Losoboru zobaczyliśmy, że drzewa zaczęły się związać i trafiliśmy na znajomy martwy pas ziemi. Cała połać lasu była chora i umierająca, a drzewa poskręcane w dziwne żelazne karykatury. Z ziemi wyrastały metalowe słupy

latarni, powyginane błyskały od czasu do czasu. Druty oplatały korzenie i pnie jak liany, dusząc drzewa i inne rośliny. Powietrze pachniało miedzią i rozpadem.

- To się rozprzestrzenia... - wyszeptał Puk, zasłaniając twarz rękawem, gdy metaliczny wiatr rozwiął mu włosy. - Nie było tu tego kilka miesięcy temu.

Odwrócił się do mnie.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, że zabiłaś Żelaznego Króla.

- No tak. To znaczy zgadza się, on nie żyje. - Spojrzałam na zatruty las i przeszedł mnie dreszcz. - Ale to nie znaczy, że Żelazne Królestwo zniknęło. Tercjusz powiedział, że teraz służy nowemu Żelaznemu Królowi.

Puk zmrużył oczy.

- Kolejny? Jakoś zapomniałaś o tym wcześniej wspomnieć, księżniczko. - Pokręcił głową, rozejrzawszy się po zniszczonej okolicy i westchnął. - Kolejny Żelazny Król. Do licha. Ilu jeszcze mamy zabić? Będą się tak mnożyć jak robactwo?

Skrzywiłam się na myśl o kolejnym zabijaniu. Ostry wiatr zasyczał nad pustkowiem, poruszając gałęziami metalowych drzew i przyprawiając mnie o dreszcze. Robin zakaszał i zatoczył się do tyłu.

- No dobra, ruszamy, księżniczko. Nic z tym teraz nie zrobimy. Wracajmy do domu.

Dom. Pomyślałam o mojej rodzinie, o moim zwykłym życiu będącym teraz tak blisko. Pomyślałam o krainie Nigdyngidv umierającej i znikającej po kawałku i podjęłam decyzję

- Nie.

Zamrugnął i spojrzał na mnie.

- Co?

- Nie mogę jeszcze wrócić do domu, Puk. - Rozejrzałam się po zatrutej krainie, gdzie wszędzie widać było echo królestwa Machiny. - Spójrz na to. Wszyscy i wszystko wokół giną. Nie mogę zamknąć na to oczu i udać, że to się nie dzieje.

- Czemu nie? - Spojrzałam na niego, zaskoczona tym niefrasobliwym podejściem, a on się tylko uśmiechnął. - Dość już zrobiłaś, księżniczko. Myślę, że po tym wszystkim zasługujesz na powrót do domu. Do licha, już raz zajęłaś się Żelaznym Królem. Nigdyngidv da sobie radę, wierz mi.

- A co z berłem? - Byłam uparta. - I wojną? Oberon powinien się dowiedzieć, że Mab szykuje na niego atak.

Puk wzruszył ramionami, wyglądając nieswojo.

- I tak planowałem mu o tym powiedzieć, o ile tylko nie zmieni mnie w szczura, gdy tylko mnie zobaczy. A co do berła, to lodowy książę już go szuka. W tej kwestii niewiele możemy zrobić.

Kiedy zaprotestowałam, machnął tylko ręką.

- Wojna rozpocznie się bez względu na to, czy tam będziemy, czy nie. To nic nowego. Zima i Lato zawsze się ze sobą zmagają. Nie ma stulecia, żeby nie doszło do jakiejś bitwy albo potyczki. To minie, jak zawsze. W jakiś sposób berło wróci na swoje miejsce i wszystko będzie po starymu.

Zmarszczyłam brwi, przypominając sobie coś, co Mab powiedziała Oberonowi podczas ceremonii.

- A co z moim światem? - zawołałam. - Mab powiedziała, że gdyby Lato przetrzymało berło dłużej niż trzeba, to nastąpiłaby katastrofa. Co się stanie, jeśli zdobędzie je Żelazny Król? Wszystko strasznie się poplącze, prawda?

Puk podrapał się po karku

- Eee... może

- To znaczy?

- Miałaś kiedyś ochotę na kulig w Kalifornii?

Spojrzałam na niego zszokowana.

- Nie możemy do tego dopuścić, Puk! Co z tobą? Jak mogłeś pomyśleć, że to po prostu zignoruję?! - Wzruszył ramionami, wciąż wkurzająco obojętny, a ja postanowiłam zastosować cios poniżej pasa. - Po prostu się boisz, prawda? Boisz się żelaznych stworzeń i nie chcesz się w to mieszać. Nie sądziłam, że jesteś takim tchórzem.

- Próbuję zapewnić ci bezpieczeństwo! - wrzasnął Puk, odwracając się do mnie. Oczy pałały mu żywym ogniem, a ja aż się skurczyłam. - To nie zabawa, Meghan! Tutaj się zaraz rozpęta piekło, a ty z uśmiechem na ustach pchasz się w sam jego środek.

Zagotowało się we mnie z oburzenia. Miałam serdecznie dość słuchania tego, co powinnam zrobić, a czego się bać.

- Nie jestem bezradna, Puk! - krzyknęłam w odpowiedzi. - Nie jestem jakąś głupią lalką, którą musisz się opiekować. Ja też mam krew na rękach. Zabiłam Żelaznego Króla i wciąż śnię mi się o tym koszmary. Zabiłam kogoś! I jeśli będzie trzeba, zrobię to jeszcze raz.

- Wiem - prychnął i wyciągnął ręce do nieba. - Wiem, że zaryzykujesz wszystko, by nas chronić, i to mnie właśnie martwi. Wciąż nie znasz wystarczająco tego świata, by się odpowiednio bać. Tu zaraz rozpęta się wojna, a ty robisz maślane oczy do wroga! Słyszałam, co się wydarzyło w królestwie Machiny, i się przeraziłem. Kocham cię, do cholery! Nie zamierzam patrzeć, jak rozrywają cię na sztuki, gdy coś pójdzie nie tak.

Żołądek mi się skrzył, zarówno z powodu jego wyznania, jak i od tego, co powiedział o Ashu i o mnie.

- Ty... wiedziałaś? - wyjąkałam.

Spojrzał na mnie pogardliwie.

- Już trochę czasu chodzę po tym świecie, księżniczko. Nie jestem aż takim idiotą. Nawet ślepiec zauważyłby, jak na niego patrzysz. Zakładam, że coś się wydarzyło w królestwie Machiny, ale gdy już je opuściliście, nasz drogi chłopiec przy pomniął sobie, że nie powinien się zakochiwać w Lecie.

Zarumieniłam się, a Puk pokręcił głową.

- Nic nie mówiłem, bo i tak zdecydował, że odejdzie. Może i nie wiesz, czym to grozi, księżniczko, ale Ash tak. Zrobił to, co powinien, muszę mu to przyznać, chociaż nienawidzę mówić o nim dobrze.

Wargi mi zadrzały. Robin prychnął, ale zauważył, że jestem na skraju płaczu. Spojrzał na mnie ciepło.

- Zapomnij o nim, Meghan - odezwał się delikatnie. - Lodowy książę to zły pomysł. Nawet gdyby nie chodziło o prawa, to walczyłem z nim już tyle razy, że wiem, że złamałby ci serce.

W końcu łzy popłynęły.

- Nie mogę - wyszeptałam, poddając się rozpacz, która ogarniała mnie przez cały ranek.

To było nie fair wobec Robbiego, zwłaszcza gdy wreszcie przyznał się, że mnie kocha, ale nie mogłam się powstrzymać. Moja dusza pragnęła Asha, jego odwagi i determinacji, sposobu, w jaki jego spojrzenie tajało, gdy na mnie patrzył, zupełnie jakbym była jedyna na świecie. Za tą przepiękną, zranioną duszą, którą widziałam pod zimną maską, jaką prezentował światu.

- Nie mogę zapomnieć. Tęsknię za nim. Wiem, że jest wrogiem i że złamaliśmy wszelkie zasady, ale nic mnie to nie obchodzi. Tak mi go brakuje, Puk...

Puk westchnął, nie wiem, czy ze współczucia, czy ze zdenerwowania, i przytulił mnie mocno. Wypłakiwałam mu się w ramię, uwalniając wszystkie emocje, które zebrały się od chwili, gdy zobaczyłam Asha w sali tronowej. Mój przyjaciel trzymał mnie i głaskał po włosach jak dawniej, nic nie mówiąc, aż w końcu zabrakło mi łez i pociągnęłam nosem.

- Lepiej? - wyszeptał.

Skinęłam głową i odsunęłam się od niego, ocierając oczy wciąż czułam ból, ale teraz był do zniesienia. Wiedziałam, że jeszcze wiele czasu upłynie, nim zniknie zupełnie, o ile nastąpi to kiedykolwiek, ale w głębi serca wiedziałam też, że właśnie pożegnałam się z Ashem. A teraz może uda mi się pogodzić z jego odejściem.

Puk stanął za mną, położył mi ręce na ramionach i się nachylił.

- Wiem, że na razie na to za wcześnie - wyszeptał mi we włosy. - Ale chcę, abyś wiedziała, że zaczekam. Gdy będziesz gotowa, masz mnie. Nie zapomnij, księżniczko.

Skinęłam tylko głową. Robbie uściskał mnie i odsunął się, czekając, aż się pozbieram. Kiedy znów się do niego odwróciłam, zachowywał się jak zawsze, stał oparty o drzewo, z nieodłącznym uśmiechem na ustach.

- No cóż - westchnął. - Nie ma szans, żeby udało mi się przekonać ten twój uparty umysł do zmiany decyzji, co?

- Nie.

- Tego się obawiałem. - Wskoczył na jakiś pniak i splótłszy ramiona na piersi, przechylił głowę. - W takim razie, moja knująca księżniczko, jaki mamy plan?

Chciałam się do niego uśmiechnąć, ale coś poszło nie tak. Nogi zaczęły mnie swędzieć i poczułam jakieś dziwne szarpanie za brzuch. Ogarnął mnie niepokój, jakby mrówki łąziły mi pod skórą, i nawet

gdyby od tego zależało moje życie, nie byłam w stanie stanąć bez ruchu. Wbrew woli zaczęłam oddalać się od Puka, w stronę lasu.

- Książniczko? - Zeskoczył z pniaka i zmarszczył brwi. - Wszystko w porządku? Mrówki cię oblażyły czy co?

Już otworzyłam usta, by mu odpowiedzieć, gdy coś niewidzialnego zważyło mnie z nóg i wrzasnęłam przerażona. Puk sięgnął po mnie, ale wbrew woli odskoczyłam dalej.

- Co to?! - krzyknęłam, gdy tajemnicza siła znów mną szarpnęła, pchając mnie w stronę drzew. - Nie mogę... się zatrzymać. Co się dzieje?

Puk złapał mnie za ramię i próbował przytrzymać, a ja poczułam się tak, jakby rozrywało mnie na pół. Wrzasnęłam, a on puścił mnie błdy ze zdziwienia.

- To przywołanie! - zawołał biegnąc za mną. - Ktoś cię wzywa. Czy ostatnio zawarłaś z kimś umowę albo oddałaś komuś coś osobistego? Włosy? Krew? Jakąś część garderoby?;

- Nie! - sapnęłam, łapiąc jakieś pnącze, by się zatrzymać. Ramiona przeszły mi ból i puściłam się z jękiem. - Nic nie oddawałam! Jak to zatrzymać?

- Nie da się. - Puk biegł obok mnie, skupiony i zaniepokojony, ale nie próbował mnie dotknąć. - Jeśli coś cię wzywa to musisz iść. Próby oporu sprawią, że tylko bardziej będzie bolało. Ale się nie martw... - Usiłował się uśmiechnąć. - Będę tuż za tobą.

- Mam się nie martwić? - Staralam się przesyć go wzrokiem. - To zupełnie jak Inwazja Łowców Ciała!

Znów spróbowałam złapać się drzewa, by powstrzymać uciekające nogi, ale nie wyszło. Teraz już nawet ręce mnie nie słuchały. Spojrzałam po raz ostatni na Puka i poddałam się dziwnej sile, pozwalając ciału się nieść.

Kroczyłam przez las, jakby to było jakieś zadanie bojowe, ignorując prawie wszystkie przeszkody. Przełaziłam przez kamienie i zwalone drzewa, rzucałam się w dół żlebów i przedzierałam przez cierniste krzaki, pojękując, gdy rozrywały mi ciało i ubranie. Robin szedł tuż za mną, śledząc mnie niespokojnym wzrokiem, ale nie próbował mnie więcej zatrzymać. Nogi mnie paliły, z trudem łapałam oddech, a ręce krwawiły mi od skaleczeń, ale nie byłam w stanie się zatrzymać. I tak pędziliśmy przez las, coraz bardziej oddalając się od Tir Na Nog i zagłębiając w nieznane tereny.

Zapał zmierzch, gdy dziwny czar wreszcie przestał działać, a moje stopy zatrzymały się tak gwałtownie, że upadłam piach. Puk pojawił się natychmiast obok mnie i pomógł mi 'Stać, pytając, czy wszystko w porządku. W pierwszej chwili nie mogłam mu odpowiedzieć. Nogi mnie paliły i jedyne, co byłam w stanie zrobić, to łapać powietrze i czuć ulgę, że wreszcie odzyskałam władzę nad ciałem.

- Gdzie jesteśmy? - wysapałam, gdy odzyskałam głos.

Chyba dotarliśmy do jakieś wioski. Wokół dawno wygasłego paleniska stały proste gliniane chaty kryte strzechą. Wszędzie wały się kości, skóry zwierząt i na wpół zjedzona padlina, nad którą bzycały muchy.

- Wygląda na opuszczoną wioskę goblinów - wyszeptał Puk, gdy oparłam się o niego, wciąż ciężko oddychając. Spojrzył na mnie ze złośliwym uśmieszkiem. - Wkurzyłaś ostatnio jakieś gobliny, książniczko?

- Co? Nie... - Otarłam pot z oczu. potknęłam się o jakąś kłodę i osunęłam na nią z jękiem. - A przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Tutaj jesteś - odezwał się bezcielesny głos gdzieś spośród drzew. Podskoczyłam i rozejrzałam się wokół, ale nikogo nie dostrzegłam. - Spóźniłaś się. Już się bałam, że się zgubiłaś albo coś cię zjadło. Ale pewnie to człowiecza ułomność jest winna twojego braku punktualności.

Serce zabiło mi radośnie. Znałam ten głos! Szukałam dookoła wzrokiem, ale oczywiście nic nie zobaczyłam, dopóki Puk nie złapał mnie za ramię i nie wskazał ściany lasu. Na skraju wioski leżała skąpana w świetle księżyca stara kłoda. W jednej chwili była pusta, a gdy mrugnęłam, a może światło księżyca zaczęło trochę inaczej na nią padać, pojawił się na niej duży szary kot, ze szczeciniastym ogonem oplatającym łapy. Przyglądał mi się leniwym złotym spojrzeniem.

- Grimalkin!

Kocur zamrugał. Wyglądał jak zawsze, jego długie szare futro zlewało się idealnie z blaskiem księżyca i cieniami. Zignorował mnie, gdy do niego ruszyłam, zbyt zajęty myciem przedniej łapy. Chętnie złapałabym go na ręce i uściskała, ale byłam przekonana, że jego ostre pazury przerobiłyby mi twarz na kotlet siekany. Poza tym nigdy by mi nie wybaczył takiej poufałości.

Robin uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Cześć, kocie! - Machnął do niego. - Dawno ześmy się nic widzieli. To pewnie ty jesteś odpowiedzialny za ten nasz upiorny bieg na orientację?

Kot ziewnął.

- Nigdy więcej nie rzucę przywołania na człowieka - zamruczał, drapiąc się tylną łapą w ucho. - Mogłem się zdrzemnąć, zamiast wypatrywać, kiedy się wreszcie zjawicie. Czemu to tak długo trwało, człowieku? Czyżbyś szła?

W końcu sobie przypomniałam - Grimalkin pomógł mi odnaleźć brata, a w zamian zgodziłam się, by mógł mnie wezwać raz, w wybranym przez siebie momencie, chociaż wtedy nie miałam pojęcia, co to znaczy. Taka była nasza umowa. Najwyraźniej postanowił wreszcie z niej skorzystać.

- Co ty tu robisz, Grim? - zapytałam z mieszanymi uczuciami. Oczywiście cieszyłam się na jego widok, ale nie byłam zachwycona tym ciężkim marszem przez pełen goblinów las tylko po to, żeby się z nim przywitać. - Lepiej, żeby to było ważne, kocie. Ten twój głupi czar przywołania mógł mnie zabić. Czego chcesz?

Grimalkin odwrócił się i zaczął myć okolice ogona.

- Nic od ciebie nie chcę, człowieku - mlasnął pomiędzy liźnięciami. - Sprowadziłem cię tutaj w ramach przysługi dla kogoś innego. To z nim będziesz się układać. A tak przy okazji przypomnij mu, że jest mi teraz coś winny, bo zmarnowałem na ciebie doskonale przywołanie.

- O czym ty mówisz?

- O mnie, Meghan Chase! - Donośny głos zatrzęsł ziemią, a w powietrzu rozniósł się zapach palonego węgla. - Poprosiłem go, by cię tu wezwał.

Coś wynurzyło się zza jednej z chat. Potężny koń z osmolonego żelaza, o płonących czerwonych oczach i widocznych przez szpary w brzuchu tłących się węglach. Z nozdrzy buchnęła mu para, gdy odwrócił się do mnie, potężny, imponujący i przerażająco znajomy.

Żelazny Koń.

10. Prawda i kłamstwa.

- Stój! - huknął Żelazny Koń, gdy Puk wyciągnął sztylet i zasłonił mnie swoim ciałem. - Nie przybyłem tu, by walczyć, Robinie Koleżko. Odlóż broń i wysłuchaj mnie.

Nie ma mowy, ty konserwo - prychnął Puk, gdy zaczęliśmy się cofać w stronę granic wioski. - Mam lepszy pomysł. Zostań tu, a my skoczmy po Oberona, który rozedrze cię na strzępy i zakopie je tak daleko od siebie, że już nikt nigdy nie złoży cię z powrotem do kupy.

Serce waliło mi ze strachu i wściekłości. Żelazny Koń był jednym z poruczników Machiny. Został wysłany, by mnie złapać i przyprowadzić do Żelaznego Króla. Już dwa razy mu uciekliśmy. Raz w Tir Na Nog, a potem w Żelaznym Królestwie, ale porucznik miał głupi zwyczaj pojawiać się zawsze wtedy, gdy najmniej się go spodziewałam. Na pewno nie oczekiwałam, że natknę się na niego tutaj.

- Cholera, Grim! - krzyknęłam rozżłoszczona, rzucając kotu wściekłe spojrzenie, gdy się cofaliśmy.

Mrugnął do mnie spokojnie.

- Sprzedałeś nas im? To było podłe, nawet jak na ciebie.

Grimalkin westchnęła i posłała Żelaznemu Koniowi lodowate spojrzenie.

- Zdawało mi się, że masz siedzieć w ukryciu, aż im wszystko wyjaśnię - stwierdził, machając z niechęcią ogonem. - Mówiłem, że nie zareagują dobrze.

- Czas nagli! - zadudnił, zarzucając łbem. - Nie zostało nam już wiele czasu! Meghan Chase, muszę z tobą pomówić. Czy mnie wysłuchasz?

Zawahałam się. To coś nowego. Zwykle w tym czasie walczylibyśmy już o życie. Żelazny Koń zazwyczaj nie grzeszył uprzejmością. A Grimalkin wciąż siedział spokojnie na kłodzie przyglądając się nam z leniwym zainteresowaniem.

Ciekawość wzięła górę. Położyłam Pukowi rękę na ramieniu, by przestał się cofać.

- Chcę z nim porozmawiać - wyszeptalam, nie zwracając uwagi na jego skrzywioną minę. - Z jakiegoś powodu tu przyszedł. Może wie, gdzie jest berło. Miej go na oku, dobrze?

Puk zmierzył mnie ponurym spojrzeniem, a potem wzruszył ramionami.

- Dobrze, księżniczko. Ale jeśli tylko drgnie, to zanim się zorientuje, wyląduje na drzewie kopytami do góry.

Ścisnęłam mu ramię i podeszłam do Żelaznego Konia. Olbrzymie stworzenie górowało nade mną, a z paszczy i nozdrzy buchała mu para.

- Czego chcesz?

Zapomniałam, jaki jest wielki. Nie tylko wysoki, ale i potężny. Przystąpił z nogi na nogę, ze zgrzytem kół zębatach i zapadek, a ja cofnęłam się ostrożnie. Może i nie atakował, ale wierzyłam mu równie mocno, jak daleko mogłam nim rzucić, czyli wcale. Nie wybaczyłam mu również, że przy naszym ostatnim spotkaniu prawie zabił Asha.

Żelazny Koń pochylił głowę, co przypominało ukłon.

- Dziękuję ci, Meghan Chase! Wezwałem cię, ponieważ mamy wspólny problem. Szukasz Berła Pór Roku, zgadza się?!

Skrzyżowałam ręce na piersi.

- Co wiesz na ten temat?

- Wiem, gdzie ono jest! - mówił dalej Żelazny Koń, pobrzękując ogonem - Mogę ci pomóc je odzyskać.

Puk się roześmiał.

- Pewnie, że możesz - zadrwił, a Żelazny Koń położył uszy po sobie i prychnął. - Musimy tylko pójść za tobą jak naiwne szczeniaczki. wprost w pułapkę. Wybacz, konserwo, ale nie jesteśmy tacy głupi.

Żelazny Koń znów prychnął.

- Nie żartuj sobie ze mnie, Robinie Koleżko! - zawołał, a z nozdrzy buchnął mu ogień. - Moja propozycja jest szczerą, nie chcę was zwiść.

- Co ty chrzan... - warknęłam, splatając ręce na piersi. Żelazny Koń zamrugnął zaskoczony. - Tercjusz i paczka jego obrzydliwych koleżków ukradli berło i zabili Sage'a. wiedząc, że Mab oskarży o

to Oberona. Nowy Żelazny Król zaplanował tę wojnę. Chce wszystkich zabić, gdy dwory będą najsłabsze. Czemu miałbyś chcieć pomóc nam to powstrzymać?

- Ponieważ... - łupnął. - Nowy Żelazny Król to oszust!

Tym razem ja zamrugałam zaskoczona.

- Oszust? Jak to?

Żelazny Koń pogardliwie rzucił łbem.

- Właśnie tak jak mówię. Król, który teraz zasiada na tronie, jest fałszywy, to intruz. Nie czuję wobec niego żadnych zobowiązań. - Machnął ogonem i uniósł dumnie głowę. - Nie jestem taki jak Żelazne Bractwo. Rycerze zostali stworzeni, by służyć temu, kto akurat zasiada na tronie. Mają spaczony poczucie obowiązku. Ale ja znam prawdę. I nie będę mu służył.

Spojrzałam na Puka.

- No i co o tym wszystkim myślisz?

- Ja? - Zaśmiał się złośliwie i splótł ręce na piersi. - Myślę, że wszystkie żelazne stwory powinny zostać przetopione na złom. Nie zaufałbym tej konserwie, nawet gdyby moje życie od tego zależało.

- To było do przewidzenia. - Głos Grimalkina rozległ się gdzieś przy moich stopach. Nawet nie słyszałam, jak się ruszył. - Twoje uprzedzenia przesłaniają ci widok na to, co naprawdę się dzieje.

- Doprawdy? - Spojrzałam na niego rozszoszczona. - W takim razie może nam powiesz, co się dzieje, Grim?

Kot ziewnął.

- To chyba oczywiste? Gdy zabiłaś Maszynę, żelazne stworzenia straciły swojego władcę. Potrzebowały kogoś, kto by zasiadł na tronie i wskazał im, co dalej. Znalazł się fałszywy władca, który twierdzi, że jest Żelaznym Królem, ale nie wszyscy się na to zgodzili. A teraz żelazne stworzenia podzieliły się dwa obozy: jeden, zgrupowany wokół fałszywego króla, i drugi który tego króla chce pozbawić tronu. Żelazny Koń należy do tego drugiego. Zgadza się?

- To prawda.

- Jeśli fałszywy król dostanie berło, stanie się jeszcze bardziej potężny - mówił dalej Grimalkin, wpatrując się we mną złotymi oczami bez mrugnięcia. - Jeśli ma zostać powstrzymany, musi to się stać, zanim je zdobędzie. Żelazny Koń twierdzi, że wie, gdzie się znajduje berło. Głupotą byłoby go nie posłuchać.

- A co, jeśli kłamie?

Żelazny Koń zarzucił łbem do tyłu i buchnął żarem.

- Nie kłamie! - zadudnił, a ja aż się skurczyłam. - Bez względu na to, co o mnie sądzicie, nadal jestem magicznym stworzeniem, a żadne magiczne stworzenie nie może powiedzieć nieprawdy!

Mrugając, spojrzałam na Puka. Tego jeszcze nie słyszałam, choć poznałam wiele mądrości ludowych.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Tak jest, księżniczko. - Posłał Żelaznemu Koniowi jadowite spojrzenie. - Aczkolwiek przyrównywanie konserwy do jednego z nas to drobna przesada.

- Ale... jako Robbie wciąż kłamałeś. Całe twoje życie było jednym wielkim kłamstwem.

Grimalkin prychnął.

- Tylko dlatego, że nie mógł kłamać, nie znaczy, że nie mógł zwodzić, człowieku. Robin Koleżka jest mistrzem od tańczenia wokół prawdy.

- I kto to mówi? Jeśli ty nie jesteś mistrzem od wrabiania ludzi, to zjem własną głowę.

Żelazny Koń prychnął i potrząsnął łbem.

- Dość tego! Czas ucieka! Nie traćmy go na kłótnie! Meghan Chase, przyjmujesz moją propozycję czy nie?!

Spojrzałam mu w oczy. Były nieruchome, puste, jakby bez wyrazu.

- Naprawdę chcesz nam pomóc? - zapytałam. - Naprawdę chcesz odzyskać berło i powstrzymać wojnę?

- Tak!

- I nie zaprowadzisz nas w żadną pułapkę?

- Nie!

Nabrałam głęboko powietrza i wypuściłam je powoli.

- Nie przychodzą mi do głowy już żadne inne pytania.

- Jest jedno istotne - dodał Robin. - Gdzie w ogóle jest teraz berło, konserwo?

Żelazny Koń prychnął w niego obłokiem pary.

- Tobie nie odpowiadam, spiczastouchy. To umowa między mną i dziewczyną.

- Ach tak? - Uśmiech Puka zrobił się groźny. - A co. jak rozbiórę cię na części i przerobię na piecyk? jak by ci się to podobało, złomie?

- Spróbuj!

- Chłopaki, przestańcie! - To było równie okropne, jak przysłuchiwanie się potyczkom słownym Puka i Asha. - Wystarczy tych męskich żarcików. Żelazny Koniu, jeśli mamy to zrobić, to musimy wiedzieć, gdzie jest berło. Nie możemy iść za tobą w ciemno.

Żelazny Koń pokiwał łbem.

- Oczywiście, Meghan Chase! - Zmarszczyłam brwi, widząc, jak łatwo się zgodził, ale on mówił dalej: - Berło Pór Roku zostało zabrane do królestwa śmiertelników. Jest przetrzymywane w miejscu zwanym Doliną Krzemową!

- Dolina Krzemowa? To w Kalifornii.

- Tak!

- Czemu tam?

- Dolina Krzemowa to miejsce urodzenia pana Machiny - odezwał się ponuro Żelazny Koń. - Wielu jego poruczników także się stamtąd wywodzi. To kraina żelaznych stworzeń A stworzenia starej krwi... - rzucił okiem na Puka - jej unikają. Idealne miejsce, by ukryć berło.

- Możesz powtórzyć? - rzuciłam, przetrawiając nowe wiadomości. Dolina Krzemowa to nie jedno miasto, ale wszystkie w tamtej okolicy. - Szukanie tam berta to jak szukanie igły w stogu siana, na polu pełnym stogów.

- Mogę je znaleźć. - Żelazny Koń uniósł łeb i spojrzał na nas znad swojego długiego pyska. - Przysięgam. Czy chcesz, abym to powiedział? Meghan Chase, ja, Żelazny Koń, ostatni porucznik Machiny, zabiorę cię do Berła Pór Roku i przyrzekam bronić cię do chwili, gdy znajdzie się w twoich rękach. To przysięgam, klnąc się na mój honor i obowiązek wobec prawdziwego monarchy Żelaznego Dworu.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze, nawet Puk wyglądał na zaskoczonego. Taka przysięga oznaczała, że wygłaszający musi ją wypełnić. Żelazny Koń nie żartował. Gdy tak stałam, gapiąc się na niego, Robbie wziął mnie za rękę i odprowadził na bok.

- A co z Oberonem? - wyszeptał. - Tylko on może zdjąć z ciebie urok. Jeśli ruszymy teraz do Kalifornii, nie będziesz mogła chronić się za pomocą magii.

- Nie wolno nam się tym teraz przejmować. - Straciłam jego rękę. - Berło jest ważniejsze. Poza tym od czego mam ciebie? - Uśmiechnęłam się do niego, a potem odwróciłam do porucznika. - Dobrze, Żelazny Koniu. Umowa stoi. Prowadź nas do berła.

- Wreszcie. - Grimalkin wstał i przeciągnął się, aż mu się ogon wygiął nad grzbietem. - Decyzje podejmujesz równie powoli, co odpowiadasz na przywołanie. Mam nadzieję, że nie wejdzie ci to w krew.

- Jak to, ty też idziesz? Po co?

- Nudzi mi się. - Kot machnął leniwie puchatym ogonem. - A ty zawsze zapewniasz rozrywkę... no, chyba że akurat czekam na twoje przybycie. Poza tym porucznik i ja też mamy interesy.

- Tak? - Czekałam, ale nie rozwinął tematu. - Jakie?

Pociągnął nosem i przymknął oczy.

- Nie twoja sprawa, człowieku. I tak potrzebujecie mnie za przewodnika, jeśli chcecie dotrzeć do berła najszybciej, jak to możliwe. Myślę, że najbliższa ścieżka do Doliny Krzemowej prowadzi przez Głogi.

Puk uniósł w zdumieniu brwi.

- Głogi? Bardzo ryzykownie, kocie. Nie moglibyśmy znaleźć ścieżki odrobinę mniej... śmiertelniejszej? Jeśli zawrócimy, można by skorzystać ze ścieżki przez Oszronione Łąki. Wyprowadziłaby nas nieopodal San Francisco, a stamtąd podjechalibyśmy na miejsce.

Grimalkin pokręcił głową.

- Jeśli chcecie dotrzeć do Doliny Krzemowej, to musimy iść przez Ciernie. Ale nie bój się, że się zgubimy. Ścieżka przez Oszronione Łąki jest niedostępna. Zbyt blisko Tir Na Nog.

- Nadal nie widzę problemu.

Żelazny Koń prychnął.

- Lodowe Równiny są teraz polem bitwy, Robinie Koleżko! - odezwał się, a mnie żołądek się skręcił.

- Zimowy Dwór wyciął już pas zniszczenia przez Losobór i w tej chwili przesuwa się w stronę Lata! Pomiędzy nami a ścieżką jest teraz potężna armia mrocznych stworzeń! Kot ma rację, nie możemy zawrócić.

- Oczywiście, że mam - przytaknął Grimalkin. - Idziemy przez Głogi.

- Nie rozumiem! - zawołałam, gdy Grim odmaszerował z wysoko uniesionym ogonem, zadowolony ze zwycięstwa. - Co to za Głogi? Grimalkin? Hej!

Kot odwrócił się, a jego oczy były jak dwie świecące w ciemnościach kule.

- Nie mam czasu na pogawędki, człowieku. Jeśli naprawdę chcesz znać odpowiedź, to zapytaj Puka. Może on jakoś delikatnie ci to przekaże. Bo ja nie.

Machnął ogonem i nie odwracając się więcej, pomaszerował w las.

Spojrzałam na Puka. Ten skrzywił się i posłał mi ponury uśmiech.

- No to tak. Głogi. Jedną chwileczkę, księżniczko. Hej, konserwo! - wykrzyknął w kierunku Żelaznego Konia, na co tamten stulił uszy. - Może pójdziesz przodem, co? Wolałbym mieć oko na ten twój paskudny wielki zad.

Żelazny Koń spojrzał na niego nienawistnie, rzucił łbem i pokłusował za szybko oddalającym się kotem. Ciężki metalowy stwór pozostawiał za sobą wąską drózkę zniszczenia - gałęzie się od niego odsuwały, rośliny więdły, a trawa wysychała i po jego przejściu pozostawały tylko wypalone ślady kopyt. Kręcąc głową, Robin wymamrotał coś bardzo niegrzecznego pod nosem i pomaszerował za koniem, prowadząc nas głębiej w Losobór.

11. Głogi.

Później, po spędzeniu nocy na wędrownicy za Grimalkinem przez coraz gęstszy las, zdecydowałam, że jednak na niektóre pytania lepiej nie znać odpowiedzi.

- Głogi - zaczął Puk, nie spuszczać oka z idącego przed nami Żelaznego Konia. - Albo Jeżyny, albo Ciernie, czy jak je tam chcesz nazwać, to labirynt. Nikt nie wie jak duży, ale naprawdę wielki. Niektórzy mówią, że oplata całą krainę Nigdynigdy. Krążą pogłoski, że jeśli jesteś w Losoborze i ruszysz w którymkolwiek kierunku, to w końcu dotrzesz do Głogów. Prawie wszędzie można trafić na jego kępy, od Wielkiego Lasu i Jadowych Bagien, po dwory Arkadii i Tir Na Nog.

- Zupełnie jak Żywopłot - wyszeptalam, przypominając sobie kolczasty tunel na dworze Oberona i drogę ucieczki przez jeżyny, którą wybrał Grimalkin, by wydostać nas ze świata magii. Jeżynowy mur ogradzający Jasny Dwór otworzył się dla kota, ukazując labirynt kolczastych tuneli, przez który przeciskałam się za nim, by doprowadził mnie do świata śmiertelników.

Robin skinął głową.

- To jego kolejna nazwa. Co prawda Żywopłot to bardziej oswojona wersja prawdziwych Głogów. W Arkadii Żywopłot zachowuje się dosyć przyzwoicie, prowadząc cię tam, dokąd chcesz się dostać na dworze. Ale tam, w Losoborze, Głogi są dość... wredne.

- Mówisz tak, jakby były żywe.

Puk posłał mi spojrzenie pełne grozy.

- One są żywe. księżniczko - ostrzegł cicho. - Nie tak, jak jesteśmy do tego przyzwyczajeni, ale nie lekceważ ich. Głogi to siła. której nie da się opanować ani zrozumieć; nawet Oberon ani Mab tego nie potrafią. Są wiecznie głodne. Łatwo do nich wejść... ale wydostanie się to już zupełnie inna sprawa. A co więcej, w Głogach żyją stworzenia, które też są wiecznie głodne.

Dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa

- A idziemy przez Głogi, bo...?

- Bo w Głogach jest największe skupisko ścieżek w całej krainie Nigdynigdy - odpowiedział Puk. - Wśród Głogów są ukryte drzwi. Niektóre ciągle się przemieszczają, niektóre pojawiają tylko w pewnym czasie i pewnych warunkach. Krążą słuchy, że w Głogach można znaleźć ścieżkę do każdego drzwi w świecie śmiertelników, począwszy od klubu ze striptizem w Los Angeles, a na szafie w sypialni jakiegoś dziecka skończywszy. Znajdź odpowiednie drzwi, a droga do domu stanie otworem. - Uśmiechnął się szerzej i pokręcił głową. - Ale najpierw musisz do nich trafić.

Deszcz zacinał między gałęziami, zimny, szary, wysysał kolor ze wszystkiego, czego dosięgnął. Nawet dziko rude włosy Puka zrobiły się matowe i bezbarwne w tej mglistej ulewie. Przeczesywał je palcami, nadając im z powrotem rudy odcień, ale chwilę później znów były kompletnie przemoczone i bez koloru. Grimalkina prawie nie było widać, nawet jego oczy nie błyszczały w ciemnościach.

Przed nami wyrósł potężny mur ciernistych gałęzi, czarnych i poskręcanych. Niektóre ciernie były dłuższe ode mnie i drżały jak kolce jeżowca, a całość jeżyła się groźnie.

Drżałam, mimo że stałam tuż obok Żelaznego Konia, buchającego żarem. Żelazny stwór syczał na deszczu, otoczony kłębamii pary z padających na jego gorącą metalową skórę kropel. Koń zadarł łeb, by przyjrzeć się ścianie cierni i buchnął parą jak gejzer.

- Jak się przedostaniemy? - zaczęłam się zastanawiać.

Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, mur drgnął Gałęzie zazgrzytały i jęknęły, ukazując wąski kolczasty korytarz prowadzący przez ciernie. Z wejścia buchnęła mgła, a głębiej wszystko tonęło w ciemnościach.

Puk splótł ramiona na piersi.

- Wygląda na to, że nas oczekują. - Spojrzał na Gmalkina, szarego ducha wśród mgły, który spokojnie mył przednie łapy. - Jesteś pewien, że dasz radę nas przez to przeprowadzić, kocie?

Grimalkin jeszcze kilka razy polizał łapę, po czym wstał. Otrząsnął się, chlapiąc wokół wodą i ziewnął. Przeciągnął się, po czym ruszył naprzód, nie oglądając się za siebie.

- Chodź za mną i sam się przekonaj. - To były jego ostatnie słowa, nim zniknął w tunelu.

Robbie przewrócił oczami. Wyciągnął rękę i posłał mi dodający otuchy uśmiech.

- Chodź, księżniczko. Nie chciałbym, aby nas coś tutaj rozłączyło. - Złapałam go za rękę, a on ścisnął ją mocno. - No to ruszamy. Konserwa może iść na końcu. Jeśli zostaniemy zaatakowani od tyłu, to przynajmniej nie stracimy nic cennego.

Poczułam, jak Żelazny Koń prychnął oburzony, gdy weszliśmy do tunelu, i przysunęłam się bliżej Puka, kiedy ciemność ogarnęła nas natrętnymi paluchami. Wokół nas korytarz tętnił życiem, skręcał się, trzeszczał i rozwijał się, sycząc cicho. W tunelu rozlegały się jakieś szepty i dziwne głosy, wypowiadające niezrozumiałe dla mnie słowa. Gdy weszliśmy głębiej, dziura za nami zatrasnęła się z sykiem i zostaliśmy uwięzieni w Głogach.

- Tędy - rozległ się głos Grimalkina. - Starajcie się trzymać blisko.

Kolczaste ściany zdawały się na nas naciskać. Puk wciąż trzymał mnie za rękę. ale musieliśmy iść jedno za drugim, aby nie zahaczyć o jakiś kolec. Kilka razy zdawało mi się, że widzę jakiś cierni albo lianę wysuwające się w moją stronę, jakby chciały mnie ugodzić albo złapać za ubranie. Raz spojrzałam do tyłu, na Żelaznego Konia, żeby sprawdzić, jak on sobie radzi, ale ciernie, podobnie jak reszta krainy Nigdyngdy, najwyraźniej nie mogły znieść dotyku potężnego żelaznego stwora, bo odsuwały się od niego, gdy przechodził.

Tunel wyszedł w końcu na małą polankę, z której we wszystkich kierunkach prowadziły kolejne tunele i dróżki. Nad nami baldachim z głogów był tak gęsty, że nie dało się zobaczyć nieba i blokował prawie całe światło. Wśród krzewów poniewierały się kości, białe i lśniące w ciemnościach. Z kępy głogów szczyrzyła się do mnie czaszka, w której oczodołach kłębiły się robaki. Zadrzałam i ukryłam twarz na ramieniu Puka.

- Gdzie Grim? - wyszeptalam.

- Tutaj. - Kot zmaterializował się znikąd. Wskoczył na dużą czaszkę i przyjrzał się po kolei każdemu z nas. Wejdziemy teraz głęboko w Głogi - stwierdził cicho i spokojnie - Powiedziałbym wam, co nas tam może spotkać, ale może będzie lepiej, jeśli tego nie zrobię. Starajcie się zachować ciszę. Nie rozdzielajcie się. Nie skręcajcie w inne dróżki. I trzymajcie się z dala od wszelkich drzwi, na jakie po drodze trafimy. Wiele z nich to bramy tylko w jednym kierunku; jeśli przez nie przejdziecie, możliwe, że nie będziecie mogli wrócić. Gotowi?

Uniosłam rękę.

- Skąd wiesz, którąś iść, Grim?

Grimalkin zamrugał.

- Jestem kotem - zamruczał i zniknął w jednym z tuneli.

Kiedy miałam dwanaście lat, moja klasa wybrała się na wycieczkę do „nawiedzonego” labiryntu kukurydzianego na przedmieściach, jakiś tydzień przed Świętem Duchów. Siedząc w autobusie i słuchając, jak chłopcy przechwalają się, który pierwszy znajdzie wyjście, a dziewczynki chichoczą w swoich grupkach, przysięgłam sobie, że mnie pójdzie równie dobrze Pamiętaj, jak samotnie przechadzałam się wzdłuż kukurydzianych rzędów, czując strach i podniecenie, gdy tak starałam się trafić do środka labiryntu, a potem znów na zewnątrz. I narastającą rozpacz, gdy się zgubiłam i wiedziałam, że nikt mi nie pomoże, że jestem skazana na siebie.

Tutaj było tysiąc razy gorzej.

Głogi były w ciągłym ruchu. Skręcały się i rozplatały, kątem oka widziałam, że sięgały po mnie. A kiedy się lepiej wsłuchałam, mogłam prawie usłyszeć, jak szepcą moje imię. Gdzieś w splątanych ciemnościach słychać było pękające gałązki i szelest liści, gdy coś przedzierało się przez krzaki. Ani razu nie udało mi się wyraźnie zobaczyć co to, ale dostrzegałam, jak przemykały czasem jakieś ciemne kształty. To mnie przerażało. Straszliwie.

Głogi ciągnęły się jak niekończący się labirynt poskręcanych cierni i powyginanych gałęzi, które nieustannie się przesuwały i próbowały nas złapać. Gdy zagłębiliśmy się w nie jeszcze bardziej, co jakiś czas w zupełnie dowolnych miejscach zaczęły się pojawiać jakby bramy: framugi i łuki. Z jakiejś gałęzi nad naszymi głowami zwisały wyblakłe czerwone drzwi z błyszczącym słabo numerem 216. Nieopodal ścieżki brudna, rozsypująca się budka toaletowa, z której odpadała zielona farba, była tak opleciona przez gałęzie, że nie można by jej nawet otworzyć.

Coś wąskiego i czarnego przemknęło przez naszą dróżkę i zniknęło w otwartej szafie. Gdy się zatrasnęła, ujrzałam przez szparę sypialnię dziecka i kołyskę oblaną światłem księżycy, po czym kolczaste pnącza oploty drzwi i wciągnęły je z powrotem w Głogi.

Grimalkin się nie wahał, prowadził nas wciąż naprzód, mijając bramy i drzwi oraz wszelkie inne dziwne rzeczy, które utknęły w kolczastych krzakach. Po drodze minęliśmy lustro, lalkę, zwisającą z gałęzi, pustą torbę do golfa, a także mnóstwo kości i nawet całe szkielety. Z ciemności obserwowały nas dziwne stwory, skryte przed naszym wzrokiem; tylko ich oczy pały w mroku. Na gałęziach siadały czarne ptaki o ludzkich twarzach, przyglądając nam się uważnie jak czyhające sępy. W pewnym momencie Grimalkin pociągnął nas do bocznego tunelu, sycząc, żebyśmy milczeli i ani drgnęli. Chwilę później potężny pająk, wielki jak samochód, przepelzł po gałęziach tuż nad naszymi głowami, a ja przygryzłam wargę tak mocno, że aż poczułam krew. Wielki i błyszczący, z czerwoną plamą na rozdętym odwłoku, zatrzymał się na moment, zupełnie jakby wyczuł, że ciepłe krew i ciało są gdzieś blisko, i czekał, aż zdradzi nas jakiś ruch.

Wstrzymaliśmy oddech i udawaliśmy kamienie. Przez kilka upiornych sekund kuliliśmy się w tunelu, czując, jak dostajemy skurczów, a nasze serca wałą zbyt głośno. Nad nami pająk także znieruchomiał, czekając cierpliwie aż jego ofiary się znudzą, uznają, że jest już bezpiecznie, i zrobią ten pierwszy ruch, który będzie ich ostatnim.

W końcu kawałek dalej coś zaszeleściło wśród gałęzi i pająk z przerażającą prędkością, jak na coś tak potężnego, pognął w tamtą stronę. Powietrze przeszył krzyk jakiejś pechowej istoty, a potem nastąpiła cisza.

Przez kilka chwil po tym, jak potwór odszedł, żadne z nas nie śmiało drgnąć. W końcu Grimalkin wysunął głowę i rozejrzał się uważnie.

- Zaczekajcie tutaj - powiedział. - Sprawdzę, czy jest bezpiecznie.

Zanurzył się w mroku jak duch i zniknął.

Gdy adrenalina opadła, zaczęły mi się trząść nogi, więc osunęłam się na kolana, słaba i prawie bez tchu. Mogłam się pogodzić z goblinami, boginami i podstępnyymi, żywiącymi się ludzkim mięsem koźmi, ale gigantyczne, obrzydliwe pająki. Tego było już za wiele.

Puk ukucnął obok mnie i położył mi rękę na ramieniu,

- Wszystko w porządku, księżniczko?

Skinęłam głową, gotowa rzucić jakiś złośliwy komentarz o tym, czy nie mają środków owadobójczych, ale wtedy jeden z cierni drgnął.

Marszcząc brwi, nachyliłam się bliżej i zmrużyłam powieki. Przez chwilę nic się nie działo. A potem dziesięciocentymetrowy kolec zadrżał i rozwinął się w parę spiczastych czarnych skrzydeł, przyczepionych do miniaturowej istoty. Błyszczące oczy spojrzały na mnie z owadzią wściekłością. Patekowane ciało okryte było lśniącym czarnym pancerzem, z łokci i ramion wyrastały kolce, a w jednej malutkiej łapce ścisnęła zakończoną cierniem włócznię. Gdy tak przyglądałyśmy się sobie nawzajem, istota uniosła wargę, ukazując ostre jak szpilki ząbki i podleciała do mojej twarzy.

Rzuciłam się do tyłu, dziko wymachując rękami, trafiłam w Robbiego i oboje potoczyliśmy się w tył. Istota uchyliła się przed moimi ciosami, bzyząc jak wściekła osa. Zauważyłam, że zawisała w powietrzu jak złowieszczy koliber, a potem zapikowała z ochryplym okrzykiem.

Przede mną powietrze przeciął język ognia. Poczułam na twarzy gorąco, aż łzy napłynęły mi do oczu. a istota znikła w ogniu. Jej malutkie zwęglone ciało zwinęło się i spadło na ziemię jak kamień. Zadrżało po raz ostatni i znieruchomiało.

Żelazny Koń zarzucił łbem i prychnął z zadowoleniem. Z nozdrzy unosił mu się dym.

Puk skrzywił się, podnosząc się z ziemi i wyciągnął rękę, by mi pomóc.

- Wiesz, zaczynam być uczulony na tutejsze robactwo - wyszeptał. - Przypomnij mi, żebyśmy następnym razem wzięli jakiś sprej na komary!

- Nie musiałeś tego zabijać - wypomniałam Żelaznemu Koniowi, otrzepując spodnie. - Było mniejsze od dłoni.

- Zaatakowało ciebie! - Mówiąc to, przekrzywił głowę, zdawał się zaskoczony. - Wyraźnie miało wrogie zamiary! Moim zadaniem jest chronić cię, aż odzyskamy berło.

- Wiem, ale po co strzelać z karabinu maszynowego do muchy?

- Człowieku! - Grimalkin wrócił, był skulony i położył uszy po sobie, - Robisz za dużo hałasu. Wszyscy robicie. Musimy jak najszybciej się stąd wynieść.

Rozejrzał się wokół, a futro na jego grzbiecie zaczęło się jeżyć.

- Możliwe, że już jest za późno.

- Żelazny Koń zabił tę malutką istotkę... - zaczęłam, ale Grimalkin tylko prychnął.

- Głupi człowiek! Myślisz, że była tylko jedna? Rozejrzyj się wokół!

Tak zrobiłam i prawie serce mi stanęło. Ciernie wokół się ruszały, całe setki, albo i tysiące, rozwijały się w malutkie istoty o ostrych zębach. Powietrze drżało od bzyczenia, a wśród kolców rozblęły tysiące czarnych oczek.

- Oj, niedobrze - wymamrotał Robbie, gdy bzyczenie zaczęło szaleńczo narastać. - Naprawdę, ale to naprawdę chciałbym mieć teraz sprej na owady!

- Uciekajcie! - prychnął Grimalkin i pognaliśmy przed siebie.

Krwiożercze stworzonka otoczyły nas, wprawiając w drżenie powietrze i piszcząc przeraźliwie. Poczulałam na skórze ciężar ich malutkich ciałek na moment, nim zatopiły we mnie żądła i pognałam dziko przed siebie, próbując się ich pozbyć. Puk wykrzyknął coś niezrozumiałego i zaczął wymachiwać swoimi nożami, a Żelazny Koń z rykiem pluł ogniem z paszczy i nozdrzy. Zwęglone istoty spadały z sykiem na ziemię, ale na ich miejsce pojawiały się dziesiątki kolejnych. Oczywiście Grimalkin zniknął. Biegliśmy na oślep przez tunel otoczeni kłębami wściekłych osopodobnych stworzeń, nie mając pojęcia, dokąd pędzimy.

Gdy minęłam róg, ktoś stanął mi na drodze. Nie zdążyłam zareagować, wpadłam na kogoś i oboje wyładowaliśmy na ziemi.

- Aj! Co do cholery?! - Ktoś krzyknął.

Opędzając się od owadów, spojrzałam na dziewczynę może rok czy dwa ode mnie młodszą. Była malutka, o azjatyckich rysach i włosach, które ścięła chyba maczetą, ubrana w wyświechtany sweter o dwa rozmiary na nią za duży. Przez moment gapiliśmy się na siebie, po czym ukąszenie jakiejś latającej bestyjki wyrwało mnie z transu. Machając na oślep ramionami, podniosłam się z ziemi. Bzyczące stado zdążyło otoczyć też dziewczynę. Wrzasnęła i cofając się, zaczęła bić rękami.

- Co to? - zasyczała akurat w chwili, gdy za mną pojawił się Puk, a Żelazny Koń nadbiegł, ziejąc ogniem. - Coście za jedni? Zresztą nieważne! Uciekajmy!

Przemknęła obok nas, odwracając się tylko na chwilę, by krzyknąć przez ramię:

- Pospiesz się, Nelson!

Nie zdążyłam się nawet zastanowić, kim też może być Nelson, gdy obok nas przeturlał się chłopak z budowy przypominający gracza rugby. Jakimś cudem ominął Puka i Żelaznego Konia i pognął za dziewczyną. Zauważyłam tylko szerokie jak u goryla ramiona, szaroblond włosy i skórę zieloną jak woda w bajorze. W ramionach ścisnął jak piłkę plecak i gnał przed siebie.

- Kim oni są?! - zapytałam, przekrzykując bzyczenie i własne klaskanie.

- Nie ma czasu - stwierdził Puk, zabijając na szyi kolejnego potworka. - Aj! Do licha, musimy się stąd wynieść! Dalej!

Ruszyliśmy znów tą ścieżką, gdy przed nami powietrze rozdarł ryk, który sprawił, że mordercze istotki zamarły w powietrzu. Rozległ się znowu, głęboki i dziki, a coś zaczęło się przedzierać przez krzaki, łamiąc gałęzie i wyraźnie kierując się w naszą stronę. Poczulałam, jak setki żyjących wśród glogów stworzeń rzuciło się do ucieczki. Magiczne osy też uciekły. Bzycząc z przerażenia, wleciały poprzez wąziutkie przerwy pomiędzy cierniami w żywopłot. W kilka sekund zniknęło całe stado. Wyjrzałam przez gałęzie i zobaczyłam, jak coś wędruje dróżką, rozrywając ścianę cierni, jakby ich wcale nie było. Coś czarnego, łuskowatego i znacznie, ale to znacznie większego niż pająk. Czyżby to było to, co myślałam?

- Zloodzieje! - zaryczał głęboki, nieludzki głos, po czym potężny jęzor ognia ogarnął krzaki, natychmiast je spopielał, a powietrze zrobiło się gorące jak w piecu. Żelazny Koń stanął dęba. Puk przeklął, złapał mnie za ramię i pociągnął w kierunku, z którego przybyliśmy.

Pobiegliśmy za dziwną dziewczyną i jej muskularnym towarzyszem, czując na plecach gorący oddech potwora.

- Złodzieje! - prychnął upiorny głos, i to tuż za naszymi plecami. - Czuję was! Słyszę wasze serca! Oddajcie mi moją własność!

- Cudownie - wydyszał Puk, podczas gdy Żelazny Koń galopował za nami, rycząc, że ochroni mnie przed ogniem. - Po prostu cudownie. Nienawidzę pająków. Nienawidzę os. Ale wiecie, czego nienawidzę jeszcze bardziej?

Potwór za nami zaryczał, a kolejna kula ognia zaatakowała gałęzie nad naszymi głowami. Skrzywiłam się, biegnąc w deszczu rozżarzonych węgli i płonących gałązek.

- Smoków? - wysapałam.

- Przypomnij mi, żeby przy najbliższej okazji zabić Grimalkina.

Dróżka zwęziła się, a potem skurczyła do ciasnego kolczastego tunelu, który ciągnął się w ciemnościach. Nachyliłam się i zajrzałam do środka. Na samym końcu z trudem dostrzegłam jakieś drzwi. I co prawda nie miałam pewności, ale zdawało mi się, że ktoś je właśnie zatrzasnął.

- Zdaje się, że widzę drzwi! - zawołałam przez ramię.

Puk skinął niecierpliwie.

- No to na co czekasz, księżniczko? Idź.

- A co z Żelaznym Koniem?

- Będzie się musiał precyzyjnie! - Puk popchnął mnie w stronę tunelu, ale się oparłam. - No już, księżniczko. Nie chcemy być tutaj, gdy ten zabójczy oddech zacznie na nas zionąć.

- Nie możemy go tak zostawić.

- Nie martw się, księżniczko - odezwał się Żelazny Koń, a mnie zaparło dech na jego widok.

Tam, gdzie przed chwilą był koń, stał przede mną potężny, ciemnoskóry mężczyzna o kwadratowej szczęce i pięściach jak bochny. Miał na sobie dżinsy i czarną koszulę opinającą potężne mięśnie. Z głowy spływały mu jak grzywa dredy, a oczy wciąż płonęły czerwonym ogniem.

- Nie ty jeden masz kilka sztuczek w zanadrzu, Koleżko - rzucił ze złośliwym uśmiechem. - A teraz ruszajcie, będę tuż za wami.

Z okrutnym zgrzytem smocza głowa na długiej węzowej szyi uniosła się nad drzewa na jakąś przerażającą wysokość. Był większy, niż sądziłam, długą, pełną zębów paszczę pokrywały czarnozielone łuski, a wyrastające z czaszki rogi koloru kości słoniowej zasłaniały niebo. Obce, czerwonożłote oczy spokojnie przeczesywały ziemię, błyszcząc sprytem i inteligencją.

- Widzę was. mali złodzieje.

Puk pchnął mnie, aż upadłam na ziemię, ścierając dłonie i kolana i nadziewając się na kilka kolców. Przeklinając, uniosłam głowę i zobaczyłam w ciemnościach przed sobą znajome złote oczy.

- Szybko, człowieku - syknął Grimalkin i pognął tunelem. Im dalej szliśmy, tym tunel robił się węższy, drapiąc mnie w plecy, łapiąc za włosy i ubrania. Byłam zgięta wpół, za sobą słyszałam Puka i Żelaznego Konia, czułam na sobie spojrzenie smoka i klęłam, gdy rękaw zahaczał mi się o cierń. Szybciej! Na końcu tunelu widziałam czerwone drzwi, nasz promień nadziei, choć bardzo odległy. Ale gdy dotarłam bliżej, zobaczyłam, że kocur stoi przed nimi z uszami położonymi po sobie, syczy i szczyrzy zęby.

- To ziele świętego Jana - prychnął, a ja zobaczyłam, że z drzwi zwisa pęk łososiowych kwiatów. - Magiczne stworzenia nie mogą przejść przez drzwi, na których wisi. Zdejmij to, człowieku, szybko!

- Płońcie, mali złodzieje!

Ogień pognął tunelem, skracając się i sycząc, gonił z wściekłością i żarem w naszą stronę. Zerwałam kwiaty z drzwi i rzuciłam się naprzód, a za mną Puk i Żelazny Koń. Nad moją głową buchnęły płomienie, osmalając mi plecy, gdy leżałam już na zimnej betonowej podłodze. A potem drzwi się zatrzasnęły, odcinając żar i otoczyły nas ciemności.

12. Leanansidhe.

Przez chwilę leżałam na podłodze, mając dziwne wrażenie zarazem zimna i gorąca. Szyja, ramiona oraz tył nóg piekły mnie od ognia, który był w pewnym momencie zdecydowanie za blisko. Ale policzki i brzuch przyciśnięte do zimnego betonu przyprawiły mnie o drżenie. Na lewo i prawo ode mnie Puk i Żelazny Koń z trudem zbierali się z ziemi, przeklinając i jęcząc.

- No, ależ było wesoło - wymamrotał Puk, pomagając mi wstać. - Przyrzekam, że jeśli jeszcze kiedyś spotkam tamte dzieciaki, to poważnie sobie porozmawiamy. Jeśli zamierza się coś kraść dziesięciometrowej ziejącej ogniem jaszczurce o pamięci słonia, to lepiej mieć na podorędziu obrzydliwie skomplikowaną zagadkę albo zaczekać, aż nie będzie jej w domu. I kto u licha wiesz na drzwiach ziele świętego Jana? Czuje się jak nieproszony gość.

W ciemnościach rozbłysła latarka i mnie oślepiła. Przysłoniłam oczy i po drugiej stronie snopa światła doliczyłam się trzech postaci. Dwie rozpoznałam - malutką dziewczynę o kudłatych uszach i zielonoskórego chłopaka, których widzieliśmy w Głogach. Trzecia, która trzymała latarkę, była wysoka i chuda, o gęstych ciemnych włosach, postrzępionej bródce i dwóch kręconych rożkach rosnących znad brwi. Stwór w drugim ręku trzymał krzyż, unosząc go przed twarzą, jakby odstraszał wampira.

Puk się roześmiał.

- Strasznie mi przykro, mały, ale jeśli nie jesteś księdzem, to nie zadziała Tak samo jak sól, którą rozsypaliście po podłodze. Nie jestem zwykłym boginem.

- Cholerne magiczne stwory - prychnął pobladły chłopak z bródką. - Jak się tu dostaliście? Jeśli życie wam miłe, to lepiej natychmiast się stąd wynoście. Ona wypruje wam flaki i zrobi z nich struny do harfy.

- No widzisz, z tym jest pewien problem - Robbie mówi! dalej z udawanym żalem. - Otóż po drugiej stronie tych drzwi jest strasznie wkurzony gad, który ma ochotę przerobić nas na pieczeń, bo wasza trójka była na tyle głupia, by okraść smoka.

Westchnął i pokręcił z ubolewaniem głową.

- Wiecie, że smoki nigdy nie zapominają, kto ich okradł? Coście zabrali?

- Nie twoja sprawa, stworze! - zawołał kozi chłopak. - I może niejasno się wyraziłem, mówiąc, że nie jesteście tu mile widziani.

Sięgnął do kieszeni po trzy żelazne gwoździe i wyciągnął je przed siebie w trzęsącej się dłoni.

- Może garść żelaza was przekona.

Wysłałam naprzód, rzucając Pukowi ostrzegawcze spojrzenie, nim zdążył zareagować na zaczepkę chłopaka.

- Spokojnie - zaczęłam uspokajająco i uniosłam ręce. - Nie chcemy żadnych kłopotów. Po prostu próbujemy przedostać się przez Głogi, to wszystko.

- Warren! - wykrzyknęła dziewczyna, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. - To ona!

Wszyscy spojrzeli na mnie.

- To ty... - wydyszał Warren. - To ty jesteś nią, prawda? Mieszaniec Oberona. Letnia księżniczka.

Żelazny Koń parsknął i podszedł bliżej, sprawiając, że cała trójka się cofnęła. Położyłam mu rękę na piersi.

- Skąd o mnie wiecie?

- Ona cię szuka, wiesz? Połowa wygnańców cię szuka...

- Ej, wolnego, koziołku. - Puk uniósł dłoń. - Kim jest ta niezwykła „ona”, o której wciąż mówisz?

Warren posłał mu spojrzenie pełne zarazem zachwytu i strachu.

- Ona, oczywiście. Pani tego miejsca. Ty, jeśli to jest córka Oberona, to ty musisz być nim, prawda? Robinem Koleżką? Pukiem?

Puk uśmiechnął się, a Warren głośno przełknął. Jego jabłko Adama podskoczyło.

- Ale... - Spojrzał na Żelaznego Konia. - O nim nic nie mówiła. Kim on jest?

- Śmierdzi - burknął zielonoskóry chłopak, pokazując krzywe, płaskie zęby. - Śmierdzi jak węgiel. Jak żelazo.

Warren uniósł gwałtownie brwi.

- O do licha. To jeden z nich, prawda? Jeden z żelaznych stworów. Ona nie będzie z tego zadowolona.

- On jest ze mną - przerwałam mu gwałtownie, bo Żelazny Koń przybrał wyzywającą pozę. - Nie jest groźny, przysięgam A o kim tak ciągle mówicie? Kim jest „ona”?

- Ma na imię Leanansidhe - oświadczył Warren, jakby fakt, że sama się nie domyśliłam, świadczył o mnie jak najgorzej. - Leanansidhe, Mroczna Muza, Królowa Wygnańców.

Brwi Robbiego zniknęły aż pod jego grzywką.

- Żartujesz! - zawołał, ni to się krzywiąc, ni to śmiejąc. - A więc Leanansidhe ogłosiła się teraz królową? Och, Tytania będzie zachwycona.

- Kim jest Leanansidhe? - zapytałam.

Puk nie wytrzymał i się skrzywił. Pokręcił głową i odwrócił się do mnie z ponurą miną.

- Mam złe wieści, księżniczko. Swego czasu Leanansidhe była jedną z najpotężniejszych istot w całej krainie Nigdynigdy. Nazywali ją Mroczną Muzą, bo inspirowała wielu wspaniałych artystów, pomagając im stworzyć ich najwspanialsze prace. Może kojarzysz niektórych śmiertelników, których natchnęła: Jamesa Deana, Jimiego Hendrixa, Kurta Cobaina.

- Niemożliwe.

Puk wzruszył ramionami.

- Ale, jak już pewnie wiesz, taka pomoc zawsze ma swoją cenę. Nikt, kogo natchnie Leanansidhe, nie żyje długo, nigdy. Ich życie jest olśniewające, kolorowe i bardzo krótkie. Czasami, jeśli to naprawdę wyjątkowy artysta, zabierała go ze sobą do Nigdynigdy, by zabawił ją przez wieczność. Albo do czasu, aż się znudzi Oczywiście tak było, zanim... - Zamilkł, patrząc na mnie znacząco.

- Zanim co?

- Tytania wygnała ją do świata śmiertelników - dodał szybko Puk, zupełnie jakby zamierzał powiedzieć coś innego - Według niektórych Leanansidhe stała się zbyt potężna, zbyt wielu śmiertelników ją czciło i chodziły słuchy, że chce się ogłosić królową. Oczywiście to sprawiło, że nasza droga Letnia Królowa stała się troszeczkę o nią zazdrosna. Wygnała więc samozwańczą Królową Muz i zamknęła dostęp do wszystkich prowadzących do niej ścieżek, aby Leanansidhe nigdy nie mogła powrócić do magicznej krainy. To było kilka lat temu i od tamtej pory nikt o niej nie słyszał. Ale najwyraźniej... - mówił dalej Puk, rzucając okiem na trójkę nastolatków słuchających go z zapartym tchem - Leanansidhe ma nowych zwolenników. Nowych małych wyznawców gotowych rzucić się jej do stóp. - Pohamował śmiech. - Najwyraźniej ostatnio nie ma w czym przebierać.

- Hej! - zawołała dziewczyna, marszcząc brwi. - Co to miało znaczyć?

- Dlaczego Leanansidhe mnie szuka? - zapytałam, nim przysła mi do głowy przykra myśl. - Chyba... nie sądzicie, że chce się zemścić za to, co zrobiła jej Tytania?

Świetnie, tylko tego mi teraz trzeba, kolejnej królowej elfów, która na mnie poluje. To chyba jakiś rekord.

Spojrzelśmy na Warrena, który cofnął się, unosząc dłonie.

- Hej, nie patrzcie na mnie. Nie wiem, czego chce. Wiem tylko, że cię szuka.

- Nie możemy teraz iść do tej Leanansidhe! - zadudnił Żelazny Koń, aż dzieciaki podskoczyły, a sufit zadrżał. Boże, on nie mówiłby szeptem, nawet gdyby jego życie od tego zależało. - Nasze zadanie jest pilne! Musimy dostać się do Kalifornii najszybciej, jak to możliwe!

- No cóż. na razie i tak nigdzie nie pójdziemy, przynajmniej dopóki ten miotacz ognia nie wyniesie się spod jedynego wyjścia.

- Chodźcie z nami.

Uniosłam głowę. To Warren się odezwał i teraz wpatrywał w nas intensywnie. Jego ochocze spojrzenie zaniepokoiło mnie tak samo jak i nagła zmiana nastroju.

- Chodźcie z nami do Leanansidhe - ponaglił. - Ona może pomóc. Chcecie do Kalifornii? Bez problemu was tam dostarczy.

- Warren. - Dziewczyna złapała go za rękaw i pociągnęła na bok. - Chodź na momencik, dobrze? Przepraszamy na chwilę.

Z zaskakującą jak na jej wzrost siłą zaciągnęła go do najdalszego kąta. Skuleni pod ścianą dyskutowali coś szeptem jakiś czas posyłając przez ramię podejrzliwe spojrzenia w stronę Żelaznego Konia.

- To co robimy? - zaczęłam się głośno zastanawiać. - Mamy poczekać, aż smok odejdzie, i wrócić do Głogów? Czy zobaczyć, czego chce Leanansidhe?

- Nie! - huknął Żelazny Koń, aż jego głos odbił się echem od ścian. - Nie ufajcie tej Leanansidhe! To zdecydowanie zbyt niebezpieczne!

- Puk?

Wzruszył ramionami.

- W zwykłych okolicznościach zgodziłbym się z piekarnikiem. - Żelazny Koń spiorunował go wzrokiem. - Leanansidhe zawsze była nieprzewidywalna, poza tym jest tak potężna, że ten smok wyglądałby przy niej jak wkurzona jaszczurka. Ale... wróg, którego się zna, jest zawsze lepszy od takiego, którego nie widzisz.

Skinęłam głową.

- Zgadzam się. Jeśli ta Leanansidhe nas szuka, to lepiej się z nią spotkać na naszych warunkach. Bo aż się boję, co by mogła za nami postać.

- Poza tym... - Puk przewrócił oczami. - Mam wrażenie, że mamy jeszcze jeden problem.

- Jaki?

- Nasz wierny przewodnik się zmył.

Rozejrzałam się wokół, ale Grimalkin zniknął i nie zareagował na moje syczenie, żeby raczył się pokazać. Dzieciaki przyglądały nam się z ciekawością i niepokojem. Westchnęłam. Nie miałam pojęcia, gdzie się podział Grim ani kiedy wróci. Tak naprawdę pozostało nam tylko jedno rozwiązanie.

- No cóż.. - Posłałam im uprzejmy uśmiech. - Jak daleko do Leanansidhe?

Jak się okazało, byliśmy w piwnicy jej pałacu.

- To co, Leanansidhe wysłała was, żebyście okradali smoki? - zagadnęłam dziewczynę, kiedy szliśmy ciemnymi korytarzami, a światło latarki odbijało się od mokrych kamiennych ścian. Nie wiedziałam, jak wyglądał dom, ale przynajmniej piwnice miał olbrzymie.

Przypominały mi średniowieczne lochy, łącznie z ciężkimi drzwiami, kamiennymi kratami i rzygaczami przyglądającymi nam się ze ścian. Myszy uciekały na boki, a w cieniu, tuż za kręgiem światła, poruszały się też jakieś inne stwory. Dziewczyna, Kimi, uśmiechnęła się do mnie szeroko.

- Leanansidhe ma mnóstwo klientów o bardzo nietypowych smakach - wyjaśniła. - Większość z nich to wygnańcy, jak ona, którzy z różnych powodów nie mogą wrócić do Nigdyngdy. Wykorzystuje nas - wskazała na siebie i Nelsona - do przynoszenia tego, czego sama nie może zdobyć, jak dziś z tym smokiem. Wygląda na to, że jakiś wyganiec, zimowy elf z Nowego Jorku, płaci straszne pieniądze za prawdziwe smocze jaja.

- Kradliście jaja?

- Tylko jedno. - Kimi zachichotała, widząc moją zszokowaną minę. - A potem głupi jaszczur się obudził i trzeba było zwiewać. - Znów zachichotała i pogładziła uszy. - Ale nic się nie bój, nie zdziesiątkujemy populacji smoków. Leanansidhe kazała nam kilka zostawić.

Robbie wydał odgłos, który mógł oznaczać uznanie.

- A co wy z tego macie?

- Wikt i opierunek. No i odpowiednią pozycję. Gdyby nie to, żylibyśmy na ulicy.

Kimi i Nelson wymienili porozumiewawcze spojrzenie, ale Warren wciąż mi się przypatrywał. Od kiedy ruszyliśmy, nie mógł oderwać ode mnie oczu i czułam się z tym bardzo nieswojo.

- No i opłata też nie jest zła - mówiła dalej Kimi, nieświadoma zachowania Warrena. - A przynajmniej lepsza niż druga możliwość: czyli ściganie nas za to, kim jesteśmy Dostawanie po głowie od wygnańców i magicznych stworzeń, które po prostu wolą żyć w świecie śmiertelników. Leanansidhe zapewnia nam bezpieczeństwo; nie zadziera się z pupilkami królowej. Nawet bandy czerwonych kapturków dają nam spokój. Zazwyczaj.

- Ale czemu? - zapytałam. - Też jesteście wygnańcami prawda? Czemu was miano by traktować inaczej?

Spojrzałam na jej kudłate sterczące uszy, zieloną skórę Nelsona i rogi Warrena. Na pewno nie byli ludźmi, co do tego nie miałam wątpliwości. Ale potem przypomniałam sobie Warrena trzymającego krzyż, przerażony okrzyk o „cholernych magicznych stworach” i jak udało im się przedostać przez drzwi, przez które nie mógł przejść Grimalkin. I uświadomiłam sobie, kim są, zanim jeszcze odezwała się Kimi.

- Bo jesteście mieszkańcami! - zawołała wesoło i zastrzygła uszami. - Ja jestem półopoldą. Nelson półtrollem. a Warren półsatyrem. A jeśli jest coś, czego wygnaniec nienawidzi bardziej od tych, którzy go wygnali, to właśnie mieszkańców, takich jak my.

Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale to miało sens. Podejrzewałam, że tacy mieszkańcy, jak Kimi, Nelson i Warren nie mieli łatwo. Bez ochrony Oberona byli narażeni na ataki prawdziwych magicznych stworzeń, które pewnie mocno utrudniały im życie. Trudno się dziwić, że zawarli umowę z Królową Wygnańców w zamian za jakąś ochronę. Nawet jeśli to wymagało kradzieży smoczycy jaj prosto spod smoka.

- Och, a tak przy okazji - dodała Kimi, rzucając okiem na Żelaznego Konia, który brzęczał za mną. - Leanansidhe wie o... ehm... jego rodzaju. Ostatnio zabili wielu wygnańców i to ją strasznie wkurza. Wasz przyjaciel powinien przy niej naprawdę uważać. Nie wiem, jak zareaguje na żelaznego stwora w swoim salonie. Widziałam, jak z błahszych powodów dostawała szału.

- Zamknij się, Kimi - odezwał się nagle Warren Dotarliśmy do wylotu korytarza, a tam, na końcu schodów, stały ogniście czerwone drzwi.

Zmarszczyłam brwi, ale coś odwróciło moją uwagę. Z góry dobiegała jakaś muzyka, drżące akordy fortepianu albo organów. Muzyka była ponura i rozstrajająca. Przypominała mi sztukę, którą oglądałam dawno temu, Upiora w operze. Pamiętam, jak mama zaciągnęła mnie do teatru, gdy trupa przyjechała do naszego miasteczka, niedługo przed urodzinami Ethana. Pamiętam, jak myślałam, że będę musiała spędzić trzy godziny na upiornych nudach, ale już pierwsze dźwięki organów mnie urzekły.

Pamiętam też, jak mama płakała przy kilku scenach, czego nigdy wcześniej nie robiła, nawet na najsmutniejszych filmach. Wtedy o tym nie myślałam, ale teraz wydało mi się to trochę dziwne.

Wyszliśmy z piwnic do wspaniałego holu, o podwójnych schodach prowadzących w stronę wysokiego sklepienia i olbrzymim kominku, na którym płonął ogień, otoczonym czarnymi pluszowymi kanapami. Wykładana drewnem podłoga lśniła czerwono, ściany pomalowane były w szkarłatne i czarne wzory, a zwiewne kotary zasłaniały łukowe okna w głębi pokoju. Prawie całe wolne miejsce na ścianach zajmowały obrazy - olejne, akwarele i czarno-białe szkice. W oddali Mona Lisa uśmiechała tym dziwnym uśmiechem, a obok wisiał dziwny, chaotyczny obraz, pewnie Picassa.

W pokoju rozbrzmiewała muzyka, mroczne, upiorne akordy grane z taką mocą, że aż powietrze drgało i szczykały mi zęby. W kącie nieopodal kominka stał potężny fortepian, a płomienie odbijały się w wypolerowanym drewnie. Nachylona nad klawiaturą postać w pogniecionej białej koszuli uderzała z mocą w klawisze z kości słoniowej, palce poruszały się tak szybko, że trudno je było dostrzec.

- Kto...?

- Ciii! - Kimi uciszyła mnie kuksańcem w ramię. - Nie gadaj. Ona tego nie lubi, kiedy ktoś gra.

Zamilkłam, przyglądając się pianiście. Wiotkie, potargane, brązowe włosy zwisały mu aż do ramion. Wyglądały, jakby ich nie mył od tygodni. Miał szerokie ramiona, ale koszula zwisała luźno na szczupłej, kościstej figurze, tak chudej, że przez skórę widać było kręgosłup.

Utwór zakończył się ostatnim drżącym akordem. Zapadła cisza, ale mężczyzna dalej nachylał się nad klawiaturą. Nie widziałam jego twarzy, ale miałam wrażenie, że ma zamknięte oczy, a mięśnie drżą mu z wyczerpania. Zdawał się na coś czekać. Spojrzałam na pozostałych, zastanawiając się, czy powinniśmy zacząć bić brawo.

Ze szczytu schodów dobiegły nas powolne oklaski. Spojrzałam w górę i ujrzałam tam Grimalkina we własnej osobie. Siedział na poręczy z ogonem owiniętym wokół łap i sprawiał wrażenie, jakby był u siebie. Cała złość, jaką do niego czułam uleciała, gdy zobaczyłam jego towarzyszkę.

Na balkonie stała kobieta w trzepoczącej złoto-szkarłatnej szacie, chociaż byłam pewna, że jeszcze sekundę temu nikogo tam nie było. Falujące, sięgające pasa włosy błyszcząły jak pasma miedzi, tak mocno, że trudno było na nie patrzeć, i unosiły się wokół jej twarzy, jakby nic nie ważyły. Była blada, wysoka i wspaniała, królowa w każdym calu, a mnie aż ścisnęło w żołądku. Co tam Arkadia i Tir Na Nog, teraz byliśmy na jej dworze i musieliśmy się podporządkować jej zasadom. Ciekawe, czy oczekiwała, że się skłonimy.

- Brawo Charles. - Jej głos był jak melodia, jak poezja, której nadano dźwięk, należąca do wszelkich twórczych narodów świata. Słyszając go, czułam, że mogłabym wystąpić na scenie i powalić na kolana wrzeszczący i skaczący tłum. -To było wręcz znakomite. Możesz już odejść.

Mężczyzna z drzeniem wstał, uśmiechając się jak dziecko, którego obrazek pochwalił nauczyciel. Był młodszy od mojego ojczyma, ale nie bardzo. Na szczęce i pod nosem widać było ślad zarostu.

Gdy się do nas odwrócił, zadrżałam. Jego twarz i orzechowe oczy były pozbawione wyrazu, zupełnie puste

- Biedaczek - wyszeptał Puk. - Trochę czasu to on już tu spędził.

Muzyk rzucił na mnie okiem, zamrugnął, jakby w letargu, a potem spojrzął szeroko otwartymi oczami.

- Ty... - wymamrotał, wskazał mnie palcem i ruszył w moją stronę, powłócząc nogami.

Zmarszczyłam brwi zaskoczona.

- Znam cię. Prawda? Prawda? Kim jesteś? Kim? - Skrzywił się, jakby w cierpieniu. - Szczury szepcą w ciemnościach. - Złapał się za włosy. - Szepcą. Nie pamiętam ich imion. Mówią mi... - Zmrużył oczy i wydyszał, patrząc na mnie: - Szmaciana dziewczynka latająca nad moim łóżkiem. Kim jesteś? Kim?!

To ostatnie wykrzyknął i rzucił się na mnie.

Żelazny Koń zarżał i stanął między nami, a mężczyzna odskoczył, zasłaniając dłońmi twarz.

- Nie - załkał, kuląc się na podłodze i zasłaniając rękami głowę. - Nikogo nie ma. Pusto, pusto, pusto. Kim jestem? Nie wiem. Szczury mówią, ale ja zapominam.

- Starczy tego. - Leanansidhe spłynęła ze schodów, ciągnąc za sobą tren. Podeszła do pianisty i dotknęła delikatnie jego głowy. - Charles, kochanie, mam teraz gości - wyszeptala, gdy spojrzął na nią zapłakanymi oczami. - Może się wykąpiesz, a potem zagrasz nam do obiadu?

Charles pociągnął nosem.

- Dziewczyna... - wymamrotał, szarpiąc się za włosy. - W mojej głowie.

- Tak, wiem, skarbie. Ale jeśli sobie nie pójdiesz, to będę cię musiała zmienić w harfę. No już, zmykaj, raz-raz.

Zaczęła machać rękami, jakby odganiała muchę. Muzyk posłał mi ostatnie spojrzenie i uciekł.

Leanansidhe westchnęła i odwróciła się do nas, a potem odezwała się tak, jakby po raz pierwszy zauważyła trójkę dzieciaków:

- Ach, tu jesteście. - Uśmiechnęła się. a oni aż się rozpromienili. - Moi drodzy, udało wam się zdobyć jaja?

Warren ściągnął plecak z ramienia Nelsona i go uniósł.

- Znaleźliśmy gniazdo, Leanansidhe. Było dokładnie tam gdzie mówiłaś. Ale smok się obudził i... - Otworzył plecak, w którym było zielonożółte jajo wielkości piłki do koszykówki. - Udało nam się zabrać tylko jedno.

- Jedno? - Leanansidhe zmarszczyła brwi, a w całym pokoju pociemniało. - Tylko jedno? Moi drodzy, potrzebuję co najmniej dwa albo umowa przepada. Były księżę Mroźnej Góry jasno powiedział, że interesuje go para jaj. Ile to para, skarbie?

- D... dwa - wyjąkał Warren.

- No właśnie. Powiedziałałabym, że macie coś do zrobienia No to lećcie. Myk-myk. I nie wracajcie bez tych jaj!

Cała trójka natychmiast umknęła przez te same drzwi, co wcześniej pianista. Leanansidhe patrzyła, jak znikają, a potem odwróciła się do nas z szerokim, drapieżnym uśmiechem.

- No cóż. Wreszcie razem. Kiedy Grimalkin powiedział, że przybywasz, byłam zachwycona. Tak się cieszę, że w końcu się spotykamy.

Kocur zszedł ze schodów z typową dla siebie obojętnością, zupełnie nieporuszony morderczymi spojrzeniami, które mu z Pukiem posyłał. Wskoczył na kanapę i zaczął sobie wylizywać ogon.

- I Puk! - Leanansidhe odwróciła się do niego, klaszcząc z radości. - Od wieków ciebie nie widziałam, kochany. Jak się miewa Oberon? Wciąż pod pantoflem tego bazyliuszka, którego nazywa żoną?

- Nie obrażaj bazyliuszków - odparł z uśmiechem Puk. Splótł ręce na piersi i rozglądając się po pokoju, przesunął się tak, by mnie zasłonić. - Jak widzę, Leo, byłaś mocno zajęta. O co chodzi z tymi wariatami i mieszańcami? Tworzysz armię odmieńców?

- Nie żartuj, skarbie. - Leanansidhe siąknęła nosem i sięgnęła po leżącą na stoliku cygarniczkę. Zaciągnęła się i wydmuchała nad nasze głowy zielony obłok dymu, który zawirował i zmienił się w smoka, a potem rozplął w powietrzu. - Już się nie buntuję. Stworzyłam tu sobie takie małe, wygodne królestwo, a obalanie dworów jest takie nużące. Ale prosiłabym cię, abyś nie wspominał Tytanii, że mnie znalazłeś, kochaniutki. Gdybyś się wygadał, musiałabym ci chyba wyrwać język. - Uśmiechnęła się i zaczęła przyglądać krwistoczerwonym paznokciom, gdy Puk zbliżył się do mnie. - A także, drogi

Robinie, nie musisz się martwić ochroną dziewczyny. Nie zamierzam jej skrzywdzić. Natomiast niewykluczone, że tego żelaznego stwora będę musiała poćwiartować i wysłać złom do Azji...

Żelazny Koń spał się i wystąpił o krok.

- Ale nie zamierzam krzywdzić córki Oberona. Spokojnie, mój drogi. Nie po to ją tutaj wezwałam.

- Żelazny Koń jest ze mną - odezwał się szybko, kładąc mu dłoń na ramieniu, nim zdążył zrobić coś głupiego. - Nikogo nie skrzywdzi, obiecuję.

Leanansidhe skierowała na mnie pełną siłą błyszczących szafirowych oczu.

- Jesteś taka słodka, wiesz? Wyglądasz zupełnie jak twój ojciec. Nie dziwię się, że Tytania nie może znieść twojego widoku. Jak masz na imię, skarbie?

- Meghan.

Uśmiechnęła się bezwzględnie i wyzywająco, mierząc mnie wzrokiem.

- A co taka słodka istotka jak ty może mi zrobić, jeśli będę się chciała pozbyć tego obrzydlistwa z mojego domu? Masz na sobie całkiem niezły urok związania, skarbie. Nie sądzę, abyś zdołała zebrać dość magii, by zapalić mojego papierosa.

Przełknęłam ślinę To była próba. Nie mogłam się zawahać jeśli chciałam ocalić Żelaznego Konia. Zebrałam się w sobie spojrzałam w te zimne oczy. przedwieczne i pozbawione skrupułów. i nie spuściłam wzroku.

- Żelazny Koń jest jednym z moich towarzyszy - oznajmiłam spokojnie - Potrzebuję go, więc nie mogę pozwolić, byś go skrzywdziła. Jeśli będę zmuszona, to zawrę z tobą umowę, ale jemu nie może się nic stać. Nie jest twoim wrogiem i nie skrzywdzi ciebie ani nikogo pod twoją opieką. Masz na to moje słowo.

- Wiem o tym, skarbie. - Leanansidhe wciąż wpatrywała mi się w twarz i uśmiechała. - Nie boję się, że jakieś żelazne stworzenie mnie skrzywdzi. Martwię się tylko, że nie będę mogła usunąć tego metalicznego smrodu z moich dywanów. Ale nieważne. - Wyprostowała się i spuściła mnie z oczu. - Dałaś swoje słowo i za nie cię trzymam. A teraz chodź, moja droga Najpierw obiad, a potem porozmawiamy. I powiedz swojemu żelaznemu ulubieńcowi, żeby nie dotykał tu niczego, nie chciałabym, żeby zniszczył urok.

Szliśmy za nią przez kilka długich korytarzy wyłożonych czerwonym i czarnym aksamitem, mijając portrety, których wzrok zdawał się za nami podążać. Leanansidhe, prowadząc nas przez swój dom, gadała jak najęta, bez większego sensu, wspominając jakieś imiona, miejsca i stworzenia, których nie kojarzyłam. Ale nie mogłam przestać wsłuchiwać się w jej głos, nawet gdyby szczebiotała jak wiewiórka. Kątem oka dostrzegałam wnętrza pokoi za uchylonymi drzwiami, pogrążone w ciemnościach albo wypełnione dziwnymi błyskającymi światłami. Czasami zdawało mi się, że pokoje były dziwne, jakby z podłogi rosły drzewa albo jakby w powietrzu pływały ryby. Ale głos Leanansidhe wygrywał z moją ciekawością i nie mogłam oderwać od niej oczu nawet po to, by się dokładniej przyjrzeć.

Weszliśmy do wielkiej sali jadalnej. Większość lewej ściany zajmował długi stół, wokół którego stały szklane i drewniane krzesła. Kandelabry unosiły się nad całą jego długością, oświetlając ucztę, którą mógł się pożywić pułk wojska. Półmiski mięs i ryb, świeże owoce i warzywa, malutkie ciasteczka, cukierki, butelki wina, a na środku wielka pieczona świnia z jabłkiem w pysku. Blask świec był jedynym źródłem światła, a ja słyszałam, jak w ciemnościach coś się rusza i szepce.

Leanansidhe weszła do sali. ciągnąc za sobą kłęb dymu z papierosa i stanęła u szczytu stołu.

- Chodźcie, moi drodzy! - zawołała i skinęła na nas dłonią w rękawiczce. - Wyglądacie na zagłodzonych. Siadajcie. Jedzcie. I proszę, nie bądźcie tak nieuprzejmi, by myśleć, że jedzenie jest wytworem uroku albo zaczarowane. Za jaką gospodynię mnie bierzecie?

Pociągnęła nosem, jakby sama myśl ją zdenerwowała, i spojrzała w ciemności.

- Halo?! - krzyknęła, gdy ostrożnie zbliżyliśmy się do stołu. - Sługi! Mam gości, a wy sprawiacie, że wyglądam na nieuprzejmą. Nie będę zadowolona, jeśli moja reputacja się pogorszy, skarbenki.

W ciemnościach coś się poruszyło, rozległy się szurania i szepty, a potem naszym oczom ukazała się grupa niewielkich stworków. Musiałam przygryźć wargę, by nie wybuchnąć śmiechem. To były czerwone kapturki, z ostrymi jak brzytwy zębami i złym spojrzeniem, w czapkach ochlapanych krwią ich ofiar, ale ubrane w liberie kamerdynerów i różowe muchy. Ponure i wściekłe wynurzyły się z ciemności i spoglądały na nas gniewnie. Ich wzrok ostrzegał: „Zaśmiej się, a zginiesz”, ale Puk rzucił

na nie raz okiem i zaczął rechotać. Czerwone kapturki zmierzyły go takim wzrokiem, jakby zaraz miały mu odgryźć głowę.

Jeden z nich zauważył Żelaznego Konia i zasyczał przeraźliwie, aż wszystkie się cofnęły.

- Żelazo! - zaskrzeczał i wyszczerzył ostre kły. - To jeden z tych śmierdzących żelaznych stworów! Zabić! Zabić!

Żelazny Koń zaryczał, a Puk wyciągnął sztylet, uśmiechając się diabelsko na myśl o przemocy. Czerwone kapturki wyszczerzyły zęby i równie chętnie rzuciły się z warkotem do ataku. Złapałam ze stołu srebrny nóż i uniosłam w obronnym geście. Jeden z kapturków wskoczył na stół, błysnął kłami i przykucnął. gotów do ataku.

- Starczy tego!

Zamarliśmy. Nie dało się inaczej. Nawet czerwony kapturek stole znieruchomiał, a potem wpadł do misy z sałatką owocową.

Leanansidhe stała u szczytu stołu i patrzyła na nas groźnie. Jej oczy błyszczały teraz bursztynowo, włosy łopotały, a płomienie świec tańczyły dziko. Przez chwilę stała tak, obca i przerażająca. A potem westchnęła, przyglądała fryzurę, sięgnęła po cygarniczkę i zaciągnęła się mocno. Gdy wydmuchała dym wszystko wróciło do normy, łącznie z tym, że znów mogliśmy się ruszać, ale nikt, a zwłaszcza czerwone kapturki, nie miał już żadnych agresywnych myśli.

- No? - odezwała się w końcu, patrząc na czerwone kapturki tak, jakby nic się nie stało. - Na co czekacie, sługi? Moje krzesło samo się nie ruszy.

Największy kapturek, krzepki osobnik z kościanym haczykiem na ryby w nosie, otrząsnął się i ruszył, by odsunąć krzesło swej pani. Pozostali poszli za jego przykładem. Wyglądali, jakby raczej woleli nas zatłuc na śmierć naszymi własnymi rękami ale bez słowa odsunęli nam krzesła. Ten, który usługiwał Żelaznemu Koniowi, warknął i wyszczerzył na niego zęby, a potem uciekł najszybciej, jak mógł.

- Przepraszam za sługi - powiedziała Leanansidhe, gdy już wszyscy usiedliśmy. Dotknęła palcami skroni, jakby miała migrenę. - Tak trudno znaleźć ostatnio dobrą pomoc, moi drodzy Nie macie nawet pojęcia.

- Zdawało mi się, że ich rozpoznałem - stwierdził Puk, sięgając od niechcienia po gruszkę ze środka stołu. - Czy ich przywódca to nie Dan Brzytwa czy jakoś tak? Zdaje mi się, że narobili trochę bałaganu podczas wojen goblinów, kiedy próbowali sprzedawać informacje obu stronom.

- Okropna sprawa, skarbie. - Leanansidhe strzeliła dwa razy palcami, a z ciemności wyłonił się domowej z kieliszkiem i butelką wina. Wdrapał się na stół, by nalać jej wina. - Wszyscy wiedzą, że jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, to nie oszukujesz plemion goblinów. To zupełnie jak wtykanie kija w mrowisko. Pociągnęła łyk i westchnęła.

- Przyszli do mnie prosić o azyl po tym, jak rozdrażnili wszystkie plemiona goblinów w Losoborze, a ja dałam im pracę. Taka tu panuje zasada, skarbie, jeśli zostajesz, to pracujesz.

Spojrzałam w stronę, gdzie zniknęły czerwone kapturki, czując na sobie ich wściekły wzrok.

- A nie boisz się, że oszaleją i kogoś zjedzą?

- Nie, jeśli wiedzą, co dla nich dobre, skarbie. Nic nie jesz, jedz. - Skinęła w stronę jedzenia, a ja nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem głodna. Sięgnęłam po półmisek małych lukrowanych ciasteczek, zbyt łapczywie, by przejmować się jeszcze urokami czy czarami. Jeśli właśnie żułam muchomora albo konika polnego, to trudno. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. - Będąc tutaj - mówiła dalej Leanansidhe, a my jedliśmy - wszelkie prywatne wojny zostawia się za sobą. To moja druga zasada. Oczywiście bez problemu mogłabym im odmówić schronienia, ale wtedy gdzie by się podzieli? Mieliby powoli konać w świecie śmiertelników albo walczyć z żelaznymi stworzeniami, które rozprzestrzeniają się po wszystkich miastach i miasteczkach świata? Bez urazy, koniku - dodała, uśmiechając się do Żelaznego Konia, w sposób mówiący coś dokładnie odwrotnego.

Żelazny Koń nie odpowiedział. Nic nie jadł i uznałam, że albo nie chce mieć wobec Leanansidhe zobowiązań, albo nie jada zwykłego jedzenia. Na szczęście gospodyni zdawała się tego nie zauważać.

- Większość woli nie ryzykować - kontynuowała, wskazując firką w stronę, gdzie uciekły czerwone kapturki. - Na przykład sługi. Raz na jakiś czas któryś wystawia nos do świata śmiertelników, używa mu go jakiś gobliniński najemnik, a ten wraca do mnie na kłęczkach. Wygnańcy, mieszańce, wyrzutki, wszyscy. Zapewniam im jedyne bezpieczne schronienie pomiędzy Nigdy nigdy a światem śmiertelników.

- Co nasuwa pytanie... - rzucił aż nazbyt obojętnym tonem Puk. - Gdzie my właściwie jesteśmy?

- Och, skarbie. - Leanansidhe uśmiechnęła się do niego, ale był to przerażający zimny i okrutny uśmiech. - Ciekawa byłam, kiedy spytasz. I jeśli myślisz, że polecisz zaraz naskarżyć na mnie swoim panom, to się nie trudź. Nie zrobiłam nic złego. Nie złamałam zasad mojego wygnania. To moje królestwo, owszem, ale Tytania może być spokojna. Nie zagraża jej w żaden sposób.

- No dobra, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie - Puk zamilkł z jabłkiem w ręku i uniósł brew. - I powiem ci, że teraz jestem jeszcze bardziej zaniepokojony. Gdzie my jesteśmy. Leo?

- Pomiędzy, skarbie. - Leanansidhe rozparła się na krześle i sączyła wino. - W pasie pomiędzy krainą Nigdynigdy, a światem śmiertelników. Na pewno już sam na to wpadłeś.

Brwi Robbiego uniosły się tak, że nie było ich widać spod rudej czupryny.

- Pomiędzy? Ale Pomiędzy jest pustką, a przynajmniej tak mi dano do zrozumienia. Ci, którzy utykają Pomiędzy, zwykle dostają pomieszania zmysłów, i to w krótkim czasie.

- Tak, przyznaję, że na początku było trudno. - Leanansidhe machnęła od niechcenia ręką. - Ale dość o mnie, moi drodzy. Porozmawiajmy o was.

Zaciągnęła się papierosem i wydmuchała nad stół dymną rybę.

- Czemu przedzieraliście się przez Głogi, gdy wpadły na was moje dzieciaki? Sądziłam, że szukacie Berła Pór Roku, a tam na pewno go nie znajdziecie, moi drodzy. No, chyba że uważacie, że Bellatorallix na nim siedzi.

Zagapiłam się na nią. Żelazny Koń poderwał się, zrzucając na podłogę miskę winogron. Nie wiadomo skąd, natychmiast pojawiły się domowe, by zebrać porozsypywane owoce. Leanansidhe uniosła smukłą brew i znów zaciągnęła się papierosem, czekając, aż dojdziemy do siebie.

- Wiedziałaś? - Wpatrywałam się w nią, podczas gdy słudzy postawili miskę z powrotem na stole i uciekli. - Wiedziałaś o berle?

- Skarbie, proszę... - Leanansidhe posłała mi na wpół pogardliwe, na wpół protekcyjne spojrzenie. - Wiem o wszystkim co dzieje się na dworach. Przecież nie można wypaść z obiegu. Poza tym tutaj jest potwornie nudno. Moi informatorzy przekazują mi wszystkie istotne detale.

- Czyli szpiedzy - odezwał się Puk.

- Cóż za paskudne słowo, kochaniutki - prychnęła Leanansidhe. - Poza tym to nie ma teraz znaczenia. Istotne jest, co mogę wam powiedzieć. Wiem, że berło buchnęło Mab sprzed nosa, wiem, że Lato i Zima zaraz rozpętają o nie krwawą wojnę, i wiem, że berło nie znajduje się w krainie Nigdynigdy, tylko w świecie śmiertelników. I... - zaciągnęła się papierosem i posłała nad nasze głowy jastrzębia - mogę wam pomóc je znaleźć.

Natychmiast nabrałam podejrzeń i widziałam, że tak samo i było z Żelaznym Koniem oraz Pukiem.

- Czemu? - zapytałam. - Co będziesz z tego miała?

Leanansidhe spojrzała na mnie, a w jej głosie pojawił się cień, nadając mu ponurą i złowieszczą barwę.

- Skarbie, widziałam, co się dzieje w świecie śmiertelników. W odróżnieniu od Oberona i Mab, którzy kryją się w swoich bezpiecznych dworach, ja wiem, że rzeczywistość atakuje nas ze wszystkich stron. Żelazne stworzenia rosną w siłę. Są wszędzie: w komputerach, wyłażą z ekranów telewizyjnych i zbierają się w fabrykach. Pod moim dachem jest teraz więcej wygnańców, niż było przez cały poprzedni wiek. Są przerażeni, nie chcą więcej żyć w świecie śmiertelników, bo żelazne stworzenia rozrywają je na strzępy.

Zadrzałam, a Żelazny Koń zamarł. Leanansidhe zamilkła i nie było słyhać nic, poza cichym szuraniem niewidzialnych stworzeń w ciemnościach.

- Jeśli Lato i Zima zaczną toczyć wojnę, a żelazne stwory zaatakują, to nic nie zostanie. A jeśli żelazne stworzenia wygrają, to kraina Nigdynigdy stanie się niezdatna do mieszkania. Nie wiem, jak to wpłynie na Pomiędzy, ale jestem przekonana, że będzie dla mnie zabójcze. Więc jak widzisz, skarbie... - Leanansidhe pociągnęła łyk wina. - Pomoc wam będzie dla mnie korzystna. A że wszędzie w świecie ludzi mam oczy i uszy rozważnie by było, gdybyście przyjęli moją propozycję.

Żelazny Koń poruszył się, a potem odezwał po raz pierwszy. Muszę przyznać, że próbował mówić cicho, ale mimo to jego głos odbijał się echem od ścian.

- Doceniamy twoją propozycję! - zadudnił. - Ale my wiemy, gdzie jest berło!

- Ach tak? - Leanansidhe posłała mu wściekły uśmiech. - Gdzie?

- W Dolinie Krzemowej!

- Wspaniale. A gdzie w Dolinie Krzemowej, skarbie?

Chwila ciszy.

- Nie wiem...!

- A kiedy już je znajdziesz, to jak zamierzasz odzyskać berło, koniku? Wejdiesz frontowymi drzwiami?

Żelazny Koń parsknął na nią.

- Znajdę sposób!

- Ach tak. - Leanansidhe rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. - To pozwól, że powiem wam, co ja wiem na temat Doliny Krzemowej, skarbie, żeby księżniczka wiedziała, czemu się przeciwstawia. To wylęgarnia gremlinów. No wiecie, tych paskudnych małych stworków, które wychodzą z komputerów i innych maszyn. Są ich tam całe tysiące, a może i setki tysięcy, a także niezwykle potężne żelazne stworzenia, które przerobią was na krwawą miazgę, w chwili gdy was zobaczą. Jeśli pójdziecie tam bez planu, to tak jakbyście szli prosto w śmiertelną pułapkę. Poza tym już i tak się spóźniliście. - Leanansidhe pstryknęła palcami i wyciągnęła kieliszek, by nalać jej więcej wina. - Sprawdzam, gdzie jest przetrzymywane berło, od czasu, gdy dowiedziałam się o jego kradzieży. Było w dużym biurowcu w San José, ale moi szpiedzy donoszą, że zostało przeniesione, wygląda na to, że ktoś już je próbował odzyskać, ale mu się nie udało. A teraz budynek został opuszczony, a berło zniknęło.

- Ash - wyszeptalam, rzucając okiem na Puka. - To musiał być Ash.

Mój przyjaciel zdawał się mieć wątpliwości, więc odwróciłam się z powrotem do Leanansidhe. Wnętrznosci skręcały mi się z rozpaczy.

- Co się z nim stało? Tym, który próbował ukraść berło? Gdzie teraz jest?

- Nie mam pojęcia, skarbie. Mówisz, że to Ash? Dobrze mi się zdaje, że to jest kochany synek Mab z Mrocznego Dworu?

- Musimy go odnaleźć! - Wstałam, a Puk i Żelazny Koń spojrzeli na mnie zaskoczeni. - Może mieć problemy. Potrzebuje naszej pomocy.

Odwróciłam się do Leanansidhe.

- Czy twoi szpiedzy mogą go odnaleźć?

- Mogą, skarbie. - Królowa Wygnańców bawiła się swoją fifką. - Ale obawiam się, że mam ważniejsze sprawy do ustalenia. Szukamy berła, pamiętasz, skarbie? Księżę Zimowego Dworu, mimo że słodziutki, musi poczekać.

- Ashowi nic nie jest, księżniczko - dodał z przekonaniem Robbie. - Da sobie radę.

Wściekła i zaniepokojona usiadłam z powrotem. A co, jeśli Ashowi jednak coś się stało? Może go pojмали i torturują, tak jak w królestwie Machiny? A jeśli jest ranny i leży w jakimś rynsztoku, czekając na mnie? Tak się przejęłam księciem, że prawie nie słyszałam dalszej dyskusji Puka i Leanansidhe, a nawet niemal przestało mnie to obchodzić.

- To co proponujesz, Lea? - odezwał się Puk.

- Niech moi ludzie przeszukają dolinę. Znam kogoś, kto idealnie nadaje się do poszukiwań tego, co nie chce zostać odnalezione. Posłałam dziś po niego. A w międzyczasie wszyscy moi słudzy przeczesują ulice, nie rzucając się w oczy i mając ucho na wszystko. W końcu coś ustalą.

- W końcu? - Spojrzałam na nią wściekła. - A co mamy robić do tego czasu?

Królowa Wygnańców uśmiechnęła się i wypuściła w moją stronę dymnego zająca.

- Najlepiej, żebyś się rozgościła.

To nie była prośba.

13. Charles i czerwone kapturki.

Nie cierpię czekać. Nienawidzę stać z założonymi rękami, aż ktoś wreszcie da mi sygnał do działania. Nie cierpiałam tego gdy byłam na Zimowym Dworze, i teraz też nie podobało mi się, że czekam w pałacu Leanansidhe. aż jakieś zupełnie obce mi stwory przyniosą wieści o zaginionym berle. Co gorsza, w całym pałacu nie było zegarów, a co dziwniejsze, również żadnych okien na zewnątrz. Poza tym, podobnie jak większość elfów Leanansidhe nie cierpiała technologii, a to oznaczało brak telewizji, komputerów, telefonów, gier wideo i czegokolwiek, co mogłoby umilić oczekiwanie. Nawet radia nie było. Co prawda szaleni ludzie krążący po domu czasami spontanicznie zaczynali śpiewać albo grać na jakimś instrumencie, więc nigdy też nie było cicho. Nieliczni wygnańcy, których spotkałam, albo uciekali na mój widok, albo mówili, że zgodnie z rozkazami pani domu nie wolno mi przeszkadzać. Czułam się jak mysz uwięziona w jakimś dziwnym labiryncie. A jak dodać do tego mój ciągły niepokój o Asha, to zaczynało mnie to przyprawiać o szaleństwo - zdawało się, że niedługo dołączę do kolekcji Leanansidhe: uzdolnionych, ale szurniętych śmiertelników.

Ale nie ja jedna wychodziłam z siebie.

- To jest niedopuszczalne! - ogłosił któregoś dnia, albo którejś nocy, Żelazny Koń, gdy siedzieliśmy w bibliotece, wyłożonym czerwonym dywanem pokoju z kamiennym kominkiem i regałami, gdzie książki sięgały po sam sufit. Mając pod ręką bogaty zbiór powieści i kolorowych magazynów, zabijałam jakoś czas w oczekiwaniu na powrót szpiegów Leanansidhe Tego dnia leżałam zwinięta na kanapie z serią Mroczna wieża Kinga, ale trudno mi się było skupić przy niespokojnym, zniecierpliwionym żelaznym stworze. Puk już wcześniej gdzieś zniknął, pewnie żeby znęcać się nad służbą albo wpakować w jakieś inne problemy, a Grimalkin siedział z Królową Wygnańców, wymieniając się przysługami i plotkami. I tak zostałam sama z Żelaznym Koniem, który doprowadzał mnie do szału. Nie mógł usiedzieć w miejscu. Nawet w ludzkim ciele zachowywał się jak płochy koń wyścigowy, krążąc po pokoju i zarzucając głową, aż dredy mu podskakiwały. Zauważyłam, że chociaż miał na nogach wysokie buty, to wypalał na dywanie ślady kopyt, które zniknęły po chwili pod wpływem uroku pałacu.

- Księżniczko... - Ukłękł przede mną. - Musimy niedługo wyruszać! Berło coraz bardziej się od nas oddala, a my tu siedzimy z założonymi rękami! Naprawdę możemy ufać tej Leanansidhe? A jeśli trzyma nas tutaj, bo pragnie berła dla siebie...?

- Ciii! Żelazny Koniu, bądź cicho - syknęłam, a on natychmiast zamilkł z miną tak skruszoną, jak tylko było to możliwe na jego pozbawionej wyrazu twarzy. - Nie możesz mówić głośno takich rzeczy. Może cię usłyszeć albo jej szpiedzy na nas doniosą. Jestem pewna, że obserwują każdy nasz ruch.

Rozejrzałam się szybko wokół, ale mimo że niczego nie dostrzegłam, wciąż czułam na sobie czyjś wzrok.

- Już i tak ma problemy z żelaznymi stworzeniami. Nie pogarszaj sprawy.

- Wybacz, księżniczko... - Żelazny Koń skłonił głowę. - Nie mogę znieść tego oczekiwania. Czuję, że powinienem coś zrobić, a tutaj jestem dla ciebie całkiem bezużyteczny.

- Wiem, co czujesz - powiedziałam i położyłam mu rękę na potężnym ramieniu. Miał gorącą skórę, a ścięgna pod spodem były jak ze stali. - Też chcę się stąd wydostać. Ale musimy być cierpliwi. Tam gdzieś są Puk i Grim, dadzą nam znać, jeśli coś się wydarzy albo jeśli będziemy musieli stąd ruszać.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale skinął głową. Westchnęłam z ulgą i nadzieją, że szpiedzy Leanansidhe szybko coś znajdą, bo inaczej Żelazny Koń zacznie rozwalać ściany

Drzwi otworzyły się z hukiem, aż oboje podskoczyliśmy, ale do pokoju wszedł tylko człowiek, ten zaniedbany pianista, którego widzieliśmy pierwszego dnia w pałacu. Przechadzał się po bibliotece, patrząc niewidzącym wzrokiem w podłogę aż spostrzegł mnie. Z pustym uśmiechem na ustach ruszył w moją stronę, ale zatrzymał się na widok kłęczącego przede mną potężnego żelaznego stwora. Żelazny Koń podniósł się z warknięciem, ale klepnęłam go w ramię, krzywiąc się, gdy twardy jak kamień mięsień otarł mi knykcie.

- Spokojnie - zwróciłam się do niego, gdy spojrzał na mnie i zaskoczony. - Nie sądzę, aby mógł mnie skrzywdzić. Wygląda niegroźnie.

Żelazny Koń postąpił człowiekowi podejrzliwe spojrzenie i prychnął.

- Jeśli będziesz mnie potrzebować...

- To krzyknę.

Skinął głową i posłał mężczyźnie ostatnie ponure spojrzenie, a potem przeszedł na drugą stronę pokoju i stamtąd przyglądał nam się spode łba.

Gdy Żelazny Koń się odsunął, pianista jakby się odprężył. Powoli zbliżył się do kanapy i usiadł na samym brzegu, przyglądając mi się z zaciekawieniem. Uśmiechnęłam się do niego znad książki. Zdawał się teraz spokojniejszy, mniej szalony. Oczywiście miał przejrzyste, ale sposób, w jaki się we mnie wpatrywał, bez jednego mrugnięcia, trochę mnie niepokoił.

- Cześć - odezwałam się, kuląc się lekko pod tym spojrzeniem. - Jesteś Charles, prawda? Słyszałam, jak grałeś. Jesteś naprawdę dobry.

Spojrzał na mnie zaskoczony, pochylając głowę.

- Słyszałaś, jak... grałem? - wyszeptał, a jego głos był zaskakująco czysty i głęboki. - Ja... nie pamiętam nic takiego.

Skinęłam głową.

- W holu. Gdy tu przybyliśmy. Grałeś dla Leanansidhe i usłyszeliśmy akurat końcówkę.

- Nie pamiętam - powtórzył, drapiąc się w głowę. - Wielu rzeczy nie pamiętam.

Zamrugnął i spojrzał na mnie. Nagle zamysłony.

- Ale... pamiętam ciebie. Czy to nie dziwne?

Spojrzałam na stojącego w kącie i udającego, że nas nie słucha. Żelaznego Konia.

- Jak długo tu jesteś, Charles?

Zmarszczył brwi i podrapał się w czoło. Jego twarz, chociaż pomarszczona i zniszczona, była zaskakująco dziecinna.

- Ja... ja tu zawsze byłem.

- Oni nic nie pamiętają. - Na oparciu kanapy pojawił się nagle Grimalkin i machnął ogonem.

Podskoczyłam i upuściłam książkę, ale Charles tylko spojrzał na mówiącego kota tak, jakby już dziwniejsze rzeczy widział w życiu.

- Jest tu już za długo - kontynuował Grimalkin, siadając i oplatając ogon wokół łap. - Tak właśnie przebywanie w Krainie Magii działa na śmiertelników. Ten zapomniał już wszystko o swoim przeszłym życiu. Tak samo jak inni śmiertelnicy, którzy tu mieszkają.

- Cześć, koteczku - odezwał się Charles, wyciągając rękę do Grimalkina.

Kot zjeżył się i zwał na drugi koniec kanapy.

- Ilu ich tu jest? - Chciałam wiedzieć.

- Ludzi? - Grimalkin poliznął łapę, wciąż nieufnie przyglądając się pianiście. - Nie tak wielu. Pewnie jakiś tuzin. Wszyscy są wielkimi artystami - poeci, malarze i tacy tam. - Pociągnął nosem i przesunął łapą po pyszczku. - To właśnie utrzymuje to miejsce, cała ta twórcza energia i urok. Nawet czerwone kapturki ich nie tkną.

- Jak może ich tu trzymać? - spytałam, ale Grimalkin ziewnął i zwinął się w kłębek na oparciu kanapy, przykrywając ogonem nos i zamykając oczy. Najwyraźniej skończył już odpowiadać na pytania. Dziobnęłabym go, ale pewnie by mnie pacnął łapą albo zniknął.

- Tu jesteście, skarby. - Leanansidhe wsunęła się do pokoju, ciągnąc za sobą tren zwiewnej czarnej sukni i szal. - Tak się cieszę, że was znalazłam przed wyjściem. Charles, skarbie, muszę teraz porozmawiać z moimi gośćmi. Zmykaj. - Machnęła ręką, a muzyk posłał mi ostatnie spojrzenie i wyszedł z pokoju.

- Wychodzisz? - Spojrzałam na jej suknię i torebkę. - Czemu?

- Widziałaś Puka, kochanie? - Królowa rozejrzała się po bibliotece, ignorując moje pytanie. - Musimy zamienić kilka słów. Kucharz narzeka, że wciąż giną mu jakieś przysmaki, moja pokojówka zakochała się nagle w wieszaku, a kamerdyner przez cały wieczór ganiał po holu myszy. - Westchnęła, złapała się za grzbiet nosa i zamknęła oczy. - W każdym razie, skarbie, jeśli zobaczysz Puka, bądź tak dobra i powiedz mu, żeby zdjął urok z mojej biednej pokojówki i niechże przestanie kraść ciastka z piekarnika, nim kucharz dostanie ataku serca. Aż drzę na myśl, co zastanę tu po powrocie, ale po prostu nie mogę zostać.

- Dokąd idziesz?

- Ja? Do Nashville, skarbie. Pewien cudowny młody kompozytor potrzebuje inspiracji. To okropnie tak się zablokować, ale bez obaw. Już niedługo wszyscy będą zakochani w jego muzyce... - Wyśpiewała ostatnie słowo, a ja przygryzłam wargę by powstrzymać się od tańczenia. Leanansidhe mówiła dalej jak gdyby nic nie zauważyła: - A poza tym muszę odwiedzić pewną nocną wiedźmę i

sprawdzić, czy ma dla nas jakieś nowe wieści. Będę z powrotem za dzień lub dwa, czasu ludzkiego Na razie, skarbie.

Kiwnęła mi palcami i zniknęła w chmurze brokatu.

Zamrugałam i powstrzymałam kichnięcie.

- Pozerka - wymamrotał Robbie, wyłażąc zza jednego z regałów, zupełnie jakby czekał, aż Leanansidhe sobie pójdzie Przemaszerał przez pokój i przewracając oczami, usiadł na podłokietniku.

- Mogła wyjść bez tych całych fajerwerków. No ale Lea zawsze wiedziała, jak efektownie wyjść.

- Ale jej nie ma! - Żelazny Koń podszedł do nas, rozglądając się wokół, jakby się bał, że Leanansidhe tak naprawdę kryje się za którymś krzesłem i przysłuchuje naszej rozmowie. - Nie ma jej i możemy poszukać wyjścia.

- I co potem zrobić? - Grimalkin uniósł głowę i postąpił mu pogardliwe spojrzenie. - Nadal nie wiemy, gdzie jest berło Zdradzilibyśmy się tylko przed naszymi wrogami i zmniejszyli szanse na jego odzyskanie.

- Niestety pchlarz ma rację - westchnął Puk. - Lea może nie jest łatwa we współpracy, ale przynajmniej dotrzymuje słowa i ma największe szanse na to, by odnaleźć berło. Powinniśmy tu siedzieć, aż dowiemy się, gdzie ono jest.

- A więc.. - Żelazny Koń splótł na piersi potężne ramiona, a oczy pały mu ogniem i wściekłością. - Oto plan bystrego Robina Koleżki: siedzieć tu i nic nie robić.

- A jaki jest twój genialny plan, konserwo? Poczłapać do miasta i pakować nos do budynku każdej większej korporacji, aż berło spadnie nam na głowy?

- Księżniczko... - Żelazny Koń odwrócił się do mnie. - To szaleństwo! Czemu mamy dalej beczynnie siedzieć? Nie chcesz odnaleźć księcia Asha...

- Natychmiast zamilcz - odezwałam się zimno i najwyraźniej Żelazny Koń usłyszał w moim głosie groźbę, bo zamknął się szybko. Wstałam, zaciskając pięści.

- Jak śmiesz wciągać w to Asha? - zasyczałam, a on cofnął się o krok. - Tak, chcę go odnaleźć, myślę o nim codziennie. Ale nie mogę, bo najpierw musimy odnaleźć berło. A nawet gdyby nie chodziło o berło, to i tak nie mogłabym nic dla Asha zrobić, bo on nie chce zostać odnaleziony. Nie przeze mnie. Dał to jasno do zrozumienia, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. - Zaczęło mnie ścisnąć w gardle i musiałam nabrać głęboko powietrza. - A więc, w odpowiedzi na twoje pytanie: tak, chcę odnaleźć Asha. Ale nie mogę. Bo to przeklęte berło jest ważniejsze. I nie zamierzam tego schrząnić tylko dlatego, że nie potrafisz wysiedzieć spokojnie dwóch cholernych minut.

Oczy zaszyły mi łzami i zaczęłam wściekle mrugać, świadoma, że cała trójka patrzy na mnie, jakbym miała na głowie gremlina. Nie wiedziałam, co za tą pozbawioną wyrazu maską myśli Żelazny Koń, ale Grimalkin zdawał się znudzony, a na twarzy Puka o lepsze walczyły zazdrość ze współczuciem.

To wkurzyło mnie jeszcze bardziej.

- Meghan... - zaczął Robbie, ale odwróciłam się na pięcie i wybiegłam, nim zaczął ryczeć. Wołał za mną, ale go zignorowałam, obiecując sobie, że jeśli spróbuje mnie zatrzymać albo stanąć mi na drodze, to dam mu w ucho.

- Daj jej spokój - usłyszałam Grimalkina, gdy otwierałam drzwi. - I tak cię teraz nie wysłucha, Koleżko. Chce tylko jego.

Drzwi zatrzasnęły się za mną, a ja pognałam korytarzem, walcząc ze łzami.

To było niesprawiedliwe. Miałam dość bycia odpowiedzialną, dość podejmowania trudnych decyzji dlatego, że tak trzeba. Nie pragnęłam niczego bardziej niż znaleźć Asha i błagać go, by wszystko przemyślał. Moglibyśmy być razem, moglibyśmy znaleźć jakieś wyjście, gdybyśmy wystarczająco się postarali, i olać konsekwencje. I berło.

Korytarze ciągnęły się, jeden podobny do drugiego - wąskie, ciemne i czerwone. Nie wiedziałam, dokąd idę i nic mnie to nie obchodziło. Chciałam tylko odejść jak najdalej od Puka i Żelaznego Konia, zostać na chwilę sam na sam z moimi samolubnymi życzeniami. W korytarzach stały posągi, wisiały obrazy i instrumenty muzyczne. Niektóre drżały lekko, gdy je mijałam, wypełniając powietrze muzyką.

W końcu osunęłam się na podłogę obok jakiejś harfy, ignorując obserwującego mnie z dala skrzata i ukryłam twarz w dłoniach.

Ash. Tęsknię za tobą.

Oczy mnie piekły. Otarłam je ze złością, nie chciałam płakać. Harfa brzdąknęła przy moim uchu, współczująco i z zaciekawieniem. Bezmyślnie pociągnęłam palcami po strunach, a po korytarzu poniosł się ponury, drżący dźwięk.

Odpowiedział mu inny, a potem kolejny. Uniosłam głowę i wsłuchałam się w ciche, słabe dźwięki fortepianu. Melodia była mroczna, niepokojąca i dziwnie znajoma. Ocierając oczy, wstałam i poszłam w kierunku dźwięku, poprzez krzyżujące się koniarze, mijając instrumenty, które dołączały się do melodii.

Melodia doprowadziła mnie do pary ciemnoczerwonych drzwi o złożonych klamkach. Wyglądało na to, że za nimi rozbrzmiewa cała symfonia. Ostrożnie otworzyłam drzwi i weszłam do dużej okrągłej czerwonej sali.

Oblały mnie fale muzyki. Sala była wypełniona instrumentami: były tu harfy, wiolonczele, skrzypce, a także kilka gitar, a nawet ukulele. Na samym środku nachylony nad klawiaturą niewielkiego fortepianu siedział Charles, miał zamknięte oczy, a jego palce przemykały po klawiszach. Pod ścianami inne instrumenty dźwięczały i dudniły, dodając swoje nuty do melodii, zamieniając kakofonię na coś czystego i cudownego. Ta muzyka była żywa, wirowała po sali, mroczna, niepokojąca i nawiedzona, przyprawiając mnie znów o łzy. Opadłam na czerwoną aksamitną kanapę i dałam się porwać emocjom.

Znałam tę piosenkę.

Ale mimo najszczerszych starań, nie mogłam sobie przypomnieć skąd. To wspomnienie mnie męczyło, tuż poza zasięgiem, jak pustka w miejscu, gdzie powinien być obrazek. Ale ta melodia, tajemnicza i zarazem tak niesamowicie mi znajoma, łapała mnie za serce i wypełniała smutkiem oraz poczuciem straty.

Łzy płynęły mi po policzkach. Patrzyłam, jak szczupłe ramiona Charlesa unoszą się i opadają w rytm muzyki, głowę miał lekko nisko, że prawie dotykał nią klawiszy. Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że on też płacze.

Gdy przebrzmiała ostatnia nuta, żadne z nas nie drgnęło przez kilka chwil, Charles siedział tam z palcami na klawiszach ostatniego akordu i oddychał ciężko. Mój umysł miotał się dziko, próbując przypomnieć sobie melodię. Ale im dłużej tam siedziałam, próbując ją sobie przypomnieć, tym bardziej mi uciekała, ginęła w ścianach i podłodze, aż tylko instrumenty ją pamiętały.

W końcu muzyk odsunął stół i wstał, a ja wraz z nim, czując pewne wyrzuty sumienia, że podsłuchiwałam.

- To było piękne - powiedziałam, gdy się odwrócił.

Zamrugnął, najwyraźniej zaskoczony, że tu jestem, ale nie przestraszył się ani nie odskoczył.

- Jak się nazywa ta melodia?

Pytanie go chyba speszyło. Skrzywił się i przekręcił na bok głowę, marszcząc brew, jakby próbował mnie zrozumieć. Potem na jego twarzy pojawił się na moment smutek, aż wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam.

Poczułam zawód.

- Och.

- Ale... - Zamilkł, przesuwając palcami po klawiszach z kości słoniowej i zapatrzył się gdzieś w dal. - Wydaje mi się, że to była moja ulubiona. Dawno temu. Tak mi się zdaje.

Zamrugnął i znów skupił wzrok na mnie.

- Nie wiesz, jak się nazywa?

Pokręciłam głową.

- Och, to szkoda. - Westchnął i lekko się nadąsał. - Szczury mówiły, że możesz pamiętać.

No dobrze, pora się wynosić. Ale nim zdążyłam cokolwiek zrobić, drzwi się uchyliły i do sali wszedł Warren.

- Och, cześć, Meghan. - Obliznął wargi i rozejrzał się nerwowo. Jedną rękę trzymał pod kurtką. - Ja... ehm... szukam Puka. Jest tutaj?

Coś w jego zachowaniu mnie zaniepokoiło. Poruszyłam się niepewnie i skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Nie, wydaje mi się, że jest z Żelaznym Koniem w bibliotece

- To dobrze. - Ruszył do przodu, wyciągając rękę spod kurtki. Światło odbiło się od czarnej lufy pistoletu, gdy uniósł go i wycelował we mnie. Zesztywniałam z szoku, a Warren spojrział przez ramię.

- Dobra! - zawołał. - Droga wolna. Drzwi się rozwarły i do sali wpadło z pół tuzina czerwonych kapturków. Ten z haczykiem w nosie, Dan Brzytwa, wystąpił naprzód i przyjrzał mi się, ukazując w uśmiechu spiczaste zęby.

- Jesteś pewien, że to ta, mieszańcu?

Warren zachichotał.

- To ona - odparł, nie opuszczając broni i nie odrywając ode mnie wzroku. - Żelazny Król dobrze nas za to wynagrodzi, macie moje słowo.

- Drań - syknęłam do Warrena, przyprawiając czerwone kapturki o atak śmiechu. - Zdrajca. Po co to robisz? Królowa Wygnańców daje ci wszystko.

- Och, nie żartuj. - Półsatyr prychnął i pokręcił głową. - Zachowujesz się tak, jakby to było dziwne, że chcę czegoś więcej od życia.

Wolną ręką zatoczył koło.

- Bycie sługusem w tym żalonym przytułku Leanansidhe nie było raczej moim życiowym celem, księżniczko. Dlatego jestem troszkę zgorzkniały, racja. Ale nowy Żelazny Król da mieszańcom i wygnańcom część krainy Nigdyngdy i możliwość skopania tyłka wszystkim czystej krwi draniom, którzy nas poniżali, jeśli tylko wyświadczymy mu drobną przysługę i cię znajdziemy. A ty byłaś na tyle miła, że wpadłaś prosto w moje ręce.

- Nie ujdzie ci to na sucho - rzuciłam desperacko. - Puk i Żelazny Koń będą mnie szukać. A Leanansidhe...

- Zanim ona wróci, nas już tu dawno nie będzie - przerwał mi Warren. - A reszta drużyny Dana zajmuje się właśnie Koleżką i tym żelaznym potworem, więc oni ci raczej nie pomogą. Obawiam się, że nikt nie przybędzie na ratunek, księżniczko.

- Warren - warknął zirytowany Dan Brzytwa. - Nie mamy czasu na pogaduszki, głupku. Zastrzel wariata i wynośmy się stąd, zanim wróci Leanansidhe.

Żołądek zwinął mi się w kulkę. Warren przewrócił oczami i wycelował pistolet w Charlesa.

Pianista zamarł, najwyraźniej orientując się, co się dzieje, gdy Warren posłał mu krzywy uśmiech.

- Przykro mi, Charles - wyszeptał, a mój wzrok skupił się na pistolecie, zimnym, czarnym, stalowym Ujrzałam wylot lufy jak żelazny pierścień Kolcolista i poczułam pod skórą mrowienie. - To nic osobistego. Po prostu się napatoczyłeś.

Zwęż się, pomyślałam o wylocie lufy w chwili, gdy pociągnął za spust.

Powietrze przeszył ryk, gdy pistolet wybuchł Warrenowi w rękę i sprawił, że ten zatoczył się do tyłu. Z krzykiem upuścił powyginane resztki broni i przycisnął rękę do piersi, a powietrze wypełnił zapach dymu i palonego ciała.

Czerwone kapturki patrzyły zaskoczone, jak Warren, jęcząc osuwa się na kolana i ścisną zwęgloną dłoń.

- Na co czekacie?! - wrzasnął, niemal z płaczem. - Zabijcie wariata i bierzcie dziewczynę!

Stojący najbliżej mnie kapturek warknął i rzucił się w moją stronę. Skuliłam się, gdy nagle pomiędzy nas wkroczył Charles. Złapał ze ściany wiolonczelę i nim stwór zdążył uskoczyć, rozbił mu ją na głowie. Instrument pisnął, jakby z bólu, a czerwony kapturek osunął się na podłogę. Dan Brzytwa westchnął.

- No dobrze, chłopaki! - zaryczał, a ja złapałam Charlesa za rękę i zaciągnęłam za pianino. - Wszyscy razem. Brać ich!

- Księżniczko! - Za plecami potworków drzwi otwarły się gwałtownie, rozległ się wściekły ryk.

Dwa czerwone kapturki przeleciały w powietrzu i wylądowały na przeciwległej ścianie. Cała banda obróciła się natychmiast i aż jęknęła z zaskoczenia, gdy wpadł między nie Żelazny Koń, wymachując potężnymi pięściami i rycząc na całe gardło. Kilka stworów wyleciało w powietrze, a pozostałe rzuciły się na niego z krwiożerczymi okrzykami. Odskakiwały szybko, piszcząc z bólu, z połamanymi zębami w pokaleczonych i osmolonych paszczach. A Żelazny Koń młócił je dalej, zupełnie jakby oszalał.

- Hej, księżniczko. - Obok mnie pojawił się uśmiechnięty od ucha do ucha Puk. - Grimalkin powiedział, że masz jakieś kłopoty z czerwonymi kapturkami. Przybyliśmy na pomoc, ale muszę przyznać, że konserwa radzi sobie doskonale w pojedynkę.

Uchylił się przed przelatującym kapturkiem, który rozbił się o ścianę.

- Muszę pamiętać, by trzymać go przy sobie. Mógłby zabawiać gości na przyjęciach, nie sądzisz?

Kapturek, którego Żelazny Koń rzucił o ścianę, podniósł się otępiąły na nogi. Na nasz widok wyszczerzył połamane zębiska i przyszykował się do skoku. Puk uśmiechnął się szeroko i wyciągnął sztylet, gdy pomiędzy nimi rozbłysło światło i powietrze wypełnił głos.

- Wszyscy stać!

Zamarliśmy.

- No, no - rzuciła królowa, kierując się w stronę mnie i Puka. - Wygląda na to, że moja zabawa okazała się wielkim sukcesem. Aczkolwiek muszę powiedzieć, że liczyłam na to, że mnie zaskoczą. To dość nudne, gdy zawsze ma się rację.

- L... Leanansidhe - wyjąkał Dan Brzytwa. Cała krew odpłynęła mu z twarzy, gdy jego pani spojrzała na niego, uśmiechając się przerażająco. - J... jak? Miałaś być w Nashville.

- Dan, skarbie... - Leanansidhe pokręciła głową i syknęła: - Naprawdę myślałeś, że nie widzę, co się dzieje? W moim własnym domu? Wiem, jakie plotki krążą po ulicach, maleńki. Wiem, że Żelazny Król wyznaczył nagrodę za dziewczynę. Czulałam, że w moim domu jest zdrajca albo tak zwany agent Żelaznego Króla. No a jak go łatwiej wywabić, niż zostawiając sam na sam z księżniczką i czekając na jego ruch? Wasz rodzaj jest bardzo przewidywalny, skarbie.

- My... - Dan rozejrzał się po swojej bandzie, wyraźnie szukając kozła ofiarnego. - To nie był nasz pomysł, Leanansidhe.

- Och. wiem, skarbie. Jesteście za tępi, by coś takiego wymyślić. I dlatego was nie ukarzę.

- Naprawdę? - Dan rozluźnił się trochę.

- Naprawdę?! - wykrzyknęłam, wpatrując się w nią. - Ale oni mnie zaatakowali! I chcieli zabić Charlesa! Nic z tym nie zrobisz?

- Oni tylko działali powodowani instynktem, kochanie. - Królowa uśmiechnęła się do mnie. - Nie spodziewałam się po nich niczego innego. Tak naprawdę interesuje mnie mózg tej operacji. Czemu się chowasz, Warrenie?

Wszyscy odwróciliśmy się w stronę, gdzie półsątyr próbował wymknąć się niezauważony korytarzem. Zamarł, krzywiąc się na dźwięk swojego imienia, i posłał Leanansidhe słaby uśmiech.

- Ja... ja mogę wszystko wytłumaczyć.

- Och, jestem tego pewna, koziołku. - Jej głos przyprawił mnie o skurcz żołądka. - I wyjaśnisz. Porozmawiamy chwilę, a ty mi opowiesz wszystko, co wiesz o Żelaznym Królu i berle. Będziesz śpiewał, skarbie. Śpiewał tak, jak nigdy wcześniej, obiecuję.

- Chodź. - Puk wziął mnie za łokieć. - Nie chcesz tego słuchać, księżniczko, uwierz. Lea przekaze nam później wszystkie informacje.

- Charles! - zawołałam, a gdy odwrócił się od Leanansidhe do mnie, jego oczy znów były zupełnie puste. - Chodź Wyjdźmy stąd.

- Piękna pani błyszczysz - wymamrotał pianista, a ja westchnęłam.

- Tak - odparłam smutno i wzięłam go za rękę. - To prawda.

I tak z rozgniewanym Żelaznym Koniem i Pukiem na przedzie uciekliśmy z sali muzycznej i od Mrocznej Muzy, pozostawiając Warrena swojemu losowi.

14. Królewskie przyjęcie.

- Firma komputerowa? - powtórzył Puk, marszcząc brew. - Naprawdę? To tam je ukrywali cały ten czas?

- Na to wychodzi, skarbie. - Leanansidhe odchyliła się na krzesło i skrzyżowała długie nogi. - Pamiętaj, że żelazne stworzenia nie są takie jak my. Nie będą się trzymać blisko parków i muzeów, śpiewając do kwiatów. Lubią nowoczesne miejsca, które przyciągają zimnych, wyrachowanych śmiertelników, o których my nie dbamy.

Wymieniliśmy z Pukiem spojrzenia. Wcześniej rozmawialiśmy o tym dziwnym zimnym uroku, którego użyłam przeciw Warrenowi, i umówiliśmy się, że biorąc pod uwagę oczywistą nienawiść i pogardę Leanansidhe dla żelaznych stworzeń, nie powinniśmy jej o nim na razie wspominać.

Żałowałam, że nie wiem o tym więcej. Podejrzywałam, że nic takiego nie wydarzyło się wcześniej w świecie magii, że byłam pierwsza. Nie było kogo zapytać o radę. Dlaczego miałam żelazny urok? Czemu czasem mogłam go używać, a czasem nie? Za dużo pytań i za mało odpowiedzi. Westchnęłam i postanowiłam skupić się na omawianych kwestiach, a nie na problemie, na którego rozwiązanie na razie nie mogłam liczyć.

- Jak się nazywa to miejsce? - zagadnęłam Leanansidhe, nie wspominając o tym, że należę do tych zimnych wyrachowanych śmiertelników, którzy lubią gadżety, komputery oraz technologię. Wciąż brakowało mi mojego iPoda, pechowo utopionego podczas przeprawy przez rzekę, kiedy po raz pierwszy trafiłam do Krainy Magii. I jeszcze nigdy w życiu nie wytrzymałam tak długo bez telewizji. Jeśli kiedykolwiek powrócę do normalnego życia, będę musiała wiele nadrobić.

Królowa Wygnańców ściągnęła usta w zamyśleniu i stuknęła paznokciami w podłokietnik.

- Och, jak oni to nazwali? Jak dla mnie one wszystkie brzmią tak samo, skarbie. - Strzeliła palcami. - Zdaje się, że to było SciCorp. Tak, w centrum San José. W sercu Doliny Krzemowej.

- Spory budynek - wymamrotałam. - Nie damy rady tam ot. tak wejść. Na pewno będą kamery i ochrona.

- Tak, atak frontalny nie ma szans - przyznała mi rację Leanansidhe, posyłając spojrzenie Żelaznemu Koniowi, który stał w kącie ze skrzyżowanymi rękoma. - I pamiętajcie, że zagrażać wam będą nie tylko śmiertelnicy, ale i żelazne stworzenia. Musicie być bardziej... przebiegli.

Porucznik uniósł głowę.

- A jakby odciągnąć ich uwagę? - zaproponował. - Mógłbym ją skupić na sobie, a wtedy ktoś inny dostałby się do środka od tyłu.

- A ja użyłbym uroku i sprawił, że Meghan byłaby niewidzialna - dodał Puk.

Grimalkin ziewnęła ze swojego miejsca na kanapie.

- Utrzymywanie uroku wśród żelastwa i stali byłoby ryzykowne - stwierdził, sennie mrugając. - I wszyscy wiemy, jak niesamowicie nieudolny jest ten człowiek, jeśli idzie o magię, nawet gdy dysponuje urokiem.

Rzuciłam w niego poduszką. Posłał mi pogardliwe spojrzenie i zasnął z powrotem.

- Wiemy coś na temat samego budynku? - zapytałam Leanansidhe. - Są jakieś plany? Wiemy coś o ochronie?

Nagle poczułam się jak szpieg w filmie akcji. Wyobraziłam sobie, jak wiszę nad siecią nisko rozciągniętych nad ziemią drutów, jak w Mission Impossible, i pohamowałam nerwowy chichot.

- Niestety Warren nie miał wiele do powiedzenia na temat budynku, chociaż pod koniec naprawdę chciał, biedaczek. - Leanansidhe uśmiechnęła się, jak na miłe wspomnienie, a ja zadrżałam. - Na szczęście moi szpiedzy ustalili wszystko, co nam potrzebne. Mówią, że berło jest przechowywane na piętrze numer dwadzieścia dziewięć przecinek pięć.

- Dwadzieścia dziewięć przecinek pięć? - Zmarszczyłam brwi. - Jak to możliwe?

- Nie mam pojęcia, skarbie. Ale tak powiedzieli. Natomiast... - teatralnym gestem wyciągnęła skądś kartkę papieru - udało im się zdobyć to. Podobno to jakiś kod, niezbędny, by wejść do kryjówki żelaznych stworów. Nie potrafili go rozgryźć, ale może wam pójdzie lepiej. Ja niestety nie mam głowy do cyferek.

Podowała mi kartkę. Puk i Żelazny Koń nachylił się nade mną i przez kilka chwil wszyscy troje się w nią wpatrywaliśmy. Leanansidhe miała rację, to na pewno jakiś kod.

3
13
1113
3113
132113
1...

- No dobra - rzuciłam, gdy przez kilka chwil nie udało mi się nic wymyślić. - Musimy to tylko odszyfrować i jesteśmy w domu. Nie jest tak źle.

- Obawiam się, że to trochę bardziej skomplikowane, skarbie. - Leanansidhe przyjęła od domowoją kieliszek wina. - Jak już powiedziałaś, SciCorp to nic miejsce, do którego wchodzi się ot, tak z ulicy. Goście mają wstęp tylko do recepcji, a ochrona jest czujna. Tylko pracownicy mają wstęp na wyższe piętra.

- A gdybyśmy udali, że jesteśmy dozorcami albo firmą sprzątającą?

Grimalkin prychnął i poprawił się na kanapie.

- A nie potrzebowałabyś do tego przepustki? - zauważył moszcząc się wygodnie na poduszce, którą w niego rzuciłam. - Jeśli budynek jest tak dobrze strzeżony, to raczej nie wpuszczają byle motłochu z ulicy.

Zgarbiłam się ponuro.

- Masz rację. Żeby dostać się do środka, potrzebowalibyśmy lewej przepustki albo należącej do któregoś z pracowników. Nie znam nikogo, kto mógłby dla nas coś takiego zdobyć.

Leanansidhe się uśmiechnęła.

- A ja tak! - Strzeliła dwa razy palcami. - Skrae, skarbie! -zawołała. - Chodź na chwileczkę. Chcę, byś coś dla mnie zrobił.

Przed nami pojawił się chochlik, bzyząc delikatnymi skrzydełkami. Miał dziesięć centymetrów wzrostu, granatową skórę i włosy jak dmuchawiec, a na sobie nic poza szerokim uśmiechem prezentującym ostre jak szpilki zęby. Przyglądał mi się z zaciekawieniem wielkimi oczami, aż królowa zaklaskała.

- Skrae, skarbie, tu jestem. Skup się, mój drogi. - Chochlik puścił do mnie oko i zamachał niedwuznacznie biodrami, po czym odwrócił się do swojej pani. - Dobrze, a teraz słuchaj Mam dla ciebie zadanie. Chcę, żebyś znalazł dwoje włóczęgów półopoldę i trollowego chłopca. Nie pamiętam, jak się nazywają. Powiedz im, żeby na razie darowali sobie jaja smoka, mam dla nich inne zadanie. A teraz leć, skarbie. Prędziutko. - Machnęła ręką i chochlik odfrunął.

- Kimi i Nelson - odezwałam się cicho.

- Słucham, kochanie?

- Tak się nazywają. Kimi i Nelson. Byli z... z Warrenem, gdy ich spotkaliśmy po raz pierwszy. - Przypomniałam sobie szelmowski uśmiech Kimi i obojętną minę Nelsona. - Myślisz, że oni też mają jakiś związek z żelaznymi stworzeniami?

- Nie. - Królowa Wygnańców odchyliła się do tyłu, pstrykając palcami na domowoją, by przyniósł jej więcej wina. - Nie wiedzieli nic o zdradzie Warrena i planie twojego porwania. Pólsatyr wyraził się w tej kwestii bardzo jasno.

- Och. co za ulga.

- Aczkolwiek... - odezwała się Leanansidhe, patrząc gdzieś w przestrzeń - z dziewczyny byłyby piękne skrzypce. Albo lira. A półtroll bardziej pasuje mi na kontrabas. Jak myślisz, skarbie.

Zadrzałam z nadzieją, że jednak żartuje.

Kimi i Nelson pojawili się kilka godzin później. Gdy tylko weszli do holu, Leanansidhe opowiedziała im, co się stało z Warrenem. Byli zszokowani i źli, ale od razu we wszystko uwierzyli. Nie uronili ani jednej łzy, nie rzucali na nikogo żadnych oskarżeń. Kimi pociągała trochę nosem, ale gdy Leanansidhe powiedziała im, że mają robotę, natychmiast byli gotowi. Stwierdziłam, że to bardzo

praktycznie myślące dzieciaki, przyzwyczajone do ciężkiego życia, w którym nie było czasu na użalanie się nad sobą.

- To co mamy zrobić? - Kimi wskoczyła na sofę i prawie na niej zniknęła.

Królowa uśmiechnęła się i skinęła na mnie.

- To twój plan, skarbie. Powiedz im, czego potrzebujesz.

- Eee... tak. - Dwoje mieszkańców spojrzało na mnie wyczekująco. Przełknęłam ślinę. - Ehm... no to... Słyszeliście o firmie SciCorp?

Kimi skinęła głową.

- Pewnie - potwierdziła, machając nogami. - Duża firma, która produkuje oprogramowanie albo coś w tym guście. A co?

Spojrzałam na Leanansidhe, a ta machnęła do mnie zachęcająco papierosem.

- Musimy się dostać do wnętrza budynku i coś ukraść. I to tak, żeby nikt nas nie zauważył.

Półpolda zrobiła wielkie oczy.

- Naprawdę?

Skinęłam głową.

- Tak. Ale potrzebujemy waszej pomocy, żeby przejść przez bramki i ochronę. A dokładniej potrzebujemy identyfikatora jednego z pracowników i Leanansidhe mówi, że moglibyście coś takiego dla nas zdobyć. Jak myślisz?

Kimi i Nelson wymienili spojrzenia, a potem półpolda odwróciła się do mnie z szelmowskim spojrzeniem.

- Nie ma sprawy. - Oczy jej rozbłyły na myśl o wyzwaniu. - Skoro go potrzebujecie...

Kimi wygrzebała się z kanapy i klepnęła potężny biceps Nelsona.

- Chodź, mój kompanie. Postraszymy ludzi. Wrócimy, nim się obejrzą.

Kiedy wyszli, Puk odwrócił się do Leanansidhe.

- Jesteś pewna, że dadzą sobie radę? - zapytał, uśmiechając się psotnie. - Może powinienem im pomóc?

- Nie skarbie. Lepiej nie. - Królowa Wygnańców wstała w obłoku zielonego dymu. - Mieszkańce lepiej się odnajdują w Dolinie Krzemowej; nie przyciągają tak uwagi, jak zwykle magiczne stworzenia, a poza tym nie mają naszych alergii na żelazo ani stal. Tych dwoje da sobie radę. wierz mi. A teraz - Podeszła do mnie z uśmiechem. - Chodź, kochanie. Mamy przed sobą mnóstwo zajęć.

Spojrzałam na nią z niepokojem.

- Dokąd idziemy?

- Na zakupy, skarbie.

- Jak to? Teraz? A po co?

Leanansidhe prychnęła.

- Kochanie, chyba nie sądzisz, że wejdiesz do SciCorp w takim stroju? - Zmierzyła zimnym spojrzeniem moje dżinsy oraz sweter i pociągnęła nosem. - To nie wygląda na strój bizneswoman, już raczej kłozarda. Będiesz potrzebowała czegoś więcej niż szczęścia i uroku, jeśli mamy cię wprowadzić do SciCorp. Musimy cię zupełnie odmienić.

- Ale nie mamy czasu. Czy Puk nie mógłby wyczarować na mnie jakiś ubrań...?

- Skarbie, skarbie, skarbie... - Leanansidhe machnęła ręką. - Nigdy nie odmawiaj sobie okazji do zrobienia zakupów kochana! Poza tym nie słyszałaś Grimalkina? Nawet najpotężniejszy urok często rozpada się w otoczeniu stali i żelaza. Nie chcemy, żebyś wyglądała jak pracownik korporacji, chcemy, żebyś była pracownikiem korporacji. I idziemy na zakupy, bez gadania. - Posłała mi pobłażliwy uśmiech, który wcale mi się nie spodobał. - Myśl o mnie jak o dobrej wróżce, skarbie. Niech tylko wezmę swoją magiczną różdżkę.

Poszłam za Leanansidhe kolejnym długim korytarzem, który wyprowadził nas na obłany słońcem chodnik pełen przechodniów; nikt nawet nie zwrócił uwagi na nasze nagłe pojawienie się w pustej uliczce. Mimo że świeciło słońce, a na niebie nie było jednej chmurki, w powietrzu czuło się chłód, a ludzie byli ubrani w grube swetry i płaszcze, wyraźny znak, że zbliża się, a może nawet już nadeszła zima.

Gdy mijałyśmy stojak z gazetami, szybko rzuciłam okiem na datę i odetchnęłam z ulgą. Pięć miesięcy. Utknęłam w Krainie Magii na pięć miesięcy. To długo, ale znacznie mniej niż pięć lat albo pięć wieków. Przynajmniej moi rodzice jeszcze żyją.

Przez resztę popołudnia byłam ciągnana od sklepu do sklepu, w których Leanansidhe wybierała ubrania z wieszaków i wpychała mi je w objęcia, żądając, abym je przymierzała. Gdy jęknęłam na widok przerażających cen, roześmiała się i przypomniała mi, że jest dziś moją dobrą wróżką i cena nie gra roli.

Najpierw przymierzałam kostiumy: eleganckie żakiety i wąskie, sięgające kolan spódnice, w których wyglądałam pięć lat starzej, a przynajmniej tak twierdziła Leanansidhe. Przymierzyłam chyba ze dwadzieścia w różnym stylu, kolorze i zestawieniu, nim moja sponsorka ogłosiła wreszcie, że podoba jej się prosty czarny kostium, wyglądający dokładnie tak samo, jak wszystkie inne czarne kostiumy, które już mierzyłam.

- Skończyłyśmy? - rzuciłam z nadzieją, gdy Leanansidhe kazała ekspedientce spakować kostium. Elfka spojrzała na mnie ze szczerym zdziwieniem i się roześmiała.

- Och nie, skarbie. To tylko kostium. Potrzebujesz jeszcze butów, makijażu, torebki oraz paru drobiazków... nie, kochanie, dopiero zaczęłyśmy.

- Nie wiedziałam, że magiczne stworzenia lubią łączyć po sklepach i kupować. To raczej... nienaturalne?

- Mylisz się, skarbie. Robienie zakupów to tylko inna forma polowania. A wszystkie magiczne stworzenia to łowcy, nawet jeśli nie chcą się do tego przyznać. To leży w ich naturze, skarbie, i nie ma w tym nic nienaturalnego.

W jakiś dziwny sposób to miało sens.

Kolejne sklepy. Przestałam liczyć, w ilu sklepach byliśmy, ile witryn obejrzałyśmy i ile przeszukałyśmy wieszaków. Leanansidhe miała misję - z chwilą gdy wkraczała do sklepu, wszyscy sprzedawcy rzucali to, czym akurat się zajmowali, by zebrać się wokół niej, pytając, jak mogą pomóc i co podać. Byłam przy jej boku niewidzialna. Nawet gdy powiedziała, że robimy zakupy dla mnie, oni kiedy się tylko odwrócili, zapominali o moim istnieniu. Ale chcieli uszczęśliwić ją, przynosząc najlepsze buty w moim rozmiarze, pokazując oszałamiający wybór torebek, jakich nigdy bym nie użyła i proponując kolczyki, mające podkreślić kolor moich oczu. Właśnie wtedy Leanansidhe odkryła, że nie mam przekłutych uszu. Pół godziny później siedziałam z bolącymi małżowinami, a energiczny ekspedient przyciskał mi do płatków uszu watę i mówił, że opuchlizna zejdzie za dzień lub dwa.

W końcu, gdy słońce chowało się za budynkami, Królowa Zakupów zdecydowała, że skończyłyśmy. Z poczuciem ulgi usiadłam na krześle i zaczęłam wpatrywać się w głupi kod, zła, że wciąż nie mogę go rozwiązać. Patrzyłam, jak Leanansidhe rozmawia ze sprzedawczynią, która pakowała nasze zakupy. Kiedy ogłosiła sumę do zapłaty, prawie spadłam z krzesła, ale elfka uśmiechnęła się i bez mrugnienia podała jej kartę kredytową. Gdy sprzedawczyni oddawała kartę, przez moment wydawało mi się, że bardziej przypominała kawałek kory, ale Leanansidhe wrzuciła ją do torebki, nim zdążyłam się lepiej przyjrzeć.

- No dobrze! - zawołała wesoło moja sponsorka, gdy wyszłyśmy ze sklepu. - Mamy już ubranie, buty i dodatki. A teraz pora na prawdziwą zabawę.

- Co? - wydusiłam zmęczona.

- Twoje włosy, skarbie. Są... byle jakie. - Leanansidhe wyciągnęła rękę, jakby chciała przeczesać palcami moje strąki, ale nie mogła się /dobyć na to. by ich dotknąć. - I twoje paznokcie. Potrzebują pomocy. Na szczęście już za chwilę utworzy się spa.

- Spa? - Spojrzałam na rozjarzoną pomarańczową kulę ginącą za horyzontem, marząc o powrocie. - Ale jest już szósta. Czy tego typu miejsca nie zamykają się o tej porze?

- Oczywiście, skarbie. Wtedy wychodzą ludzie. Nie zadawaj takich głupich pytań. - Pokręciła głową nad moją naiwnością. - Chodź. Ben na pewno nie może się doczekać, by cię poznać.

Tego wieczoru w Salonie i Spa Matki Natury było tłoczno. Na wysypanej żwirem ścieżce do salonu minęłyśmy parę chichoczących sylfid. Drobne i delikatne, o cicho brzęczących, ostro zakończonych skrzydłach, uśmiechnęły się do nas szeroko, ukazując błyszczące jak noże zęby. Zimowa elfka, wysoka, zimna i piękna, otarła się o nas, gdy wchodziłyśmy do poczekalni, oszraniając moją skórę i mroząc płuca. Trójka roześmianych chochlików wylądowała mi we włosach, zaczęły je szarpać, aż Leanansidhe posłała im groźne spojrzenie i odleciały.

W środku panował półmrok, ściany były wyłożone naturalnym kamieniem, sprawiając, że wnętrze przypominało jaskinię. Na środku holu marmurowa fontanna, w której pływały ryby i pluskały się syreny, wypełniała salę przyjemnym dźwiękiem płynącej wody. W naturalnych donicach rosły orchidee i bambusy, a powietrze było ciepłe i wilgotne.

- Czemu tu jest tyle magicznych stworzeń? - zagadnęłam cicho, gdy przez drzwi na zaplecze wyskoczył wielki czarny pies. - Czy to miejsce dla wygnańców? Salon i spa? To trochę dziwne.

- Nie czujesz tego, skarbie? Uroku tego miejsca? - Leanansidhe nachyliła się, wskazując ściany i fontannę. - Niektóre miejsca w świecie śmiertelników są bardziej magiczne od innych, można by je nazwać gniazdami uroku. Przyciągają nas jak muchy do miodu: zarówno wygnańców czy samotników, jak i elfy z dworów. Poza tym. Kochana... - Leanansidhe wyprostowała się, pociągając nosem - Nawet nasz rodzaj lubi sobie od czasu do czasu dogodzić.

Dobrze ubrany blond satyr przywitał Leanansidhe, całując ją w oba policzki, po czym odwrócił się do mnie z oślepiającym uśmiechem.

- Ach, więc to jest księżniczka, o której tyle słyszałem. - Zaczął się nade mną rozpląwać, całując mnie w rękę. - Jest urocza Ale... - Spojrzał na Leanansidhe. - Rozumiem, co miałaś na myśli, wspominając o włosach. I paznokciach. - Wzruszył ramionami i pokiwał głową, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. - Zostaw to mnie. Za chwilę będzie wyglądała jak z obrazka.

- Czaruj, Ben. - Leanansidhe podeszła do drzwi dla personelu. - Jeśli będziesz mnie potrzebować, to będę z Miguelem. Meghan, kochanie, rób, co mówi Ben, a wszystko będzie dobrze.

Skinęła ręką na pożegnanie i zniknęła za drzwiami. Ben odwrócił się do mnie i złożył kudłate dłonie.

- No, słodziutka, masz szczęście. Resztę wieczoru mamy zarezerwowaną dla ciebie.

- Naprawdę? - mruknęłam niepewnie.

Nigdy wcześniej nie byłam w spa, a co dopiero w takim które jest prowadzone przez magiczne istoty, i nie wiedziałam, czego się spodziewać.

- Jak długo można układać włosy?

Ben wybuchnął śmiechem.

- Och, ziółko, wykończysz mnie. Chodź, mamy sporo do zrobienia.

Następnych kilka godzin pamiętam jak przez mgłę. Magiczny personel, składający się głównie z satyrów i domowojów, był niepokojąco troskliwy. Zabrali gdzieś moje ubrania i owinęli mnie w bardzo biały szlafrok. Kazano mi się położyć na plecach, po czym domowoje w białych strojach nałożyły mi mnóstwo kremu na twarz oraz plasterki ogórków na oczy i zabroniły się ruszać. Po jakiejś godzinie posadziły mnie, a uroczy satyr o imieniu Miroku namoczył mi ręce w ciepłym płynie pachnącym kakao i ziarnami kawy. Wymasował mi dłonie jakąś emulsją, po czym starannie wypolerował i pomalował paznokcie. A potem to samo zrobił z moimi stopami. Następnie zabrali mnie do fryzjera, który wymył, podciął i ułożył mi włosy - używał do tego nożyczek z brązu - gawędząc ze mną przez cały czas. Nie powiem, że cała ta uwaga i opieka nie sprawiały mi przyjemności, ale czułam się przy tym wszystkim trochę zagubiona i nie na miejscu. To nie byłam ja. Nie byłam księżniczką ani gwiazdą filmową, nikim specjalnym. Byłam biedną córką farmera z Luizjany hodującego świnie i zupełnie tu nie pasowałam.

Akurat gdy kończyli robić mi makijaż, do sali wkroczyła Królowa Wygnańców, tak zadowolona z siebie i zrelaksowana, że aż jej skóra błyszczała. Porzuciła swój ludzki urok i jej eteryczny powab wypełnił pokój, a rudozłote włosy wręcz oślepiały w sztucznym świetle.

Za nią podążał Ben, rozpląwając się w zachwytach nad jej urodą.

- Och tak, naprawdę Miguel jest wirtuozem masażu - zamruczała Leanansidhe, przeciągając się jak kotka i unosząc nad głowę bardzo szczupłe ramiona. - Gdybyś go tak nie potrzebował, mój drogi, to porwałabym go dla siebie i zabrała do domu. Taki talent trudno znaleźć, wierz mi. No proszę! - zawołała, gdy mnie zobaczyła. - Spójrz na siebie, kwiatuśku. Jesteś zupełnie inną kobietą. Prawie cię nie poznałam.

- Czyż ona nie jest śliczna? - zagadnął, uśmiechając się do mnie, Ben. - Jak ci się podoba jej fryzura? Cóż za cudowne pasemka, Patrycja wspaniale kładzie farbę.

- Jest doskonale - dodała Leanansidhe, przyglądając mi się z uśmiechem, który wprawiał mnie w zakłopotanie. - Jeśli ja jej nie rozpoznaję, to i nikt w SciCorp.

Chciałam coś powiedzieć, ale w tym momencie poprzez zapach perfum i kosmetyków przebiła się dziwna woń i zaparło mi dech. Leanansidhe i Ben zesztynieli, tak samo jak wszystkie inne magiczne

stworzenia w sali. Gdy zapach się wzmógł, kilka domowojów uciekło z przerażenia, a magiczni klienci zaczęli się kręcić i szeptać z niepokojem. Rozpoznałam go i serce zaczęło mi szybciej bić. Metal. Na terenie był jakiś żelazny stwór.

I wtedy wszedł do salonu.

Poczułam ucisk w brzuchu; niektórzy z klientów jęknęli. Żelazny elf ubrany był w jasnoszary garnitur z górnej półki. Krótkie czarne włosy nie zakrywały długich spiczastych uszu, ani słuchawki Bluetooth przy szczęce. Miał zieloną jak płytka obwodu drukowanego skórę, błyszczącą od setek mrugających światełek, drucików i układów scalonych. Za grubymi drucianymi oprawkami okularów oczy połyskiwały mu zielono, niebiesko i czerwono.

Ben jakby od niechcenia przesunął się i zasłonił mnie przed wzrokiem żelaznego przybysza. Ja zamarłam i starałam się być jak najmniej widoczna.

- No? - Rozległ się kpiący głos żelaznego elfa. - Nikt mnie nie zaprosi? Nie da mi ulotki? Nie opowie o zabiegach? Jak na tak znaną firmę, to obsługę klienta macie średnią.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. A potem jeden z satyrów, drżący ze strachu i wściekłości, wystąpił naprzód.

- Nie obsługujemy tu twojego rodzaju.

- Doprawdy? - Elf przyłożył rękę do piersi, udając zdziwienie. - Och, muszę powiedzieć, że jestem lekko zażenowany Biorąc pod uwagę, że mógłbym was wszystkich zabić jednym palcem, wasza nieuprzejmość jest raczej nie na miejscu

Królowa Wygnańców wystąpiła naprzód, a jej włosy zwiły się za nią jak węże.

- Czego chcesz, obrzydliwcu?

- Leanansidhe... - Żelazny elf się uśmiechnął. - Ty jesteś Leanansidhe, prawda? Słyszeliśmy o tobie i o tej twojej siatce szpiegów. Podobno wiesz, gdzie znajduje się córka Oberona letnia księżniczka?

- Wiem całkiem sporo - odezwała się kompletnie znudzonym tonem Leanansidhe. - Zbieranie informacji to moja osobista sprawa, dla mojej własnej przyjemności i bezpieczeństwa. Nie mam zwyczaju się w nic mieszać. Ani rozmawiać z żelaznymi obrzydlistwami. Jeśli to wszystko, sugeruję, żebyś sobie poszedł.

- Och, zaraz sobie pójdę. - Żelazny elf nie zdradzał żadnych oznak zażenowania. - Ale mój szef ma dla ciebie wiadomość, propozycję. Powiedz nam, gdzie przebywa córka Oberona, a gdy zdobędziemy krainę Nigdynigdy, wszystkie twoje przewiny zostaną zapomniane. Wrócisz do domu. Nie chciałabyś wrócić do domu, Leanansidhe?

Podniósł głos, zwracając się do reszty zebranych: - To dotyczy wszystkich mieszkańców i wygnańców, bez względu na czystość krwi. Pomóżcie nam odnaleźć letnią księżniczkę, a zapewnicie sobie miejsce w Nigdynigdy. Żelazny Król z chęcią przyjmie wszystkich, którzy chcą mu służyć.

Zamilkł, czekając, by ktoś się zgłosił. Nikt nie drgnął. Pewnie dlatego, że stojąca pośrodku sali Leanansidhe wysyłała naprawdę niepokojące sygnały, a od jej mocy aż przygasały lampy. Doskonale, bo dzięki temu wszyscy patrzyli na nią, a nie na mnie.

Żelazny elf poczekał jeszcze chwilę, a gdy nikt nie odważył się rozgniewać Królowej Wygnańców, cofnął się z uśmiechem.

- No cóż. Jeśli któreś z was zmieni zdanie, wystarczy, że zawołacie. Jesteśmy wszędzie. A w końcu i tak po was przyjdziemy.

Okręcił się na pięcie i wyszedł, a jego kroki zastukały na posadzce. Wszyscy go obserwowali.

Leanansidhe wpatrywała się wściekle w drzwi, dopóki nie zniknęły ostatnie ślady żelaza, po czym odwróciła się do mnie.

- Koniec zabawy, skarbie. Idziemy. Ben, jesteś cudowny i jestem bardzo wdzięczna za twoją dzisiejszą pomoc, ale naprawdę musimy lecieć.

- Jasne, kochanie. - Satyr pomachał do nas. - Przyrowadź tę ślicznotkę niedługo, dobrze? I powodzenia w akcji!

Gdy wróciliśmy do pałacu, Puk i Żelazny Koń omawiali strategię działania z Kimi i Nelsonem, którzy powrócili ze swojej misji. Nachyleni nad bibliotecznym stolikiem dyskutowali cicho. Gdy weszliśmy w towarzystwie kilku czerwonych kapturków niosących nasze zakupy, wyprostowali się

szybko i aż wybałuszyli na mnie ze zdumienia. Nawet jarzące się oczy Żelaznego Konia zrobiły się wielkie i okrągłe.

- Ojej, Meghan! - Kimi zaczęła podskakiwać, klaszcząc z zapalem. - Świetnie wyglądasz! Cudownie zrobili ci włosy

- Księżniczko... - Żelazny Koń zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i pokiwał z aprobatą głową.
- Naprawdę wyglądasz prześlicznie!

Zerknęłam na Puka, który wpatrywał się we mnie zauroczony.

- Ehm... - wyjąkał. Nie do wiary, udało mi się doprowadzić do tego, by Koleżka zaniemówił! - Wyglądasz... ładnie - wydusił w końcu.

Zarumieniłam się nagle zażenowana.

- Moi drodzy... - Leanansidhe zaklaskała, skupiając uwagę z powrotem na sobie. - Jeśli mamy odzyskać berło, to trzeba działać szybko. Hej, dzieciaki. - Pstryknęła palcami na Kimi i Nelsona. - Zdobyliście to, po co was posłałam?

Kimi skinęła głową do Nelsona, a ten pogrzebał w kieszeni i wyciągnął plastikową kartę identyfikacyjną. Z prawego rogu spozierała blond kobieta w okularach, z ustami w ciup, tak jakby chciała wzrokiem zabić aparat. Nelson rzucił identyfikator Leanansidhe, a ta przyjrzała się jej z niesmakiem.

- Rosalyn Smith. Trochę stara, ale musi wystarczyć A więc... - Odwróciła się do nas. - Jutro nasz wielki dzień skarby. Nie siedźcie długo. Rano spotkamy się w holu. Meghan. kochanie, naprawdę musisz odszyfrować ten kod do jutrzejszego poranka. Akcja „Berło” rozpoczyna się o świcie. No to pa!
- Skinęła teatralnie i zniknęła w obłoku brokatu.

Tamtej nocy byłam zbyt zdenerwowana, by spać. Leżałam w łóżku z Grimalkinem śpiącym u boku na poduszce i próbowałam rozszyfrować kod, ale tak naprawdę wpatrywałam się tylko w cyfry, aż oczy mi zaszyły mgłą. Wciąż wyobrażałam sobie wszystko, co podczas misji mogło pójść nie tak. a była to raczej długa lista. Za kilka godzin mieliśmy się wkraść do SciCorp, używając identyfikatora jakiejś kobiety, zwinąć berło i zwiąć, nim ktokolwiek zorientuje się, że tam weszliśmy. Zupełnie jakby to było takie proste jak spacer po plaży. Jakby nie pilnowano berta dzień i noc.

Rozległo się pukanie do drzwi i Puk zajrzał do mojej sypialni

- Cześć, księżniczko. Pomyślałem, że pewnie byś coś przekąsiła. Mogę wejść?

Skinęłam głową, a on wszedł z talerzem pełnym kanapek i cząstek jabłka.

- Masz. - Położył talerz na łóżku. - Powinnaś coś zjeść. Chciałem zrobić coś lepszego, ale kucharka pogoniła mnie wałkiem. Chyba za mną nie przepada. - Zachichotał, wyciągnął się na łóżku i sięgnął po kawałek jabłka.

- Doceniam to - wymamrotałam, biorąc kanapkę. Ser i... więcej sera. No cóż, lepsze to niż nic. - Gdzie Żelazny Koń?

- Omawia plany z dziećmiakami - odparł Puk, pakując sobie do ust ćwiartkę jabłka. - Powinnaś ich posłuchać, zachowują się tak, jakby grali w filmie o Bondzie.

Zauważył, że bawię się rogiem kartki, i się wyprostował.

- Jak ci idzie, księżniczko?

Zgniotłam kartkę w kulkę i rzuciłam przez pokój. Robbie zamrugwał.

- Niech zgadnę: nie najlepiej?

- Nie mogę tego rozgryźć. - Westchnęłam i potarłam oczy. - Próbowałam już wszystkiego, by znaleźć w tym jakiś sens: dodawania, mnożenia, dzielenia... i nic. A jeśli nie rozszyfruję tego kodu, to nie dostaniemy się na odpowiednie piętro, a to oznacza, że nie odzyskamy berła, co z kolei oznacza, że wszyscy zginą, przeze mnie!

- Hej... - Puk usiadł i mnie objął. - Spokojnie. Przecież to nic takiego, księżniczko. To dla ciebie bułka z masłem. W końcu to ty pokonałaś Żelaznego Króla. Weszłaś w sam środek jego terytorium i skopałaś mu zadek. To niczym się od tamtego nie różni.

- A właśnie, że tak! - odłożyłam kanapkę i spojrzałam na niego. - Kompletnie! Puk, kiedy zmierzyłam się z Machiną, zrobiłam to po to, żeby uratować Ethana, tylko Ethana. Nie mówię, że nie był ważny; bez mrugnięcia oddałabym za niego życie. Ale to była tylko jedna osoba.

Zamknęłam oczy, wtuliłam się w pierś Puka i przez sekund wśluchiwałam się w bicie jego serca.

- Jeśli zawalę sprawę... - wymamrotałam. - Jeśli nie odzyskam berła, to wszyscy zginą. Nie tylko ty, Żelazny Koń i reszta, ale wszyscy. Magiczna kraina zniknie. Nie będzie Lata, Zimy, niczego. Zostaną tylko żelazne stworzenia. Rozumiesz już, skąd u mnie ta nerwowość?

Nie wspomniałam, że chciałabym, aby był tu ze mną Ash To właśnie głównie z jego powodu w Żelaznym Królestwie byłam dzielna. Tęskniłam za nim, za jego niezachwianym zdecydowaniem, cichą pewnością siebie.

Puk przesunął się tak, że siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Uniósł mój podbródek, by mi się przyjrzeć. Spojrzałam w jego oczy i ujrzałam w tym szmaragdowym spojrzeniu setki kłębiących się emocji.

- Jestem z tobą - wyszeptał, głaszcząc mnie po włosach. - Nie zapominaj o tym. Bez względu na to, co się stanie, ochronię cię.

Nachylił się i oparł swoje czoło o moje. Jego oddech pachniał jabłkami, ujrzałam swoje odbicie w jego oczach.

- Nie opuszczę cię bez względu na to, co się stanie, możesz być tego pewna.

Krew dudniła mi w uszach. Wiedziałam, że stoję na brzegu wielkiej przepaści i patrzę w dół. Wiedziałam, że powinnam się odsunąć, że jeśli tak zostaną, przekroczymy granicę i nie będziemy się mogli już cofnąć. I po prostu zamknęłam oczy. A Puk mnie pocałował.

Z początku był niepewny, delikatnie musnął wargami moje wargi, pozwalając, bym się odsunęła. Ale ja przywarłam do niego ustami, a on wsunął mi rękę we włosy i pogłębił pocałunek. Objęłam go za szyję i przyciągnęłam do siebie, chcąc zapomnieć o wszystkim, co się działo, poddać się uczuciom. Może teraz ta pustka, ból i samotność na jakiś czas znikną. Puk zrzucił talerz na podłogę, wyciągnął się na łóżku i pociągnął mnie za sobą, a jego usta znalazły się na mojej szyi, rozpalając skórę.

- Jeśli zamierzacie to robić, czy moglibyście się za bardzo nie kręcić na łóżku? - odezwał się sarkastyczny głos z okolic zagłówek - Może byście się tak turlali po podłodze?

Zawstydzona spojrzałam w górę. Grimalkin leżał na poduszce i mierzył nas zniesmaczonym spojrzeniem spod wpół przymkniętych powiek. Puk podążył za moim wzrokiem i roześmiał się głośno.

- Mówiłem już kiedyś, jak ja nie cierpię kotów?

- Mnie się nie czepiaj, Koleżko. - Kot zamrugał. Jakimś cudem udało mu się nadać swojej wypowiedzi ton zarazem znudzony i oburzony. - Siedziałem tu sobie na długo przedtem, zanim zaczęliście się z księżniczką gzić jak króliki.

Robbie prychnął. Przekręcił się na brzuch, odepchnął od materaca i wstał, pociągając mnie za sobą i obejmując. Twarz mi płonęła, ale nie wiedziałam, czy z powodu nieodpowiednich komentarzy Grimalkina, czy też od czegoś innego.

- Lepiej już pójde. - Puk westchnął i stwierdził z niechęcią: - Obiecałem Żelaznemu Koniowi, że przejrzę plany, które Kimi udało się skądś zwinąć.

Spojrzał na rozrzucone po podłodze jedzenie, leżące wszędzie kawałki jabłka i kanapek i uśmiechnął się zmieszany.

- Ehm... przepraszam za bałagan, księżniczko. I nie przejmuj się kodem, coś wymyślimy. Lepiej się prześpij, dobrze? Będziemy tuż obok.

Nachylił się, jakby chciał mnie pocałować, ale nie mogłam się zdobyć na to, żeby spojrzeć mu w oczy, i odwróciłam głowę. Zamarł, a potem cmoknął mnie w czoło i wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi.

Padłam na łóżko i ukryłam twarz w poduszce. Co ja narobiłam? Pocałowałam Robbiego bo akurat tu był. Bo się bałam i tęskniłam za kimś innym. Puk mnie kochał, a ja go pocałowałam z zupełnie nieodpowiednich powodów. Pocałowałam go, myśląc o Ashu. I... mi się podobało.

Zaczęło mnie gryźć poczucie winy. Tęskniłam za Ashem tak, że aż bolało, ale chciałam też, aby Puk tu wrócił i znów mnie pocałował.

- Ależ jestem pokręcona - wyszeptałam, padając na łóżko. Pęknięcia w suficie uśmiechnęły się do mnie szyderczo. - Co ja mam zrobić? - jęknęłam.

- Najlepiej rozpaczać w ciszy, żebyś mógł zasnąć - odezwał się Grimalkin, nie otwierając oczu. Wyciągnął pazury, ziewnął i wtulił się głębiej w poduszkę. - Mogłabyś ewentualnie skupić się na rozszyfrowywaniu kodu, żebyśmy mogli odzyskać berło. Naprawdę nie chciałabym robić tego wszystkiego na darmo.

Rzuciłam mu wściekle spojrzenie, ale miał rację. No i może dzięki temu przestanę rozmyślać o Puku.

- No wiesz, to nie jest tak, że zdradzam Asha - stwierdziłam, sięgając po kulkę z papieru i siadając z powrotem na łóżku. - To on mnie rzucił i kazał mi o sobie zapomnieć. Z nami koniec. Tak właściwie to nawet nie jestem pewna, czy było między nami cokolwiek.

Grimalkin nie odpowiedział. Wpatrzyłam się w kod i znów westchnęłam ciężko, bo cyfry zaczęły mi się mienić przed oczami.

- Nigdy tego nie rozgryzę, Grim - wymamrotałam. - To beznadziejne. Do tego potrzeba jakiegoś geniusza matematycznego.

Kocur machnął ogonem i przekręcił się plecami do mnie.

- Spróbuj na to popatrzeć jak na zagadkę, a nie równanie matematyczne - wymruczał. - Może za bardzo próbujesz znaleźć w tym jakiś wzór. Żelazne stworzenia są jednak stworzeniami magicznymi, a zagadki mamy we krwi.

Zagadka, tak? Spojrzałam znów na kartkę i zmarszczyłam brwi. Nadal nie mogłam nic wymyślić, bez względu na to, jak na to patrzyłam.

3

13

1113

3113

132113

1...

- Grim, ja nie...

- Przeczytaj to na głos człowieku - odezwał się kot zirytowanym, ale i zrezygnowanym tonem, zupełnie jakby wiedział, że nie ma co liczyć na spanie, dopóki mi nie pomoże. - Jeśli już musisz hałasować, to przynajmniej spróbuj się na coś przydać.

- Dobrze - wymamrotałam. - Ale to nic nie da.

Grim nie odpowiedział, więc zaczęłam czytać po kolei.

- Trzy. Jeden-trzy. Jeden-jeden-jeden-trzy. Trzy-jeden-jeden-trzy - zamilkłam, marszcząc brwi. Czytane na głos brzmiało to jakoś inaczej. Jeszcze raz spróbowałam z trzecią liniijką:

- Jeden, jeden-trzy.

Jeden 1, jeden 3.

Zamrugałam. To naprawdę takie proste? Przeczytałam pozostałe linijki, tak dla pewności, i aż dech mi zaparło, kiedy wszystko stało się jasne.

- Ja... chyba mam. Tak myślę. Poczekaj chwilę. - Przeczytałam wszystko jeszcze raz. - Tak, zgadza się! To nie jest tylko zagadka liczbowa, ale też językowa! Miałaś rację, Grim! Spójrz!

Podetknęłam kartkę pod nos Grimalkinowi, który wciąż mnie ignorował, ale mimo to mówiłam dalej:

- Każdy wiersz opisuje wiersz poprzedni. Pierwsza cyfra to 3, więc w drugim wierszu jest jedno 3. Następna to jedno 1 jedno 3 i tak dalej. Jeśli więc to prawda, ostatni wiersz i zarazem rozwiązanie kodu będzie... - przeliczyłam w myślach cyfry 1-1-1-3-1-2-2-1-1-3.

Rozpierały mnie duma i podniecenie. Czułam, że mam rację, i nie mogłam pohamować uśmiechu zadowolenia.

- Rozszyfrowałam to, Grim! Jednak odzyskamy berło.

Kot nie odpowiedział. Miał zamknięte oczy i nie wiedziałam, czy śpi. czy tylko udaje. Pomyślałam, że mogłabym podzielić się moim zwycięstwem z Pukiem i Żelaznym Koniem, ale po chwili zastanowienia uznałam, że chyba nie chcę się jeszcze spotykać z Pukiem. Leżałam więc w łóżku, słuchając jak domowe kręcą się, sprząając resztki jabłek, a w myślach odtwarzałam raz za razem pocałunek Puka, aż wspomnienie to wryło mi się w mózg. Na zmianę ogarniały mnie poczucie winy i podniecenie. W jednej chwili byłam gotowa ściągnąć tu Puka i dokończyć to, co zaczęliśmy, a w następnej tak tęskniłam za Ashem, że aż mnie serce bolało. Nie zmrużyłam oka, byłam zbyt nakręcona, by zasnąć, aż w pewnym momencie do pokoju wsunął głowę domowej, mówiąc, że już świta i że Leanansidhe mnie oczekuje.

15. Akcja „Berło”.

Wpatrywała się we mnie znad okularów w złotych oprawkach, kobieta o ustach ściągniętych w pogardliwy ciup. Miała na sobie czarny opięty kostium, a włosy spięła w ciasny, ale elegancki kok, który nadawał jej srogi wygląd. Idealny makijaż i wysokie czarne szpilki sprawiały, że wydawała się wyższa i jeszcze bardziej onieśmiałająca.

- Jak ci się podoba, skarbie? - odezwała się z zadowoleniem Leanansidhe. - Okulary wydają się lekką przesadą, ale nie możemy dziś ryzykować.

Pokazałam kobiecie język, a ona zrobiła to samo w lustrzanym odbiciu.

- Jest idealnie - przyznałam zadziwiona. - Sama siebie nie poznaję. Wyglądam jak jakaś prawniczka czy coś.

- Oby to wystarczyło, żebyś dostała się dziś do SciCorp - wyszeptała Leanansidhe, a mnie nagle ogarnął lęk, który przez cały ranek udawało mi się jakoś trzymać na wodzy. Przełknęłam z trudem, hamując mdłości i żalując, że zjadłam to pudełko posypanych cukrem pudrem pączków, które Kimi przyniosła na śniadanie. Wymiotowanie na moje wytworne buty raczej nie wyglądałoby zbyt profesjonalnie.

Gdy weszliśmy z Leanansidhe do holu, ja - chybocząc się na szpilkach. Puk, Kimi, Nelson i Żelazny Koń stali skupieni nad planami. Grimalkin drzemał na fortepianie, zamiatając ogonem klawisze i mając nas wszystkich w nosie. Zauważyłam, że Leanansidhe rzuciła na niego okiem i skrzywiła się, jakby wyobrażała sobie ślady pazurów na wypolerowanym drewnie.

Puk spojrzął na mnie i się uśmiechnął. Wyciągnął dłoń, a ja podreptałam do niego i przytrzymałam się jej. Bolały mnie palce, więc oparłam się o niego, próbując przenieść ciężar ciała ze stóp. Jak kobietom udaje się chodzić w tym czymś całe dni i nie połamać sobie nóg?

- Chyba nieźle ci idzie? - wyszeptał mi do ucha Puk

- Przymknij się. - Dałam mu kuksańca. - Wciąż się uczę, jasne? To jak chodzenie na wykałaczkach.

Zaśmiał się złośliwie, a ja skupiłam uwagę na rozłożone przed nimi mapie.

- Co to?

- Plan - odpowiedziała Kimi, stając na palcach, by móc mu się przyjrzeć. - Tu jest wejście do SciCorp - mówiła dalej półopolda. wskazując niewyraźną linię u dołu kartki.

Mimo że wyęczałam wzrok, nie byłam w stanie jej dostrzec wśród setek innych linii na planie.

- Według Warrena - Kimi wskazała kolejną linię - tu przetrzymywane jest berło, pomiędzy piętrem dwudziestym dziewiątym a trzydziestym.

- Wciąż nie rozumiem, jak to możliwe - wymamrotałam - Jak w budynku może być piętro pomiędzy piętremi?

- Tak samo, jak ja mogę mieć pałac pomiędzy światem śmiertelników a krainą Nigdynigdy, skarbie - skwitowała Leanansidhe, przyglądając się Grimalkinowi tak, jakby naprawdę chciała go spędzić z fortepianu. - Żelazne stwory mają swój okropny urok, tak samo, jak my nasz. My zamieniamy w króliki, a one zjadają konta bankowe. Grim, kochanie, czy naprawdę musisz tam spać?

- Ty, Puk i Żelazny Koń wejdziecie tędy - kontynuowała Kimi, pukając palcem w dolną część planu.

- Za drzwiami będzie stanowisko ochrony, gdzie sprawdzą twój identyfikator. Puk i Żelazny Koń będą niewidzialni dla śmiertelników, więc o nich nie musimy się martwić.

- A co, jeśli na parterze będą żelazne stworzenia? - chciał wiedzieć Puk.

- Nie będą - Kimi rzuciła na niego okiem. - Sprawdziliśmy to z Nelsonem. Jeśli żelazne stworzenia wchodzi do budynku, nie używają frontowych drzwi.

To nie brzmiało dobrze, zupełnie jakby żelazne stwory miały jakieś ukryte drzwi lub ścieżki, o których nie wiedzieliśmy, ale na razie nic nie mogliśmy na to poradzić.

- Gdy miniecie ochronę, idźcie do wind. - Kimi wskazała nam drogę, spoglądając na nas ponuro. - I tu sprawy się komplikują. Nie wiem, jak macie się dostać na piętro dwadzieścia dziewięć i pół. Może będzie jakiś guzik, który zobaczyć mogą tylko ci, którzy widzą, albo jest jakieś hasło, a może trzeba wystukać jakąś kombinację cyfr. Nie mam pojęcia. Możecie oczywiście iść schodami, są tutaj, ale to by oznaczało wspinanie się na trzydzieści kondygnacji i nie ma żadnej gwarancji, że znajdziecie tam wejście na piętro dwadzieścia dziewięć i pół.

- Będziemy się tym martwić później. - Puk machnął ręką. - A co z piętnem, na którym jest berło? Czego się spodziewać?

- Chwileczkę. - Położyłam mu dłoń na piersi. - Zapowiada się strasznie ryzykownie. Nie wiemy nawet, czy uda nam się dostać na dwudzieste dziewiąte piętro? I to się nazywa dobre planowanie?

- Dwudzieste dziewiąte i pół - poprawił mnie Puk. - I nie jest. W sensie: nie jest dobre. Spójrz jednak na to w ten sposób... - Wyszczrzył zęby. - Albo idziemy, licząc, że coś się wykombinuje, albo rezygnujemy z całej zabawy. Nie mamy specjalnego wyboru, księżniczko. Ale się nie martw. - Objął mnie ramieniem i przycisnął. - Nie potrzebujesz planu. Masz ze sobą Puka, pamiętasz? Jestem w tym mistrzem. Nigdy nie potrzebowałem specjalnych planów, żeby czegoś dokonać.

Od strony pianina dobiegł nas brzdęk, bo Leanansidhe zdołała wreszcie przekonać Grimalkina, by położył się gdzie indziej. Obrażony kocur zsunął się ze swojego miejsca i wylądował całym ciężarem ciała na klawiszach, a potem zeskoczył na ławkę.

- Nie martw się, człowieku - westchnął kot i się otrząsnął. - Ja też z wami idę. Biorąc pod uwagę doskonałą strategię Koleżki, ktoś będzie musiał dopilnować, byście weszli w odpowiednie drzwi.

- Phi - prychnął Puk i zmierzył go nieprzychylnym spojrzeniem. - Jakże uczynnie z twojej strony, kocie. Co z tego będziesz miał?

- Obmyśliśmy coś z Grimalkinem. nie przejmuj się. - Leanansidhe obrzuciła wzrokiem plan i machnęła na niego ręką. Pamiętajcie, moi drodzy, że gdy dotrzecie na piętro, na którym przechowywane jest berło, musicie być gotowi na wszystko. Robin, do ciebie i tego żelaznego czegoś będzie należała ochrona księżniczki. Jestem przekonana, że nie zostawili berła byle gdzie, żeby każdy mógł je sobie wziąć. Najprawdopodobniej będą tam jacyś strażnicy, alarmy albo inne paskudztwa.

- Będę chronił księżniczkę, oddam za nią życie! - zadudnił Żelazny Koń tak głośno, że aż Puk się skrzywił, a Kimi położyła uszy po sobie. - Przysięgam, że dopóki żyję i mogę się ruszać, nie stanie się jej żadna krzywda! Odzyskamy berło albo zginiemy w boju!

- Osobiście wolałbym nie przerabiać tej części z ginięciem - dodał Puk.

Już miałam mu przytaknąć, gdy w holu zrobiło się jakieś zamieszanie, a chwilę później do pokoju wpadł jakiś człowiek. To był Charles, szalony pianista. Wyglądał na jeszcze bardziej szalonego i przerażonego niż kiedykolwiek, bardziej nawet niż wtedy, gdy zaatakowały nas czerwone kapturki. Spojrzał na mnie udręczonymi oczami i rzucił się w moją stronę, ale zatrzymał go Żelazny Koń, który stanął między nami i parsknął ostrzegawczo.

- Ona... ona odchodzi? - Muzyk zdawał się strasznie przybity, wykręcał ręce i przygryzał dolną wargę. - Nie, nie, nie. Nie może znów odejść. Nie może zniknąć. Zostań.

- Charles... - Głos Leanansidhe przyprawił powietrze o drżenie, a biedny mężczyzna posłał jej przerażone spojrzenie. - Co ty tu robisz? Wróć do swojego pokoju.

- Nie denerwuj się. Charlesie - dodałam szybko, bo wyglądało na to, że zaraz się rozplacze. - Nie odchodzę na zawsze. Wróć, nic się nie bój.

Przestał wykręcać ręce, wyprostował się i spojrzał na mnie poważnie. Wtedy na chwilę z jego oczu zniknęło szaleństwo i zobaczyłam, jaki musiał być... przedtem. Młody Wysoki przystojny, ze zmarszczkami od śmiechu wokół ust Miła. ale znużona twarz, jakoś mi znajoma.

- Wrócisz? - wyszeptał. - Obiecujesz?

Skinęłam głową.

- Obiecuję.

A potem Leanansidhe zaklaskała ostro, aż podskoczyliśmy

- Charles, skarbie - odezwała się, a w jej głosie usłyszałam lekki niepokój, a może tylko mi się tak zdawało. - Słyszałaś dziewczynę. Wróci. A teraz może znajdziesz drugiego Charlesa i wybieriecie, co nam wieczorem zagracie? No już, biegnij. Myk-myk. - Machnęła ręką. Pianista spojrzał na mnie po raz ostatni, a potem wyszedł z pokoju.

Zmarszczyłam brwi.

- Drugi Charles? To jest ich więcej?

- Wszystkich tak nazywam, skarbie. - Leanansidhe wzruszyła ramionami. - Mam okropną pamięć do imion, jak już pewnie zauważyłaś, a wszyscy ludzcy mężczyźni wyglądają dla mnie tak samo. No i na wszystkich mówię Charles, dla ułatwienia.

Grimalkin westchnął i zeskoczył z ławki.

- Tracimy czas - oświadczył, mijając nas z wysoko uniesionym puszystym ogonem. - Jeśli mamy bawić się w ten cyrk, to pora ruszać.

- Powodzenia, moi drodzy! - krzyknęła za nami Leanansidhe, gdy ruszyliśmy za Grimem. - Po powrocie musicie mi wszystko opowiedzieć. Meghan, kochanie, nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła.

Kimi i Nelson wyprowadzili nas do świata śmiertelników. Przeszliśmy przez kilka pokoi, w których magiczne stworzenia i ludzie przyglądali się naszemu przemarszowi, wyłożonym czerwonym dywanem korytarzem, a potem długą krętą klatką schodową, która kończyła się klapą w suficie. Klapa miała dziwny kształt, była okrągła, szara i wyglądała na ciężką. Przyjrzałam się jej bliżej i uświadomiłam sobie, że to pokrywa studzienki kanalizacyjnej. Gdy Nelson ją podniósł, przez szparę wpadł promień słońca, a mój nos zaatakowały zapachy asfaltu, smoły i spalin. Rozglądał się wokół, czekając, aż w pobliżu nikogo nie będzie, a Kimi odwróciła się do mnie.

- Niestety tu musimy was zostawić. - Mała półopolda wydawała się zawiedziona, gdy oddawała mi identyfikator.

- Nie idziecie z nami?

Posłała mi przepaszający uśmiech i skinęła głową w stronę Puka i Żelaznego Konia.

- Nie, masz swoich rycerzy. Tych dwóch jest czystej krwi. Będą niewidzialni dla ludzi tylko dlatego, że są magiczni. Nelson i ja nie potrafimy tak dobrze używać uroku, a ty wyglądałabyś dziwnie w towarzystwie dwóch uliczników. Ale się nie martw. Jesteśmy bardzo blisko SciCorp. Możecie stąd wziąć taksówkę. Masz. - Wręczyła mi kartkę, na której nabazgrano coś zielonym atramentem. - To wasz adres. Ścieżka powrotna jest na skrzyżowaniu Czternastej z Maple, druga studzienka od lewej. Zapamiętasz?

Skinęłam głową, a żołądek ścisnął mi się z niepokoju.

- Jasne.

- Pusto - mruknął Nelson i odsunął pokrywę. Puk wygrzebał się na powierzchnię, a potem pomógł mi wyjść. Zaczęłam się rozglądać po okolicy, a z wjazdu wychodzili Żelazny Koń i Grimalkin. Nagle ostro zatrąbił klakson i kilka kroków ode mnie zatrzymał się z piskiem ogniście czerwony mustang.

- Jak leziesz, wariatko?! - wykrzyknął przez okno kierowca, a ja szybko umknęłam na chodnik.

W końcu odjechał z piskiem opon, nie wiedząc, że potężny żelazny stwór zamachnął się i prawie trafił w dach jego samochodu.

- I tak przejechałeś na czerwonym, idioto! - wrzasnęłam za nim, a Puk i Żelazny Koń dołączyli do mnie na chodniku.

Gapili się na mnie ludzie, kręcąc głowami albo śmiejąc się pod nosem. Skrzywiłam się, próbując opanować oddech. Nie śmieliby się tak, gdyby mogli zobaczyć Żelaznego Konia, który stał nade mną jak ochroniarz i patrzył groźnie na każdego, kto za bardzo się zbliżył.

- Nic ci nie jest? - Zaniepokojony Puk stał tak blisko, że czułam jego oddech na policzku.

Skinęłam głową, a on pocałował mnie w czubek głowy, przyprawiając mnie tym o szybsze bicie serca.

- Nie strasz mnie tak, księżniczko.

- No, to było zabawne. - Grimalkin wskoczył lekko na chodnik, prężąc się wyniosłe. - Czy teraz możemy wreszcie iść? Człowieku, wiesz, dokąd idziemy, prawda?

Spojrzałam na kartkę, którą wciąż ścisnęłam w rękę. Trzęsa się trochę.

- Nie macie nic przeciwko temu, żebyśmy pojechali taksówką?

Puk się skrzywił.

- Niech pomyślę, każdy inny na moim miejscu miałby pewnie jakieś zastrzeżenia co do jechania w wielkim metalowym pudle, ale ja już się z tym pogodziłem. - Uśmiechnął się kpiąco. - Te wszystkie lata jeżdżenia z tobą autobusem były niezłym ćwiczeniem. Ale mimo wszystko otwórz okna, księżniczko.

Znaleźliśmy budkę telefoniczną i zadzwoniłam po taksówkę. Dziesięć minut później zatrzymał się przed nami żółty samochód, prowadzony przez brodatego mężczyznę żującego grube cygaro. Taksówkarz wciąż rzucał na mnie okiem we wstecznym lusterku i uśmiechał się, nieświadom tego, że obok mnie są dwa magiczne stworzenia, jedno łypiące wściekle, a drugie z głową wystawioną za okno. Gnaliśmy ulicami, a ja siedziałam zgnieciona pomiędzy Pukiem a Żelaznym Koniem, z Grimem

na kolanach i obydwojoma oknami otwartymi na oścież. Dym z cygara kierowcy gryzł mnie w nos i wyciskał mi łzy z oczu. Puk pozieleniał na twarzy.

W końcu zatrzymaliśmy się przed błyszczącą wieżą. Słońce odbijało się w ciągnących się w nieskończoność szklanych ścianach. Zapłaciłam za kurs i wysiedliśmy z samochodu. Kiedy tylko odjechał, Puk zaczął kaszleć. Był blady i spocony, a mnie serce się ścisnęło, gdy przypomniałam sobie Asha na pustkowiach Żelaznego Królestwa. Żelazny Koń przyglądał mu się z zaciekawieniem, jakby był zafascynowany tym dziwnym stanem, a Grimalkin usiadł i zabrał się do mycia ogona.

- Uff, to nie było przyjemne - wyszeptał Puk, gdy wreszcie opanował atak kaszlu. Splunął na chodnik i otarł usta wierzchem dłoni. - Nie wiem, co było gorsze, ta taksówka czy smród cygara.

- Dobrze się czujesz? - Posłałam mu zaniepokojone spojrzenie, ale tylko się uśmiechnął.

- W życiu nie czułam się lepiej, księżniczko. A więc jesteśmy na miejscu. - Zadał głowę, by przyjrzeć się potężnym biurowcom SciCorp. Oczy zaślniły mu psotnie. - Biermy się do roboty.

Moje serce zachowywało się jak trzeba, aż dotarliśmy pod duże szklane drzwi. Gdy je minęliśmy, zaczęło walić jak oszalałe.

- O rany - wyszeptałam, gapiąc się na olbrzymie foyer Wysokie na osiem czy dziesięć pięter sklepienie ozdobione metalicznymi wzorami i drutami skrzyło się w słońcu. Mijali nas szybkim krokiem ludzie w drogich garniturach, a modne buty stukwały po surowej szarej podłodze. We wszystkich kątach wisiały kamery, a uzbrojeni strażnicy stali przy obrotowej bramce bezpieczeństwa. Aż cała zeszywniałam z przerażenia.

- Spokojnie, księżniczko. - Puk położył mi ręce na ramionach, gdy tak stałam, rozglądając się jak skończona idiotka. - Dasz radę. Trzymaj głowę wysoko, plecy wyprostowane i nie zaszkodzi, jeśli będziesz ludzi mrozić wzrokiem.

Ścisnął moje ramiona i nachylił się, aż poczułam jego oddech na uchu.

- Jesteśmy tuż za tobą.

Pokręciłam nerwowo głową. Puk jeszcze raz dodał mi otuchy uściskiem i mnie puścił.

Podniosłam podbródek, wzięłam głęboki oddech, wyprostowałam się i pomaszerowałam do biurka ochrony.

Ochroniarz w szaroniebieskim mundurze rzucił na mnie od niechcenia okiem, wyglądał dokładnie tak, jak ja na lekcjach matmy: oczy bez wyrazu i znudzona mina. Mężczyzna przede mną rzucił krótkie: „Cześć, Ed”, po czym przeciągnął przez skaner swój identyfikator. Czerwone światelko przełączyło się na zielone i facet przeszedł przez bramkę.

Teraz moja kolej. Przybrałam, jak mi się zdawało, władcą teinę i powoli ruszyłam do bramki.

- Dzień dobry, Edwardzie - odezwałam się i przesunęłam identyfikator Rosalyn Smith pod błyskającym czerwonym światłem. Strażnik skinął głową i posłał mi grzeczny uśmiech, nawet na mnie nie patrząc. Ha, pomyślałam triumfalnie. To było łatwe. Jesteśmy w domu.

A potem skaner zaczął piszczeć ostrzegawczo, a mnie serce zamarło. Ed wstał, marszcząc brwi.

- Przepraszam panią - mruknął, a mnie oblał zimny pot. - Ale muszę obejrzeć pani identyfikator.

Puk, Grim i Żelazny Koń, którzy już przeszli przez bramkę, odwrócili się z niepokojem. Przełknęłam z trudem, rozważając, czy nadeszła już pora, by porzucić plan i się stąd wynosić. Strażnik wyciągnął rękę i czekał, a ja zebrałam się w sobie.

- Oczywiście. - Na szczęście głos mi się nie załamał, gdy zdejmowałam identyfikator z szyi. Podałam go ochroniarzowi. Ten wziął go i przyjrzał mu się uważnie. Poczułam na sobie tuzin zaciekawionych spojrzeń, więc skrzyżowałam ramiona na piersi i starałam się wyglądać na znudzoną i poirytowaną.

- Przykro mi, panno Smith. - Ed w końcu na mnie spojrzał. - Wie pani, że ten identyfikator utracił wczoraj ważność? Musi pani wyrobić do jutra nowy.

- Och... - Ogarnęła mnie ulga. Może jednak się uda. - Oczywiście - wymamrotałam, starając się mówić zażenowanym tonem. - Miałam go przedłużyć, ale wiesz, ile ostatnio jest pracy. Nie miałam czasu. Zajmę się tym dzisiaj, przed wyjściem. Dziękuję.

- Nie ma sprawy, panno Smith. - Ed oddał mi identyfikator i zasalutował. - Życzę miłego dnia.

Nacisnął guzik i machnął ręką, abym przeszła.

Minęłam róg i osunęłam się na ścianę, łapiąc z trudem oddech.

- Nic z tego, księżniczko - odezwał się Puk, stawiając mnie na nogi, w momencie gdy zza rogu wyłoniła się grupa biznesmenów, dyskutujących o raportach, zebraniach i potrzebie zwolnienia jakiegoś menadżera. Gdy mnie mijali, odwróciłam wzrok, ale nie zwrócili na mnie uwagi. - A tak w ogóle, to świetnie ci poszło - dodał, gdy ruszyliśmy rześcicie oświetlonym korytarzem. - Bałam się, że nie dasz rady, ale doskonale to rozegrałaś. Niezła robota, księżniczko.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Pierwsze koty za płoty - wesoło rzucił Puk. - Teraz musimy tylko znaleźć piętro dwudzieste dziewiąte i pół, zwinąć berło i wyjść. Połowa zadania za nami.

Łatwo powiedzieć. Serce waliło mi jak oszalałe, a zimny pot rosł od spodu kolana. Już miałam mu to powiedzieć, gdy uświadomiłam sobie, że mamy jeszcze jeden problem.

- Ehm... gdzie jest Grimalkin?

Rozejrzeliśmy się wokół, ale kot przepadł. Może jego wiara w nasz plan nie zdzierżyła sytuacji przy bramce, a może po prostu uznał, że „do diabła z tym” i sobie poszedł. Nie byłby to pierwszy raz.

- Czemu miałby nas zostawić?! - zapytał Żelazny Koń, a ja aż się skurczyłam, kiedy jego potężny głos odbijał się echem od ścian. Co za szczęście, że ludzie nie mogą usłyszeć magicznych stworzeń. - Sądziłem, że ma szczerą intencję, i raczej nie nazwałbym go tchórzem!

Puk prychnął.

- Najwyraźniej nie znasz za dobrze Grima. - stwierdził, ale nie byłam pewna, czy się z nim zgodzić.

Grimalkin zawsze po nas wracał, nawet jeśli wcześniej zniknął gdzieś bez słowa. Porucznik był zaskoczony ale ja się nie martwiłam. Byłam przekonana, że kot pojawi się w momencie, gdy najmniej będziemy się go spodziewali.

- Nieważne. - Ruszyłam dalej.

Żelazny Koń wciąż był zmieszany, wręcz zraniony, że sojusznik mógłby go tak zdradzić. Posłałam mu uśmiech, który miał mu dodać otuchy.

- Nie przejmuj się, Żelazny Koni. Grim potrafi o siebie zadbać i pojawi się, jak będziemy go potrzebowali. Musimy dalej szukać berła.

- Skoro tak mówisz, księżniczko... Na końcu korytarza były dwie windy.

- Piętro dwadzieścia dziewięć przecinek pięć - wymamrotałam, naciskając guzik w górę. Po kilku sekundach drzwi otworzyły się z cichym „plum”, z windy wyszły dwie kobiety i minęły nas bez słowa. Zajrzałam do środka i przyjrzałam się ścianom, ale tak jak podejrzewałam, nie było tam guzika oznaczonego 29,5.

Wsiadłam do windy, a za mną podążył Żelazny Koń. Z głośników płynęły ciche dźwięki wesołej muzyki kameralnej, na podłodze leżała czerwona wykładzina. Puk wskoczył do środka stanął na samym środku windy, z dala od ścian, obejmując się mocno rękoma. Porucznik zmierzył go wzrokiem.

- Wszystko w porządku, Koleżko?! - zapytał, a echo jego głosu przyprawiło mnie prawie o łzy.

Puk posłał mu przerażony uśmiech.

- Ze mną? Tak. Duże metalowe pudło w długiej metalowej rurze? Nic strasznego, Księżniczko, pospiesz się i zabierz nas na odpowiednie piętro.

Skinęłam głową, wyciągnęłam z kieszeni kartkę i uniosłam ją do światła.

- No to do dzieła - szepnęłam i zaczęłam wystukiwać kod na klawiszach windy. 1-1-1-3-1-2-2-1-1-3. Naciskane numery podświetlały się i wydawały cichy dźwięk jak guziki telefonu komórkowego. Nacisnęłam ostatnią trójkę, cofnęłam się o krok i czekałam wstrzymując oddech. Przez chwilę nic się nie działo. Od metalowych ścian odbijał się rżący oddech Żelaznego Konia, wypełniając wnętrze dymem. Puk zakaszłał i wymamrotał coś pod nosem. Zaczęłam ponownie wystukiwać kod, myśląc, że może pomyliłam wcześniej cyfry, gdy drzwi się zatrzasnęły. Światła pogasły, muzyka ucichła, a na ścianie pojawił się jeszcze jeden guzik, oznaczony dużym, cyframi 29,5.

Wymieniłam spojrzenia z chłopcami, skinęli głowami.

- Piętro dwadzieścia dziewięć przecinek pięć - wyszeptałam i nacisnęłam kciukiem guzik. - Jedziemy.

Winda zatrzymała się, drzwi otwarły z wesołym „dzyń”.

Wyjrzelśmy na długi, jasno oświetlony korytarz, z licznymi wejściami, a szare kafelki prowadziły do pojedynczych drzwi na samym końcu. Wiedziałam, że jesteśmy tam, gdzie trzeba. Czułam to w

powietrzu, ciche brzęczenie, ostre mrowienie tuż pod skórą. Aż mi się włosy od tego jeżyły, uczucie było dziwnie znajome. Spojrzałam na Puka i Żelaznego Konia, od razu wiedziałam, że oni czują to samo.

Powoli ruszyliśmy korytarzem, Robbie przede mną, a porucznik na końcu pochodu. Nasze kroki odbijały się echem w otaczającej ciszy. Bez wahania mijaliśmy kolejne drzwi, wiedząc że to nie te. Im bliżej byliśmy końca korytarza, tym silniejsze stawało się brzęczenie.

Aż dotarliśmy do ostatnich drzwi. Puk nachylił się i przyłożył ucho do drewna.

„Nic nie słyszę - wyczytaliśmy z ruchu jego warg. - Wchodzimy?”

Żelazny Koń skinął głową i zacisnął potężne pięści. Robin wyciągnął swoje sztylety i wskazał na mnie jednym. Przygryzłam wargę i ostrożnie nacisnęłam klamkę.

Drzwi otwarty się ze zgrzytem, a mnie uderzyło lodowate powietrze. Zadrzałam, hamując chęć rozrządzenia ramion, a mój oddech uniósł się przede mną w postaci chmurki. Ktoś maksymalnie podkręcił klimatyzację. Wewnątrz było zimno jak w dużej lodówce.

Wokół stojącego na środku sali długiego stołu w kształcie litery U siedziało kilkanaście osób, wszyscy ubrani w elegancie garnitury. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że przerwaliśmy jakieś zebranie, bo wszyscy odwrócili się zaskoczeni i spoglądali na mnie z irytacją. U szczytu stołu stał wysoki fotel obrotowy, tyłem do nas, ukrywając przed nami przemawiającego, dyrektora albo innego szefa. Nagle przypomniałam sobie wszystkie te wypadki, kiedy spóźniałam się na lekcję i obserwowana przez wszystkich musiałam przejść przez całą klasę, aby dotrzeć na swoje miejsce. Twarz mi płonęła. Przez chwilę panowała przejmująca cisza.

- Ehm, przepraszam - wymamrotałam i zaczęłam się cofać. Zebrani wciąż wpatrywali się we mnie. - Przepraszam, zły pokój. Po prostu... wyjdziemy.

- Och, czemu nie zostaniesz, moja droga? - Bzyczący wysoki głos przyprowadził mnie o dreszcze.

U szczytu stołu fotel obrócił się, ukazując nam uśmiechniętą postać w neonowozielonym garniturze, z radioaktywnie niebieską szminką i w intensywnie żółtych okularach na chudej, wyszczerzonej złośliwie twarzy. Włosy - pęk kabli komputerowych, miała spięte na czubku głowy w kolorowy kok. A w rękach z pomalowanymi na zielono paznokciami trzymała berło, jak królowa patrząca na swych poddanych. Gdy ją rozpoznałam, aż mi się przewróciło w żołądku.

- Wirus! - huknął Żelazny Koń.

- Nie musisz tak krzyczeć, staruszk. Tutaj jestem. - Wirus oparta nogi o stół i spojrzała na nas z uśmiechem - Czekałam na ciebie, dziewczyno. To nas szukasz, prawda? - Uniosła rękę, a ja jęknęłam.

W jej rękach Berło Pór Roku pulsowało dziwnym, mdląco zielonym światłem. Wirus wyszczerzyła się w uśmiechu.

- Spodziewałam się, że szukając tego, zjawią się tutaj dziewczyna i jej klaun, ale nie sądziłam, że przeciwko nam wystąpi honorowy Żelazny Koń. No, no. - Pokręciła głową. - Wierność jest ostatnio bardzo przereklamowana. Jakże nisko upadają wielcy!

- Śmiesz oskarżać mnie?! - Porucznik ruszył do przodu, a z ust i nozdrzy buchała mu para. Podążyliśmy za nim. - To ty jesteś zdrajczynią, która służy fałszywemu królowi!

- Nie bądź taki melodramatyczny - westchnęła Wirus. - Jak zwykle nie masz pojęcia, co się tak naprawdę dzieje. Myślisz, że mam zamiar słuchać rozkazów tego złomiarza? Pałę się do tego jeszcze mniej niż ty. Kiedy wyznaczył mnie do zdobycia berła, wiedziałam, że będzie to ostatni rozkaz, jaki wykonam. Biedny Tercjusz, wciąż wierzył, że służy fałszywemu królowi. Ten naiwny głupiec bez zastanowienia oddał mi berło. - Uśmiechnęła się do nas okrutnie i dziko. - A teraz ja mam Berło Pór Roku. Ja mam władzę. A jeśli fałszywy król go pragnie, to będzie mi je musiał odebrać siłą.

- Ach tak - odparłam i stanęłam kilka kroków od niej. Otaczający nas mężczyźni w garniturach dalej gapili się bezmyślnie. - Chcesz zostać nową władczynią. Nie zamierzałaś oddawać berła Żelaznemu Królowi.

- Dziwisz mi się? - Wirus zdjęła nogi ze stołu i uśmiechnęła się do mnie. - Ile razy złamałaś nakazy króla, bo uznałaś, że jego decyzje są głupie? Koleżko... - Wskazała berłem Puka. - Ile razy przeszło ci przez głowę, że mógłbyś się zbuntować? Nie wmówisz mi, że przez te wszystkie lata, od kiedy go znasz, zawsze byłeś usłużnym pieskiem, reagującym na każde pragnienie Oberona.

- To co innego - stwierdziłam.

- Naprawdę? - prychnęła Wirus. - Zapewniam cię, że nietrudno było przekonać Rowana. Nienawisć i zawiść tego chłopca są inspirujące. Wystarczyło go troszkę zachęcić, obiecać mu władzę i zdradził

wszystko, w co wierzył. To on mi powiedział, że będziesz szukać berta, wiesz? - Roześmiała się. - Oczywiście te opowieści o uodpornieniu się na żelazo to zupełna bzdura. Tak jakby dało się wymazać albo napisać od nowa setki lat historii. Żelazo i technologia zawsze będą zabójcze dla tradycyjnych magicznych stworów. Dlatego właśnie jesteśmy bezwzględnie lepsi od was, stworzeń starej krwi. Dlatego właśnie tak łatwo was po wojnie pokonamy.

Żelazny Koń zadudnił jak nadjeżdżający szybko pociąg

- Przejmę to berło i posadzę na tronie prawowitego władcę żelaznych stworzeń! - obiecał i postąpił groźnie naprzód. - Oddaj mi je natychmiast, zdrajczyń! Twoje ludzkie marionetki cię nie ochronią!

- No, no, no... - Wirus pogroziła mu palcem. - Nie tak szybko. Nie chciałam tu sprowadzać moich robotów, bo są delikatne i łatwo się gniołają, ale nie jestem taka głupia, żeby siedzieć tu bez ochrony. - Uśmiechnęła się i potoczyła wzrokiem wokół stołu. - Dobrze, panowie. Zarządzam przerwę.

Na te słowa siedzący przy stole mężczyźni wstali i zrzucili z siebie urok jak peleryny, wypełniając powietrze resztkami iluzji. Zniknęły ludzkie twarze i naszym oczom ukazało się dwanaście elfów w kolczastych czarnych zbrojach, o bladych, schorowanych twarzach skrytych pod hełmami. Cierniowi gwardziści jak jeden mąż sięgnęli po miecze i wycelowali w nas czarne ząbkowane ostrza, wiążąc w kręgu.

Żołądek ścisnął mi się i podskoczył, jakby chciał wydostać się przez gardło i uciec za drzwi. Usłyszałam, jak Puk wciąga gwałtownie powietrze, a Żelazny Koń prychnął zszokowany, podchodząc bliżej mnie. Wirus roześmiała się wrednie i rozparła w fotelu.

- Obawiam się, że wpakowaliście się prosto w pułapkę, moi drodzy. - Pęczniała z dumy, widząc, jak się spinamy, gotowi do walki lub ucieczki. - Och, ale jeszcze nie wychodźcie, mam dla was ostatnią niespodziankę.

Zachichotała i pstryknęła palcami.

Drzwi za jej plecami zgrzytnęły. Do pokoju weszła ciemna postać i stanęła za jej krzesłem. Serce o mało nie wyrwało mi się z piersi.

- Jestem przekonana, że się znacie - odezwała się Wirus, a mój świat skurczył się do wąskiego tunelu, odcinając wszystko inne. - Myślę, że to jak dotąd moje największe osiągnięcie. Pokonanie go kosztowało mnie sześciu cierniowych gwardzistów i prawie dwa tuziny robotów, ale było warto, o tak. Ironia losu prawda? Za pierwszym razem prawie uciekł z berłem, a teraz robi wszystko, by je tu zatrzymać.

Nie, wyszeptał mój mózg. To nie może być prawda. Nie, nie, nie, nie, nie...

- Ash - zamruczała Wirus, gdy postać wyszła z mroku... Przywitaj się z gośćmi.

16. Zdrajca.

- Patrzyłam w Asha jak urzeczona, rozdarta pomiędzy uczuciem ulgi, że on żyje, a przejmującą, mdlącą rozpaczą. To, co się działo, nie mogło być rzeczywistością. Musiałam trafić do jakiegoś koszmaru, gdzie wszystko, co kochałam, zostało zamienione w coś potwornego i przerażającego. Zrobiło mi się słabo i musiałam się oprzeć o Puka. żeby nie upaść.

Żelazny Koń prychnął.

- Iluzja! - roześmiał się, patrząc z niesmakiem na Asha. - Prosty urok, nic poza tym! Widziałem, co się dzieje z przedstawicielami starej krwi, którym wszczepiasz te swoje okropne robaki! Wariują, a potem umierają! Równie dobrze możesz nas ludzi, że któryś z twoich gwardzistów to zimowy książę!

- Doprawdy? - Uśmiech Wirus był przerażająco pewny siebie. - No to jeśli jesteś tego taki pewien, staruszkule, to spróbuj go zatrzymać. Powstrzymanie jednego zwykłego gwardzisty nie powinno ci chyba sprawić problemu. Ale podejrzewam, że to zadanie okaże się trudniejsze, niż sądziłeś. - Odwróciła się do mnie z sadystycznym uśmiechem. - Księżniczka wie, prawda, moja droga?

Żelazny Koń odwrócił się do mnie z pytaniem w oczach, ale ja nie mogłam oderwać wzroku od ochroniarza Wirus.

- To nie iluzja - wyszeptalam. - To naprawdę on.

Serce łomoczące mi w piersi jak szalone dowodziło, że to prawda. Ruszyłam do przodu, ignorując ostre miecze gwardzistów, a spojrzenie księcia stężało, tnąc mnie jak nóż.

- Ash - wyszeptałam. - To ja. Jesteś ranny? Powiedz coś.

Spojrzał na mnie pustym wzrokiem, w jego srebrnych oczach nie było żadnego wyrazu: ani wściekłości, ani smutku, nic.

- Wy wszyscy... - odezwał się cicho - zginiecie.

Przeszyły mnie szok i przerażenie, nie mogłam się ruszyć. Wirus zachichotała w ten okropny bzyczący sposób.

- To nie ma sensu - zadrwiła. - Słyszysz cię, nawet poznaje, ale nie pamięta nic ze starego życia. Dzięki mojemu robakowi jest całkiem przeprogramowany. I teraz słucha tylko mnie.

Przyjrzałam mu się bliżej i gardło ścisnęło mi się boleśnie. W mroku pokoju twarz księcia była szara, a skóra tak mocno naciągnięta na kości, że w niektórych miejscach popękała i ziały w niej otwarte rany. Miał zapadnięte policzki, a oczy, chociaż puste, błyszczały z niewysłowionego bólu. Poznawałam to spojrzenie. Takim samym obdarzył nas w jaskini Kolcolist, gdy znajdował się na granicy szaleństwa.

- To go zabija - wyszeptałam.

- Och, powolutku.

- Skończ z tym - wyszczałam, a Wirus uniosła cynicznie brew. Serce mi waliło, ale zacisnęłam zęby i brnęłam dalej: - Proszę... - Podeszłam bliżej. - Puść go. Weź mnie na jego miejsce. Podpiszę umowę, zawrę układ, cokolwiek, jeśli tego chcesz. Ale wyjmij mu robaka z głowy i daj mu odejść.

- Meghan! - krzyknął Puk, a Żelazny Koń wpatrywał się we mnie przerażony. Nic mnie to nie obchodziło.

Nie mogłam pozwolić, by zimowy książę rozplynał się w nicości, jakby nigdy nie istniał. Wyobraziłam sobie, jak stoję w polu białych kwiatów i patrzę, jak duchy Asha i Arielli tańczą razem przy świetle księżycy. Wreszcie razem. Tyle że to by było kłamstwo. Ash nawet po śmierci nie mógłby się połączyć ze swoją ukochaną. Nie istniałby.

Wirus zachichotała.

- Cóż za oddanie - wymruczała, wstając z krzesła. - Ale się wzruszyłam. Chodź tu, Ash.

Natychmiast do niej podszedł, a Wirus położyła mu rękę na piersi.

- Powinniście mi pogratulować - mówiła dalej, przyglądacie księciu jak uczeń, który dostał najlepszą ocenę za swój projekt z fizyki. - W końcu znalazłam sposób na wszczepianie robaka w system magicznego stworzenia tak, by nie zabijać go natychmiast ani nie doprowadzać do szaleństwa po pierwszych kilku godzinach. - Poglaskała Asha po włosach, a ja zacisnęłam trzęsące się dłonie w pięści, hamując się, by nie rzucić się na nią przez stół i nie wydrapać jej oczu. - Zamiast przeprogramowywać jego mózg, sprawiłam, że przejmuję władzę nad obwodowym układem nerwowym, o tutaj. Przesunęła palce na jego potylicę i zaczęła go głaskać.

- Możesz oczywiście spróbować to usunąć, ale obawiam się, że będzie to dla niego śmiertelna operacja. Tylko ja mogę nakazać robakom, by opuściły organizm żywiciela bez szkody. A co do twojej propozycji... - Posłała mi pobłażliwy uśmiech. - Masz tylko jedną rzecz, której potrzebuję, i zaraz sama ją sobie wezmę. Wolę mojego ochroniarza takim, jaki jest, tak długo, jak jeszcze pociągnie.

Serce cały czas mi waliło. Ash był tak blisko. Mogłam wyciągnąć rękę, złapać go i zaprowadzić w bezpieczne miejsce.

- Ash! - krzyknęłam, wyciągając dłoń. - Chodź, teraz! Uwierz, że możesz to zwalczyć. Proszę...

Zniżyłam głos do szeptu.

- Nie rób tego. Nie każ nam ze sobą walczyć.

Ash dalej wpatrywał się w przestrzeń, na jego twarzy nie drgnął nawet mięsień. Załkałam. Nie mogłam go dosięgnąć. Straciliśmy księcia. Jego miejsce zajął jakiś obcy.

- No cóż... - Wirus cofnęła się o krok. - To się robi męczące. Myślę, że pora, abym wzięła to, czego chcę od ciebie. Ash... - Położyła mu rękę na ramieniu. - Zabij księżniczkę, zabij ich wszystkich.

Błysnęło niebieskie światło, gdy Ash wyciągnął miecz i ciął nim nad stołem. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyłam nawet krzyknąć, gdy lodowe ostrze śmignęło mi przed nosem. Puk rzucił się przede mną i odparował klingę swoją, aż zgrzytnęło i posypały się iskry. Cofnęłam się chwiejnie, a Puk złapał mnie za nadgarstek i odciągnął mimo moich protestów.

- Wycofać się! - zawołał, gdy cierniowi gwardziści rzucili się z wrzaskiem do ataku. Rzuciłam okiem za siebie i ujrzałam, jak Ash zwinnie wskakuje na stół, nadal wpatrując się we mnie pustym wzrokiem.

- Żelazny Koni, wycofujemy się, ich jest zbyt wielu!

Z rykiem i w kłębach dymu Żelazny Koń powrócił do swojej prawdziwej postaci, zionąc ogniem i wierzgając kopytami. Gwardziści cofnęli się zszokowani, a Żelazny Koń zaszarżował, roztrącając ich na boki i torując nam drogę do drzwi. Gdy potężny żelazny stwór przebiegł, Puk pchnął mnie do wyjścia.

- Idź! - zawołał i odwrócił się, by zablokować spadający mu na plecy miecz Asha.

- Ash, przestań! - wykrzyknęłam, ale zimowy książę nie zwracał na mnie uwagi. Gdy znów zaczęli nas otaczać cierniowi gwardziści, Puk zdusił pod nosem przekleństwo i rzucił między nich kudłatą czarną kulę.

Zamieniła się we wściekłego niedźwiedzia, który z rykiem stanął na tylnych łapach, zaskakując wszystkich w pokoju.

Gdy gwardziści i Ash odwrócili się do nowego zagrożenia. Puk złapał mnie za rękę i wyciągnął z sali.

- Zachowałem to na wszelki wypadek - wydyszał, gdy Żelazny Koń prychnął z uznaniem. - A teraz wynośmy się stąd.

Pobiegliśmy do windy. Tym razem korytarz wydał nam się dłuższy, jakby stalowe drzwi z rozmysłem utrzymywały tę odległość. Spojrzałam raz przez ramię i zobaczyłam, że podąża za nami Ash, a jego miecz rzuca na ściany błękitny blask. Lodowaty spokój na twarzy księcia wprawił mnie w przerażenie. Oderwałam od niego wzrok. Przed nami zatrzymała się winda, a chwilę później otworzyły się drzwi i ze środka wytoczyła się grupa cierniowych gwardzistów.

- No, chyba sobie żartujecie - sapnął Puk, gdy wyhamowaliśmy.

Rykerze jak jeden mąż wyciągnęli miecze i ruszyli na nas, dudniąc ciężkimi butami.

Spojrzałam za siebie. Ash, patrząc pustym, przerażającym wzrokiem, też zbliżał się szybko. Rozległ się szczeł i jakimi cudem otworzyły się jedne z bocznych drzwi i pojawił się w nich Grimalkin.

- Jakże to przewidywalne - prychnął. Spojrzeliśmy na niego zaskoczeni, a on zmierzył nas rozbawionym wzrokiem - Pomyślałem, że przyda wam się drugie wyjście. Dlaczego to zawsze ja muszę o tym myśleć?

- Pocałowałbym cię, kocie... - odezwał się Puk, gdy wpadliśmy w drzwi. - Gdybyśmy się tak nie spieszyli. Poza tym kłaki mogłyby być niesmaczne.

Zatrzasnęłam drzwi i oparłam się o nie, dysząc i rozglądając się wokół. Przed nami rozciągała się wielka biała sala, podzielona na setki boksów, tworzących labirynt przejść. Powietrze wypełniało ciche buczenie i rytmiczne stukanie w klawisze. W każdym boksie siedzieli przy biurkach ludzie, ubrani w takie same białe koszule i szare spodnie, wpatrywali się pustym wzrokiem w monitory i stukali w klawiatury.

- Rany - wyszeptał Puk, rozglądając się wokół. - Biurowe piekło.

W jednej chwili stukanie ustało. Zgrzytnęły krzesła i wszyscy pracownicy jednocześnie wstali i odwrócili się w naszą stronę. A potem otworzyli usta i chórem powiedzieli:

- Widzimy cię, Meghan Chase. Nie uciekniesz.

Gdyby nie przepelniała mnie bezgraniczna otepiająca rozpacz, pewnie bym się przeraziła. Puk zaklął i wyciągnął sztylet, w chwili, gdy coś potężnie walnęło w drzwi za nami.

- Wygląda na to, że idziemy prosto - wymamrotał, marszcząc brwi. - Grimalkin, rusz się! Konserwo, oczyść nam drogę!

Grimalkin skoczył w labirynt, omijając stopy i lawirując pomiędzy nogami setek zombie-robotów, które na nas ruszyły. Żelazny Koń grzebnął kopytem, opuścił głowę i z rykiem zaszarżował. Roboty rzuciły się na niego, wałąc i drapiąc, ale tylko odbijały się albo były odrzucane przez gnającego przez salę rozjuszonego żelaznego stwora. Razem z Pukiem podążaliśmy za nim, przeskakując nad leżącymi ciałami i unikając próbujących nas złapać rąk. Raz ktoś złapał mnie za kostkę, ale wrzasnęłam i kopnęłam go w twarz, aż padł, z moim butem w dłoni. Szybko zrzuciłam drugi i dalej biegłam już bosą.

Labirynt przejść i boksów wydawał się nie mieć końca. Rzuciłam okiem za siebie i ujrzałam mnóstwo widocznych nad ściankami boksów głów zombie, którzy za nami podążali.

- Cholera - prychnął Puk, patrząc tam, gdzie ja. - Szybcy są. Daleko jeszcze, kocie?

- Tu - stwierdził Grimalkin i obiegł boks. W końcu dotarliśmy do końca sali, a tam w kącie znajdowały się drzwi z napisem „Wyjście”. - Schody awaryjne - wyjaśnił, gdy podbiegliśmy do nich z ulgą. - Pobiegniemy nimi na parter. Szybko!

W tym samym momencie, ni stąd, ni zowąd, z boks obok wyszedł Ash. Nie było czasu na zastanawianie się ani na ostrzegawcze krzyki. Nagle uderzyłam w ścianę z taką siłą, że aż zabrakło mi tchu. Czas jakby zwolnił. Puk i Żelazny Koń krzyczeli coś w oddali. Oślepiający ból przeszył mi ramię. Gdy tam sięgnęłam, moja ręka pokryła się czymś lepkiem i mokrym. Przez chwilę wpatrywałam się w swoje palce, nic nie rozumiejąc.

Co się stało? Czy Ash... to zrobił? On mnie skaleczył?

Zszokowana spojrzałam w górę, w szkliste oczy mrocznego księcia, który unosił nade mną miecz, żeby zadać ostatni cios. Zawahał się przez krótką chwilę. Widziałam, jak zadrżała mu dłoń, a po twarzy przebiegł wyraz udręki. Tylko na chwilę, nim opadło ostrze, ale czasu wystarczyło, by Żelazny Koń rzucił się między nas i odepchnął Asha. Usłyszałam przerażający zgrzyt metalu, gdy klinga wbiła się w bok porucznika, a ten potknął się, prawie upadając. A potem Puk pomógł mi wstać, krzycząc do porucznika, że pora ruszać, i ciągnął mnie przez drzwi, a ja wrzeszczałam, żeby mnie puścił. Żelazny Koń poderwał się na nogi i podążył za nami, z boku ciekła mu jakaś gęsta czarna substancja, a świszczący oddech odbijał się echem od schodów. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałam z ucieczki z SciCorp, były zatrzaskujące się drzwi i twarz Asha za szybą, z jedną łzą zamarznąętą na policzku.

17. Wybory.

W moim śnie klęczał wśród martwych traw pod potężnym żelaznym drzewem, z pochyloną głową i ciemnymi włosami opadającymi na twarz. Wokół nas klębiąca się szara mgła zasłaniała wszystko w promieniu kilku metrów, ale czułam, że gdzieś tam jest jeszcze ktoś, jakieś zimne nieprzyjazne stworzenie, przyglądające mi się z okrutną inteligencją. Próbowałam je zignorować, gdy szłam do mężczyzny pod drzewem. Nie miał na sobie koszuli, a jego blada skóra pokryta była małutkimi czerwonymi ranami, jakby nakłuciami, wzdłuż kręgosłupa i na ramionach.

Zamrugałam. Przez moment widziałam zatopione w jego ciele błyszczące pasma przewodów, wychodzące zeń i ginące gdzieś we mgle. Przyspieszyłam, ale z każdym krokiem ten ktoś oddalał się coraz bardziej. Zaczęłam biec, potykając się i dysząc, ale mgła wciągała jego ciało coraz głębiej. Krzyknęłam do niego desperacko. Uniósł głowę, a na jego twarzy rysowało się coś gorszego niż rozpacz: wyraz porażki, bezradności i bólu. Stałam tam, drżąc, mgła ciemniała, a ta druga istota unosiła się na brzegu mojej świadomości. Gdy sen zniknął, a ja zatonęłam w mrocznej pustce, wciąż pamiętałam jego ostatnie słowa, które wyszeptał. Zmroziły mnie jak nic nigdy wcześniej.

„Zabij mnie”.

Powoli wracała mi świadomość. Stopniowo wydobywałam się z otępienia. Miałam zawroty głowy i nie bardzo wiedziałam, co się dzieje, gdy wreszcie oprzytomniałam. Na szczęście prawie natychmiast rozpoznałam otoczenie. Pałac Leanansidhe, hol, wielki kominek. Leżałam na jednej z jej wygodnych kanap, ubrana w spodnie i bluzkę z dużym dekoltem. Ktoś zdjął ze mnie kostium, a buty zostały oczywiście w SciCorp.

- Co się stało? - wyszeptalam, próbując usiąść.

Moje ramię i bark przeszył osłepiający ból, aż jęknęłam.

- Spokojnie, księżniczko. - Nagle pojawił się Puk i pchnął mnie z powrotem na poduszki. - Straciłaś sporo krwi, to stąd zamroczenie. Zemdlałaś w drodze tutaj. Posiedź chwilę spokojnie.

Spojrzałam na grubego opatrunka na ramieniu i bladą różową plamę, która pojawiła się na bandażu. Do tej pory nawet tego nie czułam.

Żołądek mi się skurczył, gdy zaczęły do mnie wracać wspomnienia. Ścisnęło mnie w gardle i poczułam, że zaraz się rozplaczę. Opanowałam jakoś te uczucia, odetchnęłam głęboko i skupiłam się na teraźniejszości.

- Gdzie Żelazny Koń? - zapytałam ostro. - I Grim? Czy wszyscy wrócili bez szwanku?

- Wszystko ze mną w porządku, księżniczko! - Porucznik, znów w swojej bardziej ludzkiej odmianie, spojrzał na mnie znad zagłówka. - Trochę gorzej niż na początku, ale jakoś przeżyje! Żałuję tylko, że nie mogłem cię ochronić jak należy!

- Naprawdę? - Otworzyły się drzwi i do pokoju weszli Leanansidhe. a za nią Grim i dwa domowe niosące tacę z kubkami. - Mnie przychodzi na myśl trochę więcej spraw, których żałuję, skarbie. Meghan. kochana, spróbuj to wypić. Powinno pomóc.

Spróbowałam się podnieść, zaciskając z bólu zęby. Puk przykląkł przy kanapie i pomógł mi usiąść, a potem podał kubek. Gorący płyn pachniał mocno ziołami, aż lzy napłynęły mi do oczu. Pociągnęłam ostrożnie łyk, skrzywiłam się i przełknęłam.

- Co z Kimi i Nelsonem? - wymamrotałam, zmuszając się do dalszego picia. Fuj, miałam wrażenie, że piję potpourri w gorącej wodzie, ale czułam, że mikstura działa: ogarniała mnie ciepła senność. - Też tutaj są?

Leanansidhe obeszła kanapę, ciągnąc za sobą obłok dymu ze swojej fifki.

- Jeszcze mi się nie zameldowali, skarbie, ale na pewno mają się dobrze. To sprytni dzieciaki. - Usiadła elegancko na stojącym naprzeciwko krześle, założyła nogę na nogę i zmierzyła mnie wzrokiem znad papierosa. - Kochanie, zanim to zaczniesz działać, może opowiesz mi, co tam się wydarzyło? Część opowiedział mi Grimalkin, ale nie było go tam przez cały czas, a od tych dwóch - machnęła papierosem w stronę Żelaznego Konia i Puka - nie mogę wyciągnąć nic sensownego, bo są zbyt zajęci zamartwianiem się o ciebie. Dlaczego nie odzyskałaś berła? Co się wydarzyło w SciCorp?

Wróciły wspomnienia, a rozpacz, którą próbowałam ukryć ogarnęła mnie niczym ciężki koc.

- Ash... - wyszeptalam, czujac pod powiekami lzy. - To byl Ash. Ona go dopadla.

- Ksiaze?

- Wirus go dopadla - mowilam dalej oszolomiona. - Wprowadzila w niego jeden z tych swoich kontrolujacych umysl robali i on nas zaatakowal. Probował... próbował nas zabic.

- To on strzeze berla - dodal Puk, padajac na krzeslo. - On i jakies dwa tuziny paskudnych cierniowych gwardzistow, a caly budynek jest pelen ludzi-robotow Wirus. - Pokrecil glowa. - Walczylem wczesniej z Ashem, ale nie w ten sposob. Zawsze, gdy sie pojedynkowalismy, wyczuwalem, ze on nie dziala na serio. Znam jego lodowata wysokosc i wiem, ze nigdy nie chcial mnie zabic, bez względu na to, jak wiele o tym mowil. Dlatego nasz spor tak dlugo trwa. - Puk prychnal i z ponura mina skrzyzowal ramiona na piersi. - To, z czym dzis walczylem, nie bylo zimowym ksiaciem, ktorego wszyscy znamy i kochamy. Tam juz nic nie ma. Ani zlosci, ani nienawisci, ani strachu. Jest teraz grozniejszy niz kiedykolwiek, bo nie dba o to, czy przezyje, czy nie.

Zapadla cisza. Slysalam tylko ciche zgrzytanie pazurów, ktore Grimalkin ostrzył sobie o kanape. Chcialam sie polozyc i wyplakac, ale zioła zaczely dzialac, a smutek przegrywal z otumaniajacy m zmczeniem.

- To co teraz zrobicie? - odezwała sie w koncu Leanansidhe.

Poderwalam sie, walczac z otępieniem.

- Wrócimy - wyszeptalam, rzucajac okiem na Robina i Zelaznego Konia, z nadzieja, ze mi przytakna. - Musimy. Musimy odzyskac berlo i zakonczyc wojne. Nie ma innej opcji.

Obydwaj skineli ponuro glowami, a ja rozluźnilam sie z ulga, wdzieczna, ze podaza za mna.

- Przynajmniej znamy teraz przeciwnika - mowilam dalej, łapiac sie tej watlej nadziei. - Moze następnym razem pojdzie nam lepiej.

- A zimowy ksiaze? - zapytala delikatnie Leanansidhe. - Co z nim zrobicie?

Spojrzalam na nia ostro, chcac powiedziec, ze ocalimy Asha i ze nie podoba mi sie to, co ona sugeruje, ale Puk mnie wyprzedzil:

- Musimy go zabic.

Swiat zamarl. Powoli odwrócilam glowe i spojrzalam na niego, nie wierzac własnym uszom.

- Jak mogles? - wyszeptalam. - On byl twoim przyjacielem Walczyliście ramię w ramię. A teraz chcesz go zabic, jakby byl nikim!

- Widzialas, co zrobil. - Puk spojrzal mi blagalnie w oczy. - Widzialas, czym sie stal. Nie sadze, abym mogl sie pohamowac, jesli znów z nim zacne walczyc. Jesli znów zaatakuje ciebie...

- Nie chcesz go ocalic. - Nachyilam sie do niego. Ramie mnie bolalo, ale bylam zbyt wsciekla, by zwracac na to uwage. - Nie chcesz nawet spróbować! Jesteś zazdrosny. Zawsze chciales sie go pozbyc!

- Nigdy tego nie powiedzialem!

- Nie musiales! Widze to w twojej twarzy!

- On umiera, ksiezniczko!

Slowa zamarly mi w ustach. Spojrzalam na Zelaznego Koma, milczaco blagajac, by sie mylil. Odpowiedzial mi przepelnionym bolem spojrzeniem.

- Nie... - Pokrecilam glowa, walczac z naplywajacy mi do oczu łzami. - Nie wierze w to. Musi byc sposob, by go uratowac.

- Przykro mi, ksiezniczko! - Zelazny Kon pochylil glowe. - Wiem, jakie uczucia zywisz do zimowego ksiacia i pragnalbym ci przekazac lepsze wieści! Ale nie da sie usunac sila robaka z jego glowy, nie zabijajac przy tym zywiela! - Westchnal i odezwal sie delikatniejszym, chociaz nie cichszym tonem. - Kolezka ma racje, zimowy ksiaze jest zbyt niebezpieczny! Jesli znów zaatakuje, nie bedziemy mogli sie hamowac!

- A co z Wirus? - Nie chcialam sie poddac. - To ona kontroluje robaki. Jesli sie jej pozbedziemy, to moze jej wladza nad nim...

- Nawet w takim wypadku - przerwal Puk - robak dalej bedzie w nim siedzial. A nie majac mozliwosci usunecia go, ksiaze albo oszaleje, albo bedzie cierpiel takie katusze, ze smierc bylaby dla niego lepsza. Ash jest silny, ksiezniczko, ale to cos w srodku go zabija. Widzialas to, slysalam, co mowila Wirus.

Zmarszczyl brwi i odezwal sie cicho:

- Boje sie, ze nie zostalo mu juz wiele czasu.

W końcu polały się wstrzymywane przeze mnie łzy i ukryłam twarz w poduszce, gryząc ją, żeby nie krzyknąć. Boże, to niesprawiedliwe! Czego oni ode mnie chcieli? Czy nie oddałam już dość? Poświęciłam wszystko - rodzinę, dom, normalne życie - dla głupiego większego dobra. Tak ciężko pracowałam. Próbowałam być dzielna i dojrzała, a teraz miałam patrzeć, jak to, co kocham najbardziej, ginie na moich oczach?

Nie mogłam. Nawet jeśli to było niemożliwe, nawet gdyby Ash sam mnie zabił, wciąż próbowałabym go ocalić. W pokoju zapadła cisza. Uniosłam głowę i zobaczyłam, że wszyscy poza Pukiem wyszli, dając mi czas, bym doszła do siebie i podjęła gnębiącą mnie decyzję w spokoju.

Widząc, że na niego patrzę. Puk spróbował zwrócić na siebie moją uwagę:

- Meghan...

Odwrociłam się i ukryłam twarz w poduszce. Gotowała się we mnie złość i uraza. Puk był ostatnią osobą, jaką miałam ochotę widzieć, a co dopiero słuchać. W tym momencie go nienawidziłam.

- Odejdź

Westchnął, podniósł się z krzesła i usiadł obok mnie na kanapie.

- Wiesz, że to nigdy nie działa.

Zapadła cisza. Czulałam, że Robin chce coś powiedzieć, ale nie potrafił dobrać odpowiednich słów. To było dziwne. Nigdy do tej pory nie widziałam, żeby się wahał.

- Nie pozwolę ci go zabić - oznajmiłam wreszcie, po kilku minutach.

Milczał przez dłuższą chwilę, aż w końcu powoli wyszeptał:

- Chcesz, abym patrzył, jak umierasz? Stał z boku, kiedy będzie ci wbijał miecz w serce? A może wolisz, żebym to ja zginął? Powiedz tylko, żebym się nie ruszał, jak Ash będzie mi odrąbywał głowę. Czy to by cię usatysfakcjonowało, księżniczko?

- Nie wygłupiaj się! - Przygryzłam sfrustrowaną wargę i usiadłam, krzywiąc się, gdy świat zawirował mi przed oczami. - Nie chcę, aby ktokolwiek umierał. Ale nie mogę go stracić. Puk. - Gniew nagle mnie opuścił i pozostała tylko rozpacz. - Ciebie też nie mogę stracić.

Robbie objął mnie i przytulił delikatnie, by nie urazić mojego ramienia. Oparłam mu głowę na piersi i zamknęłam oczy, żalując, że nie jestem normalna, że muszę podejmować te niemożliwe decyzje, pragnąc, aby wszystko było znów takie, jak trzeba. Ach, gdyby życzenia spełniały się na zawołanie...

- Czego ode mnie chcesz, księżniczko? - szepnął mi we włosy.

- Gdyby był jakiś sposób, żeby go ocalić...

Skinął głową.

- Jeśli znów się spotkamy, będę się bardzo starał nie zabić jego lodowatej wysokości. Może mi nie uwierzysz, księżniczko, ale ja równie mocno, jak ty chcę, żeby Ash przeżył. - Pociągnął nosem. - No, może troszkę mniej. Ale... - Odsunął się, by spojrzeć mi w oczy. - Jeśli zagrozi ci niebezpieczeństwo, nie będę się hamował. Obiecuję. Nie zaryzykuję utraty ciebie, rozumiesz?

- Tak - wyszeptałam i zamknęłam oczy. O nic więcej nie mogłam prosić.

Uratuję cię. Ash, pomyślałam, gdy ogarnęła mnie senność, a myśli zaczęły dokądś odpływać. Bez względu na wszystko, znajdę sposób, aby cię odzyskać. Obiecuję.

Już prawie spałam, wyczerpanie pozbawiło mnie właściwie wszystkich sensorycznych myśli, gdy rozbudziło mnie trzaśnięcie drzwiami, a Puk objął mnie mocniej.

- Meghan Chase - odezwał się urywany, bezbarwny i mechaniczny głos Kimi.

Uniosłam wzrok i aż mnie ścisnęło w żołądku.

Przed drzwiami stali na baczność Kimi i Nelson, a pozycja ta była dla nich tak nietypowa, że w pierwszej chwili w ogóle ich nie poznałam. Jednocześnie odwrócili się do mnie i spojrzeli niewidzącym wzrokiem. Tak samo patrzył na mnie Ash w siedzibie SciCorp.

- O nie - wyszeptałam. A zszokowany Puk zeszywniał

- Nasza pani ma dla ciebie wiadomość, Meghan Chase - Kimi postąpiła o krok naprzód jak robot: - „Gratulacje za włamanie się do SciCorp, a jeszcze większe za ucieczkę stamtąd. Jestem pod wrażeniem. Niestety nie mogę pozwolić na to, byś się bez sensu miotła, ponownie planując odzyskać berło, a jestem pewna, że planujesz. Dziś przeniosę je w bezpieczniejsze miejsce. Jeśli wrócisz do fabryki, nic tam nie zastaniesz. A przy okazji, wysłałam też Asha, by zabił twoją rodzinę. Są w Luizjanie, nieprawdaż?”

Wciągnęłam gwałtownie powietrze, czując, że drętwieję. Wyraz twarzy Kimi się nie zmienił, ale głos stał się drwiący:

- „Tak więc masz wybór. Wróc po berło albo biegnij do domu i spróbuj powstrzymać Asha. Lepiej się pośpiesz. Pewnie jest już w połowie drogi do zatoki. - Jeszcze jedno! - dodała, gdy poderwałam się na nogi, zapominając o senności. Serce zaczęło mi walić. Kiedy na nią spojrzałam, Kimi-robot posłała mi pusty uśmiech. - Chcę, abyś pamiętała, że to nie zabawa. Meghan Chase. Jeśli myślisz, że możesz ot, tak wejść sobie do mojej siedziby i spróbować zabrać to, co do mnie należy, nie ponosząc żadnych konsekwencji, lepiej pomyśl jeszcze raz. Przez ciebie innym stanie się krzywda. - Kimi podeszła bliżej i zmrużyła oczy. - Nie zaczynaj ze mną, dziecko. Niech to będzie dla ciebie nauczka, że nie wolno zadzierać z silniejszymi”

Zadrżała, odgięła się do tyłu. otworzyła usta w bezgłośnym krzyku i padła na ziemię. Chwilę później to samo stało się z Nelsonem i obydwójce w drgawkach leżeli na podłodze.

Puk natychmiast podbiegł do Kimi i przekręcił ją na plecy. Oczy małej półopoldy były otwarte i wpatrywały się bez wyrazu w sufit. Nic drgnął jej żaden mięsień. Przygryzłam wargę i zapytałam ze zgrozą:

- Czy oni... nie żyją?

Puk nie ruszał się przez chwilę, a potem wstał.

- Nie. A przynajmniej tak mi się wydaje. Wciąż oddychają, ale... - Zmarszczył brwi i przyjrzał się pozbawionej wyrazu twarzy Kimi. - Mam wrażenie, że mieli jakieś spięcie w mózgu. Albo robaki utrzymują ich jakby w śpiączce.

Pokręcił głową i spojrział na mnie.

- Przykro mi, księżniczko, nic nie mogę dla nich zrobić.

- Oczywiście, że nie, skarbie. - Leanansidhe wpadła do pokoju, minę miała nieodgadniona, tylko oczy pałały jej zielono. - Na szczęście znam pewnego ludzkiego lekarza, możliwe, że będzie w stanie im pomóc. Jeśli on nie zdoła przywrócić ich do życia, to nie ma dla nich nadziei.

Odwróciła się do mnie, a ja próbowałam się nie kulic pod tym niesamowitym spojrzeniem.

- Rozumiem, że wyruszacie?

Skinęłam głową.

- Tam jest Ash - wymamrotałam. - Ma zabić moją rodzinę, muszę go zatrzymać. - Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na nią stanowczo. - Nie próbuj mnie zatrzymywać.

Leanansidhe westchnęła.

- Mogłabym, skarbie, ale wtedy do niczego byś się nie nadawała. Jeśli jest coś, czego nauczyłam się na temat ludzi, to to, że zupełnie tracą rozsądek, gdy chodzi o rodzinę.

Pociągnęła nosem i machnęła ręką.

- To leć, kochana. Uratuj matkę, ojca i brata, i miej to z głowy. Gdy wrócicie, moje drzwi będą czekać na was otworem. O ile oczywiście nadal będziemy żyli.

- Księżniczko! - Żelazny Koń otworzył gwałtownie drzwi i dysząc ciężko, wyhamował na środku pokoju. - Czy nic ci nie jest?! Co się stało?!

Rozejrzałam się za swoimi tenisówkami, krzywiąc się, gdy ból przeszył mi ramię jak sztylet.

- Wirus posłała Asha, żeby zabił moją rodzinę - syknęłam, padając na kolana, by zajrzeć pod kanapę. - Muszę go zatrzymać.

- A co z berłem?! - zapytał, gdy wyciągnęłam buty i zaczęłam je wkładać, zaciskając zęby, bo każdy ruch naruszał ranę. - Musimy je odzyskać, nim Wirus je przeniesie! Teraz jest bezbronna, nie będzie się nas spodziewać! Właśnie teraz powinniśmy zaatakować!

- Nie. - Czułam się, jakby rozrywano mnie na sztuki; spróbowałam się opanować. - Przykro mi, Żelazny Koni. Wiem, że musimy odzyskać berło, ale moja rodzina jest dla mnie ważniejsza. Zawsze. Nie oczekuję, że to zrozumiesz.

- Dobrze! - zaskoczył mnie Żelazny Koń. - W takim razie pójdę z tobą!

Spojrzałam na niego zdziwiona, ale nim zdążyłam odpowiedzieć, przerwał mi Grimalkin.

- Ależ cudowny pomysł - odezwał się w zadumie i wskoczył na stół. - I dokładnie to, na co liczy Wirus. Nieźle musieliśmy ją przestraszyć, skoro zareagowała tak drastycznie. Jeśli teraz porzucimy nasz plan, to możliwe, że już nigdy jej nie znajdziemy.

- On ma rację. - Skinęłam głową, ignorując krzywiącego się porucznika. - Musimy się rozdzielić. Żelazny Koni, zostaniesz tu z Grimem. Szukajcie dalej berła i Wirus. Puk i ja podążymy za Ashem. Wrócimy, jak tylko będziemy mogli.

- Nie chcę cię zostawiać samej, księżniczko!- Żelazny Koń uniósł głowę w dumnym, upartym geście. - Przysiągłem cię chronić!

- I zajmowałeś się tym, gdy szukaliśmy berła. Ale teraz to co innego - Wstałam i spojrzałam w jego gorejące czerwone oczy. - To jest osobista sprawa, Żelazny Koni. A twoją misją zawsze było berło. Chcę, abyś został z Grimem. Szukajcie Wirus.

Otworzył usta, aby zaprotestować, a ja wykrzyknęłam:

- To rozkaz!

Buchnął dymem z nozdrzy jak rozjuszony byk i odwrócił się ode mnie.

- Jak sobie życzysz, księżniczko! - odezwał się sztywno, ale ja nie miałam czasu zastanawiać się nad jego uczuciami ani własnym poczuciem winy.

Odwróciłam się do Puka.

- Musimy dostać się szybko do Luizjany. Jak się stąd wychodzi?

Puk spojrzał na Leanansidhe.

- Pewnie nie masz stąd żadnych ścieżek do Luizjany, co, Lea?

- Jest jedna do Nowego Orleanu - odpowiedziała zadumana elfka. - Uwielbiam Mardi Gras¹, skarbie, aczkolwiek Mab co roku skupia na sobie uwagę wszystkich. Jakże to do niej podobne.

- To za daleko. - Nabrałam głęboko powietrza, czując, jak czas przecieka mi przez palce. - Nie ma jakiejś bliższej ścieżki? Muszę natychmiast dostać się do domu.

- Głogi. - Puk strzelił palcami. - Możemy iść przez Głogi. Tamtędy będzie szybko.

Leanansidhe zamrugła.

- Skąd pomysł, że przez Głogi można się dostać do domu dziewczyny, kochany?

Robin prychnął.

- Lea, znam cię świetnie. Nie możesz wypaść z obiegu prawda? Musisz mieć ścieżkę prowadzącą z Głogów do domu Meghan, nawet jeśli nie możesz jej używać. Wiem, że na pewno chciałaś mieć na oku córkę Oberona. Przecież inaczej straciłabyś tyle tematów do plotek.

Królowa Wygnańców skrzywiła się, zupełnie jakby połknęła coś kwaśnego.

- Przyłapałeś mnie na gorącym uczynku. Co prawda nie powiem, żebyś był delikatny. Myślę, że chyba mogę wam pozwolić skorzystać z tej ścieżki, ale później będziesz mi winien przysługę, skarbie.

- Leanansidhe zaciągnęła się i wydmuchała dym z papierosa. - Myślę, że powinnam ci coś policzyć za dopuszczenie cię do mojego największego sekretu. Zwłaszcza że rodzina dziewczyny wcale mnie nie interesuje. Są tacy nudni, poza chłopaczkiem... ten ma potencjał.

- Dobra - rzuciłam. - Masz swoją przysługę. Przynajmniej ode mnie. To co, możemy jej użyć czy nie?

Leanansidhe pstryknęła palcami, a z sufitu sfrunął chochlik Skrae.

- Zaprowadź ich do ścieżki w piwnicy - zarządziła. - I doprowadź do odpowiednich drzwi. Ruszaj.

Skrae skinął główką, podfrunął do mojego ramienia i skrył mi się we włosach.

- Moi szpiedzy będą dalej śledzić poczynania SciCorp - odezwała się Leanansidhe. - Może uda się ustalić, dokąd przenosi się Wirus. Powinnaś ruszać, kochanie.

Wyprostowałam się i spojrzałam na Puka, który skinął głową.

- No to chodźmy. Grim, miej oko na Żelaznego Konia, zgoda? Dopilnuj, żeby sam nie rzucił się na całą armię. Niedługo wrócimy. - Pokręciłam głową, by chochlik przestał ścisnąć mnie za szyję. - Dobrze, Skrae, prowadź.

¹ Mardi Gras (fr.) - tłusty wtorek - dzień przed środą popielcową, w Nowym Orleanie czas obżarstwa i zabawy, festiwali i parad ulicznych (przyp. red.).

18. Blisko lodu.

To podróż przez Głogi była mniej pasjonująca, niż poprzednia. Nie spotkaliśmy żadnych smoków, pajaków, ani żądliwych stworów, ale prawdę mówiąc, pewnie nawet gdybym weszła w ich gniazdo, tobym tego nie zauważyła. Wszystkie myśli zajmowali mi Ash i moja rodzina. Czy on naprawdę mógłby... ich zabić? Ściąć ich z zimną krwią, niewidoczny i niesłyszalny? Co bym wtedy zrobiła?

Przycisnęłam dłoń do twarzy, bezskutecznie próbując hamować łzy. Zabiłabym go. Gdyby w jakikolwiek sposób skrzywdził Ethana albo mamę, sama wbiłabym mu nóż w serce, nawet jeśli bym przy tym wypłakiwała oczy. Nawet mimo tego, że wciąż kochałabym go nad życie.

Otępiąta z przerażenia, walcząc z ogarniającą rozpaczą, nie zauważyłam, że Puk stanął, dopóki na niego nie wpadłam, a on tylko bez słowa mnie przytrzymał. Wreszcie dotarliśmy do końca tunelu. Kilka kroków przed nami, wśród cierni, znajdowały się zwyczajne drewniane drzwi. Rozpoznałam je mimo panujących wśród Głogów ciemności. To była brama, którą tyle miesięcy temu dostałam się do Krainy Magii. To tutaj się wszystko zaczęło, za drzwiami szafy Ethana.

Przed nami Skrae bzyknął po raz ostatni i zawrócił do tunelu, do Leanansidhe, żeby jak podejrzewałam, zdać jej raport. Ja nie mogłam zawrócić. Sięgnęłam do klamki.

- Czekaj! - zawołał Puk.

Odwróciłam się zirytowana, ale w jego oczach ujrzałam ponurą powagę.

- Jesteś na to gotowa, księżniczko? - zapytał miękko - To, co kryje się za tymi drzwiami, nie jest już Ashem. Jeśli mamy ocalić twoją rodzinę, to musimy być przygotowani na wszystko. Możliwe, że będziemy musieli...

- Wiem - przerwałam mu, nie chcąc tego słyszeć. Ścisnęło mi się gardło, a łzy napłynęły do oczu, ale je opanowałam - Wiem. Po prostu... po prostu to zrobimy, dobrze? Gdy go zobaczę, coś wymyślę.

Nim Puk zdążył cokolwiek dodać, otworzyłam gwałtownie drzwi i przez nie przeszłam.

Natychmiast uderzył mnie zapierający dech chłód. Zadrżałam, rozglądając się z przerażeniem wokół, żołądek ścisnął mi się boleśnie i zrobiło mi się niedobrze. Cała sypialnia Ethana była pokryta lodem. Ściany, komoda, półki z książkami. Wszystko tkwiło pod grubą na parę centymetrów, idealnie przezrystą lodową pokrywą. Za oknem była zimna czysta noc, a światło księżycy odbijało się w lodzie.

- O rany - wyszeptał za mną Puk.

- Gdzie Ethan? - jęknęłam i pognałam do jego łóżka.

Przerażająca myśl, że mógłby być uwięziony w lodzie, niezdolny do nabrania tchu, przypawiła mnie o mdłości i prawie zwymiotowałam. Ale łóżko Ethana było puste, a pod lodową skorupą kołdra leżała płasko.

- Gdzie on jest? - wyszeptałam bliska paniki. I wtedy usłyszałam dochodzący spod łóżka cichy, żalospny jęk. Padłam na kolana i zajrzałam pod spód, świadoma, że pod łóżkiem mogą kryć się różne potwory czy boginy. W najdalszym kącie poruszyła się mała drżąca istotka i uniosła prawie całą twarz.

- Meggie?

- Ethan! - Z uczuciem niewysłowionej ulgi sięgnęłam pod łóżko, wyciągnęłam go i przytuliłam mocno. Był taki zimny. Przycisnął do mnie lodowate rączki, drżał jak liść.

- W... wróciłaś - wyszeptał, gdy Puk przeszedł przez pokój i zamknął bezgłośnie drzwi. - Szybko! Musisz uratować mamusię i tatusia.

Zmroziło mnie.

- Co się stało? - zapytałam, obejmując go jedną ręką. a drugą otwierając drzwi, przez które przeszliśmy. Teraz była to zwykła szafa. Wyciągnęłam z niej narzutę, która nie była pokryta lodem, i otuliłam brata, posadziwszy go na zamrożonym łóżku.

- On przyszedł... - wymamrotał Ethan, okręcając się szczelniej kapą. - Ten ciemny ppan. P... Pająk powiedział, że on przyjdzie. Powiedział, żebym się schował.

- Pająk? Kim jest Pająk?

- P... pan spod łóżka.

- Ach tak. - Zmarszczyłam brwi i zaczęłam rozcierać jego zgrabiące dłonie. Dlaczego bogin miałby pomagać Ethanowi? - I co potem?

- Schowałem się, a potem wszystko zamieniło się w lód. - Ethan złapał mnie za rękę i wpatrzył się we mnie wielkimi niebieskimi oczami. - Meggie, mamusia i tatuś wciąż tam są, z nim! Musisz ich uratować. Niech on sobie pójdzie!

- Oczywiście - obiecałam. Czułam w piersi dziki łomot. - Zaraz wszystko naprawimy, Ethanie. Obiecuję.

- Powinien tu zostać - wyszeptał Puk, wyglądając przez uchylone drzwi. - Do licha, wygląda na to, że cały dom jest zamrożony. Ash na pewno tu jest.

Skinęłam głową. Za nic nie chciałam zostawiać Ethana samego, ale nie mogłam pozwolić, żeby oglądał to, co się zaraz wydarzy.

- Zostań tutaj - powiedziałam mu, głaszcząc go po kręconych włoskach. - Zostań w pokoju, dopóki po ciebie nie przyjdę. Zamknij drzwi i nie wychodź pod żadnym pozorem, dobrze?

Ethan pociągnął nosem i zagrzebał się głębiej w kapie. Serce podchodziło mi do gardła, gdy odwróciłam się do Puka.

- Dobrze - wyszeptałam. - Chodźmy poszukać Asha.

Zeszliśmy cicho po schodach. Puk przodem, a ja za nim, ściskając kurczowo poręcz, bo schody były śliskie i zdradzieckie. W domu panowała upiorna cisza. Zamienił się w zupełnie mi obcy kryształowy pałac, tak zimny, że aż bolały mnie płuca, a palce piekły, gdy łąpałam poręcz.

Dotarliśmy do pogrążonego w mroku salonu, jeśli nie liczyć mrugającego światła płynącego z rozregulowanego telewizora. Nad oparciem kanapy, na tle ekranu ujrzałam głowy mamy i Luke'a. Byli wtuleni w siebie, jakby spali, cali pokryci lodem, jak wszystko wokół. Serce mi zamarło.

- Mamo!

Ruszyłam do przodu, ale Puk złapał mnie za rękę i przytrzymał. Prychnęłam i odwróciłam się, żeby mu się wyrwać, gdy ujrzałam jego minę. Patrzył ponuro i zacisnął mocno szczękę. Pociągnął mnie za siebie, a w jego rękę pojawił się sztylet. Drżąc, wyrzuciłam ponownie do salonu i w tym momencie z cienia wynurzył się Ash z mieczem w dłoni. W surowym niebieskim świetle wyglądał okropnie. Miał spękaną skórę na policzkach i zapadnięte oczodoły. Na dłoniach i ramionach pojawiły się kolejne rany, wokół których skóra poczerniała, jakby była spalona i martwa. Gdy się w nas wpatrywał, jego srebrne oczy błyszczały bólem i szaleństwem. Był zabójcą w każdym calu, ale nie czułam przed nim lęku. Tylko żal, okropny, rozrywający duszę ból, bo wiedziałam, że bez względu na to, co się stanie, muszę pozwolić mu umrzeć. Jeśli chciałam uratować rodzinę, musiałam się zgodzić na to, by Puk zabił jego. Tej nocy. W moim salonie. Pohamowałam płacz i ruszyłam do przodu, nie zwracając uwagi na to, że Puk próbuje mnie zatrzymać. Nie odrywałam wzroku od mrocznego księcia stojącego po drugiej stronie pokoju.

- Ash - wyszeptałam, gdy odwrócił się do mnie. Śledził każdy mój ruch. - Czy ty w ogóle mnie słyszysz? Proszę, powiedz cokolwiek. Bo inaczej Puk będzie musiał... - Przełknęłam z trudem, gdyż dalej wpatrywał się we mnie obojętnie. - Ash, nie pozwolę ci skrzywdzić mojej rodziny. Ale ciebie też nie chcę stracić.

Łzy napłynęły mi do oczu. Spojrzałam na niego z rozpaczą.

- Proszę, powiedz, że możesz to zwalczyć, proszę...

- Zabij mnie.

Wpatrywałam się w niego, wstrzymując oddech. Stał nieruchomo, mięśnie twarzy miał napięte, jakby próbował coś powiedzieć.

- Ja... nie potrafię tego zwalczyć - wydusił, zamykając w skupieniu oczy. Ręce mu się zatrzęsły i złapał mocniej miecz. - Musisz mnie... zabić... Meghan. Ja... nie mogę się opanować...

- Ash...

Otworzył oczy, znów pozbawione wyrazu.

- Odejdź! Już!

Puk odepchnął mnie, gdy Ash przeskoczył pokój, zataczając mieczem szafirowy łuk. Padłam na podłogę, krzywiąc się, bo lód zdarł mi skórę z rąk i potłukłam sobie kolana. Oparta o ścianę obserwowałam, jak obaj walczą pośrodku pokoju. Zmartwiałam. Straciłam Asha, nie byłam w stanie go ocalić. A co gorsza, lada chwila jeden z nich zginie. Jeśli zwycięży Puk, to Ash zostanie zabity. Ale jeśli to Ash wygra, stracę wszystko, nawet własne życie. Pewnie należało trzymać stronę Puka, ale przepelniająca mnie lodowata rozpacz sprawiła, że nie czułam nic.

Gdy księżę uskoczył przed wyprowadzoną w górę flintą, na potylicy pod jego włosami coś zabłysło. Podniosłam się na nogi, wyteżyłam wzrok i wszystkie inne zmysły, wpatrując się w ten punkt. U

szczytu kręgosłupa Asha lśniła malutka iskierka zimnego żelaznego uroku. Aż jęknęłam. To było to! Robak który go kontrolował, a w końcu miał zabić.

Książę jakby wyczuł moje myśli, bo zawirował i spojrzał w moją stronę. Puk skierował cios w jego plecy, ale on odwrócił się gwałtownie, odparował cios i pchnął mieczem. Puk uchylił się gwałtownie, ale nie dość szybko i lodowa głównia wbiła się głęboko w jego ramię. Krzyknęłam. Zatoczył się, krzywiąc z bólu. a na jego koszuli wykwitła plama krwi.

Książę rzucił się na mnie, a ja zamarłam z dziko bijącym sercem Dzięki temu, że tyle razy widziałam go w boju, wiedziałam teraz, czego mniej więcej mogę się spodziewać Gdy ciął mieczem w kierunku mojej głowy, rzuciłam się naprzód. Za sobą usłyszałam zgrzyt ostrza o lód. Odtoczyłam się i spojrzałam za siebie. Widząc zbliżającą się klingę, rzuciłam się w bok, ledwo unikając ciosu. Miecz wbił się w lód na podłodze i obsypał mnie szklanymi okruchami. Uderzyłam w ścianę, a gdy się odwróciłam, stał nade mną Ash z wysoko uniesionym mieczem Nie było sposobu ucieczki. Spojrzałam mu w twarz i zobaczyłam jak zaciska usta, a gdy popatrzył mi w oczy, ręka mu zadrżała Przez ułamek sekundy wahał się, a potem przymknął powieki

I w tym momencie, nie wiadomo skąd, pojawił się Puk i krzywiąc się, wbił mu sztylet w pierś.

Czas zamarł. Krzyk u wiął mi w gardle, gdy ci dwaj wpatrywali się w siebie; ramiona Puka unosiły się i opadały w rytm oddechu lub łkania, nie byłam pewna. Przez chwilę stali tak w makabrycznym uścisku, aż Puk jęknął i cofnął się, wyrywając sztylet w fontannie krwi. Miecz wypadł Ashowi z ręki, upadając z brzękiem, który odbił się echem po domu.

Książę zachwiał się, utrzymywał się chwilę na nogach, obejmując rękami brzuch. Zatoczył się, oparł o ścianę, a ciemna krew zaczęła skapywać na lód, tworząc kałużę. Gdy w końcu odzyskałam głos i wykrzyczałam jego imię. Ash uniósł głowę i postąpił mi słaby uśmiech. A potem srebrne oczy zaszyły mgłą jak słońce ginące za chmurą i padł na ziemię.

19. Choroba.

Ash!

Ruszyłam naprzód, odpychając Puka z drogi. Ten zatoczył się, zupełnie jak w transie. Okrwawiony sztylet zwiślał mu bezwładnie ręką. Nie zwracając na niego uwagi, rzuciłam się do księcia.

- Nie podchodź! - wykrzyknął z trudem, rozpaczliwie. Dźwignął się na kolana, wciąż obejmując brzuch, z trudem łapiąc oddech. Stał w kałuży krwi. Uniósł głowę, oczy błyszczały mu z bólu.

- Nie podchodź, Meghan - wyrzeźił, a z ust pociekła mu strużka krwi. - Wciąż mógłbym... wciąż mógłbym cię zabić. Zostaw mnie. - Skrzywił się i zamykając oczy, dotknął tyłu czaszki. - Wciąż to... czuję - wycharczał z drżeniem. - Jest teraz... w szoku, ale znów... robi się mocniejsze.

Jęknął, zaciskając z bólu zęby.

- Cholera. Koleżko. Mogłeś to zrobić czysto. Pospiesz się i skończ z tym.

- Nie! - krzyknęłam, rzucając się do niego.

Odsunął się ode mnie, a ja złapałam go za ramię. To było jak dotknięcie płotu pod napięciem, tylko bez szoku. Poczułam, jak od Asha bije ostry metaliczny urok, szumi mi w uszach i porusza moje zmysły. Coś we mnie odpowiedziało, jak przyływ pod skórą, popłynęło do koniuszków palców i nagle wszystko stało się znacznie jaśniejsze. Tak jak magiczny urok to czyste emocje i namiętności, ten był ich pozbawiony, logiczny, wyrachowany, beznamiętny. Poczułam, jak cały strach, przerażenie i rozpacz znikają. Odbierałam teraz Asha zupełnie inaczej. To było dziwne, ale nie wiedziałam, jak mam się zachować, co robić.

- Meghan, uciekaj - odezwał się zduszonym głosem Ash i to było ostatnie ostrzeżenie, bo jego oczy znów zaszyły mgłą, a ręce oplotły się wokół mojego gardła, odcinając dopływ powietrza. Jęknęłam i złapałam kurczowo jego palce, wpatrując się w te puste oczy, gdy w mojej głowie rozległ się ostry, nieludzki głos:

Zabij.

Próbowałam złapać powietrze, opanować się. skupić na tym zimnym beznamiętnym uroku, który szumiał mi pod skórą. Gdy spojrzałam w jego oczy, widziałam robaka, wpatzonego we mnie z nienawiścią. Widziałam jego zaokrąglone, przypominające kleszcza ciało, przyssane u szczytu kręgosłupa Asha. metalowego pasożyta, który go zabijał. Słyszałam go i wiedziałam, że on też może mnie usłyszeć.

- Meghan! - Puk złapał leżący na lodzie miecz i uniósł nad głowę.

- Puk, nie! - Mój głos był ochrypliwy, ale spokojny. Walczyłam o oddech i poczułam, że chwyt na gardle odrobinę słabnie. Książkę zamknął oczy, zrywając mój kontakt z robakiem, ale wciąż czułam wokół żelazny urok. Ze ściągniętą w skupieniu twarzą, zlany potem, walczył z rozkazami pasożyta.

- Zrób to - jęknął, a ja uświadomiłam sobie, że mówi do Puka, nie do mnie.

- Nie! - Spojrzałam w oczy rozdartego uczuciami przyjaciela i ujrzałam, że miecz zadrżał mu w dłoni, gdy skierował go przeciwko Ashowi. - Puk, nie! Uwierz mi!

Zaczynało mi się mienić przed oczami. Nie zostało wiele czasu. Modląc się o to, by Puk wahał się jeszcze chwilę, odwróciłam się znów do księcia i położyłam mu dłoń na policzku.

- Ash... - odezwałam się, licząc, że mój zduszony głos do niego dotrze. - Spójrz na mnie, proszę.

W pierwszej chwili nie zareagował. Palce mu drżały, gdy walczył z pragnieniem rozgniecia mi przelyku. Gdy w końcu uniósł wzrok, na jego twarzy malowały się dziki ból, przerażenie, cierpienie. Ale w głębi, za jego przepelnionymi udręką oczami, widziałam, jak dręczy go pasożyt. Naprzeciw niego wysłała moja wola, a wokół nas wirował żelazny urok. Ukształtowałam urok w rozkaz i posłałam go do metalowego robaka.

„Puść go” nakazałam, wkładając w te słowa tyle siły, ile tylko zdołałam.

Zabzyczał dziko i wbił się mocniej, aż Ash zawył. Zwiększył ucisk na moim gardle, zgniatając tchawicę i przyprowadzając mnie oślepiający ból. Osunęłam się, z trudem zachowując przytomność. Ciemniało mi przed oczami.

„Nie!” - powiedziała robakowi. „Nie przegram z tobą Nie oddam go! Puszczaj!”

Robak syknął ponownie... i rozluźnił uścisk, cały czas ze mną walcząc. Położyłam drżącą dłoń na klatce piersiowej Asha, na sercu, i poczułam, jak bije gwałtownie. Ash znów zwiększył uścisk, a mnie jeszcze bardziej pociemniało w oczach.

„Wynoś się!” - wrzasnęłam ostatkiem sił. „Wynoś się z niego natychmiast!”

Coś zgrzytnęło, błysnęło światło, a Ash zadrżał i odrzucił mnie od siebie. Padając na zimną podłogę, uderzyłam głową o lód i ogarnęła mnie ciemność. Walcząc z omdleniem, ujrzałam błysk, coś małego i metalowego poleciało w stronę sufitu, a Ash wpatrywał się przerażony w swoje dłonie. Metalowa błyskotka unosiła się chwilę w powietrzu, po czym ze wściekłym bzyčeniem zapikowała w moją stronę.

Puk wyciągnął rękę, złapał robaka w powietrzu i rzucił na podłogę. Przez moment metalowy pasożyt leżał na lodzie, a polem Robin rozmiądzzył go obcasem.

Podniosłam się z trudem. Dyszałam ciężko, czekając, aż wszystko wokół przestanie się kręcić. Puk ukląkł przy mnie. jedno ramię zalane miał krwią i cały był spięty z niepokoju.

- Meghan. - Poglaskał mnie gwałtownie po policzku. - Odezwij się. Wszystko w porządku?

Skinęłam głową.

- Chyba tak... - Głos miałam ochryply, a gardło piekło mnie tak, jakbym próbowała przełknąć garść żyłek. Coś zimnego i mokrego kapnęło mi na kolano. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że to sufit zaczynał pękać i się topić.

- Gdzie Ash?

Puk odsunął się z ponurą miną

Książę leżał w kącie, oparty o ścianę, z opuszczoną głową, jedną ręką ściskając wciąż krwawiące zebra. Miał otwarte oczy i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w podłogę. Z sercem podchodzącym do gardła podeszłam do niego ostrożnie i ukląknęłam obok, a on nieco odsunął się ode mnie.

- Ash. - Mój lęk o niego, o Ethana i moją rodzinę ściskał mi żołądek. Pragnęłam mu pomóc, ale wizja mamy i Luke'a zamrożonych na kanapie przepelniała mnie strachem i smutkiem. Jeśli książę ich skrzywdził, jeśli oni są... nigdy mu tego nie wybaczę

- Moja mama - zaczęłam, wpatrując się w niego. - Mój ojczym. Czy... czy ty...?

Pokręcił ostrożnie głową, w ciemnościach ledwo dostrzegłam ten ruch.

- Nie - wyszeptał, nie patrząc na mnie. Mówił bezbarwnym tonem. - Oni tylko... śpią. Gdy lód się stopi, nic im nie będzie, nie będą pamiętali, co się stało.

Zalała mnie fala ulgi. co prawda na krótko. Wyciągnęłam rękę, by dotknąć jego ramienia, ale odsunął się ode mnie tak. jakbym chciała go ugryźć.

- Co ze mną teraz zrobicie? - wyszeptał.

Padł na nas cień Puka. Uniosłam głowę i ujrzałam, że stoi, wpatrując się z ponurą, przerażającą wręcz miną w trzymany w ręku miecz Asha. Przez moment bałam się, że Puk go zabije, ale ten tylko rzucił broń do jego stóp i się odwrócił.

- Dasz radę iść, książę?

Ash skinął, nie podnosząc głowy. Puk powoli pomógł mi wstać i odsunął mnie na bok.

- Zajmę się Ashem, księżniczko - wyszeptał, unosząc dłonie, by uciszyć moje protesty. - Może zanim wyruszymy, sprawdzisz, jak się czuje twój brat?

- Wyruszymy? Dokąd?

- Myślę, że Ash potrzebuje uzdrowiciela, Meghan. - Robin rzucił okiem na księcia i się skrzywił. - Ja na pewno bym potrzebował, gdyby mi w głowę wpakowali metalowego robala. Pewnie nieźle tam narozrabiał. Na szczęście znam uzdrowiciela, który mieszka nieopodal, ale powinniśmy natychmiast wyruszyć.

Spojrzałam na mamę i Luke'a, z których powoli skapywała woda. i poczułam okropną tęsknotę. Brakowało mi ich, a nie miałam pojęcia, kiedy znów ich zobaczę.

- Nie możemy zostać chwilę dłużej?

- A co byś im powiedziała, księżniczko? - Puk posłał mi na wpół zirytowane, na wpół współczujące spojrzenie. - Prawdę? Że książę elfów zamroził ich dom, by ściągnąć cię tutaj i zabić?

Pokręcił głową. Miał rację, mimo że w tej chwili nie cierpiałam go za tę logikę.

- Poza tym musimy zabrać jego lodową wysokość do uzdrowiciela, i to szybko. Wierz mi, lepiej będzie, jeśli twoi rodzice nie dowiedzą się o tej wizycie.

Posłałam im ostatnie spojrzenie i potaknęłam.

- Racja - westchnęłam. - Mnie tu wcale nie było. Przynajmniej pożegnaj się z Ethanem.

Wchodząc na schody, czułam się okropnie staro. Raz spojrzałam za siebie. Puk kucał przed mrocznym księciem, mówiąc coś, ale Ash patrzył wprost na mnie, a oczy lśniły mu w mroku. Przygryzłam wargę i podeszłam do Ethana.

Wciąż okryty kapą stał w korytarzu i wyglądał przez barierki na dół.

- Ethan! - syknęłam, gdy spojrział na mnie wielkimi błękitnymi oczami. - Co ty tu robisz? Mówiłam, że masz zostać w swoim pokoju.

- A gdzie mamusia i tatuś? - zapytał, gdy go podniosłam zabrałam z powrotem do pokoju. - Kazałaś złemu panu sobie pójść?

- Nic im nie będzie - odparłam z ulgą. - Ash ich nie skrzywił, a lód niedługo się roztopi i wszystko będzie jak zawsze.

Ale pewnie będą się zastanawiać, czemu cały dom jest mokry. Lód topił się szybko. W drodze do sypialni mojego brata musiałam ominąć kilka kałuż.

Ethan skinął głową i wpatrywał się we mnie poważnie, gdy posadziłam go na łóżku.

- Znow odchodzisz, prawda? - zapytał rzeczowo, ale wargi mu drżały i pociągnął nosem, hamując łzy. - Nie wróciłaś, żeby ze mną zostać.

Westchnęłam i usiadłam obok niego na zamarzniętym łóżku.

- Jeszcze nie - wyszeptalam, gładząc go po włosach. - Chciałabym. Naprawdę, ale... - Maled pociągnął nosem, a ja przytuliłam go mocno. - Przepraszam - wyszeptalam. - Jest jeszcze kilka spraw, którymi muszę się zająć.

- Nie! - Ethan złapał mnie kurczowo i ukrył twarz w moim boku. - Nie możesz znow odejść. Nie zabiorą cię znowu. Nie pozwolę im.

- Ethan...

- Ksssieżniczko. - Coś z ciemności pod łóżkiem wyciągnęło szpony i złapało mnie za kostkę. Krzyknęłam i natychmiast podciągnęłam nogi na łóżko, a Ethan wrzasnął przestraszony.

- Cholerny bogin! - Po tym krzyku moje obolałe gardło piekło straszliwie, jakbym jeszcze nie dość musiała znosić. Zeskoczyłam z łóżka, podbiegłam do komody Ethana i złapałam latarkę, która wciąż na niej stała. Boginy nienawidziły światła, a biały snop z latarki sprawiał, że uciekały w popłochu. - Nie jestem w nastroju na takie zabawy - zaskrzeczałam i włączyłam latarkę. - Masz trzy sekundy na ucieczkę albo cię do tego zmuszę.

- Meggie. - Ethan zeskoczył z łóżka, podszedł do mnie i złapał mnie za rękę. - Nie złość się. To tylko Pająk. On jest moim przyjacielem.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Od kiedy to boginy zawierały przyjaźnie z dziećmi, zamiast je straszyć? Nie wierzyłam w to, ale spod łóżka dobiegł cichy syk i spojrzało na mnie dwoje żółtych oczu.

- Nie obawiaj się, ksssieżniczko - wyszeptał bogiń, czujnie obserwując latarkę. - Jestem tutaj z rozkazu. Książę Asssh kazał nam pilnować tego domu. Jessst pod ochroną Mrocznego Dworu.

- Ash tak nakazał? Kiedy?

- Zanim przybył dopełnić z tobą umowy, ksssieżniczko. Zanim wróciłaś z nim do Tir Na Nog. - Stwór podpełzł do brzegu łóżka, tuż poza obrębem światła. - Dziecku nic nie grozi... - zachrypiął - ani jego rodzicom, chociaż oni nie wiedzą, że tu jesssteśmy. Mamy rozkaz chronić ten dom i nie psssocić tym, którzy w nim mieszkają.

- Wieczorem słucham jego opowieści. - Ethan spojrział na mnie. - Są bardzo straszne, ale nic nie szkodzi. A czasami w ogródku jest czarny kucyk i mały ludzik w piwnicy. Ale mamusia i tatuś ich nie widzą.

Zamknęłam oczy. Wizja tylu mrocznych stworzeń pod moim dachem wcale mnie nie uspokoiła, nawet jeśli jeden z nich twierdził, że chronią moją rodzinę.

- Skąd wiedziałeś o Ashu? - zapytałam w końcu.

- Wyczułem, że zbliża sssię żelazny ssstwór, i wiedziałem, że przynajmniej chłopca muszę ochronić - mówił dalej Pająk, nieświadomy moich sprzecznych odczuć. - Wciągnąłem go pod łóżko, żeby go lepiej ukryć. Jakie było moje zassskoczenie, gdy okazało się, że to sam ksssieżę Asssh atakuje dom. Musssiał być opętany, a może to był żelazny ssstwór przebrany za ksssięcia. Ale ssspełniałem rozkazy i uchroniłem chłopca.

- No cóż, jestem ci za to wdzięczna - wyszeptałam. A potem przyszło mi coś do głowy, o co właściwie nie miałam pytać, ale nie mogłam się powstrzymać. - Czy... moi rodzice... wspominają mnie czasem? Rozmawiają o mnie, zastanawiają się, co się ze mną dzieje?

- Nic nie wiem o dorossłych, kssiężniczko.

To nie miało właściwie znaczenia, ale nagle zapragnęłam się dowiedzieć. Czy nadal byłam częścią rodziny, czy tylko dawno zapomnianym wspomnieniem? Jak mogłam to ustalić, nie pytając mamy ani Luke'a? Strzeliłam palcami. Mój pokój. Rozmyślnie wcześniej do niego nie poszłam, niepewna, czy mogłabym się pogodzić z tym, że został zamieniony w gabinet albo pokój gościnny, co byłoby dowodem na to, że mama o mnie zapomniała. Ale teraz wzięłam Ethana za rękę i poszłam korytarzem do drzwi mojego pokoju, za nami ciągnął się kocyk. Otworzyłam drzwi.

Było tak samo, jak pamiętałam. Wszystko pokrywał lód, nadając znajomemu widokowi jakąś obcość. Gdy weszłam do środka, poczułam gulę w gardle. Nic się nie zmieniło. Stary pluszowy miś. którego dostałam kiedyś na urodziny, siedział na moim łóżku. Na ścianach wciąż wisiały plakaty mang Naruto i Escaflowne. Przeciągnęłam ręką po komodzie, przyglądając się fotografiom stojącym pośród rozsypanych płyt CD, które teraz pewnie już do niczego się nie nadawały. Zdjęcia moje, mamy i Ethana. Jedno zdjęcie rodzinne z Lukiem. Fotografia przedstawiająca mnie i Beau, naszego starego wilczura, kiedy był jeszcze szczeniakiem. I mała, oprawiona w ramki fotografia na szafce nocnej, której nie pamiętałam. Marszcząc brwi, wyrwałam ją z lodu i przyjrzałam się jej uważnie. Na fotografii byłam ja, mniej więcej w wieku Ethana, i jakiś nieznany mi mężczyzna o krótkich brązowych włosach i krzywym uśmiechu, który trzymał mnie za rękę.

- O Boże... - wyszeptałam.

Nogi się pode mną ugięły i usiadłam na łóżku, nie zwracając uwagi na wodę ani na lodową breję. Ethan stanął na palcach i przyjrzał się zdjęciu.

- Kto to? - wyszeptał.

W drzwiach stanął Puk. Koszulę i rękę miał całe we krwi.

- Księżniczko? Ash mówi, że na zewnątrz jest wodny źrebiec, który może nas podwieźć do uzdrowiciela. - Zamilkł na widok wyrazu mojej twarzy. - Co się stało?

Uniosłam zdjęcie.

- Poznajesz go?

Robbie zmrugał oczy, przyglądając się zdjęciu, a potem otworzył je szeroko z zaskoczenia.

- Rany - wyszeptał. - To przecież Charles.

Skinęłam słabo głową.

- Charles - wyszeptałam, znów wpatrując się w fotografię. - Nawet nie wiem, kto to jest. Nie wiem, jak mogłam go nie rozpoznać...

Zamilkłam, przypomniawszy sobie starą kobietę, która grzebała w moim umyśle, rozrzucając wspomnienia jak liście, szukając tego, które jej się spodobało. Gdy rozpoczęliśmy poszukiwania Ethana i Żelaznego Króla, zwróciliśmy się do żyjącej w Nowym Orleanie starożytnej wyroczni, by pomogła nam odnaleźć kryjówkę Machiny. Wyrocznia zgodziła się nam pomóc... w zamian za jedno z moich wspomnień. Do tej pory nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Na tym polegała wymiana, prawda? - rzuciłam gorzko, patrząc na Puka. - Cena, jaką wyrocznia wyznaczyła za pomoc. To właśnie to wspomnienie zabrała.

Puk nie odpowiedział. Westchnęłam, wpatrując się w fotografię i pokręciłam głową.

- Kim on jest? - zapytałam.

- Był twoim ojcem - wyszeptał Puk. - A przynajmniej człowiekiem, którego uważałaś za ojca. Zanim tu przybyłaś, a twoja mama poznała Luke'a. Zniknął, gdy miałaś sześć lat.

Nie mogłam oderwać wzroku od tego dziwnego zdjęcia. Od mężczyzny, który trzymał mnie tak beztrząsco za rękę, od nas obojga uśmiechających się do aparatu.

- Wiedziałaś, kim on jest - wyszeptałam, nie podnosząc głowy. - Wiedziałaś, kim jest Charles, prawda? Przez cały ten czas, gdy byliśmy u Leanansidhe, wiedziałaś. - Puk nie odpowiedział, a ja wreszcie oderwałam wzrok od fotografii i spojrzałam na niego wściekła. - Czemu mi nie powiedziałeś?

- A co byś zrobiła, księżniczko? - Złożył ramiona na piersi i też na mnie spojrzał, nieskruszony. - Zawarła umowę z Leanansidhe? Zabrała go do domu, tak jakby nic się nie stało? Myślisz, że twoja mama bez zastanowienia przyjąłaby go z powrotem?

Oczywiście, że nie. Miała teraz Luke'a i Ethana. Nic by się nie zmieniło, nawet gdyby udało mi się sprowadzić Charlesa do domu. A najgorsze było to, że nie mogłam sobie przypomnieć, czemu tego pragnęłam.

W głowie mi huczało. Tonęłam w powodzi sprzecznych emocji, świat przewrócił mi się do góry nogami.

Wstrząs związany z odkryciem. Poczucie winy, że nie rozpoznałam pierwszego męża mojej matki, mężczyzny, który mnie wychowywał, gdy byłam dzieckiem, a co gorsza, niczego o nim nie pamiętałam. Był dla mnie jak obcy spotkany na ulicy. Wściekłość na Puka. Wiedział wszystko od początku, ale z rozmysłem nic mi nie powiedział. Złość na Leanansidhe. Co ona robi z moim tatą? Jak on się tam w ogóle dostał? I jak miałam go stamtąd wyciągnąć? Czy w ogóle tego chciałam?

- Księżniczko... - Głos Puka wyrwał mnie z transu. Rzuciłam mu wściekle spojrzenie, a on odpowiedział słabym uśmiechem. - Przerażające. Będziesz mnie mogła rozzerwać na strzępy później. Jego lodowa wysokość nie wygląda najlepiej. Musimy go natychmiast przetransportować do uzdrowiciela.

Ethan pociągnął nosem i złapał mnie za nogę, zdecydowany mnie nie puścić.

- Nie! - zapłakał. - Nie, ona nigdzie nie pójdzie! Nie! Spojrzałam bezradnie na Puka, rozdarta wewnętrznie. Miałam ochotę krzyknąć.

- Nie mogę go zostawić samego.

- Nie będzie sssam, ksssiężniczko - spod łóżka odezwał się Pająk. - Będziemy go chronić do upadłego, zgodnie z rozkazem.

- Możesz mi to przyrzec?

- Jak sssobie życzysssz - zasyczał cicho. - My troje z Mrocznego Dworu, bogiń, wodny żrebiec i piecuch przyrzekamy opiekować się chłopcem Chasse'ów, aż nakaże nam inaczej jego wyssokość ksssiężę Asssh albo sssama królowa Mab.

Nadal nie byłam tym zachwycona, ale nie mogłam liczyć na więcej. Gdy magiczne stworzenie wypowie słowo „przyrzekam”, to wiązuje się nierozzerwalną przysięgą. Ale Ethan dalej płakał i ścisnął moją nogę.

- Nie! - wykrzyknął znowu, na najlepszej drodze do rzadkiego w jego przypadku, ale potężnego napadu hysterii. - Nie odejdiesz! Nie!

Puk westchnął, położył delikatnie rękę na głowie chłopca i wyszeptał coś pod nosem. W powietrzu zadrażał urok, a Ethan osunął się na ziemię, milknąc w pół słowa.

Zaniepokojona wzięłam go na ręce. ale okazało się, że po prostu zasnął. Robbie uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę musiałeś tak zrobić? - zapytałam, opatulając Ethana w koc i niosąc do jego pokoju.

- No cóż, mogłem go uśpić albo zamienić na kilka godzin w królika. - Puk nie zamierzał wyrazić skruchy. - A nie sądzę, by twoi rodzice byli tym zachwyceni.

Z sufitu kapła lodowata woda, ściekała po ścianach, wsiąkała w pluszowe zabawki.

- Nie da rady - jęknęłam. - Nie mogę go tu zostawić samego, nawet jeśli śpi. Zamarznie!

Jakby na rozkaz otwały się drzwi do szafy, ciepłej, ciemnej, a co najważniejsze, suchej.

- No, księżniczko, decyduj się - popędził mnie Puk, kiedy się zawahałam. - Nie mamy wiele czasu.

Ociągając się, ułożyłam malca w szafie i opatuliłam jeszcze kilkoma kocami, by było mu wygodnie. Wciąż spał mocno, oddychając głęboko i nawet nie drgnął, gdy go przykrywałam.

- Lepiej dobrze się nim opiekujcie - wyszeptałam do okalających mnie ciemności, wiedząc, że mnie słuchają.

Jeszcze raz pogłaskałam brata po włosach i w końcu wstałam, i poszłam za Pukiem na dół.

- Mam nadzieję, że Ash nie będzie zły, jeśli wyniesiemy go na zewnątrz - wymamrotał Puk, gdy schodziliśmy po schodach. Co chwilę kapła na nas woda. - Pocerowałem go najlepiej, jak umiałem, ale nie sądzę, aby mógł daleko... - Zamilkł, gdy dotarliśmy do zamarzniętego salonu.

Drzwi wejściowe zgrzytały cicho, z zewnątrz wpadał przez nie snop światła, a księcia nigdzie nie było widać.

Przebiegłam przez pokój, ślizgając się na lodowej brei i wypadłam na ganek. Ujrzałam szczupłą sylwetkę. Ash szedł cicho przez ogródek, chwiejąc się i obejmując jedną ręką w pasie. Na skraju lasu, ledwo widoczny w ciemnościach, czekał na niego mały czarny konik o pałających czerwieni oczach.

Zeskoczyłam ze schodów i pognałam przez ogród, aż dudniło mi w uszach.

- Ash! - krzyknęłam, rzucając się naprzód.
Złapałam go za ramię, a on skrzywił się i próbował wyrwać, ale z wysiłku prawie osunął się na ziemię.

- Czekaj! Dokąd idziesz?

- Po berło - odezwał się głucho. Znów próbował się wyrwać, ale trzymałam go mocno. - Puść mnie. Meghan. Muszę to zrobić

- Nieprawda! Nie w tym stanie. - Ogarnęła mnie czarna rozpacz i z trudem hamowałam łzy. - Co ty sobie wyobrażasz? Nie możesz im się samotnie przeciwstawić Zabiją cię.

Nie drgnął nawet, ani by zaprzeczyć, ani by mnie odtrącić, co tylko bardziej mnie zdenerwowało.

- Czemu to robisz? - wyszeptalam. - Dlaczego nie dajesz sobie pomóc?

- Meghan, proszę. - Jego głos brzmiał tak, jakby ostatkiem sił nad sobą panował. - Puść mnie. Nie mogę tu zostać. Nie po tym... - Zadrżał i nabrał gwałtownie powietrza. - Nie po tym, co zrobiłem.

- To nie byłeś ty. - Puściłam go i stanęłam mu naprzeciw, zagrządzając drogę.

Nie chciał mi spojrzeć w oczy. Zebrałam się na odwagę, podeszłam bliżej i delikatnie obróciłam jego głowę tak, by na mnie popatrzył.

- Ash, to nie byłeś ty. Przystań się obwiniać. Nie miałeś nad tym kontroli. To ona jest za to odpowiedzialna.

W jego srebrnych oczach widziałam udrękę.

- To nie usprawiedliwia tego, co zrobiłem.

- Nie. - Drgnął i próbował się odsunąć, ale trzymałam go mocno. - Ale nie oznacza też, że masz postradać życie z poczucia winy. Co by to dało?

Spojrzał na mnie poważnie. Nie mogłam nic wyczytać z razu jego twarzy. Z tęsknoty aż mnie dusiło. Pragnęłam zarzucić mu ręce na szyję i przytulić go mocno, ale wiedziałam, że się na to nie zgodzi.

- Wirus wciąż tam jest - mówiłam dalej, wpatrując mu się w oczy. - A teraz mamy naprawdę szansę odzyskać berło. Ale tym razem musimy to zrobić razem. Zgoda?

Spojrzał na mnie z uwagą.

- Czy to kolejny układ?

- Nie - wyszeptalam zaskoczona. - Nie zrobiłabym ci tego ponownie.

Wciąż milczał, wpatrując się we mnie, a ja go w końcu puściłam. Serce ścisnęło mi się z rozpacz.

- Ash, jeśli naprawdę chcesz odejść, to cię nie zatrzymam.

- Zgadza się.

Zamrugalam zaskoczona.

- Zgadzasz się? Na co?

- Na warunki tego układu. - Skłonił głowę i mówił dalej stanowczym i ponurym tonem: - Będę cię wspierał, aż odzyskamy berło i zwrócimy je na Zimowy Dwór. Będę z tobą dopóty, dopóki te warunki nie zostaną spełnione. Przyrzekam.

- Czy tylko to ma dla ciebie znaczenie? Umowa?

- Meghan... - Spojrzał na mnie prosząco. - Pozwól mi to zrobić Tylko ten sposób przychodzi mi na myśl, by spłacić mój dług

- Ale...

- Skończyliście? - Obok nas pojawił się Puk i nim zdążyłam zareagować, zarzucił mi rękę na szyję.

Ash zeszywniał, cofnął się i spojrział na nas zimno. Puk spojrział nad jego ramieniem na stojącego wśród drzew wodnego żrebca i uniósł brew.

- Wygląda na to, że to nasz środek transportu.

Czarny konik położył uszy po sobie, uniósł wargi w bardzo niekońskim prychnięciu, wyszczerzył na nas żółte klockowate zęby. Robbie zachichotał.

- Wygląda na to, że twój pupilek za mną nie przepada, wasza wysokość. Chyba sam pojedziesz do tego uzdrowiciela.

- Ja z nim wsiądę - odezwałam się szybko, wyplątując się z uścisku Puka. Zamrugał zdziwiony i skrzywił się, gdy odciągnęłam go na bok. - Ash ledwo stoi na nogach - wyszeptalam patrząc na niego groźnie. - Ktoś musi przy nim być. Chcę tylko mieć pewność, że nam gdzieś nie ucieknie.

Puk posłał mi ten swój irytujący uśmiezek.

- Jasne, księżniczko. Jak sobie życzysz.

Pohamowałam chęć, by go uderzyć.

- Po prostu doprowadź nas do uzdrowiciela.

Przewrócił oczami i odmaszerował, rzucając Ashowi ponure spojrzenie. Książę bez słowa obserwował, jak odchodzi, z jakimś dziwnie pustym wyrazem twarzy. A potem odwrócił się i pokuśtykał do żrebca, który zgiął przednie nogi i ukląkł, aby jeździec mógł na niego bez kłopotu wsiąść. Z pewnym niepokojem podeszłam do magicznego kuca, który zarzucił głową i zaczął zamiatać postrzępionym ogonem, ale na szczęście nie stanął dęba ani nie próbował gryźć. Ale też nie ukląkł przede mną i musiałam się trochę natrudzić, by nań wsiąść. Gdy usiadłam za Ashem, objęłam go w pasie. Na chwilę zamknęłam oczy i przyłożyłam policzek do jego pleców, szczęśliwa, że mogę przynajmniej tulić go bez obaw. Słyszałam, jak serce szybciej zaczyna mu bić, i poczułam, jak przebiegł go dreszcz, ale wciąż był sztywny i skrępowany w moich ramionach. Zrobiło mi się ciężko na sercu i z trudem przełknęłam gulę w gardle.

Ostry skrzek sprawił, że spojrzałam w górę. Nad nami przeleciał potężny kruk, tak blisko, że wywołany przez niego pęd powietrza uniósł mi włosy. Usiadł na gałęzi i spojrzał na nas. a jego zielone oczy lśniły w ciemnościach. Zakrakał jeszcze raz i poleciał między drzewa. Ash wydał jakąś krótką komendę, a wodny żrebiec ruszył za ptakiem, kłusując cicho jak duch. Odwróciłam się i patrzyłam, jak mój dom maleje w oczach, aż w końcu las całkiem go zasłonił.

20. Uzdrowicielka.

Jechaliśmy kilka godzin. Niebo nad nami rozjaśniło się z zupełnej czerni do granatu, a potem lekko poróżowiło. Puk trzymał się daleko z przodu, przelatując z gałęzi na gałąź, aż go dogoniliśmy, a potem znów odlatując. Prowadził nas głęboko w bagna, przez moczary, wśród których wodny żrebiec musiał przepływać przez sięgające kłębu sadzawki z mętną wodą. Mijaliśmy omszałe drzewa oplecione winoroślą.

Przez całą podróż Ash nie odzywał się ani słowem, tylko głowa opadała mu coraz bardziej, a pod koniec z trudem utrzymywałam go w pionie.

W końcu, gdy ostatnie gwiazdy zbladły na nieboskłonie żrebiec przedarł się przez kępę obrośniętych pnączami drzew i naszym oczom ukazał się kruk siedzący na szczycie stojącej pośrodku bagna chatki.

Zanim jeszcze wodny żrebiec zdążył się zatrzymać, Ash zaczął się zsuwać z jego grzbietu i padł na zasnutą mgłą ziemię. Konik natychmiast zaczął zarzucać łbem i wierzgać, dopóki na wpół zsunęłam się, a na wpół spadłam z niego, prosto w błoto. Żrebiec prychnął i z uniesionym wysoko łbem pokłusował w krzaki, znikając nam z oczu.

Uklękałam przy Ashu i aż serce mi się ścisnęło na widok jego bladej twarzy i ran tak wyraźnie widocznych na sieniej skórze. Dotknęłam jego policzka. Jęknął, ale nie otworzył oczu. Nagle pojawił obok Puk i krzywiąc się z bólu, podciągnął Asha na nogi.

- Książniczko - odezwał się przez zaciśnięte zęby - Idź obudź uzdrowicielkę. Powiedz jej, że mamy tu zatrutego żelazem księcia. Ale uważaj... - Uśmiechnął się szeroko, jak to on. - Przed poranną kawą może trochę zrzędzić.

Wspięłam się po rozklekotanych drewnianych schodach na ganek, który zaskrzypiał mi pod stopami. Ze ściany przy drzwiach wyrastał pęk muchomorów pulsujących słabym pomarańczowym światłem, a cała chatka pokryta była mchami, porostami i grzybami w najróżniejszych kolorach. Odetchnęłam głęboko i zapukałam do drzwi.

Nikt nie odpowiedział, więc zapukałam ponownie, tym razem mocniej.

- Hop, hop? - zawołałam, zaglądając przez zakurzone okienko.

Gardło bolało mnie tak, że aż łzy napłynęły mi do oczu, ale mimo to krzyknęłam głośniejsze:

- Jest tam kto?! Potrzebujemy pomocy! Hop. hop?

- Masz pojęcie, która godzina? - Dobiegł mnie z drugiej strony zirytowany głos. - Czy wy uważacie, że uzdrowiciele nie muszą spać, tak?

Rozległo się szuranie stóp. Ktoś zbliżał się do drzwi, wciąż mamrocząc:

- Całą noc na nogach przy chorym katoblepasie, ale czy dadzą mi odpocząć? Oczywiście, że nie, uzdrowicielom odpoczynek się nie należy. Wypiją sobie jeden z tych ich specjalnych wywarów i będą mogli całą noc spędzić na nogach, a potem jeszcze całe dnie, gotowi ruszyć na każde zawołanie, nawet jeśli będzie to walenie w drzwi o piątą nad ranem!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wpatrzyłam się w pustkę.

- Co? - warknął ktoś u moich stóp.

Spojrzałam w dół.

Wpatrywała się we mnie bardzo stara gnomica, o twarzy pomarszczonej i wysuszonej jak orzech, skrytej pod nierówną kępką siwych włosów. Miała nieco ponad pół metra wzrostu, na sobie suknię, która kiedyś była pewnie biała, i małe złote okulary na nosie. Obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem, jak rozszłoszczona surykatka. Czarne oczka aż jej błyszczały. Nagle ją rozpoznałam.

- Pani... pani Stacy?! - wykrzyknęłam, widząc, przez ułamek sekundy, moją starą pielęgniarkę szkolną. Gnomica spojrzała na mnie, a potem zdjęła okulary i zaczęła je przecierać.

- Ach tak, panna Chase - odezwała się, potwierdzając moje przeczucia. - Dawno cię nie widziałam. Podczas naszego ostatniego spotkania chowałaś się w moim gabinecie po tym, jak ten chłopak zrobił ci w stołówce okrutnego psikusa.

Skrzywiłam się na to wspomnienie. To był najbardziej żenujący dzień mojego życia i nie chciałam o nim myśleć.

- Co pani tu robi? - zapytałam zaskoczona.

Pielęgniarka prychnęła i nałożyła okulary z powrotem na nos.

- Twój ojciec, pan Oberon, nakazał mi mieć na ciebie oko, wraz z Koleżką. - Spojrzała na mnie sztywno. - Gdyby coś ci się stało, miałam cię uleczyć. Gdybyś zobaczyła coś dziwnego, miałam pomóc ci o tym zapomnieć. To ja dostarczałam Koleżce ziół i wywarów, które sprawiały, że nie mogłaś nas widzieć, - Westchnęła. - Ale potem zaczęłaś się włóczyć po krainie Nigdyngdy, szukając brata i wszystko wzięło w łeb. Na szczęście Oberon pozwolił mi zachować pracę w szkole, na wypadek, gdybyś wróciła.

Poczułam ukłucie gniewu, że ta kobieta tak długo trzymała mnie w niewiedzy, ale nie miałam czasu się nad tym teraz zastanawiać.

- Potrzebujemy twojej pomocy. - Przesunęłam się tak, żeby mogła zobaczyć zbliżających się Puka i Asha. - Mój przyjaciel został dźgnięty sztyletem, a do tego jest zatruty żelazem i słabnie. Możesz mu pomóc? Proszę.

- Zatruty żelazem? Ojej. - Gnomica spojrzała na idących w naszą stronę dwóch elfów i aż oczy wyszły jej z orbit za okularkami. - To... czy to jest... księżę Ash? - zawołała, błędąc. - Syn Mab? Mam pomóc księciu Zimy? Oszalałaś? Ja... Nie!

Cofnęła się za drzwi, kręcąc głową.

- Nie. Nie ma mowy!

Zaczęła zamykać drzwi, ale wstawiłam nogę za próg, krzywiąc się, gdy dostałam drzwiami w kolano.

- Proszę... - Zaczęłam wpychać się do wnętrza.

Pielęgniarka obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem i wydeła wargi.

- Proszę, on ledwo żyje. a my nie mamy do kogo się zwrócić*

- Nie mam w zwyczaju pomagać mrocznym, panno Chase. - Pielęgniarka pociągnęła nosem i naparła na drzwi, ale się nie cofnęłam. - Niech jego pobratymcy się nim zajmą. Jestem przekonana, że Zimowy Dwór ma wielu uzdrowicieli

- Nie mamy czasu! - wybuchnęłam.

Ash słabł. Był bliski śmierci, a berło z każdą chwilą się od nas oddalało. Pchnęłam ramieniem drzwi, aż otworzyły się oścież. Pielęgniarka zatoczyła się do tyłu, łapiąc się ręką za serce, a ja weszłam do środka.

- Przykro mi - odezwałam się stanowczo - ale nie ma pani wyboru. Pomoże pani Ashowi albo zaraz zrobi się tu bardzo nieprzyjemnie.

- Nie będzie mnie tu straszyć półludzka smarkula!

Wyprostowałam się, prawie dotykając głową sufitu i spojrzałam na nią z góry.

- Jak sama powiedziałaś, Oberon jest moim ojcem. Uznaj to za rozkaz od swojej księżniczki. - Uzdrowicielka skrzywiła się tak, że oczka prawie zniknęły jej pod zmarszczkami. Skrzyżowałam ramiona na piersi i spojrzałam na nią władczo. - Czy też mam poinformować ojca, że odmówiłaś mi wsparcia? Ze przyszedłam do ciebie po pomoc, ale mnie odprawiłaś? Nie sądzę, aby był tym zachwycony.

- Już dobrze, dobrze! - Uniosła ręce. - Widzę, że inaczej nie będę miała spokoju. Wprowadźcie zimowego księcia Ale twój ojciec o tym usłyszy, młoda damo. - Odwróciła się i pogroziła mi palcem. - Usłyszysz o tym, a potem się okaże, na kim skupi się jego gniew.

Poczułam malutkie ukłucie winy, że musiałam użyć tatusia jako karty przetargowej, zupełnie jak jakiś rozwydrzony bogaty bachor, ale szybko o tym zapomniałam, gdy Puk wciągnął Asha po schodach. Księżę bardziej teraz przypominał upiora niż elfa. Skórę miał sinoszarą. Jeśli nie liczyć zaognionych ran na twarzy i ramionach, gdzie ciało zdawało się odchodzić od kości. Zadrzałam, a serce ścisnęło mi się z niepokoju.

- Połóż go tutaj - zarządziła pielęgniarka, wskazując Pukowi mały boczny pokój z niskim łóżkiem.

Zgodnie z instrukcją Puk położył Asha na materacu, a potem sam padł na fotel, który wyglądał jak wielki grzyb. Pielęgniarka pociągnęła nosem.

- Widzę, że księżniczka ciebie też w to wciągnęła, Robinie.

- Na mnie nie patrz. - Puk zachichotał złośliwie i otarł twarz. - Robiłem, co mogłem, żeby go zabić, ale gdy księżniczka się na coś uprze, nie ma rady.

Posłałam mu wściekłe spojrzenie. Puk wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się bezradnie, a ja odwróciłam się z powrotem do Asha.

- Faj, on nie pachnie żelazem, tylko nim śmierdzi - wymamrotała pielęgniarka, przyglądając się ranom na jego twarzy i rękach. - Te poparzenia nie są normalne. Powstały od środka. Zupełnie jakby miał w sobie coś metalowego.

- Tak było - odezwałam się cicho, a gnomica zadrżała i wytarła rękę. Podciągnęła mu koszulę, ukazując warstwę bandażu, przez którą zaczęła się przesączać krew.

- Przynajmniej jest prawidłowo opatrzone - stwierdziła. - Ładna, czysta robota. Rozumiem, że to twoja sprawka, Koleżko?

- Która?

- Obandażowanie.

- A, to też.

Pielęgniarka westchnęła, nachylając się nad Ashem. Przyjrzała się rozcięciom na twarzy i ostrożnie zdjęła opatrunek, by obejrzeć ranę po sztylcie. Zmarszczyła brwi.

- Tak dla jasności... - Zerknęła na Puka. - To ty pchnąłeś Asha, księcia Zimowego Dworu.

- Przyznaję się do winy.

- A wy dwoje... - Rzuciła okiem na moje gardło i zakrwawione ramię Puka. - Zgaduję, że to zimowy książę tak was urządził?

- Znów racja.

- Co oznacza, że walczyliście. - Pielęgniarka zmrużyła oczy. - Co oznacza, że on pewnie próbował was zabić, tak?

- No... - wyjąkałam.

- To czemu, w imię wszystkiego, co święte, chcecie, żebym go teraz uzdrowiła? Nie chodzi o to, że tego nie zrobię... - dodała, unosząc dłoń. - Ale co go powstrzyma przed kolejnym atakiem na was? Albo, jak już przy tym jesteśmy, na mnie?

- Nie zrobi tego - odparłam szybko. - Przysięgam, że tego nie zrobi.

- Zamierzacie wykorzystać go jako zakładnika, oto chodzi.

- Nie! To po prostu... - westchnęłam. - To długa historia.

- No to opowiedz mi ją później - mruknęła pielęgniarka i wstała. - Twój towarzysz ma sporo szczęścia - mówiła dalej, idąc przez pokój po stojący na półce porcelanowy słoik. - Nit wiem, jak to się stało, że jeszcze żyje, ale najwyraźniej jest silny, skoro do tej pory nie umarł. Musiał okrutnie cierpieć.

Uklękła przy chorym, kręcąc głową.

- Mogę uleczyć te rany powierzchowne, ale nie wiem, co uda mi się zrobić z zatruciem żelazem. Sam będzie musiał sobie z tym poradzić. Lepiej, żeby wrócił po tym do Tir Na Nog. Na jego własnej ziemi ciało łatwiej zwalczy chorobę.

- Obawiam się, że raczej nie ma takiej możliwości - wtrąciłam niepewnie.

Pielęgniarka prychnęła.

- W takim razie będzie słaby jeszcze przez długi, długi czas. - Wyprostowała się i odwróciła do nas, biorąc się pod boki i mierząc nas spojrzeniem. - A teraz muszę popracować. Wynosić się stąd, oboje. Jeśli jesteście zmęczeni, to możecie skorzystać z łóżka w pokoju obok, ale nie przeszkadzajcie mojemu drugiemu pacjentowi. Zajmę się księciem, ale nie mogę się o was co chwila przewracać. No już, zmykać.

Wygoniła nas z pokoju i zatrzasnęła za nami drzwi.

Mimo zmęczenia zbyt się denerwowałam, by zasnąć. Krążyłam po chatce uzdrowicielki jak puma w klatce. Co dziesięć sekund rzucałam okiem na drzwi, czekając, aż się otworzą. Po drugiej stronie był Ash, a ja nie wiedziałam, co się z nim dzieje. Tym chodzeniem w kółko doprowadzałam do szału Puka i satyra ze złamaną nogą, aż w końcu Puk, na wpół żartem, zagroził, że jeśli się nie uspokoję, to ześle na mnie magiczny sen. Na co odpowiedziałam, na wpół żartem, że jeśli spróbuje, to go zabiję.

W końcu drzwi się uchyliły i z pokoju wyszła pielęgniarka, cała pochlapana krwią, zmęczona, ze zmierzwionymi włosami.

- Będzie żył - powiedziała, gdy do niej podbiegłam, żeby zasypać ją pytaniami. - Jak mówiłam, jest wciąż słaby z powodu zatrucia żelazem, ale nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo. Chociaż muszę powiedzieć... - obrzuciła mnie groźnym spojrzeniem - że ten chłopak prawie wyrwał mi nadgarstek, gdy próbowałam zaszyć mu rany. Przekłęci mroczni, znają tylko przemoc.

- Mogę go zobaczyć?

Zmierzyła mnie wzrokiem znad okularków w złotych oprawkach i westchnęła.

- Nie powinnam się zgadzać, on musi odpocząć, ale ty i tak mnie nie posłuchasz. Więc tak, możesz go zobaczyć, ale krótko. Aha, Robinie! - zawołała, skinąwszy na Puka palcem. - Chodź na słówko.

Puk skrzywił się, udając przerażenie i wyszedł z gnomią.

Popatrzyłam chwilę za nimi, a potem cicho wślizgnęłam się do ciemnego pokoju i zamknęłam za sobą drzwi.

Usiadłam ostrożnie na łóżku i przyjrzałam się jego twarzy. Wciąż było widać na niej skaleczenia, ale teraz już nie tak wyraźne, przybladły. Nie miał na sobie koszuli, a cały tułów owinięty był świeżymi bandażami. Oddychał wolno i głęboko, a klatka piersiowa unosiła się w rytm oddechów. Wyciągnęłam rękę i delikatnie położyłam mu dłoń na sercu, pragnąc poczuć pod palcami, jak bije. Twarz miał spokojną, nie było na niej surowych zmarszczek ani niepokoju, ale nawet we śnie zdawał się trochę smutny.

Tak skupiłam się na przyglądaniu jego twarzy, że nie zauważyłam, jak ruszył ręką, aż oplótł palcami moją dłoń. Serce mi podskoczyło, gdy spojrzałam w dół i zobaczyłam nasze złęczone dłonie. Uniosłam znów wzrok na jego twarz. Otworzył srebrne oczy. Wpatrywał się we mnie, ale w ciemnościach nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Zaparło mi dech.

- Cześć - wyszeptalam, nie mogąc znaleźć słów.

Wciąż patrzył na mnie. Ani drgnął, a ja paplałam dalej:

- Ehm... pielęgniarka mówi, że teraz będzie już dobrze Wciąż jeszcze będziesz się źle czuł z powodu żelaza, ale tu powinno z czasem minąć.

Nadal milczał, nie odrywając ode mnie wzroku, aż zaczęły mnie piec policzki. Może miał po prostu koszmar, a ja go przestraszyłam, wkradając się jak jakiś zbój do pokoju. Dobrze, że nie próbował mi wyrwać nadgarstka jak pielęgniarcie.

- Przepraszam, że cię obudziłam - wyszeptalam, próbując się odsunąć. - Dam ci teraz pospać.

Zacisnął mocniej dłoń, zatrzymując mnie.

- Zostań.

Moje serce wzbilo się w przestworza. Spojrzałam na niego żalując, że nie mogę w nim zatonać, poczuć jego rąk wokół siebie. Westchnął i zamknął oczy.

- Miałas rację - wyszeptał, a jego głos ledwo się przebił przez ciemność. - Nie dałem rady sam. Należało cię słuchać wtedy, w Tir Na Nog.

- Oczywiście, że tak. Pamiętaj o tym, to następnym razem po prostu zgodzisz się z tym, co powiem i będzie dobrze

Nie otworzył oczu, ale uniół kącik ust, minimalnie. Na to liczyłam. Na chwilę wszystkie bariery runęły i znów było między nami dobrze. Ścisnęłam jego dłoń.

- Tęskniłam za tobą - szepnęłam.

Chciałam, aby powiedział to samo, ale on tylko znieruchomiał, a mnie serce zamarło.

- Meghan - zaczął nieswojo. - Ja... Ja wciąż nie wiem, czy... - Zamilkł i otworzył oczy. - Wciąż jesteśmy po przeciwnych stronach - dodał cicho, a jego głos był przepelniony żalem - Tego nic nie zmienia, nawet teraz. Jeśli nie liczyć umowy, to wciąż jesteś moim wrogiem. Poza tym myślałem, że ty i Koleżka...

Pokręciłam głową.

- Puk jest... - Urwałam. Kim on dla mnie był? Myśląc o tym, nagle uświadomiłam sobie, że nie mogę powiedzieć, że jest tylko przyjacielem. „Tylko przyjaciele” nie całują się w pustej sypialni. „Tylko przyjaciele” nie przyprawiałyby mnie o dziwną lekkość za każdym razem, gdy staje w drzwiach. Czy ta tajemnicza, dziwna mieszanka emocji oznaczała miłość? Nie żywiłam wobec Puka takich samych uczuć jak wobec Asha, ale coś do niego czułam. Nie mogłam temu dłużej zaprzeczać. Przelknęłam z trudem. - Puk jest... - wymamrotałam znowu.

- Jest co?

Odwrociłam się gwałtownie. Puk stał w drzwiach, z raczej groźnym uśmiechem, przyglądając nam się spod półprzymkniętych powiek.

- ...jest obok z pielęgniarką - dokończyłam słabo, bo Ash puścił moją rękę i odwrócił twarz do ściany. Puk wpatrzył się we mnie tak, że aż poczułam się nieswojo, zupełnie jakby wiedział, o czym przed chwilą myślałam.

- Pielęgniarka chce z tobą porozmawiać - odezwał się i w końcu spuścił wzrok. - Mówi, że masz zostawić jego lodowatą wysokość samego, żeby spał. Lepiej idź się dowiedz, co ci ma do powiedzenia, księżniczko, póki jest w nastroju.

Spojrzałam na Asha, ale on zamknął już oczy.

Lekko zaniepokojona skierowałam się do kuchni. Pielęgniarka siedziała przy stole z parującym kubkiem czegoś, co sądząc po zapachu wypełniającym całą kuchnię, musiało być kawą. Gnomica spojrzała na mnie i skinęła na stojące naprzeciw niej krzesło.

- Siadaj, panno Chase.

Tak zrobiłam. Dołączył do nas Puk. Klapnął na krzesło obok i wgrzył się w jabłko, które wyciągnął nie wiadomo skąd.

- Robin mówi, że wyruszasz stąd na niebezpieczną wyprawę - zaczęła, oplatając zniszczonymi dłońmi kubek i wpatrując się w brunatny płyn. - Nie chce podać szczegółów, ale mówi, że potrzebujesz zimowego księcia w dobrym zdrowiu, aby ci pomógł. Dobrze rozumiem?

Skinęłam głową.

- Rzecz w tym, że jeśli zrealizujesz ten plan, to prawie na pewno zabijesz księcia.

Aż podskoczyłam na krzesło.

- Jak to?

- On jest ciężko chory Meghan Chase. - Posłała mi znad kubka twarde spojrzenie. - Nie żartowałam, mówiąc, że będzie słaby. Żelazo zbyt długo było w jego organizmie.

- Nie może pani nic więcej zrobić?

- Ja? Nie. Aby wyzdrowieć, potrzebuje uroku swojego królestwa; tylko tak jego ciało przezwycięży chorobę. Mogłabyś jeszcze - pociągnęła łyk kawy - znaleźć potężną falę ludzkich emocji, w dużych ilościach. To mogłoby mu pomóc. A przynajmniej zaczęłoby zdrowieć.

- Mnóstwo uroku? - Zamyśliłam się.

Gdzie może być mnóstwo szalonych, niepojętych ludzkich emocji? Jakiś koncert albo klub byłby idealny, ale nie mieliśmy biletów, a do większości klubów nie wpuszczają ludzi w moim wieku. Co prawda, jak nauczył mnie Grimalkin, nie jest to taki problem, gdy można wyczarować pieniądze z liści i prawo jazdy z karty bibliotecznej.

- Puk, myślisz, że mógłbyś nas dziś wkręcić do jakiegoś klubu?

Chłopak prychnął.

- Mogę nas wkręcić wszędzie, księżniczko. Za kogo mnie masz? - Pstryknął palcami, uśmiechając się od ucha do ucha. - Moglibyśmy wybrać się znów do Niebieskiego Chaosu, byłoby wesoło.

Pielęgniarka zamrugła.

- Niebieski Chaos należy do zimowej elfki, która zatrudnia czerwone kapturki, a mówi się też, że w piwnicy jest ogr. - Westchnęła. - Chwileczkę. Skoro uparliście się to zrobić, mam lepszy pomysł, nie tak... szalony.

Gdy się do mnie odwróciła, na jej twarzy niechęć walczyła o lepsze z rezygnacją.

- Dziś w twojej starej szkole odbywa się bal karnawałowy, panno Chase. Jeśli szukamy miejsca, w którym będzie mnóstwo rozemocjonowanych nastolatków o buzujących hormonach, to właśnie tam.

- Bal karnawałowy? Dziś wieczorem? - Żołądek mi podskoczył.

Powrót do szkoły oznaczałby spotkanie z moimi kolegami i koleżankami z klasy, a także ze wszystkimi plotkami, opowieściami i pogłoskami, jakie o mnie krążyły. Musiałabym na oczach wszystkich wystąpić w eleganckiej sukience, może nawet zatańczyć, a za moimi plecami wszyscy by się śmiali i robili miny. Musiałam się jakoś szybko wykręcić.

- Jak się tam dostaniemy? Od wieków nie byłam w szkole, a mogą sprawdzać bilety, by mieć pewność, że na zabawie będą tylko uczniowie.

Puk prychnął.

- Nie żartuj. Jak sądzisz, ile razy już byłem na tego typu imprezach? Bilety? - Skrzywił się. - Nie potrzebujemy żadnych głupich biletów.

Pielęgniarka posłała Robinowi zirytowane spojrzenie i odwróciła się do mnie.

- Kilka miesięcy temu twoi rodzice odwołali poszukiwania, panno Chase - odezwała się poważnie. - Z tego co wiem, twoja matka ogłosiła, że wróciłaś do domu i odesłała cię do szkoły z internatem w innym stanie. Nie jestem pewna, co powiedziała twojemu ojcu...

- Ojczymowi - poprawiłam odruchowo.
- Ale od dłuższego czasu nikt cię nie szukał - dokończyła pielęgniarka tak, jakbym nic nie mówiła.
- Twój wygląd może się wydać trochę dziwny, ale jestem pewna, że Robin dopilnuje, abyś nie wyglądała podejrzanie. Poza tym nie sądzę, aby ktoś cię pamiętał.

Co do tego akurat miałam wątpliwości.

- A co z sukienką? - zaprotestowałam, wciąż starając się jakoś wymigać. - Nie mam co na siebie włożyć.

Tym razem zarówno Puk, jak i pielęgniarka posłali mi pogardliwe spojrzenia.

- Załatwimy ci sukienkę, księżniczko - prychnął Puk. - Do licha, mogę nawet wyczarować ci suknię z brylantów i motyli, jeśli tylko zechcesz.

- To już lekka przesada, nie sądzisz. Robinie? - Gnomica pokręciła głową. - Proszę się nie martwić, panno Chase - zwróciła się do mnie. - Mam przyjaciół, którzy mogą nam pomóc. Obiecuję, że na bal będziesz miała piękną suknię.

Mogłoby być super, gdybym tylko nie była tak strasznie przerażona. Spróbowałam jeszcze raz:

- Szkoła jest czterdzieści pięć minut stąd - zauważyłam. - A ja nie mam prawa jazdy. Jak się tam dostaniemy?

- Mam ścieżkę, która prowadzi wprost do mojego gabinetu w szkole - odparła pielęgniarka, pozbawiając mnie nadziei. -Znajdziemy się tam w kilka sekund i nic nie stracisz.

Niech to, zaczynało mi brakować wykrętów. Postanowiłam wyciągnąć asa z rękawa.

- A co z Ashem? Może już wstać z łóżka? A może nie będzie chciał iść?

- Pójdę.

Wszyscy się obróciliśmy. Stał w drzwiach, opierał się o framugę i wyglądał na wyczerpanego, ale i tak lepiej niż wcześniej. Skóra straciła szary kolor, a rany na twarzy i rękach nie były już tak widoczne. Nie wyglądał dobrze, o nie, ale przynajmniej nie jak na skraju śmierci. Ash zacisnął przed twarzą pięść, a potem ją opuścił.

- Nie mogę tak walczyć - odezwał się. - Byłbym tylko ciężarem i spadłyby nasze szanse na odzyskanie berła. Jeśli jest jakaś szansa na to, aby poprawić mój stan, to muszę ją wykorzystać.

- Jesteś pewien?

Spojrzał na mnie, a po jego ustach przemknął ten słaby, znajomy uśmiech

- Muszę być u szczytu formy, skoro mam dla ciebie zabijać, prawda?

- Musisz być... - pielęgniarka podeszła do niego ze stalowym błyskiem w oku - w łóżku. Nie po to przez ostatnie kilka godzin cię łątałam, żebyś się rozpadł na kawałki, bo nie chcesz leżeć. No już. Wracaj do łóżka!

Zdawał się lekko rozbawiony, ale pozwolił odprowadzić się do pokoju, a pielęgniarka zatrzęsnęła za nim drzwiami.

- Głupie młodziki - westchnęła. - Myślą, że są niezniszczalni.

Puk zachichotał, co nie było dobrym posunięciem.

Gnomica odwróciła się w oka mgnieniu.

- Myślisz, że to takie zabawne, Koleżko? - warknęła, a Puk aż się skrzywił. - Tak się składa, że zauważyłam, że twoje ramię też nie wygląda najlepiej. Prawdę mówiąc, krwawisz mi na czystą podłogę. Myślę, że to wymaga szwów. Chodź ze mną.

- To tylko powierzchowne zadrapanie - odparł Puk, a spojrzenie pielęgniarki pociemniało. Podeszła do niego zdecydowanie, złapała go za długie ucho i ściągnęła z krzesła. - Aj! Hej! Aj! No dobrze, już dobrze. Idę! Rany.

- Panno Chase - zaskrzeczała pielęgniarka, a ja aż podskoczyłam - W czasie, kiedy ja będę opatrywać tego głupka, chciałabym, abyś się przespała. Jesteś wykończona. Skorzystaj z posłania w pokoju chorego i powiedz Amanowi, że jeśli będzie ci przeszkadzał, to złamię mu drugą nogę. Jak skończę z Robinem, przyniosę ci coś na gardło.

Wciąż miałam wątpliwości, ale skinęłam głową. Poszłam do pokoju obok, położyłam się na pustym posłaniu, ignorując propozycję satyra, który zaprosił mnie do swojego „znacznie wygodniejszego łóżka”. Pomyślałam, że poleżę chwilę, i odwróciłam się plecami do Amana. Tylko minutkę, a potem sprawdzę co z Ashem.

- Wstawaj, śpiąca królewno. Szykuj się na bal.

Obudziłam się, zawstydzona i zdezorietowana i zaczęłam rozglądać zaspanymi oczami. W pokoju było ciemno. Migotały płomyki świec, a grzyby na ścianach świeciły słabą żółcią. Nade mną stał Puk, uśmiechając się jak zawsze od ucha do ucha, a światło rzucało dziwne ruchome cienie na jego twarz.

- Wstawaj, księżniczko. Przespałaś cały dzień i straciłaś całą zabawę. Nasza miła pielęgniarka zwołała kilkoro przyjaciół, by wyszykowali ci sukienkę. Oczywiście nie chcą mi jej pokazać, więc po prostu musisz tam iść i ją przymierzyć.

- O czym ty mówisz? - wymamrotałam, zanim sobie wszystko przypomniałam. Bal karnawałowy! Po tak długiej przerwie miałam iść do swojej starej szkoły i spotkać się z byłymi kolegami z klasy. Będzie wytykanie palcami, będą plotki i szeptki za moimi plecami. Na samą myśl ścisnął mi się żołądek.

Ale nie było już odwrotu. Jeśli mieliśmy odzyskać berło, Ash musiał wyzdrowieć, a to oznaczało, że muszę przetrwać te upokarzające chwile i się z tym pogodzić.

Wyszłam z pokoju za Pukiem. W korytarzu czekała na mnie pielęgniarka, z uśmiechem zadowolenia na ustach.

- Ach, tu jesteś, panno Chase.

- Jak Ash? - zapytałam, nim zdążyła cokolwiek dodać.

Pielęgniarka prychnęła i skinęła, abym poszła za nią.

- Tak samo - odpowiedziała, prowadząc mnie korytarzem. Minęłyśmy zamknięty na głucho pokój księcia i szłyśmy dalej. - Uparciuch już chodzi, a nawet wyzwiał Robina na pojedynek. Oczywiście powstrzymałam ich, bo Robin był aż nadto chętny, by z nim walczyć, głupek jeden.

- Hej - odezwał się za nami Puk. - To nie ja z tym wyskoczyłem. Ale chciałem mu oddać przysługę.

Pielęgniarka obróciła się jak fryga i spojrzała na niego ostro.

- Ty... - zaczęła, a potem uniosła ręce w powietrze. - Lepiej zbieraj tyłek w troki, głupku. Przez cały dzień łączyłeś pod drzwiami jak zagubiony szczeniak. Powiedz księciu, że ruszamy, jak tylko panna Chase się wyszykuje. No już.

Robbie odwrócił się na pięcie, uśmiechnięty od ucha do ucha, a pielęgniarka westchnęła.

- Ci dwaj - wymamrotała - to albo najwięksi przyjaciele, albo najgorsi wrogowie. Trudno powiedzieć! Proszę za mną panno Chase.

Otworzyła kolejne drzwi i przez nie przeszła, a ja za nią schylając głowę. Weszliśmy do małego pokoju. Pod ścianami stały półki i rośliny doniczkowe, a w powietrzu unosił się ostry, prawie medyczny zapach, zupełnie jakbym weszła do ogrodu ziołowego. I pewnie tak było. Dwa inne gnomy, równie stare i pomarszczone jak pielęgniarka, spojrzały na mnie z niskich stołków i pomachały wesoło.

Mnie zaparło dech Pracowały nad suknią tak piękną, że zaniemówiłam. Na stojącym pośrodku pokoju manekinie wisiała niebieska satynowa suknia do ziemi, marszcząc się jak tafla wody w słońcu. Góra była wyszywana w srebrne wzory, z błyszczącymi wstążkami czystego światła, a na gołe ramiona zarzucony był zwiewny niebieski szal, tak cienki, że prawie nie było go widać. Błyszcząca od brylantów obroża okalała szyję manekina, rzucając na ściany błyski światła. Całość była olśniewająca.

Przełknęłam z trudem.

- Czy to... dla mnie?

Jeden z krawców, niziutki mężczyzna o nosie jak kartofel, zaśmiał się głośno.

- No cóż, książę się w to raczej nie ubierze.

- Jest piękna.

Gnomy aż pęczniały z dumy.

- Nasi przodkowie byli szewcami, ale my nauczyliśmy się jeszcze tego i owego. Ten splot jest mocniejszy niż zwykły urok i nie rozpadnie się, jeśli dotkniesz czegoś z żelaza. A teraz ją przymierz.

Pasowała idealnie, jakby była specjalnie dla mnie zrobiona. Gdy ją wkładałam, kątem oka zauważyłam błysk uroku, ale postanowiłam nie zwracać na to uwagi. Jeśli ta suknia została stworzona z liści, mchu i pajęczej nici, to nie chciałam o tym wiedzieć.

Kiedy już miałam ją na sobie, uniosłam ręce i obróciłam się wkoło pod okiem projektantów. Gnomy zaczęły klaskać jak wesołe foki, a pielęgniarka skinęła z uznaniem głową.

- Spójrz na siebie - szepnęła, kręcąc palcem. Odwróciłam się i ujrzałam swoje odbicie w olbrzymim lustrze, które pojawiło się znikąd. Aż zamrugałam ze zdziwienia. Nie dość, że suknia była doskonała,

to moje włosy były upięte w skomplikowany kok, a na twarzy miałam delikatny makijaż, przez co wyglądałam dorosłej. A do tego, nie wiem, czy za sprawą uroku sukni, czy też działań pielęgniarki, znów wyglądałam jak człowiek. Nie miałam spiczastych uszu ani nienaturalnie wielkich oczu. Wyglądałam jak zwykła nastolatka idąca na studniówkę. Wiedziałam, że to iluzja, ale i tak przez moment ta wysoka, elegancka nieznajoma w lustrze zaparła mi dech.

- Chłopcy nie będą w stanie oderwać od niej oczu - westchnął gnom, a mnie znów opadły łęki. Bez względu na to, czy byłam w eleganckiej sukni czy nie, wciąż pozostawałam tylko dziewczyną z bagien z liceum w Albany. Tego nic nie zmieni.

- Chodź - odezwała się pielęgniarka, biorąc mnie za rękę. - Na nas już czas.

Wróciliśmy tą samą drogą, do głównego pokoju, gdzie czekał na nas przystojny chłopak w klasycznym czarnym smokingu. Aż jęknęłam, gdy rozpoznałam Puka. Szkarłatne włosy ułożył sobie w języka i nie wyglądały na tak potargane, a marynarka doskonale leżała na jego szerokich ramionach. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaki jest wysportowany. Zielone oczy zmierzyły mnie szybko od stóp do głów, a potem spojrzał na moją twarz i się uśmiechnął. Nie złośliwie ani sarkastycznie, ale szczerze.

- Hm... - odchrząknęła pielęgniarka, najwyraźniej nie tak zszokowana, jak ja. - Wygląda na to, że jak chcesz, to potrafisz się doprowadzić do porządku, Robinie.

- Staralem się. - Puk. teraz bardzo przypominający człowieka, przeszedł przez pokój, sięgnął po moją dłoń i nałożył mi na rękę bukiet. - Pięknie wyglądasz, księżniczko.

- Dzięki - wyszeptałam. - Ty też wyglądasz nieźle.

- Zdenerwowana? - zagadnął.

Skinęłam głową.

- Trochę. Co mam powiedzieć, jak ktoś mnie spyta, gdzie byłam. Jak wyjaśnię, co robiłam cały rok, zwłaszcza kiedy zjawię się jak gdyby nigdy nic? - Spojrzałam na niego. - A co z tobą? Nic będą się zastanawiali, gdzie byłeś tyle czasu?

- Nie w moim przypadku. - Robbie znów posiał mi swój typowy szeroki uśmiech. - Nie było mnie zbyt długo, dość długo, aby wszyscy zdążyli zapomnieć, że chodziłem do szkoły. Co najwyżej będę się niektórym zdawał znajomy, jak déjà vu, ale nikt mnie nie pozna. - Wzruszył ramionami. - Jedną z zalet bycia mną.

- Farciarz - rzuciłam cicho.

- Gotowi? - zapytała pielęgniarka, nagle przybierając ludzki wygląd: niskiej, korpulentnej kobiety w białym fartuchu, o pomarszczonej brązowej skórze i tych samych złotych okularach na czubku nosa. - A jakbyście się zastanawiali, to tak, idę z wami - obwieściła, rzucając nam spojrzenie znad szkieł. - Żeby się upewnić, że mój pacjent się nie przeforsuje. To co, gotowi?

- Wciąż czekamy na Asha.

- Już nie - odparła, patrząc za mnie.

Odwrociłam się powoli. Serce waliło mi mocno. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Przez chwilę czułam w głowie kompletną pustkę. Wyobrażałam sobie Asha w smokingu, różne głupie marzenia chodziły mi czasem po głowie, ale jak się okazało, nawet nie umywały się do rzeczywistości. Jego smoking nie był czarny, ale olśniewająco biały, pod rozpiętą marynarką widać było białą kamizelkę i błękitny jak lód krawat. Spinki do mankietów, chusteczka w butonierce i błyszczący kolczyk w uchu miały ten sam lodowy kolor. Wszystko inne było białe, nawet buty ale on nie wydawał się spłwiał ani blade, wręcz przeciwnie, jaśniał jak władca pośród poddanych. Stał w drzwiach z rękami w kieszeniach, uosobienie nonszalancji, i nawet jako człowiek był tak piękny, że nie dało się tego opisać słowami. Ciemne włosy zaczesał do tyłu, tak że okalały mu twarz, a oczy koloru rtęci, mimo że powinny być blade na tle całej tej bieli, lśniły mocniej niż wszystko inne. I wpatrywały się we mnie.

Nie mogłam się ruszyć ani odezwać. Gdyby nie to, że kolana mi zesztywniały, omdlałabym, zamieniając się w niebieską satynową kałużę na podłodze. Ash wpatrywał się we mnie, nie spuszczał oczu z mojej twarzy, ale czułam, że patrzy na mnie całą, mierzy mnie wzrokiem tak, jak wcześniej Puk. I nie mogłam się powstrzymać, by nie wpatrywać się w niego. Wszystko wokół mnie - odgłosy, kolory, ludzie - zniknęło, straciło znaczenie, aż na całym świecie byliśmy tylko ja i Ash.

A potem ktoś mnie wziął za łokieć i serce znów zaczęło mi normalnie bić.

- No dobra - odezwał się trochę za głośno Puk. - Wszyscy gotowi. Idziemy na ten bal czy nie?

Książę podszedł do mnie. Nie wydał żadnego dźwięku, ale czułam jego obecność równie dobrze jak własną. Nie zaproponował mi ramienia ani nie próbował mnie dotknąć, ale sama jego obecność sprawiała, że moje nerwy aż drżały, a skóra mrowiła. Poczułam zapach mrozu i dziwnego, ostrego zapachu, który należał tylko do niego, i nagle przypomniałam sobie nasz pierwszy taniec.

Nie uszła też mojej uwagi wymiana spojrzeń pomiędzy Ashem i Pukiem. Książę pilnował, by jego mina nic nie zdradzała, ale usta Robina wykrzywiły się w delikatnym uśmiešku, jednym z tych niebezpiecznych, i odrobinę zmrużył oczy.

Najwyraźniej pielęgniarka też to zauważyła, bo zaklaskała w dłonie, aż podskoczyłam.

- Pozwólcie, że wam przypomnę - zaczęła stanowczo - że chociaż jest to przyjęcie, to idziemy tam z konkretnych powodów. Nie po to, by doprawiać poncz, uwodzić ludzi, zaczarowywać jedzenie, wyzywać mężczyzn na pojedynki ani broić w jakikolwiek sposób. Czy to jasne? - Mówiąc to, posłała Pukowi stanowcze spojrzenie, a on wskazał na siebie i zrobił minę „kto, ja?”. Raczej jej to nie rozbawiło.

- Będę cię mieć na oku - ostrzegła, a mimo że miała ledwie metr dwadzieścia wzrostu, siwe włosy i była pomarszczona jak suszona śliwka, groźba ta zabrzmiała złowieszczo. - Postarajcie się zachowywać porządnie.

21. Bal karnawałowy.

Wędrując korytarzami szkoły, w której nie było mnie przez tyle czasu, miałam dość upiorne odczucia. Przez głowę przelatywały mi tysiące wspomnień, gdy mijaliśmy tak znajome kiedyś kąty - klasę pana Delany'ego, gdzie na literaturze klasycznej siedziałam za Scottem Waldronem, łazienki, w których spędzałam mnóstwo czasu, płacząc, stołówka, w której zawsze z Robbiem jedliśmy przy ostatnim stoliku w kącie. Tyle się od tamtej pory zmieniło. Szkoła wydawała się jakaś inna, mniej prawdziwa niż kiedyś. A może to ja się zmieniłam.

Pęki niebieskich i białych balonów wyznaczały drogę do sali gimnastycznej; zza okien i dwuskrzydłowych drzwi dochodziły dźwięki muzyki i migały światła. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym mocniej ścisnęło mnie w żołądku z nerwów, zwłaszcza kiedy nagle drzwi się otworzyły i wyszło dwoje uczniów, trzymających się za ręce i rozchichotanych. Chłopak przyciągnął do siebie dziewczynę na długi, głęboki pocałunek, a potem odsunęli się od siebie i zaczęli przemykać za budynek.

- Hm, czuję żądzę - wyszeptał Puk.

Pielęgniarka sapnęła z oburzenia.

- Nie wolno im bez opieki wychodzić z sali gimnastycznej - warknęła, kładąc ręce na biodrach. - Gdzie są opiekunowie? Chyba będę musiała się tym zająć. A wy troje, zachowujcie się!

Ruszyła za nimi, aż kipiąc ze wzburzenia, i zniknęła w mroku.

Zrobiło się pusto. Opanowałam zdenerwowanie i spojrzałam za siebie, by sprawdzić, czy chłopcy są gotowi. Robbie uśmiechał się szeroko, jak zawsze chętny do działania, a szelmstwo miał wypisane na twarzy. Ash spojrzał na mnie poważnie. Nasze oczy spotkały się, a głębia emocji aż pozbawiła mnie tchu.

- Jak się czujesz? - zapytałam, starając się ukryć tęsknotę, którą musiał widzieć na mojej twarzy. - Pomaga trochę? Czujesz się lepiej?

Uśmiechnął się słabo.

- Zachowaj dla mnie taniec - szepnął.

A potem ruszyliśmy do sali gimnastycznej. Muzyka rozbrzmiała głośniejsz, a gwar głosów odbijał się echem od ścian. Puk i Ash pchnęli skrzydła drzwi i weszliśmy do innego świata.

Sala gimnastyczna też była przyozdobiona białymi i niebieskimi balonami, krepiną oraz błyszczącymi piankowymi płatkami śniegu, chociaż w Luizjanie nigdy nie padał. Minęliśmy kasę biletową, przy której stała grupka nastolatków czekających na swoją kolej. Wyglądało na to, że nikt nas nie zauważył, ale mnie aż żołądek podskoczył na widok znajomej osoby, która z uśmiechem wręczała bilety kolejnej elegancko ubranej parze. Za stołem stała Angie, była czirliderka, już bez wielkiego świńskiego ryjka, który rok temu w zemście przyprawił jej Puk. Wyglądała na bardzo zadowoloną, uśmiechała się i kiwała głową, jakby codziennie wykonywała taką pracę. Gdy ją mijaliśmy, próbowałam zwrócić na siebie jej uwagę, ale była zbyt zajęta obsługiwaniem kolejki i nie wyszło. Za kasą, w sali wzdłuż jednej ściany stały białe i niebieskie stoły. Siedziało przy nich tylko kilka osób, ci, którym nie udało się zorganizować sobie pary, ale mimo to nie chcieli przepuścić balu.

Właśnie tam bym siedziała, gdybym nie trafiła do Krainy Magii. Albo, co bardziej prawdopodobne, wcale by mnie tu nie było. Oglądałabym w domu jakiś film i zapychała się wielką paczką lodów.

Druga połowa sali zamieniła się w morze wirujących sukni i smokingów. Pary kołysały się w rytm muzyki, niektórzy tańczyli obok siebie, inni byli ze sobą tak spleceni, że potrzeba by łomu, aby ich od siebie oderwać.

Scott Waldron, w którym się kiedyś podkochiwałam, obejmował cienką jak patyk blondynkę, jedną z czirliderek, a jego dłonie zsunęły się na jej pupę. Patrzyłam, zupełnie bez emocji, jak obmacują się w tańcu.

I wtedy zaczęły się szepty. Najpierw od strony stolików, gdzie siedzieli samotni, a potem dotarły na parkiet i w kąty sal: Ludzie gapili się na nas, rzucając ukradkowe spojrzenia znad ramion swoich partnerów, nachylając się, by wymienić uwagi. Twarz mi zaczęła płonąć, a nogi się płątać. Chciałam uciec z sali do najbliższej toalety. Pan Delany, mój nauczyciel angielski go, który pilnował wazy z ponczem, uniósł wzrok i zmarszczył brwi. Porzucił swoje stanowisko i ruszył w naszą stronę, wytężając oczy za grubymi szklami. Serce waliło mi jak oszalałe i odwróciłam się z przerażeniem do Puka.

- Pan Delany idzie w naszą stronę! - wysyczałam.

Robb zamrugnął i rzucił okiem przez moje ramię.

- Och, toż to stary Delany. Rany, ale utył. Pamiętasz, jak wsypałem mu talku pod tupecik? - Westchnął z rozmarzeniem. To był niezły dzień.

- Puk! - Obrzuciłam go wściekłym spojrzeniem. - Pomóż mi! Co mam mu powiedzieć? On wie, że nie było mnie w szkole od kilku miesięcy!

- Przepraszam - odezwał się tuż za mną pan Delany, a mnie serce zamarło. - Czy to... Meghan Chase!

Odwrociłam się do niego z bladym uśmiechem.

- To ty. Tak sądziłem. - Przyjrzał mi się uważniej. - Co ty tu robisz? Twoja matka powiedziała, że jesteś w szkole z internatem w Maine.

Ach, to tam byłam przez cały ten czas. Nieźle pomyślane, mamó.

- Ja... ehm... przyjechałam na święta do domu - rzucił pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy. - I przed wyjazdem chciałam zobaczyć swoją starą szkołę.

Nauczyciel się skrzywił.

- Ale ferie świąteczne były kilka... - Nagle zamilkł i spojrzał na mnie szklistym wzrokiem. - Ferie świąteczne - wymamrotał. - Oczywiście. Jak miło. Wrócisz do nas w przyszłym roku?

- Ehm... - Zamrugalam zaskoczona tą nagłą zmianą. - Nie wiem. Może? Wciąż jest jeszcze wiele do zrobienia.

- Ach tak. Miło było cię zobaczyć, Meghan. Baw się dobrze.

- Do widzenia, panie Delany.

Odetchnęłam z ulgą, gdy nauczyciel ruszył z powrotem do misy z ponczem.

- Mało brakowało. Nieźle to rozegrałeś.

- Co? - Puk zmarszczył brwi. - O czym ty mówisz?

- Ten czar? - odezwałam się szeptem. - To nie ty rzuciłeś?

- Nie, księżniczko. Właśnie miałem zamienić jego perukę w wiewiórkę, gdy zaczął robić do ciebie maślane oczy, i nie zdążyłem. - Westchnął, patrząc z zawodem na odchodzącego nauczyciela. - Wielka szkoda. Od razu zrobiłoby się weselej. Wokół jest tyle uroku, że aż wstyd z niego nie skorzystać.

Spojrzałam mu przez ramię.

- Ash?

Zimowy książę posłał mi słaby uśmiech.

- Subtelność nigdy nie była mocną stroną Koleżki - wyszeptał, ignorując wściekłe spojrzenie Robbiego. - Nie przyszliśmy tu po to, aby robić burdy. A ludzkimi emocjami tak łatwo manipulować.

Moimi też? Zaczęłam się zastanawiać, gdy ruszyliśmy dalej. Czy rzuciłeś na mnie urok, by manipulować moimi emocjami, tak jak próbował to robić Rowan? Czy moje uczucia do ciebie są prawdziwe, czy to efekt uroku? I czy w ogóle obchodzi mnie, jak jest naprawdę?

Przy stolikach Puk stanął naprzeciwko mnie i się uklonił.

- Księżniczko - odezwał się oficjalnie, ale oczy błyszczały mu szelmowsko, gdy wyciągnął do mnie rękę. - Czy zaszczyisz mnie pierwszym tańcem?

- Ehm .. - W pierwszej chwili pomyśl mnie przeraził i już chciałam odpowiedzieć, że nie umiem tańczyć. Ale wtedy poczułam na sobie spojrzenie Asha i przypomniałam sobie rozświetloną księżycem polanę, gdzie tańczyłam z mrocznym księciem, obserwowana przez setki magicznych stworzeń. Jesteś z krwi Oberona - odezwał się w mojej głowie jego głos. - Na pewno umiesz tańczyć.

Poza tym Puk raczej nie dawał mi wyboru. Wziął mnie za rękę i poprowadził na parkiet. Rzuciłam Ashowi przepaszające spojrzenie, ale książę usunął się już w ciemny kąt, oparł o ścianę i obserwował tłum.

A potem ja i mój partner zaczęliśmy taniec. Okazał się bardzo dobrym tancerzem, chociaż nie wiem, czemu mnie to tak zaskoczyło. Na pewno miał spore doświadczenie. Na początku potykałam się trochę, ale potem zamknęłam oczy i przypomniałam sobie mój pierwszy taniec z Ashem.

„Przestań myśleć - powiedział mi tamtej nocy książę, gdy wirowaliśmy obserwowani przez dziesiątki elfów. - Widownia nie ma znaczenia. Kroki nie mają znaczenia. Po prostu zamknij oczy i wsłuchaj się w muzykę”.

Pamiętałam tamten taniec, to jak się przy nim czułam, jak łatwo przychodziło mi znaleźć odpowiednie kroki. Robbie zaśmiał się cicho.

- No dobra... - wyszeptał, gdy wirowaliśmy po sali. - Z tego co sobie przypominam, pewna osoba przysięgała, że w ogóle nie umie tańczyć. Najwyraźniej musiałem rozmawiać z jej siostrą bliźniaczką, bo spodziewałem się, że przez całą noc będziesz mi deptać po palcach. Brałaś lekcje, księżniczko?

- Och... hm... Chyba jakoś załapałam, jak to idzie, podczas mojego pobytu w Nigdyningdy. - I nawet nie skłamałam.

Gdy płynęliśmy po parkiecie, rzucałam czasem okiem na Asha, stojącego samotnie w kącie, z rękami w kieszeniach. Było zbyt ciemno, by dostrzec wyraz jego twarzy, ale wiedziałam, że nie spuszcza z nas oka. A potem Puk wykonał ze mną obrót i na chwilę straciłam księcia z oczu.

Kiedy znów spojrzałam w jego stronę, nie był już sam. Otoczyły go trzy dziewczyny, w tym ta patykowata blondynka, która kilka minut wcześniej kleiła się do Scotta, i zaczęły z nim flirtować. Uśmiechały się sztucznie, przysuwały do niego, zarzucały włosami i posyłały pociągłe spojrzenia spod półprzymkniętych powiek.

Dłoń zacisnęła mi się w pięść na kłapie marynarki Puka. Musiałam się hamować całą siłą woli, by nie podejść do nich i nie kazać im wynosić się do diabła. Ale jakie miałam do tego prawo? Ash nie był mój. Nie mogłam rościć sobie do niego żadnych praw.

Poza tym i tak je pewnie zignoruje albo każe im odejść. Ale gdy znów spojrzałam w tamten kąt, zobaczyłam, że Ash uśmiecha się do dziewczyn, zabójczo przystojny i czarujący, i aż zapiekło mnie w środku. On z nimi flirtował!

Piosenka się skończyła, a Puk odsunął się ode mnie, marszcząc lekko brwi, jakby wyczuł, że straciłam chęć do tańca. Zaczęłam się wachlować obydwoma rękami, udając, że brak mi tchu, a tak naprawdę osuszając łzy, które pchały mi się do oczu. Ash wciąż stał w kącie i śmiał się z czegoś, co powiedziała jedna z czirliderek. Gardło mi się ścisnęło i zabrakło mi tchu.

- Wszystko w porządku, księżniczko?

Oderwałam wzrok od Asha i dziewczyn, przełknęłam z trudem.

- Trochę mi gorąco... - Uśmiechnęłam się, gdy zeszliśmy z parkietu i ruszyliśmy do stolików. - I odrobinę kręci mi się w głowie.

Robbie roześmiał się, tak jak zawsze, i podstawił mi krzesło.

- Wybacz. Po prostu tak działałam na ludzi. - Pacnęłam go w brzuch i usiadłam, a on uśmiechnął się od ucha do ucha. - Czekaj, przyniosę ci coś do picia.

Zniknął w tłumie, przedzierając się do stołu z napojami po drugiej stronie sali. Miałam nadzieję, że nie doda do ponczu czegoś, co zamieni wszystkich w żaby. Westchnęłam tęsknie na tę myśl i zaczęłam rozglądać się po sali, z rozmysłem unikając patrzenia w kąt.

- Hej! - jakaś postać przesunęła się przede mną i zasłoniła mi widok. Szerokie ramiona, idealnie skrojony smoking. Spojrzałam ponad kamizelkę, kłapy i muszkę, prosto w roześmiane oczy Scotta Waldrona. - Cześć - przywitał się wesoło, a mnie aż żołądek podskoczył. Czy ja dobrze widzę? Czy to Scott Waldron, słynny gracz futbolu, ze mną rozmawia? Czy to jego kolejny podstęp, żeby mnie zawstydzić i upokorzyć jak poprzednio? Musiałam przyznać, że wciąż był słodki - szerokie ramiona, kręcone blond włosy, śliczny uśmiech - ale wspomnienie całej stołówki naśmiewającej się moim kosztem trochę ostudziło mój entuzjazm. Nie dam mu się więcej zrobić, nigdy.

- Cześć - odpowiedziałam ostrożnie.

- Jestem Scott - mówił dalej pewnym siebie tonem, jak ktoś przyzwyczajony do bycia podziwianym.

- Nie widziałem cię wcześniej w szkole. Pewnie chodzisz do innej, co? Jestem głównym rozgrywającym liceum w Albany.

Nie poznał mnie. Poczułam lekką ulgę, ale i złość. Czy rozmawiałby ze mną, gdyby wiedział, kim jestem? Pamiętałby nieśmiałą maniaczkę komputerową, dziewczynę z bagien, która przez dwa lata była w nim zakochana i codziennie stała przy jego szafce tylko po to, by ją minąć w korytarzu? Czy kiedykolwiek pożałował tego okropnego żartu, jaki mi wykręcił kilka miesięcy temu?

- Chcesz zatańczyć? - zagadnął, wyciągając wielką, stwardniałą od gry w piłkę dłoń.

Spojrzałam w stronę stołu z napojami i zauważyłam, że Puka zatrzymała pielęgniarka; sądząc po jego minie, rozszoszczonej, ale i pełnej skruchy, musiała go przyłapać na jakiejś psocie. Pewnie tak, jak się obawiałam, dodawał czegoś do ponczu.

Z kąta, w którego stronę nie patrzyłam, rozległ się piskliwy śmiech, a we mnie o mało się nie zagotowało.

- Pewnie! - Podałam mu dłoń. Nawet jeśli usłyszał w moim głosie gorycz, to nie zdradził się z tym, gdy ruszyliśmy na parkiet.

Scott położył ręce nisko na mojej talii i tańczyliśmy w rytm muzyki, stojąc bliżej niż tak naprawdę chciałam, ale nie protestowałam. Oto ja, Meghan Chase, tańczyłam ze słynnym złotym chłopcem liceum w Albany. Próbowałam się tym cieszyć.

Rok wcześniej oddałabym wszystko, by Scott tylko na mnie popatrzył z uśmiechem. Gdyby poprosił mnie do tańca, pewnie bym zemdląła. Ale teraz, czując jego ręce na moich biodrach, widząc jego twarz kilka centymetrów od mojej, pomyślałam tylko, że Scott jest bardzo młody. Przystojny i uroczy, bez dwóch zdań, ale to potężne oczarowanie, które czułam kiedyś, zniknęło.

- Hm - wymruczał Scott, przesuwając ręce po moich plecach. Nie byłam tym zachwycona, ale przynajmniej nie zjechały za nisko. - Mówiłem ci już, że jestem szkolnym rozgrywającym?

- Tak. - Uśmiechnęłam się do niego.

- Jasne... - Wyszczerył zęby w uśmiechu i owinął sobie kosmyk moich włosów na palcu. - A byłaś kiedyś na jakimś moim meczu?

- Na kilku.

- Tak? Robią wrażenie, co? Myślisz, że mamy w tym roku szansę wejść do rozgrywek międzystanowych?

- Nie znam się za bardzo na futbolu - stwierdziłam, licząc, że zakończę tym temat.

Ale najwyraźniej powiedziałałam nie to, co trzeba, bo Scott natychmiast zaczął mi wyjaśniać zasady gry, opowiadać o wszystkich meczach, które wygrał, błędach i wadach swoich kolegów z drużyny i ile to lat on już prowadzi ją do zwycięstwa. Następnie przeszedł do planów studenckich, opowiedział, że dostał stypendium na uniwersytet w Luizjanie, jak został wybrany na Najlepiej Zapowiadającego się Studenta, i że ojciec kupił mu nowego mustanga, bo jest z niego taki dumny. Uśmiechałam się sztucznie, przytakiwałam w odpowiednich momentach i starałam się nie wyglądać na znudzoną.

- Hej - rzucił w końcu, a ja po cichu liczyłam, że właśnie kończy przemowę. - Chcesz się stąd wynieść? Spotykamy się później z paczką w domu Brody'ego. Jego stary wyjechał i po balu urządzamy tam zabawę. Pójdiesz?

Kolejny szok. Scott zapraszał mnie na imprezę dla wybranych, gdzie będą alkohol, fajki i inne zajęcia, które nie podobają się rodzicom. Przez chwilę poczułam ukłucie żalu. Akurat kiedy mnie zapraszają, ja nie mogę przyjść.

- Nie mogę - odparłam. - Przykro mi, ale mam inne plany.

Naburmuszył się.

- Naprawdę? - jęknął, a jego dłonie zsunęły się poniżej moich bioder, zdecydowanie dalej niż mi to odpowiadało. - Nie możesz ich zmienić? Nawet dla mnie?

Zesztywniałam, a on chyba załapał, bo przesunął ręce na neutralny teren.

- Przykro mi - powtórzyłam. - Ale naprawdę nie mogę. Nie dziś.

Westchnął ze szczerym żalem.

- No dobrze, tajemnicza dziewczyno, złam mi serce. - Wziął moją dłoń, położył na swojej kłacie i posłał mi wstydlivy uśmiech małego chłopczyka. - Ale przynajmniej powiedz, że mogę do ciebie w ten weekend zadzwonić. Jak masz na imię?

No i proszę. Mogłam mu powiedzieć. Mogłam mu powiedzieć i patrzeć, jak uśmiech znika mu z twarzy, gdy uświadomi sobie, kogo tak gorąco uwodził. Patrzeć, jak pewna siebie mina zamienia się w grymas przerażenia, a może tylko żalu. Chciałam zobaczyć ten żal. Koleś zasłużył sobie po tym, co mi zrobił. Wystarczyło powiedzieć dwa słowa - Meghan Chase - a złoty chłopiec liceum w Albany zostałby upokorzony. Tylko moje imię.

Westchnęłam, poklepałam go lekko po kłacie i wyszeptalam:

- Niech to będzie dla ciebie tajemnica, dobrze?

- Och... - Uśmiešek zniknął mu z twarzy; chłopak zamrugnął tak zaskoczony, że prawie zachichotałam. - Dobrze. Ale... jak się z tobą skontaktuję? Skąd wezmę twój numer telefonu?

- Przepraszam. - Gdy usłyszałam ten głos, serce mi podskoczyło. Poczułam, jak moje usta rozciągają się w uśmiechu, zanim jeszcze się odwróciłam, i to mimo że starałam się wyglądać na urażoną. Ale bez skutku. W przyćmionym świetle stał Ash, poważny i piękny. Wyciągnął do mnie ramię.

- Mogę przerwać?

Mówił zaskakująco niepewnie jak na siebie. Drgnęłam i uniosłam głowę, spoglądając na niego uważnie. - Jakie pytanie?

W słabym świetle jego oczy przybrały ciemnoszary kolor. Wokół było gęsto od emocji, ciężko wiszących w powietrzu i w marzeniach otaczających nas nastolatków. Przez moment iluzja przedstawiająca tańczącego ze mną ludzkiego chłopca rozwiązała się, ukazując elfa o srebrnych oczach, z którego aż promieniał urok. W porównaniu ze zwyczajnymi ludźmi wokół jego piękno aż bolało.

- Kochasz go?

Zaparło mi dech. Przez moment myślałam, że chodzi mu o Scotta, ale oczywiście się myliłam. Tylko jedną osobę mógł mieć na myśli. Prawie wbrew woli uniosłam głowę i spojrzałam za siebie, ponad tłumem tańczących, w miejsce, gdzie na skraju światła stał Puk. Miał skrzyżowane na piersi ramiona i przypatrywał się nam zmrużonymi zielonymi oczami.

Serce zabiło mi mocniej. Odwróciłam się z powrotem, czując na sobie spojrzenie Asha, a myśli biegly mi w kilku kierunkach jednocześnie. Powiedz mu, że nie, szeptały. Powiedz, że Puk to tylko przyjaciel. Że nic do niego nie czujesz.

- Nie wiem - wyszeptałam żałośnie.

Książę nic nie odpowiedział. Westchnął tylko i objął mnie mocniej. Znow umilkliśmy, pochłonięci własnymi myślami. Zamknęłam oczy, pragnąc, by czas się zatrzymał, chcąc zapomnieć o berle i magicznych dworach, i sprawić, by ta noc trwała wiecznie. Ale oczywiście skończyła się aż za szybko.

Gdy w sali rozbrzmiały ostatnie dźwięki muzyki, Ash pochylił głowę i dotknął wargami mojego ucha.

- Mamy towarzystwo... - Poczulałam jego zimny oddech na skórze.

Otworzyłam oczy i rozejrzałam się wokół, wypatrując wśród uroku niewidzialnych wrogów.

Ze stołu spojrzała na mnie para przymrużonych złotych oczu, unoszących się w powietrzu nad bukietem kwiatów. Mrugnęłam i ujrzałam wpatrującego się we mnie Grimalkina, z owiniętym wokół siebie ogonem. Wyglądało na to, że nikt więcej nie zauważył dużego szarego kota siedzącego na środku stołu. Ludzie przechodzili obok, nie zwracając na niego żadnej uwagi.

Na skraju parkietu dołączył do nas Puk, zaznaczając, że on też zauważył Grima. Jak gdyby nigdy nic ruszyliśmy do stołu, na którym kocur zabrał się do wylizywania tylnej łapy. Gdy niego podeszliśmy, spojrzał na nas leniwie.

- Witaj, książę - zamruczał, przyglądając się Ashowi półprzymkniętych powiek. - Miło zobaczyć, że nie jesteś już zły... no... rozumiesz. Zakładam, że ty też jesteś tutaj dla berła?

- Między innymi. - Głos Asha był zimny, ale pod powierzchnią buzowała wściekłość, a wokół księcia powietrze zrobiło się lodowate. Zadrzałam. On chciał nie tylko berła, ale też zemsty.

- Znaleźliście coś? - spytałam, mając nadzieję, że uczniowie nie zauważą nagłej zmiany temperatury.

Grimalkin kichnął i wstał, machając ogonem. Jego złote oczy przybrały nagle poważny wyraz.

- Najlepiej chyba będzie, jak sami to zobaczycie - odparł.

Zeskoczył ze stołu i ruszył pomiędzy ludźmi do drzwi. Po raz ostatni rozejrzałam się po sali gimnastycznej, popatrzyłam na starych kolegów z klasy i nauczycieli, i ogarnął mnie smutek. Pewnie już nigdy ich nie zobaczę. A potem Puk spojrzał mi w oczy i posłał zachęcający uśmiech, i ruszyliśmy za Grimalkinem w noc.

Na zewnątrz było straszliwie zimno. Marznąc w mojej cienkiej sukni, zastanawiałam się, czy nastrój Asha może wpłynąć na całą okolicę. Przed nami kot minął róg jak kudłaty duch, ledwie widoczny w ciemnościach. Szliśmy za nim korytarzami, mijając kolejne sale, aż na parking, gdzie stanął na skraju chodnika i spojrzał w dal.

- O Boże - wyszeptałam.

Cały parking: chodnik, samochody, stojący w oddali stary żółty autobus - wszystko było pokryte grubą warstwą białego, skrzącego się w świetle księżycy puchu.

- Niemożliwe. Czy to... śnieg? - Schyliłam się i zgarnęłam jego garść. Mokry, zimny i grudkowaty. To nie mogło być nic innego. - O co chodzi? Tu nigdy nie pada śnieg.

- Równowaga została zachwiana - odezwał się ponuro Ash, rozglądając się po obcym krajobrazie. - Obecnie Zima powinna trzymać władzę, ale bez berła naturalny cykl uległ zakłóceniu. I takie są skutki.

Skinął w stronę zaśnieżonego parkingu.

- I niestety będzie tylko gorzej.

- Musimy natychmiast odzyskać berło. - Spojrzałam na Grimalkina. Odpowiedział mi tak spokojnym spojrzeniem, jakby śnieg w Luizjanie był czymś oczywistym. - Grim, czy udało wam się z Żelaznym Koniem coś ustalić?

Kot ostentacyjnie zaczął sobie wylizywać przednią łapę.

- Możliwe.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Ash albo Puk mają czasem ochotę go udusić. Najwyraźniej nie zadawałam odpowiednich pytań.

- Co ustaliliście? - zapytał Puk, a Grimalkin wreszcie na nas spojrział.

- Może berło, a może nic. - Polizał kilka razy łapę, po czym dodał. - Ale... na ulicach mówi się o wielkim zbiorowisku żelaznych stworów w centrum San José. Znaleźliśmy to miejsce i wygląda na to, że jest puste, więc może Wirus nie zdążyła jeszcze zebrać swojej armii.

- Gdzie jest Żelazny Koń? - rzuciłam.

Ash zmarszczył brwi.

- Zostawiłem go w fabryce - odpowiedział Grimalkin. - Chciał od razu atakować, ale przekonałem go, że wrócę z tobą i Koleżką. Z tego co wiem, wciąż tam jest.

- Zostawiłeś go samego?

- Czyżbym właśnie tego nie powiedział, człowieku? - Grimalkin zerknął na mnie spod przymrużonych powiek, a ja posłałam chłopcom przerażone spojrzenie. - Sugerowałbym pośpiech - zamruczał, rozglądając się po parkingu. - Nie dość, że Wirus zbiera potężną armię żelaznych stworzeń, to podejrzewam, że Żelazny Koń nie będzie długo czekał. Zdaje się chętny do ataku w pojedynkę.

- No to ruszajmy! - zawołałam, rzucając okiem na Asha i Puka. - Ash, zgadzasz się? Dasz radę walczyć?

Przyjrzał mi się poważnie i machnął dłonią. Urok znikł, smoking rozplynał się w powietrzu, tak samo jak ludzki chłopak, a na jego miejscu pojawił się książę Mrocznego Dworu, w wydymającym się czarnym płaszczu.

Spojrzałam z powrotem na Puka - jego smoking zamienił się w bardziej pasującą do niego zieloną bluzę z kapturem. Obrzucił mnie wzrokiem i uśmiechnął się szeroko.

- Nie najlepszy strój do walki, co, księżniczko?

Spojrzałam na moją piękną suknię i poczułam ukłucie żalu, że pewnie zanim noc minie, pozostaną z niej strzępy.

- Pewnie nie mamy czasu, żebyśmy się przebrała - westchnęłam.

Grimalkin zastrzygł uchem.

- Nie mamy. - Pokręcił głową i spojrział w niebo. - Która godzina?

- Ehm... nie wiem. - Już dawno przestałam nosić zegarek. - Pewnie zbliża się północ. A co?

Zdawało mi się, że się uśmiechnął; dość przerażający widok.

- Och, usiądź i poczekaj, człowieku. Niedługo tu będą.

- O czym ty... - Zamilkłam, gdy przez parking przeleciał zimny podmuch wiatru, podrywając z ziemi śnieg, tak że wirował i tańczył, lśniąc w ciemnościach. Gałęzie zaczęły trzeszczeć, a wokół rozległo się nieziemskie wycie. Zadrżałam. Ash zamknął oczy.

- Wezwałś ich, kocie?

- Byli mi winni przysługę - wymruczał Grim, gdy Robbie spojrział z niepokojem w niebo. Nie mamy czasu na szukanie ścieżki, a stąd jest to najszybszy środek transportu. Pogódź się z tym.

- Co się dzieje? - zapytałam, gdy obaj, Ash i Puk, podeszli do mnie bliżej, spięci i gotowi do obrony. - Kogo on wezwał? Kto się zbliża?

- Gon - wyszeptał ponuro Ash.

- Co... - Ale w tym momencie usłyszałam potężny szum, jakby tysiące liści trzepotało na wietrze.

Uniosłam wzrok i zobaczyłam zbliżającą się do nas z zastraszającą prędkością nierówną chmurę, zasłaniającą niebo i gwiazdy.

- Trzymaj się! - krzyknął Puk i złapał mnie za rękę. Czarna masa ruszyła na nas, wrzeszcząc setkami głosów.

Zobaczyłam dziesiątki twarzy, oczu, otwartych ust, a gdy dotarła nad nas, aż zwinęłam się ze strachu. Niesamowicie zimne palce złapały mnie i pociągnęły w górę. Moje stopy oderwały się od

ziemi i krzyżąc z przerażenia, zostałam porwana w niebo. Otoczył mnie lodowaty wiatr, szarpiący za włosy i ubranie, pozbawiający jakichkolwiek uczuć, poza małym punktem ciepła w mojej dłoni, wciąż trzymanej przez Puka. Zamknęłam oczy i mocniej ścisnęłam jego rękę, a Gon porwał nas w noc.

22. Wybór Żelaznego Konia.

Nie wiem., jak długo Gon niósł nas po niebie, Krzycząc i zawodząc niezmiernymi głosami. Nie wiem, czy miał własne ścieżki, które pozwalały mu przemieszczać się między światami, czy potrafił zakrzywiać czas i przestrzeń, a może po prostu leciał bardzo, bardzo szybko. Ale to, co powinno trwać całe godziny, zajęło ledwie minuty i znów moje stopy dotknęły ziemi, a ja poleciałam do przodu.

Puk złapał mnie mocniej i szarpnął, nim zdążyłam upaść. Chwycił go za ramię, by zachować równowagę i rozejrzałam się niepewnie wokół.

Staliśmy na skraju jakiejś olbrzymiej fabryki. Po drugiej stronie rzęsiście oświetlonego rzędami latarni parkingu wznosił się potężny budynek z betonu, szkła i stali. Parking był pusty, ale sam budynek nie wyglądał na opuszczony ani zniszczony - żadnych rozbitych okien, pomazanych graffiti ścian. Zauważyłam, że coś przemieszcza się po ścianach, jakby świetliki błyskające niebieskim światłem. Chwilę później uświadomiłam sobie, że to gremliny - setki, jeśli nie tysiące - kłębiły się na ścianach fabryki jak mrówki. Błękitne światełka były poświatą ich kłów, gdy syczały, wrzeszczały i szczyrzyły się na siebie wzajemnie. Po plecach przebiegł mi dreszcz, aż zadrżałam.

- Gniazdo gremlinów - rzucił Grimalkin, przyglądając się z zaciekawieniem chmarze. - Leanansidhe mówiła, że gremliny zbierają się w miejscach, gdzie jest mnóstwo techniki. To całkiem zrozumiałe, że Wirus to miejsce odpowiada.

- Znam to miejsce - odezwał się nagle Ash. Wszyscy na niego spojrzeliśmy. Wpatrywał się w fabrykę, marszcząc brew. - Pamiętam, jak Wirus o nim mówiła, gdy... gdy przy niej byłam. - Skrzywił się i posmutniał, ale szybko się otrząsnął. - Podobno w środku znajduje się ścieżka do Żelaznego Królestwa.

Puk trącił mnie w ramię i wyciągnął rękę.

- Patrz na to.

Podążyłam wzrokiem za jego palcem. Wskazywał napis przed budynkiem, wielką marmurową tablicę z błyszczącymi literami.

- Przedsiębiorstwo SciCorp - wyszeptalam, kręcąc głową.

- Przypadek? - Robbie poruszył energicznie brwiami. - Nie sądzę.

- Gdzie jest Żelazny Koń? - spytałam, rozglądając się wokół.

- Tędy - mruknął Grimalkin i ruszył brzegiem parkingu. Poszliśmy za nim. Kontury chłopców trochę się rozmywały, co oznaczało, że są niewidzialni dla ludzi, a ja szłam w mojej bardzo podejrzanym balowej sukni i na obcasach, które kompletnie nie nadawały się do ataku na wielką fabrykę, ani nawet do marszu po chodniku.

Ulicą po mojej prawej pędziły samochody. Kilka zwolniło, by na mnie natrąbić, ktoś nawet zagwizdał, aż się zaczerwieniłam. Żałowałam, że nie mogę użyć uroku, by stać się niewidzialna, a przynajmniej by się przebrać w coś wygodniejszego.

Grimalkin poprowadził nas wokół fabryki, brzegiem chodnika, do rowu melioracyjnego rozdzielającego dwa parkingi. Na dnie rowu, u wylotu kanału burzowego, zbierała się czarna, oleista woda. sącząc się na trawę. Walające się po ziemi butelki i puszki błyszczały w świetle księżyca, ale nigdzie nie było widać śladu Żelaznego Konia.

- Tu go zostawiłem - odezwał się Grimalkin. Rozejrzał się wokół, po czym wskoczył na suchy kamień i zaczął otrząsać po kolei łapy - Wygląda na to, że jesteśmy za późno. Najwyraźniej nasz niecierpliw przyjaciel wpadł już do środka.

Nim zdążyłam się przerazić, rozległo się głębokie prychnięcie.

- Czy uważasz mnie za głupca?! - zadudnił Żelazny Koń, pochylając się nisko, by wyjść z rury. Był teraz w swojej bardziej ludzkiej odmianie, bo nie miał szans się tam zmieścić we własnym ciele. - Nadchodził patrol, więc musiałem się ukryć! Nie łamię obietnic, które złożyłem!

Zmierzył kota wściekłym spojrzeniem, ale Grim tylko ziewnął i zaczął czyścić ogon.

Ash zeszywniał, a jego ręka odruchowo oparła się na rękojeści miecza. Wcale mu się nie dziwiłam. Jeśli nie liczy akcji w biurze Wirus, to kiedy Ash po raz ostatni widział Żelaznego Konia, ten ciągnął nas zakutych w łańcuchy do Machiny Oczywście porucznik przybrał teraz inną postać, ale wystarczyło mu się przyjrzeć uważniej, by dostrzec w nim potężnego żelaznego potwora.

Zauważyłam oczywiście ponure spojrzenie, które Ash posłał porucznikowi, ale postanowiłam skupić się na obecnej sytuacji.

- Czy Wirus na pewno tu jest? - zapytałam, stając ostrożnie między nimi. - To jak się dostaniemy do środka? Zwłaszcza że gremliny oblażyły cały budynek?

Żelazny Koń prychnął.

- Gremliny nie będą nam przeszkadzać, księżniczko! To nieskomplikowane stworzenia, żyją dla zniszczenia i chaosu, ale są tchórzliwe i nie zaatakują silnego przeciwnika!

- Niestety nie mogę się z tym zgodzić. - W głosie Asha zabrzmiała niebezpieczna nuta. - W królestwie Machiny sam dowodziłeś ich armią, już zapomniałeś? Nie atakują silnego przeciwnika? Z tego co pamiętam, to w kopalniach całe ich stado próbowało mnie rozszarpać na strzępy.

- No właśnie. - Zmarszczyłam brwi. - A jak mnie porwały i zabrały na spotkanie z tobą? Nie mów, że nie są niebezpieczne.

- Nie! - Żelazny Koń pokręcił głową. - Pozwólcie wyjaśnić. W obu tych przypadkach gremliny działały z rozkazu Machiny! Tylko on potrafił je kontrolować i tylko jego słuchały! Gdy zginął, powróciły do swojego zwykłego dzikiego stanu! Nie są teraz dla nas zagrożeniem!

- A co z Wirus? - chciał wiedzieć Puk.

- Wirus uważa je za szkodniki! Nawet gdyby umiała je kontrolować, wołałaby zdać się na swoje roboty niż zniżyć się do kontaktów ze zwierzętami!

- No to nie powinno być problemu - zachichotał złośliwie Puk. - Po prostu wejdziemy głównymi drzwiami, podbiegniemy do Wirus, zabierzemy berło, napijemy się herbatki i jeszcze przed śniadaniem uratujemy świat. A ja głupi myślałem, że będzie trudno.

- Pukowi chodzi o to, że... - spojrzałam na niego ponuro. - Co zrobimy z wirus gdy ją znajdziemy? Ma berło, a ono chyba jest potężne, prawda?

- Tym się nie przejmuj. - Głos Asha przyprawił mnie o gęsią skórę. - Zajmę się Wirus.

Robbie przewrócił oczami.

- Wspaniale, wesoly księżę, ale jest jeden problem. - Musimy się najpierw dostać do środka. Masz jakieś propozycje?

. To przecież ty jesteś mistrzem. - Ash spojrzał na Puka i wykrzywił się w uśmiechu. - Sam wymyśl.

Gnmalkin westchnął i wstał, bijąc się ogonem po bokach.

- I to ma być nadzieja dla krainy Nigdynigdy - prychnął patrząc na nas z pogardą. - Zaczekajcie. Sprawdź.

Ledwo zniknął, Puk zeszywniał, a Ash poderwał głowę i sięgnął po miecz.

- Ktoś się zbliża - ostrzegł, więc zsunęliśmy się do rowu. Moja sukienka zahaczała o zielsko i potłuczone szkło. Włączając do rury skrzywiłam się, gdy do pantofelków wpłynęła zimna i brudna woda, zamaczając dodatkowo suknię. Jak tak dalej pójdzie, nie miała szans przetrwać do rana.

Obok naszej kryjówki przemaszerowały dwie postacie w znajomych czarnych zbrojach z wyrastającymi z pleców i naramienników cierniami. Gdy nas mijali, do rury dotarł smród zgnilizny i rozkładającego się mięsa. Zdusiłam kaszlnięcie i zatkałam sobie nos.

- Cierniowa Gwardia Rowana - wyszeptał ponuro Ash, gdy już przeszli.

Puk, krzywiąc się, spojrzał przez ramię.

- Ciekawe, ilu ich tu jest.

- Pewnie kilka oddziałów - ocenił Ash. - Podejrzewam, że Rowan chciał wysłać najlepszych, by przejęli królestwo.

- Masz rację. - Grimalkin nagle pojawił się obok nas. Usiadł na pustaku, by nie dotknąć wody, i trzymał ogon w górze. - W środku jest wielu gwardzistów, a także kilka żelaznych stworzeń i kilkadziesiąt ludzkich robotów. No i oczywiście gremliny. Łażą po całej fabryce, ale wygląda na to, że nikt się nimi nie przejmuje.

- Widziałeś Wirus albo berło? - zapytałam.

- Nie. - Kocur usiadł, oplatając ogonem łapy. - Natomiast przy tylnym wejściu stoją dwaj cierniowi gwardziści i nikogo nie przepuszczają.

Na dźwięk imienia Wirus Ash zmarszczył brwi.

- Damy radę się przebić?

- Nie radziłbym - odparł Grimalkin. - Wygląda na to, że niektórzy używają żelaznej broni: stalowych mieczy, kusz z żelaznymi grotami bełtów i tym podobnych. Wystarczyłby jeden celny strzał i po tobie.

Puk zmarszczył brwi.

- Magiczne stworzenia używają żelaznej broni? Myślisz, że Wirus ich wszystkich potraktowała swoimi robakami?

- Boję się, że to coś gorszego. - Twarz Asha była jak z kamienia, gdy wpatrywał się w fabrykę. - Mnie zmuszono do służby, Wirus nie dała mi wyboru. A Cierniowa Gwardia robi to z własnej woli. Tak jak Rowan. Chcą zniszczyć krainę Nigdyngdy i oddać ją żelaznym stworzeniom.

Robbie uniósł zaskoczony brwi.

- Do diabła, czemu?

- Bo myślą, że staną się tacy, jak Wirus - odpowiedziałam, przypominając sobie słowa Kolcolista i jego szalony, opętany wzrok. - Uważają, że to tylko kwestia czasu, aż Kraina Magii kompletnie zniknie. Jedyne sposoby żeby przetrwać, to stać się takim, jak żelazne stworzenia. Noszą metalowy pierścień na palcu, ukryty pod rękawicą, na dowód swojej wierności, a także dlatego, że według nich uodparnia na żelazo. Ale tak naprawdę on ich powoli zabija.

- Ehm. No... to jest.. naprawdę przerażające. - Puk pokręcił z niedowierzaniem głową. - No, ale i tak musimy się jakoś dostać do środka, bez względu na żelazną broń. Możemy użyć uroku, by przybrać ich wygląd?

- Nie utrzyma się przy całym tym żelazie - odparł zamyślony Ash.

- Chyba mam lepszy pomysł - odezwał się Grimalkin. - na dachu fabryki jest kilka szklanych świetlików. Moglibyście stamtąd ustalić wygląd budynku, a może nawet zobaczyć, gdzie jest Wirus.

To brzmiało całkiem sensownie. Ale...

- Jak my się tam dostaniemy? - zapytałam, przyglądając się potężnej metalowo-szklanej ścianie fabryki. Puk może latać i jestem pewna, że Ash też jakoś się tam dostanie, ale Żelazny Koń i ja jesteśmy bardziej przywiązani do ziemi.

Grimalkin kiwnął poważnie głową.

- Przyznałbym ci rację, ale dziś wygląda na to, że los jest po naszej stronie. Po tamtej stronie budynku stoi winda do mycia okien.

Mimo zapewnień Żelaznego Konia, że gremliny nie będą min szkodzić, podeszliśmy bardzo ostrożnie. Wciąż doskonale pamiętałam, jak mnie porwały, ich ostre szpony wbijające się w moją skórę, maniacki śmiech i bzyczące głosy. Jeden żył nawet w moim iPodzie, zanim go utopiłam, a Machina używał go, by komunikować się ze mną, nawet w Arkadii. Gremliny były podstępny, wrednymi małymi potworkami i nie ufałam im ani trochę.

Na szczęście los nadal nam sprzyjał, gdy dotarliśmy na tył fabryki. Nad ziemią unosiła się mała platforma, podłączona do systemu bloczków i lin ciągnących się aż na dach. Ściana była ciemna i przynajmniej na razie nie było tu gremlinów.

Grimalkin wskoczył lekko na drewnianą platformę, za nim weszli Ash i Puk, uważając, by nie dotknąć żelaznej barierki. Następnie Ash wciągnął mnie za sobą, a na końcu wszedł porucznik. Deski jęknęły pod nim złowieszczo i zgięły się pośrodku, ale na szczęście wytrzymały. Modliłam się, by cała ta platforma nie strzeliła jak zapałka, gdy będziemy na wysokości trzeciego piętra.

Za liny złapali Puk i Żelazny Koń i zaczęli nas wciągać. Ciemne lustrzane ściany odbijały dziwną grupę - kota, dwóch elfich chłopców, dziewczynę w podniszczonej sukni balowej i potężnego czarnego mężczyznę o pałających czerwono oczach. Rozważałam właśnie, jak dziwnie ułożyło mi się życie, gdy przerwał mi dochodzący z góry dziwny syk.

Na jednym z bloczków niedaleko dachu siedział przyciszony gremlin. a jego skośne oczy świeciły w ciemności. Był patykowaty, o długich łapach i wielkich uszach jak u nietoperza. Posłał mi błękitny uśmiech i zabzyczał głośno. Natychmiast ze wszystkich stron zaczęły się schodzić kolejne. Wyłaziły z okien, biegały po ścianach i wskakiwały na dach, by się nam przyjrzeć. Kilka złapało się nawet lin i usiadło na barierkach. Ash przyciągnął mnie do siebie i obnażył miecz, szykując się, by ciąć każdego gremlina, który zbyt blisko do nas zbliży, ale małe żelazne stwory nie zamierzały nas atakować. Ich bzyczące głosy wypełniły powietrze jak szum radiowy, a szerokie uśmiechy otoczyły nas błękitną poświatą, gdy podążaliśmy bez przeszkód w górę.

- Co one robią? - wyszeptałam, przysuwając się bardziej do Asha. Obejmował mnie jedną ręką, trzymając miecz między nami a gremlinami. - Czemu one się po prostu gapią? Czego chcą? Żelazny Koniu?

Porucznik pokręcił głową.

- Nie wiem, księżniczko!- odparł zdziwiony. - Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby się tak zachowywały!

- No to powiedz im, żeby sobie poszły. Przerażają mnie.

W tłumie otaczających nas gremlinów rozległo się bzyczenie, a potem cała chmara zaczęła się rozpraszać. Cofały się po ścianach, wskakiwały do okien, wciskały się w szpary i włączyły z powrotem na dach. I równie nagle, jak się pojawiły, zniknęły. A ściana znów stała się ciemna i cicha.

- No dobra. - Puk rozejrzał się niespokojnie. - To było... dziwne. Czy ktoś rozpylił jakiś odstraszacz na gremliny? Czy po prostu im się znudziło?

Ash schował miecz do pochwy i mnie puścił.

- Może je wypłoszyliśmy.

- Może - przyznałam, ale Żelazny Koń wpatrywał się we mnie z nieodgadnioną miną.

Znów pojawił się Grimalkin, drapiąc się w ucho, jakby nic się nie stało.

- To teraz nieważne - skwitował, gdy platforma zazgrzytała o dach. - Zniknęły, a berło jest blisko.

Ziewnął i spojrzał na nas.

- No? Zamierzacie tak tu stać i liczyć na to, że samo przyfrunie do waszych rąk?

Zeszliśmy z platformy na dach fabryki. Wiatr był tu silniejszy, szarpał mnie za włosy i wydymał moją suknię jak żagiel. Przechodząc na dach, trzymałam się Asha. Daleko pod nami, wszędzie wokół rozciągało się błyszczące jak dywan gwiazd miasto. Na środku dachu znajdowało się kilka wysokich szklanych świetlików, jarzących się fluorescencyjnym zielonym blaskiem. Podeszłam ostrożnie do jednego i spojrzałam w dół.

- Tam - wyszeptał Ash, wskazując antresolę jakieś sześć metrów nad podłogą i pewnie dziesięć pod nami.

Po drugiej stronie szyby dostrzegłam jadowicie zieloną smugę pośród surowych szarości i bieli, otoczoną przez kilku elfów w czarnych zbrojach. Wirus podeszła na skraj antresoli i spojrzała na tłum zebranych stworzeń, najprawdopodobniej szykując się do wygłoszenia przemówienia. Widziałam cierniowych gwardzistów, druczane stwory i kilku zielonoskórych mężczyzn w garniturach, a także różne stworzenia, których nie znałam. Wirus machnęła berłem nad głową, a ono zaczęło pulsować zielonożółtym blaskiem. Tłum zaryczał.

- No dobra, to ją znaleźliśmy - rzucił Puk, przyciskając nos do szyby. - I wygląda na to, że jeszcze nie zebrała całej armii, co jest zjawiskiem pozytywnym. To jak się do niej dostaniemy?

Ash mruknął coś i się odsunął.

- Wy się nie dostaniecie... - wyszeptał - tylko ja.

Odwrócił się do mnie.

- Ona wciąż myśli, że jestem pod jej władzą, Jeśli zdołam podejść wystarczająco blisko, by złapać berło, zanim zorientuje się, co się stało...

- Ash, nie, to zbyt niebezpieczne!

Spojrzał na mnie spokojnie.

- Czegokolwiek spróbujemy, będzie niebezpieczne. A ja jestem gotów podjąć ryzyko. - Dotknął dłonią miejsca, w które ugodził go Puk. - Jeszcze nie odzyskałem pełni sił. Nie będę mógł walczyć tak dobrze jak zwykle. Miejmy nadzieję, że uda mi się zmylić Wirus na tyle długo, by odebrać jej berło.

- A potem co? - zawołałam. - Wytniesz sobie drogę wśród wrogów? Ich tam jest mnóstwo! A Wirus? Co będzie, jeśli zorientuje się, że nie masz już w mózgu robaka? Nie oczekujesz chyba, że... - Zamilkłam, wpatrując się w niego, gdy nagle coś do mnie dotarło. - Tobie nie chodzi o odzyskanie berła, prawda? - wyszeptałam, a on odwrócił wzrok. - Chodzi ci o zabicie Wirus. Masz nadzieję, że podejdziesz na tyle blisko, by ją przeszyć mieczem albo obciąć jej głowę, i nieważne, co będzie później?

- To, co mi zrobiła, było okropne. - Ash odwrócił się znów do mnie. a srebrne oczy błyszczały mu równie zimno, jak księżyc nad nami - Ale nie wybaczę jej tego, do czego mnie zmusiła. Jeśli mnie przejrzą, to przynajmniej zrobię dość zamieszania abyście zdążyli się wkraść i złapać berło.

- Możesz zginąć!

- To nie ma teraz znaczenia.

- Dla mnie ma! - Spojrzałam na niego przerażona. On naprawdę tak myślał - Ash, nie możesz tam zejść samotnie. Nie wiem skąd ci się wzięły te fatalistyczne głupoty, ale masz z tym natychmiast skończyć. Nie zamierzam cię znowu stracić.

- Ona ma rację!

Unieśliśmy głowy. Po drugiej stronie świetlika stał Żelazny Koń i się nam przyglądał. Oczy pały mu czerwienią w mroku.

- To zbyt niebezpieczne dla ciebie!

Zmarszczyłam brwi.

- O czym ty mówisz?

- Księżniczko! - Skłonił się gwałtownie. - To był dla mnie zaszczyt! Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, chętnie służyłbym ci do końca świata! - Spojrzał na Asha i skinął głową, a do mnie nagle dotarło, o czym mówi. - Księżo, jesteś dla niej bardzo ważny! Żyj i chroń ją najlepiej jak umiesz!

- Żelazny Koniu, nawet nie próbuj!

Odwrocił się na pięcie i ruszył przed siebie, nie zwracając uwagi na moje okrzyki, by się zatrzymał. Serce mi się ścisnęło, gdy podszedł do drugiego świetlika i bezradnie patrzyłam, skoczył...

Szyba pękła, gdy w nią uderzył, a szkło rozsypało się na milion błyszczących kawałków. Jęknęłam i spojrzałam przez świetlik. Błyszczące okruchy szkła posypały się na zebrany poniżej tłum. Stwory spojrzały w górę. Wrzeszcząc i piszcząc, zasłaniały oczy i paszcze, gdy nagle z hukiem, który wstrząsnął całym budynkiem, spadł na nie potężny żelazny rumak. Rycząc, stanął dęba. zionął ogniem z nozdrzy, a stalowe kopyta zaczęły śmigać zabójczo.

W sali zapanował chaos. Gdy cierniowi gwardziści i druciane stwory otrząsnęli się z szoku, rzucili się na Żelaznego Konia.

- Musimy się tam dostać! - krzyknęłam, podbiegając do rozbitego świetlika, ale Ash złapał mnie za ramię.

- Nie tędy - odparł, ciągnąc mnie z powrotem do pierwszego okienka - Porucznik odwrócił ich uwagę. Nie możemy mu teraz pomóc. Naszym celem są Wirus i berło. Powinnaś tu zostać, Meghan Nic masz magii i...

Wyrwałam mu z uścisku rękę.

- Znow używasz tego wykrętu? - prychnęłam, a on zamrugnął zaskoczony. Obrzuciłam go wściekłym spojrzeniem. - Pamiętasz, co się stało poprzednim razem, gdy wyruszyłeś beze mnie? Wbij to sobie do tej zakutej pały, Ash! Nie zamierzam puszczać cię samego i to moje ostatnie słowo!

Odrobinę zadrżał mu kącik ust.

- Jak sobie życzysz, księżniczko - mruknął i rzucił okiem na Puka, który przyglądał nam się ze złośliwym uśmiechem. - Koleżko, gotów?

Robin skinął głową i podskoczył do świetlika. Spojrzałam na obu krzywo i wdrapałam się na szybę, nie zwracając uwagi na wyciągniętą przez Puka pomocną dłoń.

- I jak niby mamy się tam dostać? - zapytałam gwałtownie, z trudem utrzymując równowagę. - Przejdziemy przez okno?

Robbie zachichotał.

- Szkło to zabawny materiał, księżniczko. Jak sądzisz, czemu w przeszłości ludzie sypali sól wokół framug, byśmy nie mogli się dostać do środka?

Spojrzałam w dół i dokładnie pod nami ujrzałam Wirus, która krzyczała i wymachiwała berłem nad głową, w pełni skupiona na toczącej się poniżej bitwie i Żelaznym Koniu.

Ash wskoczył na świetlik, wyciągając w locie miecz.

- Pilnuj Meghan! - zawołał, a wokół niego i Puka zamigotał urok. - Ja zajmę się Wirus.

- Co...? - zaczęłam, ale Puk nagle złapał mnie w ramiona. Tak mnie zaskoczył, że nawet nie zdążyłam zaprotestować.

- Trzymaj się mocno, księżniczko - wyszeptał, gdy migotanie nas otoczyło i przelecieliśmy przez szybę tak, jakby nic tam nie było.

Spadaliśmy na antresolę. Krzyknęłam z przerażenia, ale nie było tego słyhać w ogólnym chaosie wywołanym przez Żelaznego Konia i inne stwory. Ash wylądował obok Wirus jak anioł zemsty - płaszcz łopotał mu na ramionach, a obnażony miecz rozbił się, gdy uniósł go nad głowę.

W ostatniej chwili jeden z gwardzistów otaczających Wirus spojrzał w górę, a oczy zrobiły mu się wielkie ze zdziwienia. Wyciągając miecz, krzyknął ostrzegawczo i o dziwo Wirus obróciła się i też uniosła głowę.

Klinga Asha opadła w błękitnej poświacie i trafiła na Berło Pór Roku, które Wirus uniosła, by zablokować cios. Rozbłysło błękitne i zielone światło, a po sali poniósł się okropny zgrzyt. Wszystkie oczy zwróciły się na pojedynkującą się parę. Z lodowej klingi i berła poleciały skry, oświetlając twarze walczących. Wirus wyglądała na zaskoczoną widokiem swojego byłego żołnierza, a Ash zaciska usta w skupieniu, napierając na nią mieczem.

Puk postawił mnie na ziemię - nawet nie pamiętam, kiedy wylądowaliśmy - i skoczył pomiędzy cierniowych gwardzistów, którzy ruszyli do ataku. Z szerokim uśmiechem rzucił się na nich, wymachując sztyletami w upiornej poświacie rzucanej przez miecz Asha i berło.

A potem Wirus zaczęła się śmiać. Poczułam przyływ zimnego żelaznego uroku, a ona odepchnęła księcia w zielonym błysku. Natychmiast się otrząsnął, ale nim zdążył znów zaatakować, Wirus uciekła, zeskakując z antresoli i unosząc się metr dalej w powietrzu. Popatrzyła na mnie zielonymi jak trucizna oczami i się uśmiechnęła.

- No... - Pociągnęła nosem i spojrzała zaskoczona na panujący wokół chaos. Żelazny Koń, otoczony przez żelazne stwory, wciąż kopał i wierzgał, ale coraz słabiej. Kolejni cierniowi rycerze wbiegali na schody, ale ci celowali do nas z kusz z żelaznymi bełtami. Ash i Puk cofnęli się, by stanąć pomiędzy mną a gwardzistami, którzy otoczyli nas ciernistym czarnym kręgiem.

- Meghan Chase... Jesteś pełna niespodzianek, prawda? - Wirus uśmiechnęła się do mnie. - Nie mam pojęcia, jak uwolniłaś zimowego księcia od mojego robaka, ale to już nie ma znaczenia. Armia fałszywego króla jest gotowa wyruszyć na Lato i Zimę. A gdy przejmą krainę Nigdynigdy i zabiją władców starej krwi, nadejdzie nasza pora. Pokonamy ich armie i zabijemy fałszywego króla, nim zdąży nacieszyć się zwycięstwem. potem Nigdynigdy będzie należała do m...

Nie zdążyła dokończyć, bo Ash cofnął się i zaskoczył ją posyłając w jej stronę chmurę lodowych sztyletów. Zadrżała, ale szybko uniosła berło. Rozbłysło zielone światło i buchnęła fala mocy. Sople rozpadły się, nim do niej doleciały Wrzeszcząc złowieszczo, kusznicy wystrzelili, mimo że Wirus krzyknęła, by się pohamowali.

W naszą stronę leciała zabójcza chmura żelaznych bełtów. Czułam, jak płyną w powietrzu, jak w Matriksie, tworząc falę uderzeniową. Bez zastanowienia odwróciłam się i wyciągnęłam rękę. Nie myślałam, jakie to szalone ani że z takiej odległości bełty przelecą przeze mnie jak przez papier. Że na pewno zginiemy, podziurawieni morderczymi bełtami, które mogłyby zabić, nawet gdyby nie były z żelaza. Nie myślałam o niczym, gdy obróciłam się i skinęłam gwałtownie, czując pod skórą mrowienie. Przez powietrze przemknęła potężna fala. Bełty skręciły na boki, odbijając się od ścian, uderzając w metalowe belki i padając z brzękiem na ziemię. Słyszałam, jak krzyczały ranione żelazne stwory, ale my pozostaliśmy niezadrażnieni.

Cierniowi gwardziści jęknęli. Ash i Puk patrzyli na mnie tak, jakby wyrosła mi dodatkowa głowa. Zadrżałam, czując jak buzuje mi pod skórą i szumi w uszach dziwny zimny urok

- Niemożliwe... - Wirus obróciła się powoli, by na mnie spojrzeć. Poblądła. Pokręciła głową, jakby próbowała przekonać sama siebie. - To nie możesz być ty. Zwykła słaba ludzka dziewczyna? Nawet nie jesteś jedną z nas. To pomyłka, to musi być pomyłka!

Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. ale nie miało to znaczenia. Wirus zaczęła chichotać, wsunęła do ust zielony paznokieć i śmiała się coraz głośniejsze, bardziej histerycznie, aż wreszcie zamilkła i zmierzyła mnie dzikim, szalonym wzrokiem

- Nie! - wrzasnęła tak, że nawet gwardziści zadrżeli. - To niemożliwe! To ja bym jego zastępcą! Jego moc powinna należeć do mnie!

Otworzyła przerażająco szeroko usta, a cierniowi gwardziści się wycofali. Z walącym sercem przytuliłam się do Asha i Puka, czując ich ponurą determinację, postanowienie, że będą walczyć bez względu na wszystko. Powietrze zaczęło drżeć, rozległo się potworne bzyczenie, a Wirus odchyliła głowę do tyłu. Z rykiem miliona pszczoł z ust Wirus wyfrunął rój metalowych robaków i zaczął latać wokół niej błyszczącą chmurą.

Kiedy na nas spojrzała, uśmiechała się dziko. Wyciągnęła rękę z bzyczącego tornada.

- A teraz, kochani... - Jej głos ledwie się przebił przez bzyczenie tysięcy owadów. - Skończymy tę gierkę raz na zawsze. Należało to zrobić, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy, ale nie wiedziałam, że to właśnie Ciebie cały czas szukam.

Wszyscy zamarli. Zimny urok wciąż szumiał mi pod skórą, czułam w powietrzu metal. Spojrzałam na rój i zobaczyłam tysiące pojedynczych owadów, ale też jedno stworzenie, dzielące jeden umysł, jeden cel, jedno zadanie.

Umysł roju, pomyślałam beznamytnie, nie wiedząc, czemu czuję się tak spokojnie. Opanuj jedno, a opanujesz wszystkie.

Zdawałam sobie sprawę, że Wirus coś mówi, ale jej głos docierał do mnie z ogromnej odległości.

- Idźcie! - krzyknęła, celując w nas ręką. - Wejdźcie do ich gardel i nozdrzy, do oczu i uszu, w każdy por skóry. Wkręćcie się w ich mózgi i sprawcie, by sami wyrwali sobie serca!

Rój ruszył na nas, bzyząc wściekle. Ash i Puk przysunęli się bliżej. Czułam, że jeden z nich się trzęsie, ale nie wiedziałam który. Rój zbliżał się, bzyząc ogłuszająco, świecąc żelaznym urokiem, tworząc jedną potężną jednostkę.

Jeden umysł. Jedno stworzenie.

Gdy rój zanurkował, by zaatakować, wyrzuciłam przed siebie obie ręce.

Stop!

Rój rozsypał się, otaczając nas, bzyząc ogłuszająco. Ale nie zaatakował. Staliśmy po środku wrzeszczącego huraganu, a metalowe owady latały wokół wściekle, ale nie zbliżały się bardziej.

Poczułam, jak rój walczy z moją wolą, stara się przebić. Ujrzałam twarz Wirus, najpierw zadziwioną, a potem aż białą z wściekłości. Machnęła dziko ręką, a rój zabzyczał złowieszczo w odpowiedzi. Zwiększyłam uścisk, wlewając w niewidzialną barierę więcej magii, czerpiąc urok z fabryki. Serce mi waliło, pot spływał do oczu, ale nie mogłam się rozproszyć, bo to oznaczałoby dla nas śmierć.

Wirus uśmiechnęła się paskudnie.

- Nie doceniłam cię, Meghan Chase - odezwała się, unosząc się wyżej w powietrzu. - Nie sądziłam, że zmusisz mnie do użycia berła, ale cóż... Wiesz, jak to działa? - zapytała, trzymając je przed sobą. Ash podniósł gwałtownie głowę. - Strasznie długo to trwało, ale w końcu to rozgryzłam. - Uśmiechnęła się triumfująco. - Wzmacnia moc tego, kto je trzyma. Czy to nie interesujące? I mogę na przykład nakazać, by moje drogie robaczki zrobiły to...

Berło załśniło mdłą zielenią, a w jego świetle rój zaczął się zmieniać. Owady zaczęły puchnąć jak kleszcze opite krwią, stawały się ostre i spiczaste, o długich żądłach i potężnych żuwaczkach. Teraz były wielkości mojej pięści. Upiorne skrzyżowanie osy i skorpionia; ich skrzydełka zgrzytały o siebie jak noże. Ich umysły też się zmieniły w coś dzikszego, kierującego się instynktem, drapieżnego. Prawie straciłam nad nimi panowanie i naparły na nas, nim zdążyłam zareagować i je odepchnąć z powrotem.

Wściekle bzyząc, zaczęły atakować wszystko, czego mogły dosięgnąć, łącznie z otaczającymi nas gwardzistami. Cierniowi rycerze krzyczeli, rzucając się na boki i drapiąc, a metalowe robaki zaatakowały ich, gryząc i żądłac, wbijając się w ich zbroje Wirus chichotała szaleńczo.

- Zabić ich! - krzyknęła, kiedy kilka robaków dogryzło się do swoich ofiar, a te rzuciły się na ziemię z wrzaskiem.

Ścisnęło mnie boleśnie w środku, ale nie mogłam się zdekoncentrować, odwrócić głowy, żeby nie stracić panowania nad rojem. Przez chwilę nie wiedziałam, co planuje Wirus. A potem cierniowi gwardziści podnieśli się z ziemi z szaleństwem w oczach. Unieśli miecze i ruszyli w naszą stronę, a krew sączyła im się z ran i dziur w zbrojach. Ash i Puk wyszli im naprzeciw na skraju uroku, a do metalicznego bzyżenia owadów dołączył dźwięk krzyżowanych mieczy.

Nie mieliśmy szans. Nie mogłam tak trwać w nieskończoność. Głowa bolała mnie tak, że aż robiło mi się niedobrze, a ręce trzęsły mi się okropnie. Czułam, że wraz z użyciem uroku niezbędnego do utrzymywania w ryzach roju. słabnę.

Kątem oka dostrzegłam, jak jeden z gwardzistów, obleziony przez owady, zatacza się ku brzegowi platformy, by podnieść klisze. Uniósł ją, założył bełt i wycelował we mnie. Nie mogłam się ruszyć. Gdybym zrobiła unik, rój by się uwolnił i nas zabił. Puk i Ash byli zajęci walką z pozostałymi gwardzistami i nie mogli mi pomóc. Nie mogłam nawet krzyknąć ostrzegawczo. W zwolnionym tempie patrzyłam, jak rycerz spokojnie unosi kuszę i celuje.

Później przypominałam sobie dudniące kroki na schodach, ale tylko dlatego, że wydawały się zupełnie nie na miejscu. Zobaczyłam, jak Robin się odwraca i rzuca sztyletem, który leci, obracając się w stronę cierniowego rycerza, a ten zwalnia cięciwę. Sztylet wbił się w klatkę piersiową gwardzisty i zrzucił go z antresoli, ale było za późno. Bełt leciał w moją stronę, a ja nie mogłam nic zrobić.

Przed oczami przeleciało mi coś czarnego, potężnego, na ułamek sekundy zanim bełt trafił w cel. Żelazny Koń, cały pokryty robakami, syjący wokół kawałkami metalu, potknął się, desperacko

walcząc o utrzymanie równowagi. Zatoczył się na brzeg występu, trzęsąc łbem, który obsiadły owady. Kopyto zsunęło mu się z brzegu i przewróciło się na bok.

- Nie! - krzyknęłam.

Żelazny Koń po raz ostatni ryknął wyzywająco i zionął ogniem, a potem osunął się i spadł za krawędź. Usłyszałam, jak jego ciało uderzyło o beton z hukiem, który odbił się echem po budynku, a mnie pociemniało w oczach z wściekłości.

Wygięłam plecy w łuk, zacisnęłam pięści, a urok przepłynął przeze mnie i eksplodował falą.

- Cofnąć się! - ryknęłam na rój, na Wirus, na wszystkie żelazne stwory w fabryce. - Do licha z wami! Cofnąć się! Ale już!

Owady rozleciały się na wszystkie strony, uciekając w sali. Cierniowi gwardziści skrzywili się i cofnęli, niektórzy nawet pospadali za barierkę. Nawet Wirus szarpnęła się w powietrzu, wyginając się, jakby dostała cios w brzuch, a ręce opadły jej po bokach.

Sity mnie opuściły i osunęłam się na ziemię. Gdy rój zaczął się znowu zbierać, bzyząc groźnie, a cierniowi gwardziści dochodzili do siebie, Wirus przyłożyła dłoń do skroni, spojrzała na mnie i posłała mi zadowolony błękitny uśmiech.

- No, Meghan Chase. Gratuluję, udało ci się przyprawić mnie o niezły ból głowy. Ale to nie wystarczy, by... Ach!

Poderwała się, unosząc ręce, gdy Ash rzucił się za podest, skacząc na nią z uniesionym mieczem. Wciąż wrzeszcząc, próbowała sparować cios berłem, ale było za późno. Lodowe ostrze cięło ją przez obojczyk i tors, przecinając czysto na pół.

Gdyby nie kręciło mi się tak strasznie w głowie, to pewnie bym zwymiotowała. Połówki Wirus rozpadły się, ze środka wysypały się kable i oleiste wnętrzości, a potem oboje zniknęli mi z oczu. Cierniowi gwardziści zwinęli się w spazmach, a potem padli na ziemię jak marionetki, którym obcięto sznurki. Gdy tak siedziałam oszołomiona tym, co się właśnie stało. Puk podciągnął mnie na nogi i zaciągnął pod metalową belkę. Chwilę później nastąpił opad robactwa. Odgłos spadających metalowych owadów przywrócił mi zmysły.

- Ash - wyszeptalam, próbując wyrwać się z uścisku. Robbie objął mnie mocno i przytulił do piersi. - Muszę do niego iść... zobaczyć, czy nic mu się nie stało.

- Nic mu nie będzie, księżniczko - warknął, przyciskając mnie mocniej. - Uspokój się. Jest dużym chłopcem, wie, że nie należy siedzieć na deszczu.

Ustałam. Zamknęłam oczy i wtuliłam się w niego, opierając mu głowę na piersi, a wokół nas owady spadały jak błyszczący grad. Przytulił mnie mocno i zaczął coś szeptać o plagach egipskich, ale go nie słuchałam. Głowa mnie bolała i wciąż próbowałam zrozumieć, co się przed chwilą wydarzyło. Byłam taka zmęczona, ale przynajmniej wszystko się skończyło. I przeżyliśmy.

A przynajmniej większość z nas.

- Żelazny Koń - wyszeptalam, gdy wreszcie przestało padać. Poczułam, jak Puk obok mnie kamienieje. Wyrwałam się z jego ramion i uważając, by nie zbliżyć się do martwych robaków i cierniowych gwardzistów, zbiegłam ze schodów. Nie wiedziałam, co zastanę, ale miałam nadzieję. Porucznik nie mógł umrzeć. Był najsilniejszy z nas wszystkich. Może został ciężko ranny i będziemy musieli znaleźć kogoś, kto poskłada go w całość, ale przecież Żelazny Koń był prawie niezniszczalny. Musiał przetrwać. Musiał! Prawie przekonałam sama siebie, że nie muszę się martwić, gdy spod antresoli wyszedł Ash i stanął u dołu schodów, trzymając w ręku Berło Pór Roku, które pulsowało czystym błękitnym światłem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywaliśmy się w siebie, nie chcąc przerwać ciszy, wypowiedzieć tego, co oboje myśleliśmy. Zastanawiałam się, czy księżę weźmie po prostu berło i odejdzie. Nasz układ został spełniony. Miał to, po co przyszedł. Nie musiał już tu dłużej siedzieć.

- Czyli... - Przerwałam w końcu ciszę, próbując pohamować drżenie głosu i te głupie łzy, które znów napływały mi do oczu. - Odchodzisz?

- Niedługo - odpowiedział spokojnym, ale zmęczonym głosem. - Wyruszę do Zimy. ale pomyślałem, że przed odejściem oddam honory poległym.

Ścisnęło mnie w żołądku. Spojrzałam za niego i zobaczyłam, po raz pierwszy, leżącą w cieniu antresoli stertę powyginanego żelastwa. Jęknęłam i pognałam w dół schodów, minęłam Asha i potykając się w biegu, dotarłam do miejsca, gdzie Żelazny Koń leżał otoczony martwymi robakami oraz dymiącymi resztkami Wirus.

- Żelazny Koniu? - Przez moment zdawało mi się, że przy jego głowie siedział Grimalkin. Ale gdy zamrugałam, by odpowiedzieć łyzy, kota tam nie było.

Porucznik, przewrócony na bok, rzeził ciężko, ogień w jego brzuchu ledwo się tlił. Jedną z nóg miał strzaskaną, i wielkie kawały ciała. Wokół niego leżały rozsypane tłoki i koła zębate, jak w rozbitym zegarku.

Uklękałam przy jego łbie i położyłam mu na szyi drżącą dłoń. Szyja była zimna, a jego kiedyś płonące oczy przyćmione i tylko słabo błyskały. Pod moim dotykiem drgnął, ale nie uniósł głowy ani na mnie nie spojrzął. Miałam upiorne przeczucie, że on już nas nie widzi.

- Księżniczko?

Słyszając jego głos, tak cichy i chropawy, prawie zalałam się łzami.

- Tak mi przykro - wyszeptalam, czując, jak Puk i Ash nachylają się za mną.

- Nie... - Czerwień w jego oczach poblądła do malutkich punkcików, a głos opadł do szeptu. Musiałam wyęczać słuch, by w ogóle go usłyszeć. - To był... zaszczyt... - Westchnął po raz ostatni, a malutkie kropeczki światła na chwilę rozbłysły. - Moja królowo. - I odszedł.

Zacisnęłam powieki i zaczęłam płakać. Po Żelaznym Koniu, który nigdy się nie wahał, nigdy nie sprzeniewierzył swoim przekonaniom. Który był kiedyś wrogiem, ale postanowił zostać sprzymierzeńcem, obrońcą, a w końcu stał się przyjacielem. Klęczałam na zimnej podłodze i szlochałam, a Puk i Ash patrzyli ponuro, aż pierwsze promienie słońca zaczęły wpadać przez potłuczone świetliki.

- Meghan... - Cichy głos Asha wyrwał mnie z ponurej zadumy. - Powinniśmy ruszać. - Mówił delikatnie, ale stanowczo. - Armia Żelaznego Króla jest gotowa do wymarszu. Musimy zwrócić berło. Nie zostało wiele czasu.

Wstałam i otarłam oczy, przeklinając magiczne stwory i ich nieustanną wojnę. Wyglądało na to, że nigdy nie ma dość czasu. Czasu na taniec, rozmowę, śmiech, a nawet na opłakiwanie zmarłego przyjaciela. Zsunęłam z ręki bukiet i położyłam go na zimnym metalowym barku porucznika, żeby dać mu coś naturalnego i pięknego w tym pozbawionym życia miejscu. Żegnaj, Żelazny Koniu.

Ash wyciągnął rękę i pozwoliłam mu podnieść mnie na nogi.

- To dokąd teraz? - Pociągnęłam nosem.

- Na Żniwne Pola - odezwał się znajomy głos, a kilka kroków dalej, na kartonie pojawił się Grimalkin. Ostrożnie strącił martwego żelaznego owada na podłogę i dodał: - Wszystkie najważniejsze bitwy pomiędzy dworami odbywały się na tamtej równinie. Jeśli miałbym szukać gdzieś armii Lata i Zimy, to właśnie tam.

- Jesteś pewien?

- Nie powiedziałem, że jestem pewien, człowieku. - Grimalkin zastrzygł wąsem. - Powiedziałem, że tam bym szukał. A poza tym nie idę z wami.

Wcale mnie to nie zdziwiło.

- Czemu nie? To dokąd się tym razem wybierasz?

- Z powrotem do Leanansidhe. - Kocur ziewnął i przeciągnął się, wyginając nad grzbietem ogon w łuk. - Tutaj już skończyliśmy, teraz udam się do niej i poinformuję, że Wirus nie żyje i że berło jest w drodze do Zimowego Dworu. Jestem pewien, że będzie chciała usłyszeć o waszym dokonaniu. - Odwrócił się i machnął na pożegnanie ogonem. - Do następnego razu, miauu.

- Grim, poczekaj.

Zatrzymał się i spojrzął na mnie złotymi oczami.

- Co ci obiecał Żelazny Koń, że poszedłeś z nami?

Machnął znowu ogonem.

- To nie twoja sprawa, człowieku - odparł bardzo poważnym tonem. - Może kiedyś się dowiesz. Ach, a jeśli dotrzedzie na Żniwne Pole, to rozglądaj się za moim przyjacielem. Wciąż jest mi winien przysługę. Z tego co pamiętam, już raz go spotkałaś - rzucił tajemniczo, a potem zeskoczył z pudełka i z gracją ruszył pomiędzy martwe metalowe stwory. Skręcił za jakiś filar i zniknął.

Spojrzałam na chłopców.

- Jak dostaniemy się na Żniwne Pole?

Ash uniósł berło. Lśniło lodowoniebieskim blaskiem, błyszcząc jakby było zrobione z kryształu. Wyglądało tak jak w Tir Na Nog.

- Użyję berła, by otworzyć ścieżkę - wyszeptał i się odwrócił. - Odsuńcie się.

Berło rozjarzyło się, wypełniając salę takim zimnem, że z ust poleciała mi para. Powietrze wokół nas zadrżało. Jakby na wszystko opadł jakiś woal. Przed Ashem ukazał się drżący, krąg, a za nim ujrzałam drzewa, ziemię i mglisty zmierzch Losoboru.

- Ruszajcie - odezwał się z wysiłkiem Ash.

- Chodź, księżniczko. To nasz przystanek. - Puk wskazał portal, czekając, aż przejdę. Odwróciłam się i posłałam ostatnie spojrzenie Żelaznemu Koniowi, którego zimne ciało leżało betonnie, i pohamowałam łzy.

- Dziękuję. - powiedziałam mu cicho i przeszłam na drugą stronę kręgu.

23. Żniwne Pola.

W Losoborze panował chaos. Gdy zeszedłem ze ścieżki, owionął mnie lodowaty podmuch, wyjący w gałęziach, a grad obsypał kawałkami lodu. Nad nami rozległ się grzmot, a zielona błyskawica przecięła kłębiące się chmury. Gałęzie się trzęsły, a wiatr, wirując szaleńczo, porywał pył i gałązki. Śnieg mieszał się z deszczem, tworząc zaspę, które potem znów rozsypywał wicher. Jakiś chochlik o fiołkowej skórze przeleciał obok. Wpadł w wir i zniknął gdzieś między drzewami.

- Cholera! - Obok mnie pojawił się Robbie, a jego szkarłatne włosy fruwały we wszystkich kierunkach. Musiał krzyknąć, żebym go usłyszała. - Zaczęli wojnę bez nas! A ja też byłem zaproszony!

Ash przeszedł przez krąg, który natychmiast zniknął. - Żniwne Pole jest niedaleko! - Uniósł głowę pod wiatr, zamknął oczy i zmarszczył brew. - Bitwa toczy się już od jakiegoś czasu! Czuję krew! Za mną!

Ruszyliśmy przez las, zimowy księżę szedł przodem, a berło świeciło jasno na tle ciemności Losoboru. Wokół nas trwała burza, a nad głowami wciąż grzmiało tak, że aż ziemia się trzęsła. Pantofelki tonęły mi w błocie, a suknia zaczepiała o najróżniejsze ciernie i gałęzie, które rwały na strzępy to, co z niej zostało.

W końcu wyszliśmy poza linię drzew, a przed nami rozciągała się szeroka lodowa kotlina otoczona surowymi wzgórzami, których szczyty tonęły w chmurach. Przez dolinę wiała się zamarznięta rzeka, otaczając wznoszące się pośrodku ruiny jakiegoś starożytnego zamku

Z tego miejsca armie Lata i Zimy wyglądały jak kłębiące się mrówki - potężna, chaotycznie ruszająca się plama koloru. Powietrze przepętniały wołania i ryki, wybijające się ponad wycie wiatru. Oddziały żołnierzy nacierały na siebie w miarę zdyscyplinowany sposób, podczas gdy inne grupy przesuwały się po polu, odbijając się od jednej grupy walczącej do drugiej, radośnie rzucając się w wir walki. Potężne postacie przedzierały się przez tłum, wymachując łapami i miażdżąc, a stada latających stworzeń atakowały z powietrza. To była gigantyczna, brutalna, szalona ogólna bijatyka; próba przedarcia się przez nią oznaczałaby samobójstwo.

Przełknęłam z trudem i spojrzałam na Asha i Puka.

- Musimy się przedrzeć, prawda?

Ash skinął głową.

- Rozglądaj się za Oberonem albo Mab - odezwał się ponuro, wpatrując się w pole walki. - Bardzo prawdopodobne, że będą po dwóch stronach rzeki. Koleżko, powstrzymaj bojowy zapal! Nie chcemy walczyć; chcemy tylko dostarczyć królowej berło

- Nie oszukuj się, księżę. - Puk uśmiechnął się od ucha do ucha, wyciągnął sztylety i wycelował jednym w Asha. - Ty jesteś zdrajcą, Meghan jest księżniczką Lata, a ja jestem Robinem Koleżką. Już to widzę, jak oddziały mrocznych pozwolą nam przejść bez zadrzańnięcia.

I wtedy padł na nas cień, a uderzenie wiatru prawie zważyło mnie z nóg. Ash odsunął mnie gwałtownie, a w miejscu, gdzie stałam, wylądował w kłębach śniegu wielki uskrzydłony jaszczur. Stwór zasyczał i wrzasnął, trzepocząc poszarpanymi skrzydłami i ryjąc ziemię przednimi szponiastymi łapami. Miał łuski koloru przykurzonego brązu, żółte oczy, okrutne i głupie. Długi, umięśniony ogon smagał powietrze, a na jego końcu lśnił groźny kolec. Sycząc, jaszczur stanął pomiędzy mną a chłopcami, rozdzielając nas swoim ciałem i unosząc ogon nad głowę jak potężny skorpion.

Pomiędzy łopatkami potwora siedział jeździec w błyszczącej, nieskazitelnie białej zbroi, niesplamionej nawet jedną kroplą krwi.

- Rowan! - jęknęłam.

- No, no - zachichotał starszy księżę z grzbietu swojego poczwarnego rumaka. - Znów się spotykamy. Krnąbrna księżniczka i nasz zdraziecki księżę. Nie ruszaj się, Ash - ostrzegł, posyłając bratu groźne spojrzenie. - Jeden malutki ruch, a Thraxa rozszarpie twojego ukochanego mieszańca na strzępy i to szybciej, niż zdążysz mrugnąć. Chyba nie chcesz stracić kolejnej dziewczyny w paszczy wiwerny, co?

Ash wyciągnął już miecz, ale usłyszawszy groźbę Rowana, tylko posłał mi udręczone spojrzenie. Widziałam przerażenie u jego oczach, gdy opuścił broń i się odsunął.

- Dobry chłopak. Niedługo będzie koniec, nie martw się. - Rowan uniósł pięść, a pomiędzy drzew wysypał się tuzin cierniowych gwardzistów z obnażonymi mieczami, odcinając nam drogę ucieczki.

- To już nie potrwa długo - zaśmiał się starszy księżę. - Gdy dwory wyrzną się wzajemnie, wkroczy armia Żelaznego Króla i wszystko się skończy. Ale najpierw potrzebuję berła - mówił dalej, odwracając się do Asha. - Oddaj je, braciszku.

Ash zamarł, ale nim zdążył cokolwiek zrobić, pomiędzy nas wszedł Puk, a na jego twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech.

- Sam sobie weź! - zawołał.

Rowan odwrócił się i zachichotał.

- Robin Koleżka... - Uśmiechnął się. - Tyle o tobie słyszałem. To przez ciebie zginęła Ariella, prawda?

Puk zmarszczył brwi, ale Rowan ciągnął:

- Jaka szkoda, że Ash nie będzie mógł się zemścić, ale wierz mi, to będzie przyjemność. Thraxa! - zawołał i machnął pogardliwie ręką w stronę Robina. - Zabij.

Wiwerna zasyczała i zaatakowała, ukazując ostre jak szpilki zęby. Była przerażająco szybka, jak żmija, a jej szczęki zacisnęły się na głowie Puka.

Jęknęłam, ale poczwara tylko zamrugła zaskoczona. z jej paszczy wybuchł kłęb liści.

Gdy odchyliła łeb i nabzdyczona zaczęła szukać swojej ofiary na ziemi, z drzew wyfrunął duży kruk i zaatakował głowę potwora. Ptak z przejmującym krakaniem zatopił szpony w bok głowy jaszczura i wbił ostry dziób w zmrużone żółte oko Wiwema stanęła dęba, rycząc wściekle, bijąc skrzydłami i machając głową. Próbowała zrzucić atakującego ptaka. Rowan, który prawie spadł z siodła, przeklinając, zaczął szarpać za wodze, próbując odzyskać kontrolę nad zwierzęciem, ale go nie słuchało, przerażone rzucalo się i wyło z bólu. Przebiegłam pod szyją potwora do Asha, który złapał mnie niemal rozpaczliwie, nie spuszczać jednak wzroku z Rowana. Czułam przez płaszcz, jak wali mu serce.

Kruk trzymał się mocno, kłując dziobem i szarpiąc szponami, aż głowa gada spłynęła czarną posoką, a z oka pozostała tylko krwawa miazga. Wtedy zaskrzeczał triumfalnie i podleciał do nas, w kłębie piór przemieniając się w Puka. Wciąż się śmiał, gdy podniósł się z ziemi i wyciągnął energicznie sztylety

- Zabić ich! - wrzasnął Rowan, gdy jego wierzchołek stwierdził, że ma dość i poderwał się do lotu.
- Zabić ich i zdobyć to berło! Nie pozwólcie im wszystkiego popsuć!

- Cofnij się - nakazał mi Ash, gdy cierniowi rycerze ruszyli na nas, zacieśniając śmiercionośne półkole. Było ich wielu, więcej, niż początkowo myślałam, zdawało się, że wychodzą z drzew i krzaków. Spojrzałam na Asha, który w jednym ręku trzymał miecz, a w drugim berło i przybrał postawę bojową. A gdybym tak po prostu wzięła berło i uciekła? Spojrzałam w dół stoku, w dolinę i serce ścisnęło mi się z przerażenia. Nie ma mowy. Nie było szans, abym przedostała się żywa przez tę kłębiącą się masę.

Niebo rozdarła błyskawica, rozświetlając wszystko upiornym blaskiem. Pomiedzy jednym a drugim błyskiem na skraju zbocza pojawiło się jakieś białe stworzenie. W pierwszej chwili myślałam, że to koń. Tylko że ono było mniejsze i miało więcej wdzięku niż cokolwiek, co znałam. Bardziej przypominało jelenia niż konia, miało ogon lwa, a raciczkami ledwo dotykało ziemi. Spomiedzy uszu wyrastał mu kręcony róg, piękny, a zarazem straszny, przekreślając wszelkie skojarzenia ze słowem „jednorożec”, jakie dotychczas miałam. Stworzenie spojrzało na mnie oczami starymi jak las, a mnie zdało się, że już je znam, jakbym kiedyś o nim śniła, ale to wrażenie szybko zniknęło. „Przystał mnie Grimalkin.” W mojej głowie rozległ się głos delikatny, jak spadające pióro. „Pospiesz się, Meghan Chase.” Jednorożec zarzucił głową, odwrócił się i zbiegł w dół zbocza. I w tamtej chwili zrozumiałam, co muszę zrobić.

Wyglądało na to, że całe nasze spotkanie trwało ułamek sekundy. Gdy odwróciłam się do chłopców, wciąż czekali na cierniowych rycerzy, którzy zblizali się powoli, jakby świadomi tego, że nie mamy dokąd pójść.

- Ash - wyszeptałam, kładąc mu rękę na ramieniu. - Daj mi berło.

Spojrzał na mnie przez ramię.

- Po co?

- Dostarczę je Mab. Tylko powstrzymajcie ich, aż dotrę na drugą stronę pola. - Ash patrzył na mnie niezdecydowany. Położyłam dłoń na berle i zacisnęłam zęby, bo zimno paliło jak ogień. - Dam radę.

- Hej, książę! - zawołał Puk. - Ehm... wiesz, w każdej chwili możesz się przyłączyć. Jak będziesz gotów.

Nad doliną rozległ się wrzask, a nad nami zatoczył koło ciemny kształt o skórzastych skrzydłach. Rowan powracał.

- Ash! - Cierniowi rycerze byli już tuż-tuż, a Ash wciąż ścisnął berło.

W rozpaczy spojrzałam mu w oczy i ujrzałam w nich niepewność i strach, że wysła mnie na śmierć.

- Ash - wyszeptalam i polozyłam dłoń na jego rękę. - Musisz mi zaufać.

Zadrzał, skinął głową i zwolnił uścisk. Zacisnęłam rękę na berle i zaczęłam się cofać, wciąż wpatrując mu się w oczy, podczas gdy Cierniowa Gwardia zbliżała się coraz bardziej, a nad drzewami rozbrzmiewał ryk wiwerny.

- Uważaj - powiedział, a w tym jednym słowie kryła się cała burza emocji.

Skinęłam głową.

- Nie zawiodę - obiecałam.

Cierniowi rycerze z rykiem ruszyli do ataku. Ash obrócił się do nich, wymachując mieczem, a Puk wydał ogłuszający okrzyk bojowy i rzucił się w wir walki. Czując, jak berło pali moją dłoń, odwróciłam się i pobiegłam w dół zbocza.

Jednorożec czekał na mnie u stóp pagórka, prawie niewidoczny we mgle. Jego róg zdawał się bardziej rzeczywisty niż cała reszta zwierzęcia. Serce mi waliło, gdy do niego podchodziłam. Mimo że jednorożec stał nieruchomo i przyglądał mi się, to miałam wrażenie, jakbym podchodziła do tygrysa, który był co prawda oswojony i przyjazny, ale wciąż pozostawał tygrysem. Mógł uklęknąć i złożyć mi głowę na podółku albo zaatakować z furją i nadzieją na lśniący róg. Na szczęście nie zrobił ani jednego, ani drugiego, tylko stał nieruchomo jak posąg, aż podeszłam tak blisko, że w jego oczach ujrzałam swoje odbicie.

Co miałam powiedzieć? Czy należało zapytać, czy zgodzi się, bym go dosiadła?

Powietrze przeszył ogłuszający ryk, a nad nami pojawił się cień wiwerny. Jednorożec podskoczył, kładąc uszy po sobie i trzęsąc się z hamowanego pragnienia ucieczki. Do licha, nie ma czasu! Gdy rozległ się kolejny ryk wiwerny, wdrapałam się niezgrabnie na grzbiet jednorożca i złapałam jego grzywę.

Gdy tylko go dosiadłam, mój wierzchowiec wykonał nad skałami niesamowity skok i wylądował na brzegu lodowego pola, a mnie żołądek podskoczył do gardła. Zawahał się moment, rozglądając się na boki, szukając najprostszej drogi. Nagle rzucił się na nas czerwonooki pies, kłapiąc paszczą. Jednorożec odskoczył zwinnie w bok, wymachując kopytkami. Usłyszałam trzask i pies uciekł w mgłę na trzech nogach.

- Nie ma czasu na jazdę naokoło! - krzyknęłam, mając nadzieję, że jednorożec mnie zrozumie. - Mab jest po drugiej stronie rzeki! Musimy się przebić na wprost!

Za nami rozległ się ryk. Spojrzałam za siebie. Wiwerna nurkowała wzdłuż stoku, prosto na nas. Siedzący na jej grzbiecie Rowan wyciągnął miecz, wbił we mnie wściekłe spojrzenie, aż zmroziło mnie z przerażenia.

- Ruszaj! - wrzasnęłam i z rozpaczliwym rzeniem popędziliśmy w największy bitewny chaos.

Jednorożec gnał z zatrważającą prędkością, unikając broni i przeskakując przez przeszkody. Jedną ręką ścisnęłam jego grzywę tak mocno, że aż mi się trzęsła, a drugą paliło berło. Wokół nas letnie i zimowe stworzenia cięły się i rozszarpały, wrzeszcząc z wściekłości, bólu i czystej, radosnej żądzы krwi. Gdy pędziliśmy, widziałam urywki bitwy. Dwa trolle waliły kamiennymi maczugami w grupę goblinów, a ich ramiona i plecy najeżone były włóczniami. Trzy czerwone kapturki ściągnęły na ziemię sylfidę i nie zwracając uwagi na jej ostre jak brzytwa brzegi ważkowych skrzydeł, zaciukały nożami. Jaśni rycerze w zielonych i złotych zbrojach krzyżowali miecze z mrocznymi wojownikami, a ich ruchy były tak eleganckie, jakby tańczyli, ale ich nieziemskie piękno wykrzywiła nienawiść.

Dokładnie nad nami rozległ się ryk wiwerny i jednorożec skoczył w bok tak szybko, że prawie się z niego zsunęłam. Ujrzałam, jak zakrzywione, rozczapierzone szpony wbijają się w krasnoluda. Brodacz krzyknął i zaczął się słabo szamotać, gdy potwór porwał go i uniósł w powietrze. Wiwerna poleciała w niebo, a ja z przerażeniem patrzyłam, jak puściła wciąż żywego krasnoluda na leżące poniżej skały. Zatoczyła koło, żeby znów nas zaatakować.

Mój wierzchowiec zaczął kluczyć, rzucając się gwałtownie na boki, przez co z trudem się na nim utrzymywałam i było mi niedobrze z przerażenia. Ścisnęłam kolanami jego boki tak mocno, że wyczuwałam przez suknię żebra. Wiwerna zawahała się, zdezorientowana, po czym zanurkowała z wrzaskiem. Mój lotny wierzchowiec znów uskoczył w bok, ale tym razem poczwara była tak blisko, że mogłam dotknąć jej szponów.

Byliśmy pośrodku pola, wciąż daleko od rzeki, gdy jednorożec wylądował. Na środku pola bitwy walka była bardziej zacięta, a żołnierze obu stron ścierali się, deptając po trupach i umierających. Jednorożec skakał przez tłum, jakby wiedział w którym miejscu pojawi się za moment odrobina

przestrzeni, i pędził niestrudzenie naprzód. Ale Rowan wciąż siedział nam na ogonie. Gdy jednorozec po raz trzeci uskoczył przed wiwerną. potężny, przypominający skałę potwór uniósł się spod śniegu i uderzył w nas wielką maczugą. Zmiażdżył przednie nogi jednorozca i piękne stworzenie padło, rżąc słabo. Przeleciałam nad jego głową i wpałam w zaspę, tracąc dech.

Leżałam ogłuszona, a świat wirował wokół. Jakieś rozmazane postacie szalały naokoło, wrzeszcząc co tchu, ale do mnie wszystko dochodziło jakby z oddali, zduszone i niejasne.

A potem ujrzałam, jak jednorozec staje dęba. młóci kopytami powietrze i tnie rogiem, a potem ginie pod czarną masą. Podniosłam się na kolana i zawołałam go, ale ręce mi się trzęsły i znów upadłam, płacząc ze złości. Poderwał się jeszcze raz, jego biała sierść poplamiona była krwią, a kilka czarnych stworów uczepiło się jego grzbietu. Krzyknęłam, podpełzając w jego stronę, ale jednorozec pisnął przenikliwie i znów zniknął pod kłębiącym się tłumem. Tym razem już się nie podniósł.

Gdy z trudem łapałam powietrze i walczyłam ze łzami, na moją rękę kapnęło coś mokrego i wstrętnego. Uniosłam głowę i ujrzałam ospowatą twarz goblina, którego połamane zęby aż lśniły od śliny, gdy się do mnie wyszczerzył w uśmiechu i oblizał bladym językiem wargi.

- Smaczna dziewczyna już martwa? - zaskrzeczał, dżgając mnie drzewcem włóczni.

Poderwałam się z ziemi. Zemdlilo mnie, a świat zaczął wirować. Skupiłam się na tym, by nie zemdleć.

Goblin cofnął się z sykiem, a potem znów podszedł ostrożnie. Rozejrzałam się przerażona w poszukiwaniu jakiejś broni i spostrzegłam leżące kilka kroków dalej w śniegu berło.

Goblin wyszczerzył się i uniósł włócznię, a potem zniknął pod kilkoma tonami wiwerny - potężny jaszczur wylądował na nim z siłą taką, że ziemia się zatrzęsała, a wszystko wokół zostało obsypane śniegiem. Z rykiem uniósł łeb. by zaatakować, a ja rzuciłam się po berło.

Złapałam trzonek, a przez ramię przemknął mi impuls elektryczny. Poczułam na szyi gorący oddech wiwerny i przeturlałam się na plecy, unosząc berło. W tym momencie ujrzałam nad sobą potężne, najeżone zębami szczęki i lśniące w mojej dłoni berło, ale nie na niebiesko, złoto ani zielono, ale czystą, oślepiającą bielą.

Z berła wystrzeliła błyskawica i trafiła prosto w otwartą paszczę wiwerny. Uderzenie poderwało głowę jaszczura w górę i wypełniło powietrze smrodem palonego mięsa. W tym samym momencie poczułam, jak coś we mnie pęka, jakby młot uderzył w szkło, rozsypując je na miliony kawałków. Dźwięk, kolor i emocje wypełniły mi umysł; poczułam, jak wylewa się ze mnie zablokowany dotąd urok, i krzyknęłam.

W powietrzu rozeszła się fala i uniosła nagle. Zwaliała z nóg najbliższych mi walczących i rozprzestrzeniała się dalej. Walcząc z zawrotami głowy, podniosłam się na nogi, zataczając się jak pijany marynarz, w podartej, brudnej sukni. W mroku nie widziałam Mab ani Oberona, ale widziałam setki świecących oczu, błyszczących ostrzy i obnażonych zębów, gotowych rozerwać mnie na strzępy. Na pewno teraz wszyscy zwrócili na mnie uwagę.

Berło pulsowało mi w dłoni. Złapałam je mocniej i uniosłam nad głowę. Nad tłumem rozbłysło migocące światło, sprawiając, że zaczął szeptać i cofnął się zaniepokojony.

- Gdzie jest królowa Mab? - zawołałam piskliwie i słabo, a mój głos ledwo przebił się przez wycie wiatru.

Nikt nie odpowiedział, więc spróbowałam jeszcze raz:

- Nazywam się Meghan Chase, jestem córką króla Oberona. Przybyłam zwrócić Berło Pór Roku. - Liczyłam na to, że ktoś szybko powie o tym Mab; nie wiedziałam, jak długo jeszcze zdołam zachować przytomność, a tym bardziej wypowiada się z sensem przed obliczem królowej.

Tłum rozstąpił się powoli, a temperatura powietrza obniżyła się o kilka stopni, sprawiając, że z ust poleciała mi para. Przez tłum przejechała na potężnym siwym rumaku bojowym Mab. Tren sukni ciągnął się za nią, a rozpuszczone włosy spływały na plecy. Kopyta konia nie dotykały ziemi, a z nozdrzy buchała mu para, otulając zimową królową. Usta i paznokcie miała niebieskie, a oczy były czarne jak bezgwiazdna noc. gdy spojrzała na mnie z góry.

- Meghan Chase - zasyczała, a jej idealne rysy były przerażająco bez wyrazu. Rzuciła okiem na berło, które trzymałam w ręku, uśmiechnęła się zimno i groźnie. - Widzę, że masz moje berło. Czy to znaczy, że Letni Dwór przyznaje się wreszcie do swojego błędu?

- Nie! - Nim zdążyłam odpowiedzieć, rozległ się potężny głos. - Letni Dwór nie ma nic wspólnego z kradzieżą berła. To ty wyciągnęłaś pochopne wnioski, pani Mab.

I oto pojawił się Oberon, przejeżdżając przez tłum na złotogniadym ogierze, otoczony drużyną elfich rycerzy. Jego magiczna zbroja lśniła szmaragdami i złotem, a błyszczące łączenia otaczały korę i kość. Na głowie miał rogaty hełm.

Na jego widok poczułam przyływ ulgi, ale zadrżałam, gdy król elfów spojrział na mnie zimnym, wyniosłym wzrokiem.

- Już mówiłam, królowo - zwracał się do Mab, ale wpatrywał się we mnie - że nic o tym nie wiedziałam ani też nie wysyłałam moich poddanych, by wykradli ci berło. To ty rozpętałaś przeciw nam wojnę za sprawą błędnych podejrzeń.

- To ty tak mówisz. - Mab posłała mi drapieżny uśmiech, sprawiając, że poczułam się jak zajęc w potrzasku. - Ale wygląda na to, że to jednak Letni Dwór jest winny, królu elfów. Może i nic nie wiedziałaś o berle, ale twoja córka przyznaje się do winy. próbując zwrócić mi to, co należy do mnie, może w nadziei, że będę wyrozumiała. Czyż nie tak, Meghan Chase?

Zauważyłam, że zarówno letnie jak i zimowe stworzenia odsuwają się od władców, i żałowałam, że nie mogę iść w ich ślady.

- Wcale nie! - wykrzyknęłam, czując, jak spojrzenie obojga władców wierci mi dziury w czaszce. - To znaczy... nie, nie ukradłam go.

- Kłamstwa! - Mab zeskoczyła ze swojego rumaka i ruszyła ku mnie. znów miała szaleństwo w oczach, a mnie ścisnęło dołku z przerażenia. - Jesteś brudnym człowiekiem i kłamiesz. Obróciłaś przeciw mnie Asha. Sprawiałaś, że walczył z własnym bratem. Uciekłaś z Tir Na Nog i szukałaś schronienia u wygnanej Leanansidhe. Czy nie tak, Meghan Chase?

- Tak, ale...

- Byłaś w sali tronowej, gdy zamordowano mego syna. Czemu ciebie oszczędzili? Jak przetrwałaś, skoro to nie Letni dwór się za tym krył?

- Mówiłam już...

- Jeśli to nie ty ukradłaś Berło Pór Roku, to kto?

- Żelazne stworzenia! - wykrzyknęłam, bo straciłam cierpliwość. Nie było to najlepsze posunięcie, ale byłam obolała, wyczerpana, kręciło mi się w głowie i wciąż miałam przed oczami ciało Żelaznego Konia, leżące bez życia na betonie, i jednorożca rozrywanych na strzępy na moich oczach. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy, przez co przeszliśmy, słuchanie, jak ta wiedźma oskarża mnie o kłamstwo, przelało czarę goryczy. - Nie kłamię, do cholery! - wrzasnęłam jej w twarz. - Przestań gadać i mnie wysłuchaj! Żelazne stwory ukradły berło i zabiły Sage'a! Byłam tam, kiedy to się stało! Niedaleko jest ich cała armia i szykują się do ataku! To dlatego ukradli berło! Chcieli, abyście pozabijali się wzajemnie, nim wejdą tu i posprzątają resztki!

Oczy Mab zalsniły przerażająco i uniosła rękę. Uznałam, że to mój koniec. Nie można krzyczeć na królową elfów, licząc, że ujdzie to na sucho. Ale Oberon wkroczył w końcu do akcji i przerwał Mab, nim zdążyła przerobić mnie na mrożonkę.

- Chwileczkę, pani - odezwał się cicho. Zimowa królowa odwróciła się do niego z wściekłością, ale on zachował spokój. - Jedną chwilę, proszę. W końcu to moja córka. - Zmierzył mnie wzrokiem. - Meghan Chase, bądź łaskawa oddać berło królowej Mab i skończmy z tym.

Chętnie. Podeszłam do Mab i uniosłam berło w obu dłoniach, pragnąc jak najszybciej pozbyć się tej głupiej rzeczy. Może i miało potężną moc, ale wydawało się zbyt małym, błahym przedmiotem, by spowodować tyle nienawiści, zamętu i śmierci. Królowa Zimy wpatrywała się we mnie chwilę z nieodgadnionym lodowatym wyrazem twarzy, aż spociłam się mimo zimna. W końcu, z olbrzymią powagą wyciągnęła rękę i przejęła berło, a po polu bitwy poniosło się westchnienie ulgi. Stało się. Berło Pór Roku znów było tam, gdzie powinno i wojna się skończyła.

- A teraz, Meghan Chase... - odezwał się Oberon, gdy ucichł szum. - Może opowiesz nam wszystko, co się wydarzyło?

Zrobiłam to, streszczając wydarzenia tak, jak tylko umiałam. Opowiedziałam im o tym, jak Tercjusz skradł berło i zabił Sage'a. O cierniowych gwardzistach i o tym, jak chcieli się stać żelaznymi. Opisałam, jak Grimalkin przeprowadził nas przez Głogi, jak spotkaliśmy Leanansidhe, która zgodziła się nam pomóc. A w końcu powiedziałam o Wirus oraz jej planach ataku na krainę Nigdynigdy i jak zdołaliśmy ją wysledzić, a potem odzyskać berło.

Pominęłam tylko Żelaznego Konia. Mimo jego pomocy i szlachetnego poświęcenia widzieliby w nim tylko wroga, a nie chciałam być oskarżona o współpracę z przeciwnikiem. A gdy skończyłam, zapadła niesamowita cisza i przez chwilę słychać było tylko wiatr wyjący nad równiną.

- To niemożliwe. - Głos Mab był lodowaty, ale przynajmniej nie słychać w nim już było tego szaleństwa. Najwyraźniej fakt, że oddałam jej berło, trochę ją ułagodził. - jak dostali się do pałacu i z niego wyszli przez nikogo niezauważeni?

- Zapytaj Rowana - odparłam, a wśród otaczających nas elfów rozległy się szept. - To on z nimi współpracuje.

Mab znieruchomiała. Dostałam gęziej skórki na ramionach gdy lód zaczął pokrywać ziemię; trzeszcząc i pękając, rozchodził się od stóp zimowej królowej. Kiedy się odezwała, mówiła cicho, prawie szeptem, ale to przeraziło mnie bardziej, niż gdy krzyczała u szaleństwie.

- Co powiedziałaś, mieszańcu?

Spojrzałam na Oberona, ale on też nie wyglądał na przekonanego. Czułam, że jego cierpliwość i wsparcie się kończą. Jeśli zamierzałam oskarżyć syna Mab o zdradę, to lepiej, żebym miała na to odpowiednie dowody. Bo inaczej nie będzie mnie mógł dłużej chronić.

- Rowan współpracuje z żelaznymi stworami - powtórzyłam, gdy zaczął otaczać mnie lód. - On i Cierniowa Gwardia. Oni... oni chcą się stać tacy sami, odporni na żelazo. Uważają...

- Wystarczy! - Wrzask Mab sprawił, że wszyscy poza Oberonem się wzdrygnęli. - Gdzie dowody, mieszańcu? Nie oczekuj, że uwierzę w te bluźniercze stwierdzenia bez dowodu; jesteś człowiekiem, łatwo ci kłamać! Mówisz, że mój syn zdradził swój dwór i ród, by zbratać się z tymi żelaznymi obrzydliwymi, których nikt nie widział? Dobrze! Pokaż dowody! - Wycelowała we mnie palec i zmrużyła triumfalnie oczy. - Jeśli ich nie masz, jesteś odpowiedzialna za zabójstwo członka rodziny królewskiej i ukazę cię tak, jak uznam za stosowne.

- Ja nie... - Ale przerwały nam odgłosy szamotaniny.

Tłum poruszył się, rozglądając wokół, a potem wynurzyła się z niego trójka elfów. Ash i Puk, zakrwawieni, ponurzy i brudni prowadzili między sobą spiczastą postać cierniowego rycerza. Wkroczyli w krąg i rzucili elfa do stóp Mab.

Dyszając ciężko, Robin wyprostował się i wierzchem dłoni otarł krew z ust.

- Oto twój dowód.

Oberon uniósł brew.

- Koleżko - rzucił, a to jedno słowo przyprawiło mnie o ciarki, a Puk się skrzywił. - Co to znaczy?

Mab się uśmiechnęła.

- Ash... - wymruczała, ale nie było to miłe powitanie. - Cóż za niespodzianka widzieć cię w towarzystwie letniej dziewczyny i Robina Koleżki. Czy chciałbyś dodać coś więcej do listy swoich zbrodni?

- Moja królowo. - Ash stanął przed Mab, dysząc ciężko z ponurą i zrezygnowaną miną. - Księżniczka mówi prawdę. Rowan nas zdradził. Wysłał swoją elitarną gwardię, by wzmocnić armię żelaznych stworów, wpuścił ich do pałacu i to on jest odpowiedzialny za śmierć Sage'a. Gdyby nie Robin Koleżka i letnia księżniczka, berło byłoby stracone, a armie Żelaznej Króla by nas pokonały.

Mab zmrużyła oczy, a Ash cofnął się i skinął w stronę jęczącego cierniowego rycerza.

- Jeśli nie wierzysz moim słowom, moja królowo, zapytaj go, jaka jest prawda. Jestem pewien, że z przyjemnością wszystko ci powie.

- Do licha - warknął Robbie i minął mnie. - Wystarczy, że zobaczysz to.

Rzucił się na gwardzistę i oparł kolano na jego napierśniku. Rycerz uniósł ręce, by się osłonić, a Puk złapał jedną z jego rękawic i zerwał ją, trzymając go za nadgarstek.

Powietrze wypełnił ostry zapach żelaza, a krąg zaciekawionych gapiów odskoczył z okrzykiem przerażenia. Cała ręka cierniowego rycerza była poczerniała i wysuszona, a skóra odpadała z niej jak popiół. Na długim sękatym palcu żelazny pierścień odcinał się jasno od zniszczonego ciała.

- Proszę! - warknął Robin, puszczając rękę i się cofając. - Wystarczy taki dowód? Każdy z tych drani ma taki pierścień na palcu i nie noszą go ze względu na modę. Jeśli chcesz więcej dowodów, to sprawdź krzaki na szczycie wzgórza. Tego zostawiliśmy przy życiu, aby wyjaśnił swojej królowej plany zamachu stanu.

Mab skierowała swój lodowaty wzrok na cierniowego rycerza, który skurczył się i zaczął bełkotać:

- Moja królowo, mogę wyjaśnić. To Rowan nam nakazał. Działaliśmy z jego rozkazu. Powiedział, że to jedyny sposób by nas uratować. Proszę, nigdy nie chciałem... błagam, nie!

Mab skinęła ręką. Rozbłysło niebieskie światło i gwardzistę zaczął otaczać lód, zamykając w zamrożonym kryształ. Nabrał powietrza, by krzyknąć po raz ostatni, ale lód objął jego twarz i zdusił głos. Zadrżałam i odwróciłam wzrok.

- Powie mi wszystko później. - Mab uśmiechnęła się zimno, mówiąc raczej do siebie niż do nas. - O tak. Będzie błagał, by mi powiedzieć. - Uniosła głowę, a jej oczy były równie przerażające, jak głos. - Gdzie jest Rowan?

Gdy tłum zaczął się rozglądać i szeptać, spojrzałam na leżącą nieopodal martwą wiwernę, z której paszczy wciąż sączył się dym. Zadrżałam i odwróciłam się, znając już odpowiedź. Rowan uciekł. Nie znajdują go w krainie Nigdynigdy. Uciekł do żelaznych stworzeń, by dalej starać się zostać jednym z nich.

Po dłuższej chwili stało się jasne, że Rowana nie ma na polu.

- Pani Mab - odezwał się Oberon. - W świetle najnowszych wieści proponuję chwilowy rozejm. Porozmawiamy o tym później, a na razie zabiorę moich poddanych z powrotem do Arkadii. Meghan, Koleżko... - Skinął na nas sztywno. - Chodźcie.

Spojrzałam na Asha, a on posłał mi słaby uśmiech. Widziałam ulgę na jego twarzy. Ale Mab nie zamierzała nas jeszcze puścić.

- Nie tak szybko, drogi Oberonie - wymruczała, a satysfakcja w jej głosie przyprawiła mnie o dreszcze. - Zdaje się, że o czymś zapominasz. Nasze prawa dotyczą się również twojej córki. Musi odpowiedzieć za to, że obróciła mojego syna przeciw mnie. - Królowa wycelowała we mnie berło, a wokół rozległy się groźne pomruki. - Musi zostać ukarana za to, że podstępem namówiła księcia, by pomógł jej uciec z Tir Na Nog.

- To nie była decyzja Meghan... - Głęboki głos Asha przebił się nad szepty. Spojrzałam na niego stanowczo i pokręciłam głową, ale mnie zignorował. - Tylko moja. To ja ją podjąłem. Ona nie miała z tym nic wspólnego.

Mab odwróciła się do niego, a jej spojrzenie złagodniało. Uśmiechnęła się i kiwnęła na niego palcem, a on natychmiast, bez wahania, do niej podszedł i tylko zaciskał pięści.

- Ash - odezwała się miękko, gdy podszedł bliżej. - Mój drogi chłopcze. Rowan powiedział mi, co między wami zaszło, ale wiem, że miałeś swoje powody. Czemu miałbyś mnie zdradzić?

- Kocham ją.

Delikatnie i bez wahania, jakby już się zdecydował. Serce mi podskoczyło i aż jęknęłam, ale nie było tego słyhać wśród przerażonych i niedowierzających okrzyków, które rozległy się w tłumie. Powietrze wypełniły szepty. Niektóre stwory syczały i warczały, obnażając zęby, zupełnie jakby chciały zaatakować księcia, ale trzymały się wciąż z dala od królowej.

Mab nie wyglądała na zaskoczoną, ale uśmiech na jej ustach był równie zimny i okrutny, jak klinga.

- Kochasz ją. Mieszkańca, córkę letniego pana.

- Tak.

Chciałam do niego podejść, moje serce ścisnęło się boleśnie. Wyglądał tak smutno, stojąc samotnie przed szaloną królową i kilkoma tysiącami wściekłych stworzeń. Mówił beznamiętnym, zrezygnowanym tonem, zupełnie jakby zagoniono go w kąt i się poddał, nie dbając, co stanie się potem. Ruszyłam w jego stronę, ale Puk złapał mnie za rękę. Spojrzał na mnie poważnie zielonymi oczami i pokręcił głową.

- Ash... - Mab położyła mu rękę na policzku. - Jesteś zagubiony. Widzę to w twoich oczach. Nie chciałeś tego, prawda? Nie po Arielli. - Ash nie odpowiedział, a jego matka odsunęła się i przyjrzała mu się bacznie. - Wiesz, co teraz nastąpi, prawda?

Ash skinął głową.

- Mam złożyć przysięgę - wyszeptał. - Że nigdy więcej jej nie zobaczę, nie odezwę się do niej, zerwę z nią wszelkie kontakty i powrócę na Zimowy Dwór.

- Tak - odszepnęła Mab, a mnie serce ścisnęło się z przerażenia, jeśli Ash wypowie te słowa, to koniec. Żadne magiczne stworzenie nie może złamać przysięgi, nawet jeśli tego pragnie.

- Złóż przysięgę - mówiła dalej królowa. - a wszystko zostanie ci wybaczone. Wrócisz do Tir Na Nog. Do pałacu i zajmiesz miejsce następcy tronu. Sage zginął, a Rowan jest dla mnie martwy. - Mab pocałowała Asha w policzek i się odsunęła. - Jesteś ostatnim księciem Zimy. Pora wrócić do domu.

- Ja... - Po raz pierwszy Ash się zawahał.

Nasze spojrzenia zetknęły się na chwilę. Jego oczy błyszczały przepelnione cierpieniem, błagając o wybaczenie. Powstrzymałam szloch i się odwróciłam. Gardło zaciskało mi się z bólu i nie chciałam słyszeć słów, które odbiorą mi go na zawsze.

- Nie mogę.

Wkoło zapadła cisza. Puk zeszywniał. Czulałam, że jest w szoku. Przygryzłam wargę i odwróciłam się w stronę Asha, nie wierząc własnym uszom. A on spojrzał spokojnie na Mab, która wpatrywała się w niego z przerażającym, pustym wyrazem twarzy.

- Wybacz - wyszeptał księżę, a w jego głosie usłyszałam delikatne drżenie. - Ale nie mogę... Nie chcę... się jej wyrzec. Nie teraz, gdy właśnie ją odnalazłem.

Nie mogłam tego dłużej znieść. Wyrwałam się Pukowi i ruszyłam do Asha. Nie mogłam pozwolić, by przechodził przez to sam. Ale król elfów stanął na mojej drodze i wyciągnął rękę. równie nieporuszony jak góra.

- Nie przeszkadzaj, córko - odezwał się Oberon głosem przeznaczonym tylko dla mnie. - To sprawa pomiędzy zimowym księciem a jego królową. Niech pieśń dopłynie do końca.

Zrozpaczona spojrzałam znów na Asha. Mab zamarła, jak piękny i zabójczy posąg. Ziemia wokół niej pokryła się lodem. Tylko jej usta się poruszały, gdy wpatrywała się w syna, a powietrze wokół nich robiło się coraz zimniejsze.

- Wiesz, co się stanie, jeśli odmówisz.

Jeśli księżę się bał, to tego nie okazywał.

- Wiem - odparł zmęczonym głosem.

- Ich świat cię pożre - odezwała się Mab. - Będzie cię niszczył po kawałku. Odcięty od krainy Nigdynigdy, nie masz szans przeżyć. Czy będzie to jeden rok śmiertelników, czy tysiąc, będziesz po trochu zniknął, aż po prostu przestaniesz istnieć. - Mab podeszła bliżej i wskazała mnie berłem. - Ona umrze, Ash. Ona jest tylko człowiekiem. Zestarzeje się, zmarnieje i umrze, a jej dusza poleci do miejsca, dokąd ty nie możesz podążyć. A potem zostaniesz w świecie śmiertelników sam, aż staniesz się tylko wspomnieniem. A potem... - królowa otworzyła pustą pięść - nic. Na zawsze.

Ash nie zareagował, ale dla mnie słowa królowej były jak uderzenie obuchem. W gardle urosła mi gula. Jak mogłam być taka ślepa i głupia? Grimalkin powiedział mi kiedyś, że magiczne stworzenia wygnane z Nigdynigdy umierają, nikną, aż nic z nich nie zostanie. Tiaothin powiedziała mi to w zimowym pałacu, gdy próbowałam ją ignorować. Od początku wiedziałam ale nie chciałam w to wierzyć. A może po prostu nie chciałam o tym pamiętać.

- To twoja ostatnia szansa, księżę - Mab odsunęła się. a jej głos stał się sztywny i lodowaty, jakby mówiła do obcego. - Złóż przysięgę albo skaz się na świat śmiertelników na zawsze. Dokonaj wyboru.

Ash spojrzał na mnie. W jego oczach widziałam ból i odrobinę żalu, ale lśniły takim uczuciem, że aż zaparło mi dech.

- Już go dokonałem.

- Niech więc tak będzie. - Jeśli głos Mab był wcześniej zimny, to teraz stał się lodowaty.

Skinęła berłem, a w powietrzu zgrzytnęło i pojawiło się pęknięcie. Jak rozplywający się po papierze atrament, pęknięcie rozrosło się i utworzyło nierówny łuk. Za nim zamigotała latarnia i padał z sykiem deszcz. Przez otwór wdarł się zapach smoły i mokrego asfaltu.

- Od tego dnia księżę Ash jest uznany za zdrajcę i wygnańca! - zawołała Mab, a jej głos niósł się nad polem. - Zostaną przed nim zamknięte wszystkie ścieżki i bezpieczne schronienia, a jeśli znajdzie się w krainie Nigdynigdy, ma zostać natychmiast wytropiony i zabity. - Spojrzała na Asha, krzywiąc się z wściekłości i pogardy. - Nie jesteś moim synem. Wyoś się z moich oczu.

Ash się cofnął. Bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę łuku, wyprostowany, z dumnie uniesioną głową. Na skraju ścieżki zawahał się, a po jego twarzy przemknął lęk. Ale szybko się opanował i nie patrząc za siebie, przekroczył wrota.

- Ash, zaczekaj!

Obiegłam Oberona i pobiegłam do ścieżki. Stwory syczały i prychały, a Puk krzyknął, abym się zatrzymała, ale zignorowałam ich wszystkich. Gdy podeszłam do Mab, jej usta wykrzywiły się w okrutnym uśmiechu i odsunęła się, dając mi wolną drogę do ścieżki.

- Meghan Chase! - Głos Oberona strzelił jak bicz, a ziemią wstrząsnął grzmot. Zatrzymałam się kilka kroków przed łukiem, tak blisko, że widziałam już drogę i ciemną ulicę, a także niewyraźny zarys budynków w deszczu.

Głos króla elfów był niebezpiecznie cichy, a jego oczy lśniły bursztynowo w padającym śniegu.

- Nasze prawa są niepodważalne - ostrzegł Oberon. - Lato i Zima dzielą wiele, ale nie miłość, jeśli dokonasz tego wyboru, córko, to ścieżki nigdy więcej się dla ciebie nie otworzą.

Żołądek mi się ścisnął. No i masz. Oberon mnie także wygna z NigdyNigdy. Przez moment miałam ochotę roześmiać mu się w twarz. To nie mój dom. Nie prosiłam się o to, by być półelfką. Nigdy nie chciałam się mieszać w ich sprawy ani ich świat. Niech mnie wygna. Co mi tam?

Nie oszukuj się, pomyślałam i zrobiło mi się jakoś słabo. Kochasz ten świat. Zaryzykowałam wszystko, by go uratować. Naprawdę odejdziesz i zapomnisz, że on w ogóle istnieje?

- Meghan... - Robin ruszył naprzód i odezwał się błagalnie: - Nie rób tego. Tym razem nie mogę za tobą pójść. Zostań tutaj. Ze mną.

- Nie mogę - wyszeptałam. - Przykro mi... Kocham cię, ale muszę to zrobić.

Twarz wykrzywiła mu się z bólu i odwrócił się ode mnie. Ogarnęło mnie poczucie winy, ale w końcu wybór zawsze był jasny.

- Przepraszam - wyszeptałam do Puka, Oberona, wszystkich, a potem odwróciłam się do wrót. Nie należałam do tego miejsca tak naprawdę. Pora się obudzić i rzeczywiście wrócić do domu.

- Jesteś pewna. Meghan Chase? - Głos Oberona był zimny i pozbawiony skrupułów. - Jeśli wyjdiesz za nim teraz z krainy Magii, już nigdy do niej nie wrócisz.

To stwierdzenie jakoś wszystko ułatwiło. - W takim razie nigdy nie wrócę - odparłam cicho i przeszłam przez łuk, pozostawiając na zawsze magiczną krainę za sobą.

Epilog. Drugi powrót do domu.

Kiedy zeszałam ze ścieżki na chodnik, deszcz uderzył mnie jak obuchem, zimny, mokry i nieprzyjemny. Jak zwykły deszcz. Niebo przecięła błyskawica, zwykła, biała błyskawica, która nie podlegała nastrojom króla elfów. Moja suknia przykleiła mi się do ciała. Nie dbałam o to, że zmoknie i zniszczy się zupełnie. Mój czas w Krainie Magii dobiegł kresu. Koniec z magicznym urokiem, magicznym jedzeniem oraz magicznymi sztuczkami. Koniec.

Z jednym wyjątkiem, oczywiście.

- Ash! - wrzasnęłam i ruszyłam chodnikiem. - Ash!

- Jeśli dalej będziesz tak krzyczeć, obudzisz całą okolicę.

Obróciłam się gwałtownie. Stał w miejscu, gdzie wcześniej był portal. Wsunął ręce do kieszeni, a deszcz padał na niego i sprawiał, że włosy kleiły mu się do oczu. Światło latarni odbijało się od jego błyszczącego płaszcza, okalając go świetlistym kręgiem. Ale dla mnie nigdy nie wyglądał tak prawdziwie.

- Poszłaś za mną - wyszeptał, a w jego głosie słyszałam podziw, niedowierzanie i ulgę.

Podeszłam do niego, uśmiechając się przez łzy.

- Chyba nie sądziłeś, że puszcze cię tak samego, co?

- Mogłem mieć tylko nadzieję. - Ash podszedł i przytulił mnie, przyciągając do siebie z rozpaczliwą ulgą.

Wsunęłam ręce pod jego płaszcz i przycisnęłam go mocno, zamykając oczy. Deszcz na nas padał, a jakiś samochód przejechał ulicą i ochlapał wodą, ale nie miałam potrzeby się ruszać. Dopóki Ash mnie trzymał, mogłam tu stać do końca świata.

W końcu odsunął się, ale nie wypuścił mnie z objęć.

- Co teraz zrobimy - wyszeptał wpatrując się we mnie srebrnymi oczami.

- Nie wiem - odparłam, drżąc, gdy odgarnął mokre pasmo włosów z mojego policzka. - Myślę... że powinnam wrócić niedługo do domu. Mama i Luke pewnie szaleją z niepokoju. A co z tobą?

Wzruszył od niechcenia ramionami. - Ty mi powiedz. Gdy opuszczałem krainę Nigdynigdy, nie miałem żadnych planów chciałem tylko być z tobą. Jeśli chcesz, żebym został, tylko powiedz.

Oczy zaszyły mi łzami. Pomyślałam o Rowanie, o Żelaznym Koniu i wciąż groźnej armii fałszywego króla. Pomyślałam o Leanansidhe - i o Charlesie, uwięzionym Pomiędzy. Kiedyś będę musiała go uwolnić i rozmówić się z Królową Wygnańców, która dawno temu ukradła mi ojca. Ale na razie jedyne, czego pragnęłam, było tu i teraz. Ash patrzył na mnie, a ja myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi.

- Nie odchodź - wyszeptałam, obejmując go mocniej. - Nigdy więcej mnie nie opuszczaj. Zostań ze mną. Na zawsze.

Zimowy książkę uśmiechnął się delikatnie i zbliżył swoje usta do moich.

- Przysięgam.